

Virginia C. Andrews

BRAMY RAJU

GATES OF PARADISE

Przełożyła
Małgorzata Fabianowska



Mary Read

Spis rzeczy

Spis rzeczy	2
PROLOG	3
CZĘŚĆ PIERWSZA	6
Rozdział pierwszy RODZINNE SEKRETY	7
Rozdział drugi PREZENTY URODZINOWE	15
Rozdział trzeci NIEPOKOJĄCE ROZDROŻA	29
Rozdział czwarty URODZINY CIOTKI FANNY	39
Rozdział piąty STRASZLIWA TRAGEDIA	47
Rozdział szósty TONY TATTERTON.....	59
Rozdział siódmy CZAS MROKU	68
Rozdział ósmy Z ZALECENIA LEKARZA	82
CZĘŚĆ DRUGA.....	91
Rozdział dziewiąty MARZENIA I RZECZYWISTOŚĆ	92
Rozdział dziesiąty POKÓJ MAMY.....	99
Rozdział jedenasty DRAKE	107
Rozdział dwunasty DUCHY W DOMU.....	116
Rozdział trzynasty TAJEMNICZY NIEZNAJOMY	129
Rozdział czternasty WYZNANIA TONY'EGO	140
Rozdział piętnasty JAK MAMA.....	150
Rozdział szesnasty KALEKA!	165
Rozdział siedemnasty ZEMSTA PANI BROADFIELD	181
Rozdział osiemnasty BUNT	193
Rozdział dziewiętnasty PO DRUGIEJ STRONIE LABIRYNTU	209
Rozdział dwudziesty UCIECZKA.....	226
CZĘŚĆ TRZECIA	242
Rozdział dwudziesty pierwszy POWRÓT DO DOMU	243
Rozdział dwudziesty drugi MIŁOŚĆ BŁOGOSŁAWIONA, MIŁOŚĆ PRZEKLĘTA	259
.....	
Rozdział dwudziesty trzeci TAJEMNICA DOMKU Z POZYTYWKĄ.....	274
Rozdział dwudziesty czwarty MÓJ KSIĄŻĘ - NA ZAWSZE.....	286

PROLOG

Jedyną osobą, z którą mogłam dzielić moje najtajniejsze sekrety, był Luke Casteel junior. Tylko przy nim czułam, że żyję naprawdę, i w głębi serca wiedziałam, że Luke czuje to samo, choć nigdy nie miał śmiałości mi o tym powiedzieć. Chciałam być z nim, patrzeć na niego, tonąć w tych ciemnoszafirowych oczach i mówić mu, co naprawdę czuję. Ale taka bliskość była zakazana. Luke Casteel junior był moim bratem przyrodnim.

Znalazłam jednak sposób, abyśmy mogli wpatrywać się w siebie nawzajem przez długie godziny, z czystym sumieniem, nie martwiąc się, że ktoś odkryje nasz sekret. Było tak, kiedy go malowałam. Zawsze chętnie mi pozował. Oddzielona od niego sztalugą, używając jej w roli okna, które nas oddziela, mogłam do woli studiować tę śniadą twarz o wyrazistych kościach policzkowych i idealnych rysach. Mogłam bez przeszkód utrwać na płótnie spadające mu na czoło niesfornie czarne loki.

Luke miał włosy mojej ciotki Fanny, a szafirowe oczy i perfekcyjny nos odziedziczył po ojcu. Zarys jego ust i ostre, regularne linie szczęki zdradzały siłę i charakter. Mimo woli dopatrywałam się w nim podobieństwa do mojego ojca, a nawet do siebie. Był tak samo szczupły i wysoki jak tata, i trzymał się prosto jak on. To podobieństwo nieodmiennie mnie smuciło. Przypominało mi, że Luke nie jest moim legalnym bratem przyrodnim, tylko bratem przyrodnim z nieślubnego łoża; owocem chwilowego zauroczenia taty ciotką Fanny, siostrą mojej mamy. Wszyscy o tym wiedzieli, ale w myśl niepisanej umowy nie wspomniano o tej sprawie.

Usiłowaliśmy udawać, że jej nie ma, zepchnąć ją w mrok, choć oboje wiedzieliśmy, co plotkują o nas ludzie w Winnerrow. Moja rodzina, jakkolwiek jedna ze znaczniejszych i najzamożniejszych w mieście, była jednak mocno nietypowa. Luke junior mieszkał ze swoją matką, Fanny Casteel, dwa razy zamężną. Pierwszy raz wyszła za człowieka od siebie starszego, który szybko zmarł. Potem związała się z mężczyzną o wiele młodszym, który ją porzucił.

Wszyscy w Winnerrow pamiętali słynną rozprawę sądową, w trakcie której mama i ciotka Fanny walczyły o opiekę nad bratem przyrodnim Fanny, małym Drakiem. Drake był sierotą; jego ojciec Luke ze swoją nową żoną, Stacie, zginęli tragicznie w wypadku samochodowym. Drake miał wtedy pięć lat. Opiekę przyznano ciotce Fanny, ale później mama dogadała się z nią i Fanny zrzekła się praw do dziecka za niemałą sumę.

Drake nie znośił o tym słuchać i nieraz wdawał się w szkole w bójki, kiedy chłopcy

dokuczali mu, że został „sprzedany i kupiony”. Zresztą, jak mówiła mama, Drake odziedziczył zapalny charakter po swoim ojcu. Był przystojny, atletycznie zbudowany i wysportowany, inteligentny i bardzo ambitny. Aktualnie robił dyplom w Harvard Business College. Choć praktycznie był moim wujem, zawsze traktowałam go jak starszego brata. Mama i tata wychowali go jak własnego syna.

Większość ludzi w Winnerrow zna historię mamy, jej trudne dzieciństwo na Wzgórzach Strachu, śmierć jej matki przy porodzie, a potem - po latach spędzonych w nędznej chałupie - pałacowe życie z bogatą rodziną matki, Tattertonami.

Mieszkała w Farthinggale Manor, Farthy, jak nazywała tę rezydencję w rzadkich chwilach, kiedy udało mi się namówić ją na wspomnienia z tamtych czasów.

Za to ja i Luke często rozmawialiśmy o Farthy.

Farthinggale Manor królowało w naszej wyobraźni. To magiczny, ale i złowrogi wielki dom; zamek tysiąca sekretów, z których część - o czym wiedzieliśmy - dotyczyła nas. W posiadłości nadal mieszkał tajemniczy Tony Tatterton, który poślubił naszą prababcie i od lat kierował słynną "Wytwórnią Zabawek Tattertonów, obecnie luźno już tylko związaną z Fabryką Zabawek w Winnerrow, niegdyś swą filią. Z powodów, o jakich mama nigdy nie chciała rozmawiać, wołała nie mieć z Tonym nic wspólnego, choć regularnie przysyłał nam kartki z życzeniami urodzinowymi i świątecznymi. Mnie, odkąd pamiętam, na urodziny przysyłał też lalki z różnych stron świata. Dobrze, że mama pozwalała mi je zatrzymać. Miałam chińskie lalki, delikatne jak porcelana, o długich, prostych, czarnych włosach, i lalki z Holandii, Norwegii i Irlandii, w kolorowych strojach, o ślicznych, wesołych buziach.

Chcieliśmy z Lukiem dowiedzieć się więcej o Tonym Tattertonie i Farthy. Drake także był tego ciekaw, choć nawet w części nie rozmawiał o tych sprawach tyle co my. Och, gdyby nasz rodzinny dom, Hasbrouck House, był otwarty na rodzinną przeszłość tak, jak bywał otwartym domem w weekendy, kiedy przybywali przyjaciele rodziców i poruszali się po nim swobodnie. Tyle pytań domagało się odpowiedzi! Co sprawiło, że moi rodzice wrócili tutaj, porzucając bogaty, olśniewający świat Farthinggale Manor? Dlaczego moja mama tak bardzo chciała wrócić do Winnerrow, gdzie wielu nadal uznawało ją za wywłokę z gór? Choć była nauczycielką, tamtejsze bogate, snobistyczne towarzystwo nigdy jej nie uznało.

Tyle mrocznych tajemnic kryło się wokół nas; czaiło się w zakamarkach naszych umysłów jak stare pajęczyny. Odkąd pamiętam, czułam, że czegoś powinnam się o sobie dowiedzieć, ale nikt nie kwapił się, żeby mi to zdradzić - ani moja mama, ani tata, ani Drake. A jednak wyczuwałam tajemnicę w chwilach milczenia, które czasami zapadało pomiędzy rodzicami, pomiędzy nimi a mną, a już zwłaszcza pomiędzy mną a mamą.

Żałowałam, że nie mogę podejść z pędzlem do pustego płótna i wymalować na nim prawdy. Może dlatego, odkąd pamiętam, byłam opętana malowaniem. Bezustannie tworzyłam; praktycznie nie było dnia, żebym czegoś nie namalowała. Było to dla mnie równie niezbędne do życia i oczywiste jak oddychanie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

RODZINNE SEKRETY

- O nie! - zawołał Drake, stając za mną. Nie zauważyłam go, tak byłam zajęta malowaniem. - Znów kolejny widoczek Farthinggale Manor, z Lukiem juniorem gapiącym się z okna na chmury. - Teatralnie wywrócił oczami i udał, że mdleje.

Luke wyprostował się i odgarnął włosy z czoła. Zawsze tak robił, kiedy był zakłopotany albo zdenerwowany. Odwróciłam się powoli, gotowa ofuknąć Drake'a w stylu panny Marbleton, mojej i Luke'a nauczycielki angielskiego, która bez przerwy karciała uczniów, ale zobaczyłam jego szelmowski uśmiech i oczy błyszczące jak dwa czarne kamienie. Jak zwykle mnie rozbroił. Był niesamowicie przystojny, ale bez względu na to, ile razy się golił, zawsze miał cień zarostu na twarzy. Moja mama z czułością przeciągała mu dłońią po policzku i żartem prosiła, żeby zgolił te kolce jeżozwierza.

- Drake - powiedziałam miękko, błagając go spojrzeniem, żeby przestał się już nad nami pastwić.

- Ale tak jest, prawda, Annie? - upierał się. - Namalowałaś chyba z dziesięć obrazów takich jak ten, gdzie Luke jest w domu albo przechadza się po ogrodach. A przecież tam nigdy nie był!

Ostatnie zdanie wypowiedział prowokacyjnym tonem, jakby chciał podkreślić, że on sam dostąpił tego przywileju. Przechyliłam głowę, tak jak robiła to mama, kiedy nagle coś sobie uświadomiła. Czyżby był zazdrosny, że swoim stałym modelem uczyniłam Luke'a? Nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić Drake'a o pozowanie, gdyż nie potrafił dłużej wysiedzieć spokojnie.

- Moje obrazy Farthy nigdy nie są takie same - powiedziałam z urazą. - Maluję wyłącznie z wyobraźni i według tego, co usłyszałam od mamy i taty.

- Wydawałoby się, że to dla wszystkich jasne - stwierdził Luke, nie odrywając wzroku od podręcznika do literatury angielskiej.

Drake uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Co sprawiło, że Wielki Budda przemówił? - zapytał z uciechą. Uwielbiał droczyć się z Lukiem.

- Drake, przestań, bo stracę natchnienie - prosiłam.

- Kiedy przychodzi twórczy moment, artysta musi go zatrzymać, tak jak trzyma się pisklę w dłoni, delikatnie, ale stanowczo. - Zdawałam sobie sprawę, że moje artystyczne

wyznanie zabrzmiało nieco pretensjonalnie, ale nie znosiłam, kiedy Luke i Drake zaczynali swoje przepychanki.

Moje błagania wreszcie przyniosły skutek. Rysy Drake'a złagodniały.

- Przepraszam. Po prostu chciałem wyrwać stąd na chwilę naszego Platona. Potrzebujemy dziewiątego zawodnika do softballu.

Luke spojrzał na niego znad książki, zaskoczony zaproszeniem. Nieufnie obserwował Drake'a spod zmrużonych powiek. Czy propozycja jest szczerą? Drake przyjechał z uczelni do domu na przerwę wiosenną i dotąd przeważnie spędzał czas ze swoimi dawnymi przyjaciółmi.

- Sam nie wiem... - Luke spojrzał na mnie. - Muszę się uczyć do sprawdzianu - dodał szybko - i pomyślałem, że przez ten czas Annie może mnie...

- Jasne, jasne, rozumiem, mój ty Einsteinie - odpowiedział Drake głosem ociekającym sarkazmem. - Tyle że wiedzy nie czerpie się wyłącznie z książek i powinienes o tym wiedzieć - dodał, poważniejąc. - Trzeba poznawać ludzi, pogłębiać kontakty, sprawić, żeby ludzie cię lubili i szanowali. Oto sekret sukcesu. Więcej prezesów wywodzi się z boisk niż z sal wykładowych - perorował, podkreślając swoje tezy gestami.

Luke milczał. Przeczesał dłonią czuprynę i wlepił w Drake'a to swoje stoickie, lecz bystre, analityczne spojrzenie, czego Drake wyjątkowo nie znosił.

- Ach... niepotrzebnie strzępię sobie język - mruknął i odwrócił się do mnie. - Mówiłem ci, że Farthy jest szare, a nie niebieskie - powiedział, patrząc na mój obraz.

- Byłeś tam tylko parę razy i miałeś wtedy pięć lat. Na pewno nie wszystko pamiętasz - powiedział Luke, przychodząc mi w sukurs.

- Nie zapomina się koloru takiego wielkiego domu!

- Drake nie krył irytacji. - Wiek nie ma tu nic do rzeczy.

- Czyżby? Kiedyś opowiadałeś nam, że są tam dwa zewnętrzne baseny, a potem Logan sprostował to, mówiąc, że jeden był w środku, a drugi na zewnątrz - ciągnął bezlitośnie Luke.

Jeśli chodziło o Farthy, zawsze staraliśmy się z Lukiem trzymać tego, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, nawet jeśli były to drobne szczegóły. Skąpiono nam wiedzy na ten temat i musieliśmy ją z trudem zdobywać.

- Czyżby, Sherlocku Holmesie? - powtórzył Drake i jego spojrzenie stało się chłodne. Nie lubił być poprawiany, zwłaszcza przez Luke'a. - Otóż przyjmij do wiadomości, że nigdy nie twierdziłem, jakoby tam były dwa zewnętrzne baseny; powiedziałem tylko, że były dwa baseny. Nie słuchasz, kiedy do ciebie mówię. Zawsze mnie dziwiło, jakim cudem tak dobrze radzisz sobie w szkole. Może ściągasz?

- Drake, proszę! - Chwyciłam go za rękę i delikatnie ścisnęłam.

- Kiedy on naprawdę nie słucha. Chyba że ty do niego mówisz. - Uśmiechnął się z satysfakcją, bo dotknął czułego miejsca.

Luke zarumienił się; spojrzenie jego niebieskich oczu na sekundę spoczęło na mnie, zanim odwrócił się z posmutniałą twarzą.

Popatrzyłam w dal ponad jego głowę, na Wzgórza Strachu o wierzchołkach zasłoniętych chmurą, którą wiatr wyrzeźbił w kształt łyzy. Nagle zachciało mi się płakać - i nie tylko z powodu niesnasek pomiędzy Drakiem a Lukiem. Nie po raz pierwszy melancholijny nastrój spadał na mnie jak czarna chmura nasuwająca się na słońce. Zauważyłam przy tym, że smutek często stymulował mnie do malowania. Malowanie niesło ulgę, przywracało równowagę i spokój. Tworzyłam na płótnie taki świat, jakiego pragnęłam; świat widziany moimi wewnętrznymi oczami. Mogłam sprawić, że zapanuje w nim wieczna wiosna albo zima jak z bajki. Czułam się niczym czarodziejka wyobrażająca sobie coś niezwykłego i pięknego, a potem wyczarowująca to na płótnie. Kiedy szkicowałam swoją najnowszą wersję Farthy, świat wokół nabierał ciepła, jakbym strząsnęła z niego cień i wpuściła światło. Teraz, gdy z winy Drake'a mój dobry nastrój uleciał bezpowrotnie, powrócił smutek.

Uświadomiłam sobie, że obaj patrzą na mnie, zmartwieni moją ponurą miną. Zdusiłam płacz.

- Moje obrazy Farthinggale Manor różnią się od siebie, bo samo Farthy się zmienia - powiedziałam cicho.

Luke popatrzył na mnie wielkimi oczami i uśmiech przemknął po jego miękkich wargach. Wiedział, co oznacza ten ton w moim głosie. Znow mieliśmy zacząć naszą grę fantazji, kiedy pozwalaliśmy naszej wyobraźni wędrować swobodnie, nie krępując jej niczym i nie bojąc się rozmawiać o sprawach, które inne nastolatki uznałyby za głupie.

Jednak nasza gra była jeszcze czymś więcej. Kiedy bawiliśmy się w nią, mogliśmy mówić to, czego normalnie nie śmielibyśmy sobie powiedzieć. Mogłam być księżniczką, a on moim księciem. Mogliśmy zwierzać się sobie z najgłębszych uczuć, udając, że nie chodzi o nas, tylko o wymaginowane postacie, w które się wcieliliśmy. W takich chwilach żadne z nas nie czerwieniło się ani nie odwracało wzroku.

Drake pokręcił głową. On też wiedział, co się szykuje.

- O nie! - jęknął i teatralnie złapał się rękami za głowę. - Wy znowu swoje!

Zignorowałam go i spoglądając na obraz, mówiłam dalej:

- Może Farthy jest jak pory roku, szare i ponure zimą, błękitne i ciepłe latem. - Uniosłam wzrok, jakby wszystkie pomysły spłynęły na mnie z nieba, i zaraz wróciłam

spojrzeniem do Luke'a.

- A może staje się tym, czym chcesz, żeby się stało - podsunął Luke, podejmując wątek.

- Jeśli zechcesz, żeby było z cukru i syropu klonowego, będzie takie.

- Cukier i syrop klonowy? - Drake zachichotał.

- Czemu nie? A ja chcę, żeby Farthy było wspaniałym zamkiem, z lordami, służbą i smutnym księciem snującym się po krużgankach, czekającym na swoją księżniczkę - odpowiedziałam.

- Może ja byłbym tym księciem? - podchwycił Luke, wstając. - I czekałbym na ciebie?

Serce zabiło mi szybciej, kiedy się zbliżył. Ujął mnie za rękę; dotyk jego palców był ciepły i delikatny. Jego twarz znalazła się tuż przy mojej twarzy.

- Annie, moja księżniczko - szepnął, kładąc mi dłonie na ramionach.

Czułam łomot serca w uszach. Chciał mnie pocałować.

- Hola, nie tak szybko! - zawołał nagle Drake. Pochylił się, opuścił ramiona i wyglądał teraz jak garbus. Zagiął palce w szpony i ruszył na mnie. - Jestem Tony Tatterton - zachrypiął złowrogo. - Przyszedłem, żeby zabrać ci twoją księżniczkę, sir Luke. Żyję w najczarniejszych trzewiach zamku Farthy i zabiorę tam z sobą Annie, aby uczynić ją królową ciemności! - Wybuchnął głośnym, demonicznym śmiechem.

Wyraz zaskoczenia na naszych twarzach go otrzeźwił. Wyprostował się z zakłopotaną miną.

- Co za głupota! - prychnął. - O mało nie dałem się w to wkręcić.

- To nie jest głupota. Fantazje i marzenia czynią nas twórczymi. Tak ostatnio mówiła nam na lekcji panna Marbleton, prawda, Luke?

Luke bez słowa skinął głową. Sprawiał wrażenie głęboko urażonego. Wbił wzrok w podłogę i przygarbił się jak tata, kiedy coś go martwiło. Luke przejął bardzo wiele cech taty.

- Mam nadzieję, że nie chodziło jej o wymysły na temat Farthy - stwierdził Drake.

- A ty nigdy nie zastanawiałaś się, jak naprawdę wygląda Farthy? - zapytałam.

Wzruszył ramionami.

- Któregoś dnia urwę się z uczelni i pojedę tam. To nie jest daleko od Bostonu - powiedział nonszalancko.

- Serio? - Pozazdrościłam mu tego pomysłu.

- Jasne, a czemu nie?

- Przecież wiesz, że mama i tata nie chcą nawet słyszeć o Farthy - przypomniałam mu. - Będą wściekli, jeśli tam pojedziesz.

- Dlatego... nic im nie powiem. Powiem tylko wam. To będzie nasz sekret, Annie -

dodał, zerkając wymownie na Luke'a.

Spojrzelśmy z Lukiem na siebie. Drake nie był nawet w połowie tak zaangażowany w sprawy przeszłości i Farthy jak my.

Od czasu do czasu udawało mi się obejrzeć wspaniałe zdjęcia z bajkowego przyjęcia weselnego rodziców w Farthinggale Manor. Były na nich tłumy eleganckich ludzi, mężczyzn w smokingach i kobiet w olśniewających kreacjach, przy stołach uginających się od potraw, obsługiwanych przez tabuny służby. Kelnerzy kręcili się wśród nich z kieliszkami szampana na tacach.

Było też zdjęcie mamy tańczącej z Tonym Tattertonem. Wyglądał atrakcyjnie niczym gwiazdor filmowy, a mama była taka promienna, śliczna i świeża. Jej bławatkowe oczy, które odziedziczyłam, błyszczały jak gwiazdy. Patrząc na nich, trudno było uwierzyć, że ten człowiek mógł zrobić coś tak okropnego, że go znienawidziła. Jakże smutne i zarazem tajemnicze było to wszystko. Przyciągały mnie te zdjęcia, jak gdyby wpatrywanie się w nie miało ujawnić mroczny rodzinny sekret.

- Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zobaczę Tony'ego na własne oczy. Zazdroszczę ci, że tam byłeś, Drake, choć miałeś tylko pięć lat. Przynajmniej masz jakieś wspomnienia, choćby i wyblakłe.

- Sprzed szesnastu lat - uściślił sceptycznie Luke.

- Dobrze, ale on może przymknąć oczy i wywołać coś z pamięci, nawet niewyraźnie - zaprotestowałam.

- A ja? Jedyne obrazy Farthy, nie licząc paru zdjęć, pochodzą z mojej wyobraźni. Jak odległe są od rzeczywistości? Gdyby tylko mama zechciała ze mną o tym porozmawiać! Gdybyśmy mogli tam pojechać. Nie możemy przecież udawać, że Tony Tatterton nie istnieje. Mama nie pozwala nam go zobaczyć, zamienić z nim słowa, ale moglibyśmy przynajmniej pojechać tam i z daleka...

Luke zerwał się na równe nogi, bo mama wyłoniła się zza rogu. Musiała tam stać od pewnego czasu, słuchając naszej rozmowy. Drake kiwnął głową, jakby spodziewał się takiego obrotu spraw.

- Tak, mamó? - Speszona, schowałam się za sztalugą.

Mama spojrzała na Luke'a, który szybko odwrócił wzrok, a potem podeszła do mnie, starając się nie patrzeć na płótno.

- Annie - odezwała się miękko, przepełniona głębokim smutkiem - przecież prosiłam cię, żebyś nie dręczyła siebie i mnie ciągłym wspomnianiem Farthinggale Manor.

- Ostrzegalem ich - powiedział Drake.

- Dlaczego nie słuchasz wujka, kochanie? Drake jest na tyle dorosły, by to zrozumieć.

- Tak, mam. - Choć tak smutna, wyglądała pięknie ze swoją różaną cerą i figurą ciągle tak dziewczęcą jak wtedy, kiedy wychodziła za tatę. Wszyscy, którzy widzieli nas razem, zawsze reagowali tak samo, zwłaszcza mężczyźni: „Wyglądacie jak siostry, nie jak matka i córka”.

- Mówiłam ci, że samo wspomnienie tamtych dni sprawia mi przykrość. Uwierz mi, Farthy nie jest bajkowym pałacem. I nie ma tam przystojnych księży, którzy z zachwytem padliby ci do stóp. Nie powinniście z Lukiem snuć takich fantazji.

- Usiłowałem ich powstrzymać - zaznaczył Drake. - Bawili się w tę głupią grę wyobraźni.

- To nie jest głupia gra - zaprotestowałam. - Każdy fantazjuje.

- Oni czasami zachowują się jak dzieci z podstawówki - donosił dalej Drake. - Luke ją do tego zachęca.

Luke popatrzył na mamę spłoszonym wzrokiem. Wiedziałam, jak bardzo zależy mu, żeby go lubiła.

- Nieprawda! - zawołałam. - To mój pomysł i moja wina.

- Och, proszę, skończmy z tym - powiedziała z westchnieniem mama. - Jeśli musicie już coś udawać, to jest przecież tysiące innych miejsc, postaci czy epok - dodała lżejszym tonem. Uśmiechnęła się do Drake'a. - Wyglądasz świetnie w tym harwardzkim blezerze. Pewnie się nie możesz doczekać, kiedy wrócisz na uczelnię. - Odwróciła się do Luke'a. - Luke, mam nadzieję, że będziesz równie pilnym studentem jak Drake.

- Na pewno. Już nie mogę się doczekać. - Luke spojrzał na mamę, po czym szybko wrócił spojrzeniem do mnie. Odkąd pamiętam, zawsze był onieśmielony w obecności mamy. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek miał dłuższe rozmowy z nią czy z tatą, choć wiedziałam, że bardzo ich kocha i podziwia.

- Wspaniale, że tak dobrze radzisz sobie w szkole, Luke - powiedziała mama, prostując ramiona i unosząc głowę gestem, o którym niektórzy w mieście mówili: „ta harda duma Casteelów”. Wiedziałam, że większość kobiet w Winnerrow zazdrości mamie, bo jest nie tylko piękna, ale i świetnie radzi sobie w interesach. Nie było mężczyzny, który by jej nie adorował i zarazem nie szanował, gdyż potrafiła łączyć urok osobisty ze skutecznością działania. - Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni - dodała.

- Dzięki, Heaven - odpowiedział, odgarniając włosy z twarzy i pochylając się nad książką. Udawał, że się uczy, ale jego serce szalało z radości.

Nagle zerknął na zegarek.

- Och, już późno. Muszę wracać.

- Myślałam, że zjesz z nami kolację - zaprotestowałam.

- Oczywiście, że powinieneś zjeść z nami, Luke. - Mama z miłością popatrzyła na Drake'a. - To ostatni wieczór Drake'a w domu. Jutro wraca do koledżu. Czy Fanny będzie miała coś przeciwko?

- Nie. - Lekki, sarkastyczny uśmiezek pojawił się w kącikach ust Luke'a. - Nie będzie jej w domu.

- W takim razie zostajesz - zdecydowała mama. Nie chciała znać szczegółów. Wszyscy wiedzieliśmy o eskapadach Fanny z młodszymi mężczyznami, a ja wiedziałam, jak dręczy to jej syna. - Każę przygotować nakrycie.

Odwróciła się, żeby odejść, i jej wzrok na moment spoczął na obrazie. Byłam ciekawa, jak zareaguje. Nieznacznie przechyliła głowę, jej spojrzenie stało się odległe i nieobecne, jak gdyby nasłuchiwała serenady dobiegającej z oddali.

- Jeszcze nie skończyłam - usprawiedliwiałam się z obawy, że mnie skrytykuje. Jakkolwiek odkąd zaczęłam malować, ona i tata bardzo popierali moją twórczość, płacąc za lekcje, farby i przybory, wątpiłam w swój talent. Tata zatrudniał w fabryce wspaniałych artystów, sławnych w całym kraju. Znał się na sztuce.

- Dlaczego nie namalujesz Wzgórz Strachu, Annie? Z chęcią powiesiłabym taki obraz w jadalni. Wzgórza w rozkwicie wiosny, z ptakami i kwiatami, albo jesienne, ze wszystkimi barwami liści. Świetnie wychodzą ci krajobrazy malowane z natury.

- Och, mamó, nie maluję tak dobrze, żeby pokazywać swoje obrazy. Przynajmniej na razie.

- Masz talent. - Patrzyła na mnie z miłością i zaufaniem. - Masz go we krwi - dodała szeptem, jakby wypowiadała bluźnierstwo.

- Wiem. Pradziadek rzeźbił wspaniałe króliki i inne leśne zwierzęta.

- Tak. - Westchnęła i wspomnienia rozjaśniły jej twarz łagodnym uśmiechem. - Widzę go, jak całymi godzinami siedzi na werandzie naszej chaty i z bezkształtnego kawałka drewna kozikiem wyczarowuje jakieś stworzenie, które wygląda jak żywe. Cudownie jest mieć talent, Annie; podchodzić do białego płótna i tworzyć na nim coś pięknego.

- Och, mamó, jeszcze wiele mi brakuje do bycia malarką. Może nigdy nią nie zostanę. Ale bardzo chcę i będę się starała - dodałam, nie chcąc jej zawieść.

- Naturalnie, że będziesz malarką i będziesz się starała, gdyż... sprawi to twoje artystyczne dziedzictwo.

Urwała, jakby przed chwilą wyznała mi wielką tajemnicę, a potem uśmiechnęła się i

pocałowała mnie w policzek.

- Pozwól ze mną, Drake, dobrze? - powiedziała.

- Mam jeszcze parę spraw do omówienia przed twoim wyjazdem.

Drake zatrzymał się na moment przed moim obrazem.

- Ja tylko żartowałem, Annie. Jest dobry. - Zniżył głos do szeptu, żeby mama nie słyszała. - Wiem, że chcesz zobaczyć więcej niż Winnerrow. Kiedyś wyjedziesz z tej dziury - dodał i nieznacznie zwrócił się do Luke'a: - Ty też nie będziesz musiał fantazjować, że jesteś gdzie indziej.

Podszedł do mojej mamy. Wzięła go pod ramię i razem przekroczyli próg Hasbrouck House. Musiał powiedzieć jej coś śmiesznego, bo parsknęła śmiechem. Wiedziała, że Drake zajmuje specjalne miejsce w jej sercu, gdyż bardzo przypomina mamie jej ojca. Uwielbiała spacerować z nim pod ramię po Winnerrow.

Czasami widziałam, jak Luke tęsknie patrzy na nich, kiedy są razem, i robiło mi się przykro, bo widać było, jak bardzo brakuje mu pełnej rodziny. Dlatego tak lubił spędzać czas w Hasbrouck House, choć głównie milczał i tylko nas obserwował. Tu był ojciec - a on ojca nie miał - i matka taka, jaką pragnął mieć, zupełnie inna niż Fanny.

Poczułam na sobie wzrok Luke'a i odwróciłam się. Patrzył na mnie z troską i smutkiem, jak gdyby czytał w moich myślach i wiedział, że martwię się o nas wszystkich, pomimo naszego bogactwa i pozycji w Winnerrow. Czasami łapałam się na tym, że zazdroszczę biednym rodzinom, ponieważ ich życie jest o tyle prostsze niż nasze... bez tajemnic przeszłości, bez krewnych, których trzeba się wstydzić, bez przyrodnych braci czy wujków. Oczywiście kochałam całą swoją rodzinę, nawet ciotkę Fanny. Po prostu miałam wrażenie, że wszyscy jesteśmy ofiarami tej samej klątwy.

- Chcesz dalej malować, Annie? - zapytał Luke z błyskiem nadziei w niebieskich oczach.

- A nie jesteś zmęczony?

- Nie, a ty?

- Malowanie nigdy mnie nie męczy, a już zwłaszcza malowanie ciebie - odparłam.

Rozdział drugi

PREZENTY URODZINOWE

Osiemnaste urodziny moje i Luke'a były dla nas obojga wyjątkową chwilą. Rano rodzice weszli do mojego pokoju i obudzili mnie, żeby wręczyć mi prezenty. Tata kupił mi złoty medalion ze zdjęciami mamy i swoim. Medalion wisiał na dwudziestoczyterokaratowym łańcuszku i błyszczał jak słońce. Tata założył mi go na szyję, a potem wycałował mnie i wyściskał mocno i czule.

- Nie mogłem się powstrzymać - szepnął. - Teraz jesteś młodą damą i obawiam się, że stracę moją małą dziewczynkę.

- Och, tatku, dla ciebie zawsze będę twoją małą dziewczynką! - zawołałam.

Znów mnie pocałował i tulił mnie do siebie, aż mama odchrząknęła znacząco.

- Ja też mam coś dla Annie.

Nie mogłam uwierzyć, kiedy zobaczyłam, co trzyma w ręku - coś, co zawsze było dla niej cenniejsze niż kosztowne klejnoty, które posiadała. Praktycznie była to dla niej najważniejsza rzecz w życiu i teraz zamierzała podarować ją mnie!

Pomyślałam o czasach, kiedy byłam jeszcze mała, zanim zaczęłam chodzić do szkoły. Przychodziłam do sypialni mamy i tam godzinami czesała mi włosy. Słuchałyśmy przy tym muzyki Chopina. Przybierała wtedy dziwny, rozmarzony wyraz twarzy i drobny uśmiech igrał na jej pięknie wykrojonych wargach.

Obok nas, na niewielkim stoliku stało coś, co nazywałam domkiem dla lalek, choć tak naprawdę nim nie było. W domu mieliśmy kilka typów zabawek Tattertonów, ale ta replika wiejskiego domku z labiryntem żywopłotu obok była najwspanialsza. Nie wolno mi było jej dotykać, lecz czasami mama zdejmowała dach i pozwalała mi zajrzeć do środka. Było tam dwoje ludzi, mężczyzna i młoda dziewczyna. Mężczyzna leżał na dywanie przed kominkiem, z rękami za głową, i patrzył na dziewczynę, która zdawała się słuchać go uważnie.

- Co on do niej mówi, mamó? - zapytałam pewnego razu.

- Opowiada jej historię.

- Jaką?

- O magicznym świecie, w którym ludziom jest dobrze i ciepło, gdzie wszystko jest miłe i piękne.

- Gdzie jest taki świat, mamó?

- Przez moment był taki w tym domku.

- Czy ja też mogę wejść do takiego świata?

- Ach, moja kochana, słodka Annie, mam nadzieję.

- A ty w nim byłaś, mamo?

Wyraźnie, jakby to było wczoraj, zobaczyłam wyraz jej twarzy, zanim mi odpowiedziała. Niebieskie oczy stały się jaśniejsze od nieba. Wyglądała wtedy jak młodziutka dziewczyna, piękna i promienna.

- O tak, Annie, byłam. Raz.

- Dlaczego z niego wyszłaś?

- Dlaczego? - Powiodła spojrzeniem wokół, jakby zanotowała odpowiedź na skrawku papieru, który gdzieś rzuciła. Nie znalazła i wróciła spojrzeniem do mnie. W oczach zabłyśły jej łzy i objęła mnie mocno. - Dlatego, Annie, że... że on był zbyt cudowny, by można było w nim wytrzymać.

Oczywiście nic z tego nie rozumiałam i nadal nie mogłam zrozumieć. Jak coś może być tak cudowne, że aż nie do wytrzymania?

Ale nie myślałam o tym więcej. Pragnęłam dotknąć miniaturowych mebelków i naczyń w kuchni, lecz nie mogłam tego zrobić, bo wszystko było zbyt delikatne i kruche.

A teraz mama daje mi to cudo w prezencie. Zerknęłam na tatę. Spod zmrużonych powiek wpatrywał się intensywnie w domek. Ostrożnie wzięłam makietę w ręce i z zachwytem, powoli, postawiłam na swojej szafce.

- Och, mamo, dziękuję! Zawsze o nim marzyłam - powiedziałam. Zależało mi na tym domku nie tylko dlatego, że miał specjalne znaczenie dla mamy. Ile razy pozwalano mi do niego zajrzeć, przyglądałam się postaciom mężczyzny i kobiety i wyobrażałam sobie siebie i Luke'a, jak uciekamy do tego świata i żyjemy długo i szczęśliwie w ślicznym domku.

- Jest twój, kochanie.

Rodzice uśmiechali się do mnie; wyglądali młodo i radośnie. Jakie piękne przebudzenie, pomyślałam. Szkoda, że dzień osiemnastych urodzin nie może trwać wiecznie i że całe moje życie nie może być jednym długim, szczęśliwym dniem, kiedy wszyscy są dla siebie życzliwi.

Wzięłam prysznic i stanęłam przed szafą w garderobie, zastanawiając się, co mam włożyć w ten wyjątkowy poranek. W końcu zdecydowałam się na różowy sweter z angory i białą jedwabną spódniczkę - strój podobny do tego, jaki nosiła dziewczyna z miniaturowego domku.

Rozpuściłam włosy i upięłam je po bokach spinkami, a usta pomalowałam bardzo jasną różową szminką. Zadowolona z efektu, wypadłam z pokoju i zbiegłam po schodach okrytych

miękką niebieską wykładziną. Wydawało się, że cały świat świętuje moje urodziny i słońce złoci wszystko. Nawet listki i długie gałązki wierzb płaczących za oknami lśniły świetliście. Wszystko, co zielone, zieleniło się jeszcze bardziej. Kwiaty nabrały jaskrawszych barw. Świat był pełen ciepła i kolorów.

Zatrzymałam się u podnóża schodów, gdyż w domu panowała dziwna cisza... nie słychać było rozmów, nie było widać służby.

- Hej! Jest tam kto?

Przeszłam do jadalni. Stół nakryto do śniadania, ale w pokoju było pusto. Zajrzałam do salonu, bawialni i palarni, z tym samym rezultatem. Nie było służby, rodziców ani Drake'a, który przecież wczoraj przyjechał z koledżu, specjalnie na moje urodziny

- Mamo! Tato! Drake!

Zajrzałam do kuchni. Ekspres do kawy pyrkotał, rozbite jajka czekały na patelnię, grzanki tkwiły w tosterach, szklanki napełniono soldem i ustawiono na srebrnych tacach, ale w kuchni nie było żywego ducha. Gdzie jest nasz kucharz, Roland Star, czy pani Avery, nasza pokojówka? Nie widziałam też lokaja, Geralda Wilsona, choć zwykle krążył po korytarzach albo stał cicho w kącie, czekając na zlecenia.

- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytałam samą siebie, zmieszana i zarazem podekscytowana, gdyż przeczuwałam niespodziankę. Wreszcie podeszłam do drzwi frontowych i wyjrzałam na zewnątrz.

Tam byli! Mama, tata, Drake, służba i Luke, jak zwykle trzymający się z boku. Wszyscy uśmiechali się tajemniczo jak koty z Cheshire.

- Co tu się dzieje? - zapytałam. - Dlaczego...

Nagle pojęłam. Jakimś cudem wczoraj wieczorem tacie udało się przemycić na podjazd nowiutki kabriolet mercedesa. Był jasnoniebieski i miał lśniące aluminiowe felgi. Wyglądał jak bombonierka, przewiązany dwiema szerokimi różowymi kokardami. Zanim zdążyłam powiedzieć słowo, zebrani zaintonowali „Sto lat!”. Wzruszenie ścisnęło mi gardło, kiedy podeszłam do auta i zobaczyłam, że ma personalne tablice rejestracyjne, z moim imieniem.

- Wszystkiego najlepszego, Annie - powiedziała mama.

- Obyś w życiu miała jak najwięcej takich szczęśliwych chwil, kochanie.

- To chyba niemożliwe - westchnęłam wzruszona.

- Czy mogę być bardziej szczęśliwa niż teraz? Och, dziękuję! Dziękuję wam wszystkim.

- Ucałowałam mamę, tatę i uściśniłam Drake'a.

- Nie wiem jak wy, ale ja umieram z głodu - oznajmił wesoło tata.

Służba podeszła, aby mnie ucałować i złożyć życzenia, po czym wszyscy oddalili się do

swoich obowiązków. Tylko Luke nadal trzymał się z boku. Niestety, choć był u nas przyjmowany serdecznie, jak członek rodziny, zawsze zachowywał dystans.

- Chodź do nas, Luke! - zawołała moja mama, widząc, że nie rusza się z miejsca. - Logan i ja mamy coś specjalnego także dla ciebie.

- Dziękuję, Heaven.

Mama popatrzyła na niego, potem na mnie i dołączyła do reszty towarzystwa, które zmierzało do jadalni. Luke nawet nie drgnął.

- Chodź, głupolu - powiedziałam. - Dziś jest nasz dzień.

Kiwnął głową.

- Piękny samochód.

- Przejedziemy się po śniadaniu, dobrze?

- Jasne - przytaknął i zrobił zakłopotaną minę. - Heaven zaprosiła moją mamę, ale Fanny miała rano takiego kaca, że nie wiem, czy da radę przyjść - wyjaśnił.

- Och, Luke, tak mi przykro. - Wzięłam go za rękę.

- Nie pozwólmy, żeby dziś miały do nas dostęp smutki. A w razie czego schronimy się przed nimi do altany.

Uśmiechnął się na te słowa. Kiedy byliśmy mali, spędzaliśmy tam wiele czasu. Altana stała się naszym azylem. Z czasem ustaliło się tak, że kiedy chcieliśmy zrobić albo powiedzieć sobie coś specjalnego, chroniliśmy się w jej zaciszu.

Wejście tam po trzech schodkach było jak przeniesienie się do innego świata. Altana była duża i w środku, pod ścianami, ciągnęła się kolistą ławka. Rodzice kazali pomalować ją na biało i zielono. Z belek sufitu zwisały małe latarnie i w nocy altana nabierała magicznego czaru.

Praktycznie używaliśmy jej tylko my. Dla innych była jedynie ogrodową dekoracją. Nigdy nie widziałam, żeby tata tam zaglądał. Drake też nie był zainteresowany siedzeniem w altanie nawet w ciepłe dni. Chyba że ja go tam zapraszałam - wtedy nie śmiał odmówić. Ale bezustannie narzekał na twarde siedzenie i komary.

- Tak czy owak musimy iść - powiedział Luke. - Mam coś dla ciebie - dodał.

- A ja dla ciebie. Widzisz? To naprawdę będzie piękny dzień. Wszystkiego najlepszego, Luke.

- Wszystkiego najlepszego, Annie.

- Dobrze, a teraz chodźmy do stołu. Jestem strasznie głodna po tych przeżyciach.

W podskokach pobiegliśmy do domu.

Luke mylił się co do swojej matki. Ciotka Fanny jak zwykle dokonała efektownego, teatralnego wejścia. Siadaliśmy do śniadania, kiedy wpadła jak bomba do jadalni.

- Co, nie chciało się wam zaczekać na mnie? - Wyzywająco oparła ręce na biodrach. Miała czarny satynowy kapelusz z dużym rondem i jasnozieloną wstążką, włożony na upięte do góry włosy. Luke miał rację co do kaca, bo nie zdjęła przeciwsłonecznych okularów. Lubiała wyróżniać się strojem, zwłaszcza kiedy składała nam wizyty. Sądziłam, że robi to, aby zirytować swoją siostrę, ale mama zdawała się nie zwracać uwagi na jej stroje. Dzisiaj ciotka miała krótką spódnicę z ciemnozielonej skóry i skórzany żakiet oraz różową bluzkę z falbanami. Wyglądała jak bożonarodzeniowa kolorowa choinka.

- Usiedliśmy do stołu pół godziny później, gdyż czekaliśmy na ciebie - powiedziała mama.

- Naprawdę? - Fanny zamasztywym ruchem ściągnęła kapelusz z głowy. Z westchnieniem wystąpiła na środek jadalni i wyjęła obwiązaną kokardą paczkę, którą dotąd kryła pod ramieniem. - Wszystkiego najlepszego, kochana Annie.

- Bardzo dziękuję, ciociu Fanny.

Odeszłam z prezentem na bok, żeby nie przeszkadzać siedzącym przy stole. Tata z kamienną twarzą podparł ręką brodę. Luke gapił się w stół i tylko Drake uśmiechał się szeroko. Z nas wszystkich tylko on naprawdę lubił ciotkę Fanny. Myślę, że wiedziała o tym, gdyż często mrugała do niego, jakby panowało pomiędzy nimi specjalne porozumienie.

Prezent od Fanny okazał się zaskakująco cenny i niezwykły. Była to ręcznie wyrzeźbiona kasetka na biżuterię z kości słoniowej, która po otwarciu grała melodię *Wspomnienia* z musicalu *Koty*. Mama była wyraźnie pod wrażeniem.

- To bardzo piękna szkatułka, Fanny - powiedziała. - Skąd ją wzięłaś?

- W każdym razie nie z Winnerrow. Tu czegoś takiego nie dostaniesz, Heavenly. Posłałam... mojego przyjaciela do Nowego Jorku, specjalnie po twój prezent, Annie.

- Och, dzięki, ciociu Fanny!

Pocałowałam ją i się rozpromieniła.

- Prezent dla Luke'a jest w domu. Za duży, żeby go tu tachać. Sprawiałam mu kolorowy telewizor.

- Ach, Luke, pewnie się bardzo cieszysz - powiedziała moja mama, lecz Luke niedostrzegalnie potrząsnął głową. Rzadko oglądał telewizję. Wolał czytać książki.

- Szkoda, żeście się uparli, żeby urodzić się w tym samym dniu - stwierdziła Fanny, sadowiąc się za stołem.

- Nie trza by ogarniać dwóch okazji naraz. - Zaśmiała się perliście. - Co się tak

patrzycie? Jest wyżerka, to nie ma co czekać. Zjadłabym wilka z kopytami. Nie jadłam od... od wczoraj rano. - Znów się zaśmiała.

Pomimo niewyszukanych żartów ciotki Fanny wszyscy się świetnie bawiliśmy. Osiemnaste urodziny okazały się najwspanialszymi w moim życiu. To był naprawdę wyjątkowy dzień, pełen muzyki, śmiechu i słońca; dzień, którego opis zajął wiele stron w moim pamiętniku. Nie mogłam się doczekać, kiedy Luke będzie mi pozował do - jak to nazwałam - Osiemnastkowego Portretu.

Traktowano mnie jak księżniczkę i tak też się czułam. Dostałam prezenty nawet od służby. A potem zdarzyła się kolejna niezwykła rzecz.

Zanim zdążyłam zabrać Luke'a na przejażdżkę moim nowym samochodem, mama mnie poprosiła, żebym poszła z nią na górę. Znalazłyśmy się w sypialni rodziców. Stało tu iście królewskie łóżko z artystycznie rzeźbionym, hikorowym wezgłowiem i baldachimem wspartym na hikorowych kolumnach, tak masywne, że trzeba było kilkunastu silnych mężczyzn, aby je tu przydźwigać.

Ścianę nad łóżkiem zdobił obraz przedstawiający starą chatę na Wzgórzach Strachu i dwoje ludzi siedzących na werandzie w bujanych fotelach. Mama zabrała go z Farthinggale Manor. Już sam fakt, że obraz pochodził stamtąd, czynił go w moich oczach wyjątkowym i magicznym. Oczywiście jako malarka doceniłam także jego wartość artystyczną.

Od czasu, kiedy mama zamieszkała w Hasbrouck House, zdążyła kilka razy zmienić wygląd i wystrój tego pokoju. W oknach były teraz eleganckie, niebieskie satynowe zasłony ze złotymi obszyciami. Ściany obito jasnoniebieskim aksamitem, a na podłodze leżał niebieski dywan, tak gruby i miękki, że uwielbiałam chodzić po nim boso.

Dwóch ostatnio przyjętych, najmłodszych rzemieślników z fabryki wykonało komody i szafy do tego pokoju, z tego samego drewna hikorowego co łóżko. Toaletka mojej mamy zajmowała niemal całą prawą ścianę i tak długie było również lustro. Podeszłyśmy do niej.

- Jeszcze coś chciałabym ci dać teraz, kiedy stajesz się pełnoletnia - powiedziała mama.
- Z pewnością będziesz to nosiła tylko na specjalne okazje, niemniej podaruję ci to już dzisiaj.

Wyjęta z szuflady długą, lśniącą czarną kasetkę na biżuterię. Znałam ją i wiedziałam, że w środku jest komplet - diamentowy naszyjnik i kolczyki.

- Och, mamó! - powiedziałam bez tchu, spodziewając się, co za chwilę nastąpi.

Mama otworzyła kasetkę i podsunęła mi ją. Patrzyłyśmy przez moment na lśniące diamenty. Wiedziałam, że ich widok przypomina mamie wyjątkowe chwile. Byłoby wspaniale, gdyby sam fakt założenia klejnotów mógł ujawnić mi wszystkie sekrety naszej przeszłości, wprowadzić do mojej pamięci bezcenne wspomnienia mamy i przelać do mojego

umysłu całą mądrość i doświadczenie, jakie wyniosła ze swojego trudnego i zarazem cudownego życia.

- To należało do mojej babci Jillian, która żyła jak królowa - stwierdziła mama.

- I która nie pozwoliła ci nazywać siebie babcią - dopowiedziałam szeptem, przypominając sobie jedną z nielicznych opowieści o życiu w Farthinggale Manor, jakie od niej usłyszałam.

- Zgadza się - przytaknęła z uśmiechem. - Jillian była bardzo próżna i chciała na zawsze pozostać piękna i młoda. Dlatego trzymała się złudzeń i iluzji; chwytła się każdego sposobu, żeby zatrzymać upływ czasu, jak tonący chwytą się płynącej gałęzi. Piękna biżuteria i stroje były dla niej tą gałęzią. Oczywiście robiła sobie liftingi twarzy, chodziła do spa, na masaże i używała wszystkich cudownych kosmetyków, jakie istniały. Na słońcu nosiła kapelusze z szerokim rondem, gdyż bała się, że dostanie zmarszczek. Skórę miała wyjątkowo gładką - ciągnęła mama. Słuchałam, wstrzymując oddech, bo był to jeden z najdłuższych opisów prababci, jakie słyszałam, i nie chciałam, żeby szybko się skończył. - Choć była o dwadzieścia lat starsza od Tony'ego, trudno było w to uwierzyć. Spędzała całe godziny przed lustrem... - Mama umilkła, na moment pozwalając się unieść wspomnieniom. - W każdym razie - powiedziała, powracając do rzeczywistości - odziedziczyłam po niej te klejnoty i teraz pragnę, aby stały się twoją własnością.

- Są takie piękne! Będę się bała je nosić.

- Nie powinnaś mieć skrupułów przed noszeniem i posiadaniem pięknych rzeczy, Annie. Ja je nosiłam. Miałam wyrzuty sumienia, że posiadam tyle, kiedy jeszcze niedawno z całą rodziną klepałam biedę na Wzgórzach Strachu. - W jej niebieskich oczach pojawiła się nagle determinacja. - Wkrótce jednak zrozumiałam, że biedni potrafią dużo lepiej niż bogaci cieszyć się cudownymi chwilami, jakie przynosi im życie. Nigdy nie myśl, że jesteś lepsza od kogoś tylko z powodu przywileju urodzenia - ciągnęła z ożywieniem, które zdradzało ból i cierpienia, jakie musiała kiedyś przeżywać. - Bogatymi ludźmi często powodują te same prymitywne instynkty, jak prostą biedotą. A może nawet bardziej, gdyż bogaci mają więcej czasu na próżnowanie i pograżanie się w szaleństwie w zaciszu swoich pałaców.

- Nauczyłaś się tych mądrości w Farthinggale Manor? - zapytałam łagodnie, w nadziei że mama uznała czas moich osiemnastych urodzin za okazję do wyjawienia mi rodzinnych sekretów

- Tak - szepnęła niemal niesłyszalnie, jakby do siebie. Czekałam w napięciu, aż powie coś jeszcze, lecz nagle, jakby coś się wyczerpało, wyrwała się ze strumienia wspomnień i wróciła do rzeczywistości. Oczy jej pojaśniały i otworzyły się szerzej, jakby wyszła z

hipnotycznego transu. - Ale pomówmy o czymś przyjemniejszym. Dzisiaj jest twój radosny dzień, kochanie. - Pocałowała mnie w policzek i włożyła mi klejnoty do rąk. - Najwyższy czas, żebym przekazała je tobie. Czasami mi je pożyczysz, prawda?

Obie się roześmiałyśmy i mama mnie uściskała.

- Schowam to i zejść na dół - powiedziałam, wysuwając się z jej objęć. - Chcę zabrać Luke'a na przejażdżkę moim nowym samochodem.

- Nie zapomnij o Drake'u. On też chciałby pojechać z tobą, Annie. - Mama zawsze nalegała, żebym zacieśniała więzy z Drakiem.

- Ale tam są tylko dwa miejsca! - Byłam zakłopotana. Chciałam uniknąć ryzykownego wyboru pomiędzy jednym a drugim, który mógłby zranić ich uczucia.

- Drake przyjechał tu z uczelni specjalnie na twoje urodziny, Annie. Zadał sobie trud, żeby je uczcić. Luke jest zawsze na miejscu i wydaje mi się, że spędzasz z nim za dużo czasu. Zauważyłam, że przestałaś umawiać się z chłopcami. To niedobrze.

- Chłopcy z mojej klasy są głupi i niedojrzali. Zależy im tylko, żeby iść do jakiegoś baru i upić się w sztok, bo to dla nich jedyny dowód męskości. Z nimi nie da się inteligentnie porozmawiać, tak jak z Lukiem - wyjaśniałam bliska płaczu. Mama oczywiście miała rację. - Po prostu mi go szkoda - powiedziałam.

- Wiem, ale wkrótce trzeba będzie się rozstać. Ty ruszysz w podróż po Europie, będziesz poznawać różnych ludzi, on wyjedzie na uczelnię, zacznie nowe życie. Jego mamę stać na sfinansowanie tych studiów, a poza tym, jak sama mówisz, Luke jest bardzo inteligentny i najlepszy w szkole. Nie ma więc powodu, żeby się nad nim litować. Zresztą - dodała z uśmiechem - założę się, że nie byłby zachwycony, gdyby się o tym dowiedział.

- Och, proszę, nie mów mu, że tak powiedziałam!

- Oczywiście nie zrobię tego, Annie. Chyba nie sądzisz, że nie troszczę się o Luke'a. Przecież wiem, co musiał przejść przez te wszystkie lata. Tym bardziej podziwiam go, że jest taki, jaki jest - podsumowała, gładząc mnie po włosach. - A teraz schowaj swoje diamenty i zabierz na przejażdżkę Drake'a, a potem Luke'a. Dzisiaj nie ma miejsca na łzy czy smutki. Absolutnie ich zakazuję. Może nawet namówię burmistrza Winnerrow, żeby zakazał tego w naszym mieście - dorzuciła ze śmiechem.

- Dzięki, mamo, cudowna jesteś - powiedziałam wzruszona.

- Nie musisz dziękować, kochanie. Przecież bardzo cię kocham.

Ucałowała mnie jeszcze raz i pospieszyłam do swojego pokoju, żeby włożyć biżuterię do specjalnego schowka w toalecie. Kiedy zesłam na dół, zastałam Drake'a, Luke'a i ojca w salonie, dyskutujących z ożywieniem o deficycie handlowym i potrzebie ochrony

legislacyjnej. Słuchałam ich przez moment, podziwiając, jak Luke dzielnie daje odpór obu panom, i głośno oznajmiłam, że zapraszam na przejażdżkę swoim mercedesem.

- Kolejność jazd według wieku - powiedziałam dyplomatycznie. - Najpierw tata, potem Drake i na końcu Luke. Trzy rundki po Głównej i następny.

Tata zaczął się śmiać.

- Wyobrażasz sobie, co powiedzą mieszkańcy? Pomyślą, że afiszujemy się z naszym bogactwem.

- A co, mamy się kryć? - spytał Drake zaczepnie. - Nie trzeba się wstydić majątku. To fałszywe, liberalne przekonanie.

- Dajcie spokój, to tylko przejażdżka - zaprotestowałam. Wszyscy trzej odwrócili się do mnie i nagle ryknęli śmiechem na widok mojej bojowej miny. - Mężczyźni... - mruknęłam, odwracając się na pięcie.

- Och, Annie. - Tata otoczył mnie ramionami. - Jesteś taka śliczna, kiedy się gniewasz. Chodź, przekonamy się, czy twój wózek jest wart tego zamieszania.

Tak jak obiecałam, przewiozłam wszystkich trzech. Tata mnie namówił, bym zatrzymała się przy barze, bo chciał zamienić parę słów z przyjaciółmi - choć podejrzewałam, że chodzi mu raczej o pochwalenie się prezentem dla córki. Kiedy wróciłam z Drakiem, zastałam Luke'a siedzącego w altanie i czytającego jakiś magazyn. Drake uznał, że musi się trochę pouczyć, więc znikł w swoim pokoju na resztę dnia i pokazał się dopiero przy obiedzie.

- Zaraz przyjdę! - krzyknęłam do Luke'a i pobiegłam do swojego pokoju po prezent dla niego.

Mama i tata spojrzeli na mnie zdziwieni, kiedy gnałam przez salon.

- Zwolnij! - zawołał tata. - Chcesz przegonić czas? Nie musisz!

Wybiegłam z domu, ścigana jego śmiechem. Okrążyłam klomb, z bijącym sercem przeskoczyłam trzy schodki prowadzące do altany i z rozpędu usiadłam na ławce obok Luke'a.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Podsunęłam mu na dłoni niewielką paczuszkę. Przyglądał się jej przez chwilę, zanim wziął ode mnie.

- Może to kluczyki od kolejnego mercedesa - zażartował. Rozwinął wstążkę i uniósł wieczko. W środku był sygnet na mały palec, solidny, złoty, z czarnym onyksem. - Wow!

- Zobacz dedykację.

Obejrzał środek sygnetu, gdzie wygrawerowano napis: „Od kochającej siostry Annie”.

Po raz pierwszy któreś z nas oficjalnie napisało coś, co obrazowało nasze prawdziwe stosunki. Luke'owi oczy się zaszklily, ale zacisnął powieki. Nie chciał zachować się niemęsko i płakać, choć były to łzy szczęścia. Patrzyłam, jak próbuje utrzymać emocje w ryzach.

- Załóż go - powiedziałam szybko.

Luke posłusznie wsunął sygnet na palec i uniósł do słońca. Czarny kamień zalśnił.

- Jest bardzo piękny - powiedział. - Skąd wiedziałaś, że lubię te kamienie?

- Pamiętałam, co powiedziałaś kiedyś, przeglądając jakiś magazyn.

- Wspomniały. - Luke popatrzył na sygnet i parę razy przeciągnął po nim palcem, a potem spojrzał na mnie z łobuzerskim błyskiem w oku. Sięgnął ręką za plecy i podał mi cienkie, płaskie pudełko opakowane w ozdobny różowy papier. Najpierw przeczytałam kartę.

Zdumiewające - zupełnie jakbyśmy się umówili, że w nasze osiemnaste urodziny kończymy z udawaniem. Dedykacja brzmiała: „Dla siostry, w jej osiemnaste urodziny”. Dalej był już tekst bardziej osobisty:

Lata będą płynąć i czas, jak magiczny labirynt, o którym marzymy, rozdzieli nas. Ale nie obawiaj się, potrafię rozwiązywać zagadki. Jeśli będzie trzeba, przejdę ten labirynt i odnajdę Cię, gdziekolwiek będziesz.

Życzę Ci szczęścia

Luke

- Och, Luke! Te słowa są najlepszym prezentem. Więcej wartym niż mój nowy samochód.

Uśmiechnął się krótko, w napięciu.

- Otwórz.

Ręce mi drżały, kiedy starałam się delikatnie odpakować prezent. Chciałam zachować papier, wstążkę, pragnęłam delektować się każdą chwilą i każdym odczuciem tego cudownego dnia. Pod papierem było kremowe pudełko. Uniosłam pokrywkę i zobaczyłam bibułkę. Odchyliłam ją i ukazał się wykonany z brązu obrazek, wizerunek dużego domu, podpisany: „Farthinggale Manor, nasz magiczny zamek. Z miłością - Luke”.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego zmieszana. Luke pochylił się ku mnie i trzymając mnie za rękę z obrazkiem, rzekł:

- Pewnego dnia przeglądałem stary kufer mamy na poddaszu i natrafiłem na wycinek z gazety. Była to rubryka towarzyska, w której opisywano przyjęcie weselne twoich rodziców.

Ilustracją było zdjęcie domu i gości na trawniku. Poszedłem do fotografa, który wykadrował mi sam budynek, a potem kazałem zrobić kopię w brązie. I teraz podarowałem ją tobie.

- Och, Luke! - Musnęłam palcami wypukłości metalu.

- Gdziekolwiek się znajdziesz i cokolwiek będziesz robiła, to będzie ci zawsze przypominać o naszej zabawie w fantazje - powiedział cicho.

- Nigdy o tym nie zapomnę.

- Oczywiście tak to wyglądało przed laty. - Odsunął się szybko, świadom, jak blisko siebie znalazły się nasze twarze. - Nie wiem, jak wygląda dzisiaj.

- Luke, twój prezent jest wspaniały, bo ma dla nas obojga specjalne znaczenie. Tylko ty mogłeś pomyśleć o czymś takim. Będę musiała ukryć ten obraz przed mamą. Wiesz, jak reaguje na samą wzmiankę o Farthy.

- Och, wiem. I tak miałem ci to zasugerować. Nie chcę, aby miała jeszcze jeden powód, żeby mnie nie lubić.

- Ależ ona cię lubi. Szkoda, że nie słyszałeś, jak mówi o tobie. Jest z ciebie bardzo dumna!

- Serio?

Widać było, jak te słowa są dla niego ważne.

- Absolutnie tak. Ciągle podkreśla, że jesteś najlepszym uczniem. Uważa, że pomimo niełatwego startu zajdziesz w życiu wysoko.

Luke w zamyśleniu kiwnął głową.

- Trudno jest się wspinać na wysokie góry, ale widok ze szczytu wynagradza trudy wspinaczki. Mierzyć się z najwyższymi, oto moje motto. - Jego spojrzenie stało się twarde. - Góra, która nas dzieli, jest za wysoka.

- Chodźmy! - Złożyłam papier. - Pora się przejechać moim nowym autem.

Po przejeździe zaniósłam prezent do mojego pokoju i schowałam tam, gdzie trzymałam najbardziej osobiste rzeczy. Przed kolacją przyszedł do mnie Drake i zapytał, co dostałam od Luke'a. Wiedział, że dajemy sobie nawzajem prezenty, bo robiliśmy to od dwunastego roku życia. Pokazałam mu obrazek, ale musiał najpierw obiecać, że nie powie mamie. Nie pokazałam tylko karty.

- Nie wygląda jak Farthy - stwierdził. - Nie takie, jak je zapamiętałem.

- Drake, to niemożliwe. Luke znalazł zdjęcie i obrazek zrobiono na jego podstawie.

- Sam nie wiem. - Drake pokręcił głową. - Magiczny zamek. Nadal cię intryguje?

- Tak, Drake. I nie mogę nic na to poradzić.

Kiwnął głową, mrużąc oczy w zamyśleniu. Schowałam prezent i zeszliśmy do jadalni.

Ale jeszcze tego wieczoru, przed spaniem, wyjęłam obrazek i długo wpatrywałam się w niego, zastanawiając się, czy Drake ma rację, kpiąc z naszej gry fantazji. Czy kiedykolwiek trafię w tak magiczne i wspaniałe miejsce? Wątpliwe.

Parę tygodni później dostałam list od Drake'a. Pisał do mnie często - o swym życiu na studiach albo z prośbą o rady. Choć czasami bywał tyranem dla Luke'a i potrafił traktować go okrutnie, brakowało mi jego wesołości, rubasznego humoru i żartów w stylu starszego brata. Czekałam na listy od niego i od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon. Owe listy były sownie okraszone anegdotami na temat dziewczyn z uczelni, harwardzkich bractw czy innych spraw studenckich. Opisywał mi, jak wioślarska drużyna ustawiła się do zdjęcia po zdobyciu mistrzostwa w regatach, i jak okazało się, że jest w niej mój wujek Keith, brat przyrodni Drake'a - krewny, o którym prawie nic nie wiedzieliśmy. Jak zwykle ucieszyłam się z kolejnego listu od Drake'a. Ułożyłam się na moim łóżku przykrytym ozdobną kapą i zaczęłam czytać.

Droga Annie!

Mam wieści, które z pewnością będą dla Ciebie ekscytujące. Dla mnie też było to niemalym przeżyciem. Tylko nie mów nic Heaven.

Przez całą drogę powrotną na uczelnię rozmyślałem o Twojej fascynacji Farthinggale Manor, trwającej od dzieciństwa, i o tym, jak Ty i Luke rozbudowaliście to w jakąś bajkową fantazję. Uznałem, że jedynym powodem Waszej dziecinady musi być fakt, że i Ty, i ja mało wiemy o tym miejscu i o tajemniczym Tonym Tattertonie, moim przyrodnim ciotecznym dziadku, a Twoim przyrodnim dziadku. Dlatego zrobiłem coś, czego Heaven by mi nie wybaczyła, ale zrobiłem to głównie dla Ciebie.

Napisałem list do Tony'ego Tattertona, w którym przedstawiłem się i zapytałem, czy mogę mu złożyć wizytę. Musiał zareagować, jak tylko go dostał, gdyż po paru dniach zadzwonił do mnie mężczyzna o dystyngowanym, władcym głosie i zaprosił mnie do Farthinggale Manor. Tym mężczyzną był Tony Tatterton. Oczywiście przyjąłem jego zaproszenie.

Tak, Annie, właśnie wróciłem z Twojego magicznego królestwa i mam dla Ciebie smutne, tragiczne, a jednak fascynujące wieści.

Przede wszystkim pragnę powiedzieć, że jest to rzeczywiście ogromna posiadłość. Z bramą z ozdobnego, kutego żelaza, choć nie tak okazałą, jak Wam się wydawało. Po prostu duża brama i na niej duży napis.

Reszta już zupełnie rozmija się z Waszymi fantazjami. Dom jest ciemny i mocno zapuszczony. Wierz mi, nie mówię tego złośliwie, choć często wyśmiewałem Was, kiedy udawaliście, że Farthinggale Manor jest magicznym zamkiem. Teraz nie ma tam nic magicznego - wszystko jest raczej tragiczne.

Wielkie drzwi wejściowe okrutnie skrzypiały, kiedy otworzono je przede mną. Przywitał mnie wiekowy jak Matuzalem lokaj i wprowadził do wielkiego budynku. Miałem wrażenie, że w holu zmieściłoby się całe nasze gimnazjum w Winnerrow. Ale był ledwo oświetlony i zaciągnięto kotary, więc atmosfera przypominała kryptę.

Przed sobą zobaczyłem rozległe schody i wspomnienia z dzieciństwa przeleciały mi przez głowę. Lokaj pokazał mi gabinet po prawej stronie. Wszedłem i zobaczyłem Tony'go Tattertona. Siedział za dużym biurkiem z mahoniem, na którym stała mała lampa - jedyne źródło światła w tym pomieszczeniu. W tych cieniach wydawał się smutny i wymizerowany, ale kiedy lokaj mnie zaanonsował, żwawo wstał zza biurka i kazał słudze rozsunąć kotary.

Nie wygląda jak multimilioner, jest miły, inteligentny i bardzo przyjacielski. Wykazał nadspodziewanie duże zainteresowanie moją karierą i kiedy usłyszał, że studiuje zarządzanie, z miejsca zaproponował mi praktykę w jednej ze swoich firm. Wyobrażasz sobie?

Oczywiście nasza rozmowa skupiała się głównie na Twojej mamie i Tobie. Najbardziej interesowałaś go Ty. Pod koniec zrobiło mi się smutno, gdyż coraz bardziej miałem wrażenie, że jest samotny w tym wielkim domu, spragniony jakichkolwiek wieści o rodzinie.

Jasne, że nie pytałem go o powody, dla których Heaven zerwała z nim kontakt, ale jedno mogę Ci powiedzieć - po wizycie w Farthinggale Manor i po rozmowie z Tonym Tattertonem wierzę, że ich stosunki kiedyś się poprawią.

Kiedy znów się zobaczymy, opowiem ci wszystko dokładnie. Wreszcie Ty i Luke nie będziecie skazani wyłącznie na wyobraźnię. Macie naocznego świadka, który powie Wam prawdę. Nie będziesz musiała malować więcej obrazów Farthy - i dobrze, bo dzięki temu zwrócisz się ku pogodniejszym tematom.

Nie mogę się doczekać, kiedy znów Cię zobaczę.

Całuję

Drake

Odłożyłam list. Gdy czytałam o Farthinggale Manor i Tonym Tattertonie, łzy płynęły mi strumieniem po twarzy. Zupełnie jakbym czytała nekrolog ukochanego przyjaciela.

Drake miał jak najlepsze chęci i na pewno nie zrobił tego złośliwie. Zrobił to, czego - jak sądził - oczekiwałam od niego, ale tym samym odciął mnie od świata wyobraźni, iluzji i

dziecięcych marzeń. Jakby ktoś nagle opuścił kurtynę, zostawiając mnie z pustą, smutną duszą.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam się dowiedzieć, co sprawiło, że moja mama opuściła Farthinggale Manor, zostawiając tego starszego dżentelmena samego w wielkim domu pełnym mrocznych cieni.

Nie panowałam nad sobą. Zanosłam się płaczem jak małe dziecko. Wreszcie wyczerpana zasnęłam, zaciskając w dłoni list od Drake'a. Obudził mnie dzwonek telefonu. Ucieszyłam się ogromnie, słysząc głos Luke'a.

- Co się stało? - zapytał natychmiast. Fakt, iż urodziliśmy się tego samego dnia, był naprawdę znaczący. Zupełnie jak gdybyśmy byli bliźniakami, momentalnie wyczuwaliśmy swoje nastroje.

- Dostałam list. Drake był w Farthinggale Manor i widział się z Tonym Tattertonem. Luke milczał przez moment.

- Naprawdę?

- Musisz przyjechać, to ci go przeczytam - powiedziałam. - Och, Luke, nie o tym marzyłam.

- Nie interesuje mnie, co ci napisał Drake albo jakie naprawdę jest Farthy - odpowiedział wyzywającym tonem. - Najważniejsze są nasze marzenia i fantazje, bo one napędzają nasze życie nadzieją i światłem.

- Och, Luke. - Uśmiechnęłam się, doceniając pasję, z jaką bronił naszych bezcennych sekretnych fantazji.

- Mam nadzieję, że zawsze będziesz w pobliżu, kiedy trzeba będzie mi przywrócić nadzieję.

- Będę, Annie - zapewnił.

A jednak zastanawiałam się, czy to nie jest nasza kolejna dziecięca fantazja.

Rozdział trzeci

NIEPOKOJĄCE ROZDROŻA

Drake przyjechał dopiero w końcu czerwca, po egzaminach, ale dzwonił do mnie parę dni po wysłaniu listu, aby się upewnić, że go dostałam. Przy okazji opowiedział mi coś więcej o Farthy.

- Tony Tatterton pokazał mi dawny pokój Heaven z czasów, kiedy po raz pierwszy przybyła do Farthinggale Manor - oznajmił konfidencjonalnym tonem.

- Naprawdę?! - wykrzyknęłam z mocno bijącym sercem, podekscytowana myślą, że nagle otworzyły się szanse odkrycia rodzinnych tajemnic. Niespodziewanie Drake zbliżył się do ukrytych odpowiedzi. Czy udało mu się wyśledzić coś jeszcze?

- I pokój twojej babci Leigh. To było dziwne, gdyż w jednym momencie mówił o Heaven, a potem gładko przeszedł do opowieści o Leigh.

- Może coś mu się miesza, jak to zwykle z wiekiem - zasugerowałam.

- Nie sądzę. Nadal kieruje niektórymi interesami Wytwórni Zabawek Tattertonów, a kiedy zaczęliśmy rozmawiać o mojej karierze i o ekonomii, okazał się bardzo bystry i doskonale zorientowany.

- Jak wygląda? Tak jak na zdjęciach?

- Już nie. Jest zupełnie siwy, a kiedy go zobaczyłem, ewidentnie się od paru dni nie golił. Jego ubranie wyglądało na drogie, ale marynarka i spodnie były wygniecione, a krawat poplamiony. Lokaj Curtis jest już zbyt wiekowy, żeby dobrze wypełniać swoje obowiązki. Pewnie słabo widzi, a przemieszczanie się z pokoju do pokoju zajmuje mu wieki.

- Nie ma tam pokojówek? - zapytałam ze zdziwieniem. Kogoś tak mającego jak Tony Tatterton z pewnością stać na służbę.

- Nie widziałem żadnej, ale musi być choć jedna do sprzątania tych ogromnych przestrzeni. Poznałem jeszcze kucharza, bo serwował nam posiłek. Nazywa się... tak śmiesznie... Rye Whiskey.

- Och, mama wspominała o nim - powiedziałam podekscytowana. Znajome imię sprawiło, że opowieści z zakazanej przeszłości nabrały życia. - On też musi być bardzo stary.

- Możliwe, ale w przeciwieństwie do lokaja świetnie się trzyma. Był zachwycony, że pojawił się ktoś jeszcze do nakarmienia, i nałożył mi na talerz całą górę wybornego jadła. Od razu go polubiłem. Ma wielkie poczucie humoru i bardzo troszczy się o Tony'ego.

- Jak żałuję, że nie mogłam tam być z tobą! - wykrzyknęłam. Ileż tajemnic by się

wyjaśniło! Mogłabym wejść na górę schodami, po których chodziły moja mama i babcia, wejść do ich pokojów. Może znalazłabym coś, co ostatecznie wyjaśniłoby zagadkę niechęci mamy do Tony'ego Tattertona.

Świat Farthy istniał głównie w wyobraźni mojej i Luke'a. Czy prawdziwy świat domu Tattertonów choć trochę go przypominał? Czy jest to miejsce, w którym moglibyśmy się schronić przed wszystkim, co brudne, podłe, nieuczciwe i brutalne? Przed wszystkim, co potrafi uczynić z życia nieznośny ciężar?

Ach, gdybym mogła namalować ten dom z natury! Jakież to byłoby ekscytujące! Wyobraziłam sobie siebie ze sztalugą na wielkim trawniku przed ogromnym budynkiem.

- Nie chciałybyś tam być - powiedział Drake tonem, który miał mnie zniechęcić. - Wierz mi, Annie. Tam jest zbyt smutno. Obiecałem Tony'emu, że będę z nim w kontakcie, i pewnie zadzwonię do niego za parę dni. Podoba mi się perspektywa pracy w jego fabryce, oczywiście na stanowisku kierowniczym. Ale nie mów o tym Heaven, dobrze?

- Oczywiście, nie powiem. - Drake naprawdę mnie zaskoczył. Raz, że pragnął to ukryć przed moją mamą, a dwa, że tak bardzo zaczęło mu zależeć na dalszym kontakcie z Tonym Tattertonem.

- Przyjadę znów za parę tygodni, Annie. Niestety, obawiam się, że ominie mnie wielkie urodzinowe przyjęcie panny Fanny, czego bardzo żałuję. Napisała do mnie, że wynajmie kapelę. Zaprosiła mnóstwo ludzi, w tym wielu przyjaciół twoich rodziców. Wynajęła nawet ludzi, którzy udekorują jej dom i ogród. Wyobrażasz sobie, jaka to będzie impreza? Jak znam Fanny, zrobi z tego cały show z sobą w roli głównej. Obserwuj wszystko bacznie, żebyś mogła mi opisać wszystkie skandale, z których słynie. Pewnie zaprosi swoich młodych fagasów i będą asystowali jej jak świta królowej. Śmiać mi się chce na samą myśl.

- Luke'owi nie będzie do śmiechu - zauważyłam. Przykro mi było, że nawet Drake wyśmiewa się z Fanny - On tego nienawidzi!

- No i co z tego? - Drake zareagował z irytującą obojętnością. - Powiedz mu, żeby się schował w swoim pokoju. No, muszę lecieć. Zadzwonię do ciebie po rozmowie z Tonym.

Ciągle myślałam o tym, co widział.

- Och, Drake, z nas tylko ty tam byłeś i niedługo znowu tam wrócisz - powiedziałam z pretensją jak mała dziewczynka. Irytowało mnie to, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Byłaś tam za moim pośrednictwem - pocieszył mnie Drake. - I jeszcze będziesz - dodał łagodnym tonem.

- W prawdziwym Farthy, a nie tym z wyobraźni. Wkrótce się odezwę. Pa.

Nazajutrz w szkole nie mogłam się doczekać na przerwę śniadaniową. Chciałam jak

najszybciej podzielić się z Lukiem wiadomością o telefonie Drake'a. Nie liczyłam, że będzie nim aż tak przejęty jak ja, gdyż jego rodzinne korzenie nie sięgały Farthy i tajemnice przeszłości mojej mamy i przodków nie były dla niego aż tak interesujące. Angażował się w te historie głównie ze względu na mnie i nasze fantazje. Opowiadałam mu, a on powoli jadł kanapkę i słuchał, lecz było widać, że jest zdenerwowany i rozkojarzony. Tak zwykle chętny do rozmowy, teraz nie chciał odpowiadać na moje pytania. Myślałam o nim przez resztę szkolnego dnia, a kiedy skończyły się lekcje, poprosiłam, żeby odprowadził mnie do domu. Miałam nadzieję, że wreszcie wyciągnę od niego, o co chodzi.

Był piękny późnowiosenny dzień, prawie tak ciepły jak letni, z pierzastymi obłokami przesuwającymi się leniwie po turkusowym niebie. Siedzący w słońcu na ławkach starsi ludzie z zainteresowaniem odprowadzali nas wzrokiem. Co chwila słyszeliśmy, jak ktoś mówi: „Patrz, to córka Stonewallów” albo: „Czy to nie ta młoda Casteel?”.

Nienawidziłam sposobu, w jaki wymawiali nazwisko Casteel. W ich ustach brzmiało niczym przekleństwo, jak coś plugawego. Wiedziałam aż za dobrze, czemu ludzie z Winnerrow tak postrzegali moją rodzinę. Przyczyniło się do tego zachowanie mojej ciotki Fanny i fakt, że Casteelowie byli hołotą z gór, wszyscy nimi pogardzali. Ludzie z miasta kpili ze stylu życia i ubierania się górskich prostaków, i to było nawet zrozumiałe - ale czy nie widzieli, jak wyróżnia się spośród nich Luke i jaki jest wspaniały? Miał rację, kiedy mówił, że trzeba mierzyć wysoko!

Bardzo lubiłam te wiosenne powroty ze szkoły, bo drzewa na ulicach były osypane kwieciami, trawniki i krzewy były soczyście zielone, kwitły tulipany, irysy i azalie, a chodniki i jezdnie były czyste i lśniące. Szpaki siedziały jak czarni strażnicy na drutach telefonicznych, obserwując ruch ludzi i samochodów. Rudziki kołysały się na gałązkach i patrzyły ciekawskimi okrągłymi oczkami spod zielonych liści. Od czasu do czasu przeleciał koliber. Te ptaki miały niespożytą energię bez względu na upał. Cały świat wyglądał świeżo i wesoło.

Przez całą drogę Luke milczał, idąc ze zwieszoną głową. Kiedy zatrzymałam się przed bramą Hasbrouck House, rozejrzał się nieprzytomnie, jakby nie wiedział, gdzie jest.

- Może posiedzimy chwilę w altanie? - zaproponowałam z nadzieją, licząc, że wreszcie powie mi, co się stało.

- Nie, lepiej już pójdę - powiedział smutnym, zrezygnowanym głosem.

- Luke'u Toby Casteel! - zawołałam, opierając ręce na biodrach. - Od kiedy to mamy przed sobą tajemnice, nawet jeśli są bolesne?

Patrzył na mnie przez moment, mrugając oczami, jakby obudził się nagle z głębokiego snu, a potem uciekł spojrzeniem w bok.

- Wczoraj przyjęto mnie na Harvard ze stypendium pokrywającym całe czesne - poinformował z zadziwiającą obojętnością.

- Och, Luke, jak cudownie!

Powstrzymał mnie gestem i znów wbił wzrok w ziemię, zbierając siły, aby wyrzucić to z siebie - a ja czekałam ze ściśniętym gardłem.

- Nie mówiłem matce, że staram się dostać na Harvard. Na każdą wzmiankę o uczelni reagowała tyradą o błękitnej krwi i niewdzięcznej rodzinie, która uważa się za lepszą od niej. Perorowała na temat wuja Keitha i cioci Jane, że nie raczą do niej zadzwonić ani napisać i w ogóle ich nie obchodzi, czy ona żyje. Ma także żal, że nigdy nie zaproszono jej do Farthinggale Manor, nawet na przyjęcie weselne twoich rodziców. W jej umyśle Harvard, Tattertonowie, bogactwo oznacza jedno - bostońskich snobów.

- Jakie to niesprawiedliwe!

- Nie powiedziałem jej, że złożyłem papiery. Wczoraj przyszło pocztą zawiadomienie o przyjęciu. Otworzyła kopertę, a potem upiła się i porwała pismo. Znalazłem strzępki na podłodze w moim pokoju.

- Luke, jak mi przykro. - Wzdrygnęłam się na myśl, co musiał poczuć, kiedy wszedł do pokoju i zobaczył tak ważny dokument w strzępkach na podłodze.

- Nic się nie stało. To, że podarła zawiadomienie, nie powstrzyma mnie przed studiami. Ale co wygadywała po pijaku!

Domyślałam się, co to mogło być.

- O moim ojcu? - Wzięłam głęboki oddech, żeby przygotować się na to, co za chwilę usłyszę. - Powiedz mi.

- Zamknęłam oczy, czekając na podłe słowa.

- Nie powtórzę ci wszystkiego, bo chwilami pluła takim jadem i nienawiścią, że sam niewiele pamiętam. Najgorzej, kiedy miała pretensje, że więcej jest we mnie z Logana niż z niej i że wolę jej świętoszkowatą siostrę niż własną matkę. Ale prawda jest taka, Annie, że twoi rodzice traktują mnie lepiej niż Fanny. Przeważnie nie ma jej w domu i nie ma czasu robić obiadów, ale nienawidzi mnie za to, że ciągle chodzę do was!

- Nieprawda, że cię nienawidzi, Luke.

- Nienawidzi tę połowę mnie, która należy do Stonewallów, więc upija się, wychodzi z tymi swoimi młodymi fagasami, a potem napada na mnie, bo nie znoszę, kiedy jest pijana i się z nimi zadaje!

- Współczuję ci, Luke, ale na szczęście niedługo wyjedziesz na studia - pocieszałam go, choć straszna była dla mnie myśl, że będziemy musieli się rozstać.

- Łatwiej by mi było, Annie, gdybym jej nienawidził, ale tak nie jest. Nienawidzę tego, co ona sama sobie robi, a jednocześnie jej współczuję, bo miała ciężkie życie. Uczyłem się pilnie i pracowałem na swój sukces, żeby mogła być ze mnie dumna i paradować z podniesioną głową, co zresztą i tak robi - dodał. Uśmiechnęłam się. Ciocia Fanny potrafiła roztrąbić nawet najmniejsze swoje osiągnięcie po całym Winnerrow. - Tymczasem - ciągnął Luke gorzko - zamiast cieszyć się, że przyjęto mnie na Harvard i dostałem stypendium, oskarża mnie, że ją porzucam.

- Zmieni zdanie - zapewniłam go. Biedny Luke, myślałam. Tak się starał, żebyśmy wszyscy mogli być z niego dumni, a jego matka podarła tę dumę na strzępki i rozrzuciła po podłodze. Jak musiało go boleć serce! Chciałam go pocieszyć, uspokoić gorzkie myśli, wziąć go w ramiona, utulić, aby znów mógł się poczuć zadowolony i szczęśliwy. Mogłabym to zrobić, gdyby... gdyby nie wszystko to, co trzymało mnie na dystans.

- Nie wiem. Z przerażeniem myślę o jej urodzinowym przyjęciu. Zaprosiła każdego mężczyznę, który się koło niej kręcił, i paru swoich plebejskich przyjaciół, jak zwykle na złość rodzinie. To nie będzie dla nas ani miłe, ani zabawne.

- Mama jakoś wytrzyma; zawsze tak jest. - Myśl o mamie podniosła mnie na duchu. - Jest prawdziwą damą i potrafi się znaleźć w każdej sytuacji. Chciałabym mieć chociaż połowę tej siły, jaką miała w moim wieku.

Luke ze zrozumieniem kiwnął głową. Miał to swoje wnikliwe, analityczne spojrzenie - jak zwykle, kiedy zastanawiał się nad czymś głęboko i dochodził do konkretnych wniosków.

- Masz siłę. Jesteś bardzo do niej podobna.

- Dzięki. Zawsze chciałam być taka jak ona. I nie martw się o przyjęcie. Będę przy tobie i pomogę ci okiełznać Fanny, kiedy za bardzo się rozbryka - obiecałam i popatrzyłam mu intensywnie w oczy, zdeterminowana jak mama, kiedy już sobie coś postanowiła.

- Nie wiesz, do czego ona jest zdolna - ostrzegł Luke, lecz rozjaśnił się uśmiechem. - Dziękuję, że chciałaś mnie wysłuchać. Zawsze jesteś przy mnie, kiedy cię potrzebuję. To dla mnie bardzo ważne. Świadomość, że mogę w każdej sytuacji liczyć na twoją pomoc, kiedy będę się wspinał na coraz wyższe góry, żeby stamtąd widzieć jeszcze więcej. Gdy przyjęto mnie na Harvard, pomyślałem sobie: Annie będzie ze mnie dumna, dzięki niej do tego dążyłem; dzięki niej pragnę się doskonalić. Czasami mam wrażenie, że ty jesteś moją jedyną, prawdziwą rodziną. Dziękuję ci.

- Nie musisz mi za to dziękować, Luke'u Toby juniorze. - Nie spodobały mi się te słowa. Zabrzmiały tak, jakby chodziło o zwykłą przyjaźń, a ja przecież byłam dla niego kimś więcej. - Ty też często wysłuchujesz moich żalów.

Jego niebieskie oczy rozpromieniły się jak słońce nad nami.

- Będę za tobą tęsknił, kiedy wyjedziesz do Europy, żeby studiować malarstwo. Ale wiem, jak ważna jest dla ciebie sztuka - dodał miękko. - Te studia pomogą ci wyrosnąć na wielką artystkę.

- Będę do ciebie pisała, ale jestem pewna, że nie minie parę tygodni, a przygadasz sobie jakąś bostonkę. - Och, jak bardzo chciałam mu powiedzieć, że zawsze marzyłam, aby zostać jego dziewczyną, ale jak bym mogła? Byliśmy bratem i siostrą i wydawało się, że rozdziela nas cały świat, nie pozwalając nam spełnić naszych ukrytych pragnień. W głębi serca wiedziałam bowiem, że Luke czuje to samo co ja i oboje nie możemy się pogodzić z myślą, że nie wolno nam zostać z sobą na zawsze.

Dlatego musieliśmy udawać i mówić, że kiedyś każde z nas znajdzie sobie kogoś, choć w duchu modliliśmy się, aby nigdy tak się nie stało.

Luke był teraz poważny jak pastor na niedzielnych nabożeństwach.

- Nie wyobrażam sobie tego, Annie. Przez całe życie przyjaźniłem się tylko z tobą i wątpię, żebym znalazł dziewczynę, która choć trochę zbliżyłaby się do tego ideału. - Błyszczące niebieskie oczy znów wpatrzyły się we mnie, promieniając ciepłem i uczuciem. Nie było to uczucie wyłącznie braterskie. Luke patrzył na mnie z taką tęsknotą, że piekący rumieniec zalał mi szyję i policzki. Oboje patrzyliśmy na siebie nie jak rodzeństwo, nie jak przyjaciele, tylko jak para młodych kochanków.

Nie było sensu zaprzeczać uczuciu. Każda cząstka mnie pragnęła jego dotyku; niemal czułam jego wargi na moich. Luke zdawał się tylko czekać na moją zachętę. Musiałam to przerwać, zanim będzie za późno.

- Zadzwoń do ciebie później - szepnęłam niskim, drżącym głosem i pobiegłam do bramy Hasbrouck House. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, że ciągle tam stoi. Pomachałam mu, a on odpowiedział mi tym samym gestem. Weszłam do domu i szybko przeszłam do swojego pokoju. Serce mi biło gwałtownie. Dlaczego Luke musiał się urodzić jako mój brat przyrodni, bliższy mi niż wszyscy rówieśnicy? Tyle dzieliliśmy uczuć, i szczęścia, i smutku!

Marzył mi się scenariusz, że Luke jest nieznanym mi chłopakiem studiującym na Harvardzie, a ja przyjechałam w odwiedziny do Farthinggale Manor i przypadkiem poznaliśmy się w Bostonie. Na przykład w domu towarowym. Przechodząc obok mnie, rzuciłby coś w stylu: „To nie jest twój kolor. Weź to”. I wskazałby błękitny szal. „Podkreśli kolor twoich oczu”.

Odwróciłabym się i zobaczyłabym najprzystojniejszą twarz, jaką widziałam. I

natychmiast bym się zakochała.

„Przepraszam, że się wtrącam, ale po prostu nie mogłem patrzeć na ten błędny dobór”. Powiedziałaby to ze swoją charakterystyczną pewnością siebie, którą zawojowałaby mnie do reszty

„Cóż, muszę ci podziękować, że uchroniłeś mnie od błędu - odpowiedziałabym, kokieteryjnie trzepocząc rzęsami. - Ale najpierw zdradź mi swoje imię”.

„Luke. A ty jesteś Annie. Zadałem już sobie trud sprawdzenia tego”.

Pochlebiłby mi takim zainteresowaniem moją osobą. Potem poszlibyśmy na kawę i gadalibyśmy, gadali, gadali. Moglibyśmy chodzić na kawę, a potem do kina przy każdej mojej wizycie w Bostonie. Po pewnym czasie Luke odwiedziłby mnie w Farthy i nasza znajomość rozkwitałaby w tym imponującym otoczeniu, zupełnie innym, niż opisał mi Drake. Byłoby takie, jak wymarzyliśmy sobie z Lukiem - zamek pełen tęczy pokoi. Tylko tym razem po obudzeniu marzenie by nie zniknęło, gdyż byłoby rzeczywistością.

Takie snułam marzenia. Czas pędził niczym kolejka górską i zbliżaliśmy się do najwyższego punktu. Oboje mieliśmy za moment ukończyć liceum i zacząć realizować swoje życiowe plany, które zapewne poprowadzą nas w innych kierunkach. Rozstaniemy się i nie zdążymy nawet się pożegnać.

Stałam w oknie sypialni i patrzyłam, jak odchodzi, a potem padłam na łóżko, słuchałam ptasich treli i głuchych uderzeń własnego serca. Ogarnął mnie straszliwy smutek. Płakałam bez końca. Dopiero łagodny, zatroskany głos mamy wyrwał mnie z tego morza łez.

- Kochanie, co się stało? - Szybko weszła do pokoju i usiadła obok mnie na łóżku.

Czułam miękkie, pocieszające dotknięcie ręki, gładzącej moje długie ciemnobrązowe włosy. Popatrzyłam na nią załzawionymi, opuchniętymi oczami.

- Sama nie wiem - jęknęłam. - Czasami nie mogę powstrzymać się od płaczu i czuję się okropnie, choć powinnam być szczęśliwa. Wkrótce skończę szkołę, wyjadę na studia do Europy i zobaczę te wszystkie cudowne miejsca, które znam tylko ze zdjęć i opisów. Poza tym mam wszystko, o czym zwykle marzy dziewczyna w moim wieku, ale...

- Ale co, Annie?

- Po prostu nagle zaczyna mi się wydawać, że wszystko dzieje się zbyt szybko. Luke pójdzie na studia i na pewno się zmieni. Już nie będziemy mogli się często widywać - załkałam.

- Kochanie, to właśnie oznacza dorosłość. - Mama uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek.

- Wszystko, co dawniej wydawało mi się takie duże i ważne, teraz wygląda na małe i...

zwyczajne. Altana...

- Co z altaną?

Czekała z uśmiechem na ustach, a ja starałam się dobrać słowa tak, żeby miały sens i dla niej, i dla mnie.

- No... po prostu teraz to jest tylko... altana.

- Zawsze taka była, Annie.

- Nie, była czymś więcej - zaprzeczyłam żywo. Czymś znacznie ważniejszym, pomyślałam. Naszym domem marzeń. Tylko te marzenia rozwiały się zbyt szybko.

Mama pokręciła głową.

- Przechodzisz okres, który musi przejść każdy w twoim wieku, Annie. Kiedy wchodzi się na nową drogę, życie może przerażać. Dotąd byłaś małą dziewczynką, chronioną i kochaną przez rodziców, a teraz każą ci dorosnąć i przyjąć odpowiedzialność.

- Ty też tak czułaś?

- Tak, lecz o wiele wcześniej.

- Bo twój ojciec sprzedał cię i twoje rodzeństwo?

- Nawet jeszcze wcześniej. Bardzo krótko byłam małą dziewczynką. Zanim się zorientowałam, musiałam stać się matką dla Keitha i Jane.

- Wiem. A z Fanny nie miałaś żadnego pożytku - dokończyłam, bo słyszałam już wiele razy tę opowieść i bałam się, że znów nie usłyszę więcej.

- Żadnego... albo bardzo niewielki. Fanny zawsze starała się ułatwić sobie życie, a zmartwienia zrzucała z siebie jak ubranie, którego nie ma się ochoty nosić. Za to twój wujek Tom był dla mnie wielką pomocą. Tom był cudowny, silny i bardzo dojrzały jak na swój wiek. Wielka szkoda, że nie zdążyłaś go poznać - dodała smutno.

- Jednak twoje życie poprawiło się, kiedy zamieszkałaś w Farthy, prawda? - zapytałam, licząc, że powie mi więcej.

Mama drgnęła, jakby była w innym świecie.

- Nie od razu - odparła. - Nie zapominaj, że byłam dziewczyną ze Wzgórz Strachu, która nagle wkroczyła w świat luksusów, wyrafinowania i zbytku; która została posłana do snobistycznej żeńskiej szkoły, gdzie dziewczyny lekcewały ją i odrzucały. - Rysy jej stwardniały, gdy przypomniawszy sobie tamte czasy. - Bogate dziewczyny potrafią być okrutne, gdyż majątek i pozycja chronią jak kokon. Pamiętaj, żebyś nigdy nie lekcewała tych, którzy mają mniej od ciebie.

- Oczywiście, że nie będę ich lekcewała - powiedziałam z przekonaniem. Mama wpajała mi tę zasadę od dawna, odkąd zaczęłam rozumieć różne sprawy.

- Też tak myślę. - Uśmiechnęła się. - Co prawda tata rozpieszczał cię ponad miarę, ale na szczęście nie zdołał cię zepsuć - dodała, patrząc na mnie z miłością.

- Mamo, czy kiedykolwiek wyjaśnisz mi, dlaczego tak bardzo nienawidzisz Tony'ego Tattertona? - zapytałam i w ostatniej chwili ugryzłam się w język, żeby nie palnąć czegoś o wizycie Drake'a w Farthy.

- On nie jest wart mojej nienawiści - odparła mama mocnym głosem. - Jest jednym z najbogatszych ludzi na Wschodnim Wybrzeżu, ale dla mnie jest najbardziej żalosalną postacią, jaką spotkałam w życiu.

- Dlaczego?

Zastanowił mnie wyraz jej oczu. Czyżby domyślała się, że wiem więcej dzięki Drake'owi? Umknęłam spojrzeniem w bok, ale mama nie patrzyła na mnie - patrzyła przeze mnie, w perspektywę własnych wspomnień. Obserwowałam, jak niewypowiedziane słowa formują się na jej wargach, jak mruży powieki pod natłokiem wizji, które najpierw przywołały na jej twarz uśmiech, a potem bolesny grymas.

- Mamo?

- Annie... dawno temu ktoś mnie ostrzegął, że łatwo wpaść w pułapkę, myląc pożądanie z miłością. Miał rację. Miłość jest czymś o wiele cenniejszym, ale też o wiele bardziej kruchym. Tak kruchym, jak... jak jedna z naszych najbardziej miniaturowych, delikatnych, wyrafinowanych zabawek. Jeśli ściśniesz ją za mocno, rozpadnie ci się w palcach; jeśli nie będziesz jej trzymać dość mocno, wiatr może wywiać ci ją z ręki i rzucić o ziemię. Słuchaj głosu serca, Annie, lecz musisz być absolutnie pewna, że ten głos wychodzi z serca. Będziesz o tym pamiętać?

- Tak, mamo. Tylko dlaczego mi to mówisz? Czy ma to coś wspólnego z twoim życiem w Farthy? - Wstrzymując oddech, czekałam na odpowiedź.

- Któregoś dnia powiem ci wszystko, obiecuję. Ale jeszcze nie czas. Zaufaj mi, proszę.

- Ufam ci, mamo. Bardziej niż komukolwiek w świecie. - Nie potrafiłam ukryć rozczarowania. Od tylu lat słyszałam tę obietnicę. Kiedy nadejdzie pora? Miałam już osiemnaście lat i czułam się dorosłą kobietą. Podarowała mi cenne diamenty i jeszcze cenniejszą dla niej miniaturę domku. Kiedy podaruje mi historię swojego życia?

- Moja Annie, moja najdroższa Annie. - Mama przytuliła mnie i przycisnęła policzek do mojej twarzy, a potem westchnęła i wstała. - Jeszcze nie kupiłam urodzinowego prezentu dla cioci Fanny - powiedziała. - Pomożesz mi coś wybrać?

- Dobrze. Luke bardzo się denerwuje przed tym przyjęciem.

- Wiem. Pozostaje dla mnie tajemnicą, dlaczego tak się nią przejmujemy. Ale nie

lekceważ ciotki Fanny. Ma prostą wymowę i bywa wulgarna, lecz nie jest głupia. Wywołuje w nas poczucie winy, zanim zdążymy zareagować. Ona jest niepowtarzalna - dodała mama, uśmiechając się z rozbawieniem i kręcąc głową.

- Porozmawiaj z nią o Luke'u, mamó. Niech przestanie wzbudzać w nim poczucie winy z powodu dostania się na Harvard.

- Przyjęli go? - Radość zabrzmiała w jej głosie.

- Tak. I z pełnym stypendium!

- Cudownie! - Mama wciągnęła na maszt flagę rodowej dumy. - Kolejny potomek dziadka Toby'ego Casteela idzie na Harvard! - oznajmiła, jakby ogłaszała to całemu miastu. Jej spojrzenie złagodniało. - Nie przejmuj się tak. Fanny potrafi zrobić albo powiedzieć coś niemiłego, ale w głębi serca jest dumna z Luke'a. Szybko wymyśli jakiś pretekst, żeby złożyć mu wizytę i paradować po kampusie jak królowa.

W stylu Fanny wyzywająco założyła ramiona na piersi i odrzuciła głowę do tyłu.

- A co se mam żałować? Niech widzą, jakiego mam syna i że jego matka to nie żadna wywłoka!

Roześmiałyśmy się i mama znów mnie uściskała.

- No, widzę, że już lepiej. Taka powinnaś być - szczęśliwa, pogodna. Masz wszystko, o czym ja mogłam tylko pomarzyć, kochanie.

Moje łzy smutku zamieniły się we łzy szczęścia. Jak szybko mojej mamie udało się odgonić ode mnie ciemne chmury! Nagle mój świat znów stał się jasny i słoneczny, a ptaki nie śpiewały już smutnych pieśni. Uścisnęłam mamę, ucałowałam, a potem poszłam do łazienki, żeby zmyć łzy i przebrać się przed wyjściem po urodzinowy prezent dla ciotki Fanny.

Rozdział czwarty

URODZINY CIOTKI FANNY

To był wspaniały dzień na przyjęcie. Niebo wyglądało jak czarny aksamit usiany diamencikami. Ja i rodzice byliśmy już ubrani i gotowi do wyjścia. Kiedy wychodziliśmy z domu, Roland Star siedzący na ławce na tarasie nas ostrzegł:

- Jest ładnie, ale to cisza przed wielką burzą!

- Przecież na niebie nie ma ani jednej chmurki! - zaprotestowałam. Roland często się mylił w swoich domorosłych prognozach.

- Chmury przyciały się za horyzontem i tylko czekają, coby wypełznąć. Pomnij moje słowa i za niedługo wypatruj pierwszych błysków. A jak je zobaczysz, zmykaj pod dach.

- Myślisz, że naprawdę będzie padać? - spytałam mamę. Gwałtowna wiosenna burza z wichrem i ulewą mogłaby zrujnować przyjęcie.

- Nie martw się, nie będziemy się bawić aż tak długo.- Zerknęła na ojca, licząc, że potwierdzi jej przewidywania, ale wrzucił tylko ramionami. Wsiadliśmy do rolls-royce'a i pojechaliśmy do domu Fanny i Luke'a.

Dom był ładny, choć wyglądał skromnie w porównaniu z Hasbrouck House - jak zresztą większość domów w Winnerrow. Kiedy ciotka Fanny „tajemniczo” odziedziczyła wielką sumę pieniędzy - dziwny spadek, który zdaniem moim, Luke'a i Drake'a musiał mieć coś wspólnego z przejściem przez moich rodziców opieki nad Drakiem - rozbudowała swój dom i urządziła go na nowo. Ten dom kupiła kiedyś za pieniądze, jakie zostawił jej zmarły pierwszy mąż, Mallory. Nie znaleźmy jego imienia, bo zawsze mówiła o nim „Stary Mallory”. Potem była krótko zamężna z Randallem Wilcoxem, który wyprowadził się już dawno temu. Po rozwodzie wróciła do nazwiska Casteel - żeby kłuć nim w oczy mieszkańców miasta, tak przypuszczałam.

Ciągle się odgrażała, że po raz trzeci wyjdzie za mąż. Mało kto w to wierzył, gdyż odkąd pamiętam, nie poznała bliżej nikogo, kto choć w przybliżeniu byłby w jej wieku. Prowadzała się wyłącznie z młodziekami ledwo powyżej dwudziestki. Jedną z jej najnowszych zdobyczy, Brian Morris, był tylko o cztery lata starszy od Luke'a.

Dom Fanny leżał na zboczu góry nad Winnerrow. Zaproszona rockowa kapela zamontowała tak potężne nagłośnienie, że muzyka niesła się po ulicy Głównej. Słyszeliśmy ją w drodze. Mama uważała, że to gruba przesada, ale tata tylko się śmiał.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, przyjęcie kręciło się pełną parą. Muzycy zainstalowali

się w garażu, poszerzony podjazd służył za parkiet do tańca. Nad otwartymi drzwiami garażu wisiał transparent z czerwonym napisem: STO LAT, FANNY! Na drzewach powieszono papierowe lampiony i zewsząd zwisały kolorowe serpentyny.

Mama poprosiła tatę, aby zaparkował samochód tak, żeby nikt nas nie zastawił i żeby można było wcześniej wyjechać, lecz tata zlekceważył jej prośbę. Najwyraźniej nie przewidywał, że zechcemy wcześniej opuścić przyjęcie. W ogóle był w wyjątkowo dobrym humorze. Podejrzewam, że przed wyjazdem strzelił sobie parę drinków, aby wprowadzić się w imprezowy nastrój. Zawsze ożywiał się w obecności Fanny. A ona w czasie rozmowy rzucała aluzje, które wprawiały pozostałych w zakłopotanie. Podziwiałam mamę za opanowanie godne damy i spokój, z jakim znosiła arogancję siostry. Mogłam tylko żywić nadzieję, że Luke się nie mylił i że ja też znajdę w sobie siłę i spokój, kiedy przyjdzie mi zmierzyć się z życiem.

Ciotka Fanny podbiegła do nas, zanim zdążyliśmy wysiąść z samochodu. Włosy miała natapirowane i roztrzepane, była ubrana w czarną, obcisłą skórzaną sukienkę z bardzo głębokim dekoltem - jego szpic sięgał nisko do rowka pomiędzy piersiami. Nie założyła żadnej biżuterii, jak gdyby nie chciała odwracać uwagi od gładkiej skóry. Mama nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, w oczach taty na widok Fanny pojawił się błysk męskiej aprobaty. Poszukałam wzrokiem Luke'a, zdając sobie sprawę, jakie zażenowanie musi odczuwać.

Fanny wcisnęła się pomiędzy mamę i tatę, ujęła jedno i drugie pod ramię i poprowadziła ich w stronę gości, głośno anonsując przybycie rodziny. Szłam tuż za nimi.

Przed domem stał długi bar, za którym uwijało się dwóch barmanów, mieszając drinki. Nie odmierzali zbyt dokładnie, ile alkoholu leją. Obok baru zamontowano beczkę z piwem obłożoną lodem. Kolejka mężczyzn, w tym wielu mieszkańców Wzgórz Strachu, przesuwiała się, podstawiając kufle pod kran.

Fanny kazała zawiesić kolorowe lampki pomiędzy drzewami rosnącymi wokół trawnika przed domem. Wynajęła sześć kobiet do przygotowania i serwowania potraw. Były ubrane w jednakowe białe bawełniane sukienki zapinane na guziki. Obsługiwały gości siedzących przy długich stołach, na których stały półmiski z pieczonymi kurczakami i rybami, miski z różnymi rodzajami sałatek, ziemniaczanym purée i parującymi warzywami.

- Moja bogata siostra i szwagier, król i królowa Winnerrow, jaśnie państwo Stonewallowie! - zaanonsowała Fanny.

- Fanny, błagam, przestań! - syknęła mama.

- Och, niech się cieszy - powiedział tata. Zapewne spodobał mu się tytuł króla Winnerrow. - To jej wieczór. Sto lat, Fanny!

- Dzięki, Logan, a gdzie urodzinowy całus? Nie masz nic przeciwko, Heavenly?

- To już decyzja Logana. Nie mówię mu, kogo ma całować, a kogo nie.

Odpowiedź mamy niezwykle rozbawiła Fanny. Zanosła się śmiechem i śmiała się długo, aż nagle przestała i tak namiętnie przyłgnęła do mojego ojca, że wszyscy na nich spojrzeli i rozmowy przy stołach na moment ucichły. Mama odwróciła głowę, ale ja nie byłam w stanie oderwać wzroku od tych dwojga. Tata uśmiechnął się nerwowo i pochylił się, żeby cmoknąć Fanny

Gdy dotknął wargami jej warg, Fanny chwyciła go za ramiona, gwałtownie przyciągnęła do siebie i dosłownie wpiła się w jego usta. Widziałam, jak obraca w nich językiem i napiera biustem na jego pierś. Grupa mężczyzn ze Wzgórz Strachu zaczęła gwizdać i pokrzykiwać, sprośnie kibicując Fanny. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, Fanny pociągnęła tatę do tańca. Odchodząc, rzucił mamie i mnie bezsilne spojrzenie. Fanny zaczęła podrygiwać przed nim, zachęcając, żeby jej towarzyszył w tym, jak to nazwała, „nowoczesnym tańcu”.

Tak go wzięła w obroty, że musiał rozpiąć guzik od koszuli i rozluźnić krawat.

- Dawaj, dawaj, przy Fanny wrzuc se luz! - zawołała głośno, żeby słyszeli młodzi mężczyźni, którzy stale krążyli koło niej.

Zarechotali, a kapela zagrała jeszcze głośniej. Znow poszukałam spojrzeniem Luke'a, ale nigdzie go nie dostrzegłam.

- Chodźmy coś zjeść, Annie - powiedziała mama.

- Prezent dla Fanny połóż tutaj, przy innych. Na co masz ochotę?

Zastanawiałam się, co musi czuć, kiedy tata i Fanny znajdują się w centrum uwagi, a ludzie plotkują na temat ich dawnego romansu. Ale nawet w tej sytuacji mama idealnie ukrywała swoje uczucia. Tylko ja widziałam twardy, niebieski błysk w jej oczach. Była nie tylko nieszczęśliwa, ale i wściekła.

Jakim cudem ona potrafi tak panować nad sobą?, myślałam z podziwem. Co by było, gdybym ja znalazła się w podobnej sytuacji i mój mąż byłby uwodzony? Czy potrafiłabym trzymać nerwy na wodzy, czy zrobiłabym awanturę? Gdyby to był Luke i całował inną kobietę...

Tata usiłował kręcić biodrami, dostosowując się do ruchów Fanny. Pomyślałam, że wygląda głupio, podrygując jak niezgrabny nastolatek. Miał zakłopotaną minę. Tata i Fanny zachowali się wobec mamy bardzo nie fair, narażając ją tym przedstawieniem na wstyd wobec tłumu gości. Chciałam krzyknąć do ojca, żeby przestał, i zrugać ciotkę Fanny, że nie szanuje uczuć swojej siostry. Istniały granice egoizmu i nie wszystko dało się usprawiedliwić

urodzinową zabawą. Poczułam, że muszę natychmiast porozmawiać z Lukiem.

- Mamo, pójdę tylko poszukać Luke'a i zaraz do ciebie przyjdziemy.

- Dobrze, kochanie - odparła i zerknęła krótko na ojca i ciotkę. Fanny obejmowała go teraz w pasie, dziko kołysząc biodrami.

Przez moment zastanawiałam się, czy mama jednak nie wkroczy i nie oderwie ojca od ciotki, ale pomyślałam, że wtedy Fanny zrobiłaby jeszcze większą scenę i najedlibyśmy się wstydu.

Długo szukałam Luke'a. W końcu znalazłam go w domu.

- Luke, czemu siedzisz tu samotnie?

Kiedy mnie zobaczył, uśmiech stopił lodowatą skorupę gniewu, która ścięła jego rysy.

- Nie mogłem już tam wytrzymać, Annie. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zaszyję się tutaj i przeczeka. Fanny dosłownie się na nich rzuca, a sposób, w jaki się całują... Co ona chce udowodnić?

- Że zawsze będzie młoda i piękna i młodzi mężczyźni będą jej wiecznie pożądanymi.

- Nie może po prostu się pogodzić ze swoim wiekiem? Czemu nie ma klasy jak Heaven?

- Właśnie odstawia scenę z moim tatą, a mama zaczyna wpadać w furję - powiedziałam, nie kryjąc gniewu.

Luke rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Serio? Tego się bałem. Co robi twój ojciec?

- Myślę, że usiłuje być uprzejmy i nie chce dopuścić do jeszcze gorszych scen, ale nie wiem, ile moja mama jeszcze wytrzyma. Tak jej współczuję, Luke.

- Lepiej tam pójdę. Może coś na to poradzę. Przepraszam, że tak wyszło.

- Nie możesz przez całe życie przeproszać za swoją matkę.

- Zdaje się, że robię to, odkąd pamiętam. - Wstał i wyprostował się. Wyglądał bardzo przystojnie w jasnoniebieskiej klubowej marynarce i w krawacie. Bujne czarne włosy miał miękkie i faliste. Pomyślałam, że teraz wygląda już jak mężczyzna, a nie jak chłopak; mężczyzna, który potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji. Nieco uspokojona ruszyłam za nim.

Zespół niespodziewanie zagrał skoczne rytmy z gór i mężczyźni utworzyli krąg wokół Fanny i taty. Fanny obracała moim ojcem jak szalona, aż jego tak zwykle starannie zaczesane włosy rozwiewały się dziko.

Dostrzegłam mamę stojącą z boku, pod sosną. W ręku miała talerz z jedzeniem, ale nie uszczknęła z niego ani kęsa.

- Twój ojciec robi z siebie pośmiewisko - mruknęła, kiedy podeszliśmy do niej z Lukiem. - Czekam, kiedy się opamięta, ale moim zdaniem wypił już cztery drinki, więc szanse są marne.

- Zaraz zrobię z tym porządek - powiedział Luke.

Ruszył przed siebie, nie czekając, co powie moja mama. Roztrącił krąg mężczyzn, wpadł do środka, chwycił ciotkę Fanny za rękę, którą wymachiwała w tańcu, i przyciągnął ją do siebie. Mój ojciec jeszcze przez moment wirował sam, nie wiedząc, co się dzieje. Wreszcie zatrzymał się, zobaczył, że Fanny tańczy z Lukiem, i wycofał się z kręgu. Mama podeszła do niego.

- Lepiej zjedz coś, Logan, a nie pij na pusty żołądek - powiedziała lodowatym tonem.

Nieprzymtomnie spojrzał na mnie, a potem na krąg kobiet i mężczyzn, którzy klaskali i zaczęli dołączać do tańczącej pary. Wytrzeł twarz chustką i kiwnął głową.

- Twoja siostra jest szalona - powiedział. Mama spiorunowała go spojrzeniem. - Umieram z głodu - dodał szybko i skierował się ku stołom.

Przez chwilę patrzyłam, jak idzie chwiejnie, a potem przeniosłam wzrok na niebo. I zobaczyłam, że spełnia się prognoza Rolanda Stara - ciemne chmury zaczęły wypełzać zza fioletowych gór, sięgając mackami do Winnerrow.

Tata nałożył sobie hojnie na talerz i usiadł przy jednym ze stołów. Dołączyliśmy do niego z mamą i jedząc, obserwowaliśmy szaleństwa tłumu na parkiecie. Pomyślałam, że Fanny pewnie zaprosiła każdego, kogo spotkała po drodze, bo jej przyjęcie musiało przyćmić wszystkie inne w Winnerrow.

Goście w większości byli pracownikami fizycznymi albo służyli w bogatych domach. Nie zjawili się żadni znajomi moich rodziców i nie sądziłam, żeby mama miała do nich o to żal. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zirytowanej i zniesmaczonej. Najwyraźniej marzyła tylko, żeby wyjść z tego przyjęcia.

Nagle ciotka Fanny przerwała taniec i podeszła do lidera zespołu. Kiwnął głową i zagrali krótki wstęp, a potem werbel. Fanny odwróciła kosz na śmieci i dwóch młodzieńców pomogło jej wejść na tę zaimprovizowaną trybunę.

- Tera powiem wam parę słów - oznajmiła.

- Tylko parę?! - zawołał ktoś i rozległy się śmiechy.

- No dobra, z dziesięć albo więcej - przyznała ciotka Fanny, wywołując jeszcze większy śmiech. - Na początek chciałam wam wszystkim podziękować, żeście przybyli na moją czterdziestkę. Dobrze słyszycie, stuknęła mi czterdziestka i jestem z tego cholernie dumna. Mało która kobita, mając czterdzieści, wygląda na dwadzieścia, nie? - Obróciła się na denku

kosza, wypinając biust, żeby można było podziwiać jej figurę. Mężczyźni zaczęli tupać i gwizdać.

Spojrzałam na Luke'a. Wycofał się, stał z pochyloną głową. Okropnie mu współczułam i żalowałam, że nie mogę wziąć go za rękę i wyprowadzić daleko, daleko stąd.

- Inne kobity, jak te bogate wielkie damy z Winnerrow, które nie raczyły się pofatygować na moje nędzne urodziny, ukrywają swój wiek. I nie dziwota. Mając dwadzieścia, wyglądają na czterdzieści.

Znów gruchnął śmiech. Jeden z adoratorów zawołał:

- Ja mam dwadzieścia, Fanny! A czuję się na czterdziestkę!

Rechot się wzmógł. Fanny promieniała. Wyzywająco oparła ręce na biodrach.

- Furda tam wiek! - zawołała i audytorium zawyło z uciechy. - Dzisiaj chcę się bawić i być szczęśliwa. Popatrzcie no na mojego syna, Luke'a, stoi o tam, z tyłu. Chłopak wygląda, jakby chciał zapaść się pod ziemię, a tu jego matka pęka z dumy. Przyjęli go na Harvard i tak go tam chcą, że dadzą mu całe cholerne stypendium i nie będzie musiał płacić ani centa. Zdolniacha z tego Casteela, co nie?

Luke podniósł głowę. Był tak czerwony na twarzy, jakby zaraz miała zapłonąć. Wszyscy odwrócili się, żeby na niego popatrzeć.

- Nie chcesz wygłosić o tym mówki, synku? A może myślisz, że hołota z gór nie zrozumie takiego mądrali?

Nie odpowiedział.

- Dobra, nie truj sobie tym głowy, Luke, będę przemawiać za ciebie. Ja też umiem się mądrować, a jak przyjadę na ten Harvard, pokażę twoim profesorkom to i tamto, niech wiedzą.

- Jeszcze jak pokażesz, Fanny! - zawołał ktoś z tłumu.

Kapela zagrała „Sto lat!” i wszyscy zaczęli śpiewać.

Fanny, upozowana na swoim piedestale, uśmiechnęła się szeroko do mamy i do mnie. Kiedy piosenka się skończyła, rozległy się wiwaty i oklaski, a kilku młodych samców rzuciło się do Fanny, żeby znieść ją na ziemię.

Nagle naszą uwagę przyciągnęło dwóch mężczyzn, którzy zaczęli się kłócić. Jeden drugiego oskarżał, że wepchnął się przed niego do kolejki po piwo. Kumpie rozdzielili ich szybko, zanim doszło do bójki, i zaczęli odciągać na bok. Tata uznał, że to zabawne.

- Chciałabym już wracać, Logan - powiedziała mama stanowczo. - To przyjęcie robi się coraz gorsze.

- Jeszcze momencik - rzekł i zbliżył się do zbiegowiska.

Dwaj pijacy rwali się do bitki i obrzucali się nawzajem wyzwiskami, szarpiąc się w uścisku kolegów. W tle słyszałam śmiech ciotki Fanny. Wiatr przybierał na sile, zarówno zaczęły się bujać na drutach. Baner nad garażem trzepotał głośno i napinał się, aż wreszcie zerwała się część sznurków i powiewał w półmroku jak wojenna bandera.

Ciotka Fanny władczo przepchała się przed tłum i stanęła przed awanturnikami.

- Co to za rozróżba w moje urodziny, co? - zapytała, biorąc się pod boki.

Trzech adoratorów stanęło przy niej jak asysta i jeden z nich wyjaśnił, o co chodzi. Ciotka słuchała, bujając się na piętach. Z mroku wyłonił się Luke i potrząsnął głową. Mama nagle zerwała się od stołu, podbiegła do ojca i chwyciła go za rękę.

- Logan, chcę do domu. Już! - warknęła. Przyprowadziła go do mnie. - Idziemy, Annie. - Miała tak wściekłą minę, jakby zaraz miała eksplodować.

Wstałam i ruszyliśmy do wyjścia. Ojciec podążał za nami, ale zanim doszliśmy do samochodu, Fanny zauważyła nas i krzyknęła:

- Dokąd to, Heavenly? Impreza dopiero się rozkręca!

Obejrzałam się, ale mama kazała mi iść do samochodu. Śmiech Fanny ciągnął się za nami jak ogon za latawcem. Ojciec potykał się parę razy i doszedł do auta, kiedy sadowiłam się już na tylnym siedzeniu.

- Możesz prowadzić? - upewniła się mama.

- Oczywiście. Nie rozumiem, czemu się tak irytujesz. Dwóch gości miało małą sprzeczkę, i to wszystko. Szybko się pogodzili. Pewnie już piją razem piwo.

Usiadł za kierownicą i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków.

- Za dużo wypiełeś, Logan. Wiem, że coś sobie strzelełeś, zanim jeszcze wyjechaliśmy na przyjęcie.

- No i co z tego? Po to w końcu jest przyjęcie, nie? - odpowiedział dziwnie szorstko.

Wreszcie znalazł kluczyk i w skupieniu usiłował trafić nim w stacyjkę. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby był tak rozkojarzony. Nagle kropla deszczu pacnęła o szybę, a potem jeszcze jedna i kolejne.

- Deszcz zleje gości - stwierdził ponuro tata. - Roland miał rację.

- I dobrze - powiedziała mściwie mama. - Ostudzi ich wreszcie, a niektórzy - spojrzała na niego znacząco - bardzo tego potrzebują.

Tata uruchomił samochód i ruszył gwałtownie.

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - Zerknął na nią z irytacją znad kierownicy.

- Nie powinieneś pozwolić, żeby cię tak całowała i uwodziła. Wszyscy na to patrzyli.

- A co według ciebie miałem zrobić? Odepchnąć ją?

- Nie, ale nie musiałeś być taki chętny.

- Chętny? Och, Heaven, jesteś niesprawiedliwa. Nie miałem wyjścia, byłem...

- Zwolnij, bo coraz bardziej pada, a wiesz, jakie są tu drogi - ostrzegła mama.

- Nie chciałem tańczyć z nią w ten sposób, ale pomyślałem, że jeśli ucieknę od niej, nie wiadomo, jak to skomentuje. Jest pijana jak Indianin w sobotę i...

- Zwolnij! - krzyknęła nerwowo.

Fale deszczu zalewały wycieraczki, które nie nadążały ze zbieraniem wody.

Nienawidziłam, kiedy się kłócili. Uświadomiłam sobie, że zwykle chodziło wtedy o ciotkę Fanny. Jakimś cudem zawsze potrafiła doprowadzić do wzrostu napięcia pomiędzy nimi i zaczynali rozdrapywać stare rany albo sypać sól na nowe. Szkoda, że nie uciekła kiedyś z jednym z tych młodych mężczyzn i nie zostawiła Luke'a nam na wychowanie, pomyślałam w pewnym momencie. Wtedy bylibyśmy naprawdę szczęśliwą rodziną.

- Nie widać drogi! - denerwowała się mama, ale tata nie słuchał.

- Wyobrażasz sobie, co tam się dzieje? - Zaczął się śmiać. Zerknął na mamę. - Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość, Heaven. Szczerze, ja tylko próbowałem...

- Logan, patrz przed siebie. Te zakręty...

Szosa do Winnerrow opadała stromo w dół ciasnymi serpentynami. Fale deszczu smagały góry. Ojciec jechał ostro i rzucało mną po siedzeniu. Sięgnęłam w górę, żeby przytrzymać się uchwyty nad oknem.

- Naprawdę, chciałem dobrze i... - zaczął znowu, ale mama mu przerwała.

- Już dobrze, Logan - powiedziała łagodniejszym tonem. - Porozmawiamy o tym w domu. - Nagle, kiedy zbliżaliśmy się do ostrego zakrętu, wychynął zza niego samochód jadący z przeciwka, który zdawał się pędzić prosto na nas.

Usłyszałam, jak mama krzyczy, i poczułam, jak wóz gwałtownie odbija w prawo. Zapiszczały hamulce.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był przeraźliwy krzyk mamy i głos ojca wołającego moje imię.

- Annie... Annie... Annie...

Rozdział piąty

STRASZLIWA TRAGEDIA

Otworzyłam oczy, ale kosztowało mnie to dużo wysiłku. Miałam wrażenie, jakby ktoś zaszył mi powieki. Mrugałam i mrugałam, z każdym mrugnięciem łatwiej było mi unosić powieki.

Gdzie ja jestem? Pokój był biały. Pośrodku sufitu znajdował się brzydki, plastikowy klosz świetlówki. A ta pościel... jakaś sztywna i szorstka. W dodatku coś cicho dzwoniło mi w uszach.

- Annie! Siostró, ona otwiera oczy! Siostró... siostró!

Powoli odwróciłam głowę, choć wydawało mi się, że mam ciało z kamienia, jak popiersie prezydenta Davisa na dziedzińcu szkoły w Winnerrow. Kobieta w bieli - pielęgniarka - ujęła mnie palcami za przegub, żeby zbadać mi puls. Zobaczyłam, że mam podłączoną kroplówkę.

Popatrzyłam w lewo i zobaczyłam siwowłosego pana o najbardziej błękitnych oczach, jakie widziałam w życiu. Przeniosłam wzrok na pielęgniarkę. Wpisywała coś na moją kartę i zerknęła tylko przelotnie na mężczyznę, który przysunął się do łóżka tak blisko, że poczułam łagodny zapach wody po goleniu.

- Kim jesteś? - zapytałam. - Co ja tu robię?

- Annie, tak się niestety złożyło, że to ja będę musiał ci przekazać najgorsze wieści, jakie usłyszałaś w życiu. Mam tylko nadzieję, że nie znienawidzisz posłańca, który ci je przynosi. - Przymknął oczy i wziął głęboki oddech, jak gdyby wypowiedzenie tych dwóch zdań wysssało mu całe powietrze z płuc.

- Jakie wieści? - Usiłowałam usiąść na łóżku, ale nie czułam ciała poniżej pasa. Mogłam się tylko trochę unieść na łokciach.

- Przeżyłaś koszmarny wypadek samochodowy i byłaś w śpiączce.

- Wypadek? - Zamrugałam. Nagle pamięć ożyła i wspomnienie wdarło się falą do mojego mózgu: deszcz, krzyk matki, ojciec wołający „Annie!”. Serce mi zadrzało. - O Boże! Gdzie mama? Mamo! - krzyknęłam w nagłej panice. Popatrzyłam na pielęgniarkę. - Gdzie tata? - Przerazenie zdławiło mi gardło lodowatym uściskiem.

Nieznajomy znów przymknął oczy. Kiedy otworzył je powoli, zobaczyłam, że ból miesza się w nich z łzami. Opuścił głowę, a potem uniósł ją powoli i spojrzał na mnie.

- Tak mi przykro, Annie.

Miałam wrażenie, że wpadłam w jakiś koszmar rozgrywający się w zwolnionym tempie.

- Nie! - Chciałam zaprzeczyć jego słowom, zanim jeszcze je wypowiedział.

- Oboje nie żyją - powiedział i łzy popłynęły mu po policzkach. - Dwa dni byłeś w śpiączce.

- Nie! - Wcisnęłam twarz w poduszkę. - Nie, nie wierzę ci. - Teraz czułam się cała odrętwiała, bez czucia, jak zamrożona, martwa. Nie chciałam być tutaj, pragnęłam, żeby ten człowiek sobie poszedł. Marzyłam tylko, żeby znów być w domu, z mamą i z tatą. Boże mój, modliłam się, spraw, żeby tak się stało i niech ten koszmar zniknie. Błagam, błagam...

- Annie, biedna Annie. - Gładził mnie po głowie; tak często robiła mama. - Zjawiłem się tutaj, jak tylko mnie zawiadomiono. Od tej pory czuwam przy tobie.

Spojrzałam przez palce. Twarz tego człowieka była pełna sympatii i współczucia. Głęboko i szczerze przeżywał to wszystko.

Nagle mnie oświeciło. To tajemniczy Tony Tatterton, pan na Farthinggale Manor. Tony we własnej osobie siedział przy moim łóżku.

- Wynajęłam pielęgniarki dyżurujące przy tobie całą dobę i przywiozłem swoich lekarzy, ale wyposażenie tego małego szpitala pozostawia wiele do życzenia. Muszę zabrać cię do Bostonu, a potem do Farthy.

Wszystko, co mówił, było odległe i nierealne, jak we śnie. Potrząsnęłam głową.

- Mama. Chcę ją zobaczyć. I tatę...

- Oni nie żyją i wkrótce zostaną pochowani w Farthinggale Manor. Jestem pewien, że twój ojciec by sobie tego życzył - powiedział miękko Tony.

- Farthinggale Manor?

- Stonewallowie, twoi dziadkowie ze strony ojca, oboje nie żyją, więc nie mogę tego z nimi skonsultować, ale jestem pewien, że też pragnęliby odpowiedniego pochówku dla twoich rodziców. A także bym ja się tobą opiekował.

Łzy runęły potężnym strumieniem. Płakałam, płakałam i płakałam, spazmy wstrząsały niesparaliżowaną częścią mojego ciała. Tony Tatterton pochylił się, objął mnie i tulił, pocieszając.

- Tak strasznie mi przykro, moja biedna, biedna Annie, śliczna córko Heaven i wnuczko Leigh - mamrotał, całując mnie w czoło i delikatnie odgarniając mi włosy z twarzy. - Nie zostaniesz sama. Jestem tu z tobą i będę się tobą opiekował, póki starczy mi życia.

- Co się ze mną dzieje? - zapytałam przez łzy. - Nie mogę poruszyć nogami. Nie czuję ich!

- W czasie wypadku doznałaś urazu kręgosłupa i głowy. Lekarze uważają, że to częściowo upośledziło twoją koordynację ruchową. Ale nie martw się, Annie, nie są to zmiany nieodwracalne. Zadbam, żebyś wróciła do zdrowia. - Pocałował mnie w mokry od łez policzek.

- Drake - powiedziała nagle. - Gdzie jest Drake? I Luke junior. Gdzie on? Ciocia Fanny... - mamrotałam. Potrzebowałam teraz rodziny, nie tego obcego człowieka.

O Boże, co się ze mną dzieje? Czułam się zagubiona, porzucona, zbłąkana, unoszona przez wiatr jak latawiec, który zerwał się ze sznurka. Co mam teraz robić?

- Drake czeka w holu. Luke i Fanny byli u ciebie parę razy i zaraz ich zawiadomię, że się wybudziłaś. Ale najpierw przyślę tu swoich lekarzy.

- Nie. Najpierw chcę zobaczyć Drake'a. I błagam, zadzwoń do Luke'a i Fanny, niech do mnie przyjadą.

- Dobrze, Annie. Jak sobie życzysz. - Znow pocałował mnie w policzek i wstał. Uśmiechnął się do mnie ciepło, ale jakoś dziwnie, i wyszedł.

Chwilę potem w pokoju zjawił się Drake z posępną miną i zaczerwienionymi, opuchniętymi oczami. Bez słowa przytulił mnie mocno do piersi. Znow popłynęły mi łzy. Wraz z płaczem wrócił ból. Drake całował mnie i kołysał jak dziecko, przyciskając twarz do mojej twarzy, aż nasze łzy się mieszały.

- Byli dla mnie jak rodzice - mówił. - Rodzona matka nie mogłaby mnie kochać bardziej niż Heaven, a Logan zawsze traktował mnie jak własnego syna. Raz, kiedy jechaliśmy gdzieś razem, wyznał mi, że myśli o mnie jak o synu. „Co jest moje, jest także twoje”, powiedział wtedy. I dodał, że zawsze tak będzie.

- Och, Drake, czy to się naprawdę stało? Nie ma ich już? Odeszli na zawsze?

- Tak, i cudem jest, że ty żyjesz. Widziałem samochód. Kompletnie skasowany.

- Nie mogę poruszyć nogami. W ogóle ich nie czuję.

- Wiem. Tony mówił mi, co sądzą lekarze. Jest gotów zrobić dla ciebie wszystko. To niezwykle, cudowny człowiek. Jak tylko usłyszał, co się stało, od razu zaczął działać. Najlepsi lekarze non stop przylatują do ciebie na konsultacje. Przysłał tu jednego ze swoich menedżerów, aby pokierował fabryką w Winnerrow, gdyż, jak powiedział, dla Logana i Heaven zawsze było ważne, żeby ludzie mieli pracę, a rejon swój ważny zakład. Przysięgał, że fabryka będzie istnieć i się rozwijać. Już pytał mnie, czy po studiach zechciałbym podjąć tam pracę. A potem przedstawił mi plany remontu i przebudowy Farthinggale Manor, to znowu będzie piękna rezydencja. Całe szczęście, że Tony się pojawił, Annie, i to w takim momencie!

- Ale ja nie chcę iść do Farthinggale Manor! Chcę wrócić do domu! Farthy nie miało być dla mnie szpitalem... tam wymarzyłam sobie raj.

- Annie, na razie trudno jest ci myśleć racjonalnie, dlatego pozwól, żeby decydowali o tobie ludzie starsi i mądrzejsi, którzy nie doświadczyli tej tragedii tak bezpośrednio jak ty. Musimy zrobić wszystko, żebyś wróciła do zdrowia. Przecież chcesz znów chodzić, prowadzić normalne życie, prawda?

- Normalne życie? Bez mamy, bez taty? Samotne? Bez Luke'a? Bez ciebie? Bez wszystkich, których kocham? Po co mam żyć?

- Musisz żyć, Annie. Tego chciałaby Heaven, tego chciałby Logan. Muszę ci to powiedzieć w ich imieniu. Twój rodzice nigdy się nie poddawali. Ty też nie możesz. Bez względu na to, jakie przeszkody się przed tobą pojawiają, musisz je pokonać i iść przed siebie.

Bez względu na przeszkody, pomyślałam. Mierz wysoko, jak mówił Luke.

- Nie zniknę z twojego życia - ciągnął Drake. - Będę w pobliżu. Dzisiaj muszę wracać do Bostonu, a kiedy ty się tam przeniesiesz, będę odwiedzał cię w szpitalu. Wiem, że jeszcze tego nie ogarniasz, bo wszystko dzieje się zbyt szybko, a ty przeżyłaś straszliwy wstrząs, ale zaufaj tym, którzy cię kochają. Proszę - powiedział błagalnie.

Wzięłam głęboki oddech i opuściłam głowę na poduszkę. Miałam wrażenie, że cały świat zwałił się na mnie. Znowu miałam ciężkie powieki, kręciło mi się w głowie i czułam ogromne zmęczenie. Półprzycotnie myślałam, że jeśli zasnę i obudzę się rano, to wszystko okaże się jedynie koszmarnym snem. A ja będę w swoim pokoju w Hasbrouck House.

Rano mama przyjdzie do mnie jak zwykle, pełna energii, opowiadając o swoich dziennych planach. Na dole tata będzie przy kawie czytał „Wall Street Journal”. Wezmę prysznic, ubiorę się i zbiegnę po schodach, żeby rozpocząć nowy, jasny dzień. Tata przed wyjazdem do fabryki pocałuje mnie na pożegnanie, jak czynił każdego ranka. Powieki mi opadły. Śniłam.

- Roland już podał śniadanie... - mruknęłam.

- Co takiego? - zapytał Drake.

- Muszę szybko zjeść. Dzisiaj jadę z mamą na zakupy. Potrzebuję nowej sukienki na urodziny Maggie Templeton i muszę jej kupić prezent. Nie śmieję się ze mnie, Drake.

- Annie... - Ujął moją głowę w dłonie i uniósł lekko, ale nie byłam w stanie utrzymać otwartych oczu, więc pozwolił jej opaść na poduszkę.

- Ten miniaturowy domek... jest taki piękny... taki piękny... dziękuję, mamó. Będę się nim cieszyć zawsze, zawsze, zawsze...

- Annie...

Czy to tata ciągle mnie woła? Tato, nie wołaj już, proszę. Tato...

Osunęłam się w ciepłe, kojące objęcia snu; pozwoliłam im się utulić, osłonić przed ostrym światłem, które chciało wdrzeć się w świat moich fantazji i je wypalić.

- Nie pozwól na to, Luke. Nie pozwól. Wiem... Mierzyć wysoko... zdobywać najwyższe szczyty... ten widok, widok stamtąd...

- Och, Annie, musisz wyzdrowieć - szepnął Drake i wziął mnie za rękę.

Ale we śnie to ja chwyciłam za rękę Luke'a i pobiegliśmy przez trawnik ku rajowi z naszych marzeń, gdzie znów poczułam się spokojna i bezpieczna. Tam mogłam spokojnie zasnąć.

Kiedy się obudziłam, lekarze Tony'ego i prywatna pielęgniarka stali przy łóżku.

- Witam - powiedział wysoki mężczyzna o rudawych wąsach i łagodnych orzechowych oczach. - Jestem doktor Malisoff i zajmę się tobą, dopóki całkiem nie wyzdrowiejesz.

Kontury jego twarzy wyostrzały się z wolna, aż widziałam nawet drobniutkie zmarszczki na jego czole, które wyglądały, jakby narysowano je ołówkiem.

- Co się ze mną dzieje? - zapytałam. Usta miałam suche i musiałam co chwila przeciągać po nich językiem.

Zamiast mi odpowiedzieć, odwrócił się do młodszego lekarza, który stał obok. Miał jasne włosy i jasną skórę z drobnymi piegami pod oczami.

- To mój asystent, doktor Carson. Obaj będziemy się tobą zajmować.

- Cześć - powitał mnie młodszy lekarz, nie przerywając czytania karty, którą trzymała mu przed oczami pielęgniarka.

- A to pani Broadfield, twoja prywatna pielęgniarka. Zostanie z tobą, dopóki nie wrócisz do zdrowia.

- Witaj, Annie. - Przez twarz pani Broadfield przemknął uśmiech szybki jak błysk flesza. Włosy miała tak czarne jak ciotka Fanny, ale ostrzyżone bardzo krótko. Była puciołowata i krępa, o szerokich, męskich ramionach. Nie malowała się i miała blade usta.

- Gdzie jest Drake? - zapytałam i przypomniało mi się, że chyba mówił o powrocie do Bostonu.

- Drake? - Doktor Malisoff pokręcił głową. - Na korytarzu czeka twoja ciocia Fanny i ktoś jeszcze... zdaje się, że jej syn, tak? - Zerknął na panią Broadfield, która przytaknęła szybko. - Zaraz ich poproszę, ale najpierw chcę ci powiedzieć, jak będziemy cię leczyć. Słuchaj, proszę. Kiedy samochód twojego ojca dachował, musiałaś mocno o coś uderzyć. Nastąpił uraz kręgosłupa szyjnego u podstawy czaszki, który spowodował paraliż dolnej

części ciała. Jest to na razie wstępna diagnoza, gdyż w tym szpitalu nie ma aparatury, która pozwoliłaby nam dokładnie określić miejsce i charakter urazu. Dlatego przygotowujemy cię do lotu do Bostonu, gdzie zbada cię neurolog, który jest moim asystentem. Mają tam najnowocześniejszy sprzęt, jak tomograf komputerowy, który pomoże nam zdiagnozować cię dokładnie, aby można było ustalić sposób leczenia i rokowania.

- Nie czuję bólu w nogach - powiedziałam.

- Nie czujesz, bo na razie są sparaliżowane. Jeśli zaczniesz odczuwać ból, będzie to znak, że twoje nerwy i mięśnie wracają do normalnego stanu. Wiem, że nadzieja na ból brzmi dziwnie, ale tak właśnie ma wyglądać twój powrót do zdrowia. Zakładam, że kiedy wyleczymy uraz kręgosłupa, odzyskasz władzę w nogach. Jest to jednak długotrwały proces, a w tym czasie będziesz potrzebowała troskliwej opieki.

Jego profesjonalny ton uspokoił mnie i napełnił otuchą, ale chciałam, żeby nie on, lecz tata i mama powtarzali mi, że wszystko będzie dobrze i na pewno wyzdrowieję. Jeszcze nigdy nie czułam się tak samotna, tak opuszczona przez wszystkich i wrzucona w ten dziwny, sterylny i zimny świat.

- Spokojnie czekaj, aż wszystko przygotujemy - kontynuował lekarz. - Karetką pojedziesz na lotnisko i stamtąd powietrznym ambulansem polecisz do Bostonu. - Uśmiechnął się i poklepał mnie po ręku. - A teraz pani Broadfield poda ci płynny pokarm.

- Nie jestem głodna. - Kto by w takiej chwili myślał o jedzeniu? Mogłabym w ogóle nie jeść.

- Wiem, ale zależy mi, żebyś przyjęła inny pokarm niż tylko to, co dostajesz przez kroplówkę. Dobrze? - Posłał mi kolejny pokrzepiający uśmiech. - Zaraz poproszę tu twoją rodzinę.

Odwrócił się i wyszedł razem ze swoim asystentem. Pani Broadfield wyjęła kartonik soku jeżynowego, wetknęła do niego słomkę i podała mi.

- Tylko pij powoli - poradziła, podnosząc oparcie łóżka, aż znalazłam się w pozycji siedzącej. Jej krótkie, silne palce i duże dłonie śmierdziały środkiem dezynfekującym. Z bliska widziałam czarne włoski sterczące z jej brody. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby moja mama - śliczna, miła mama o słodkim uśmiechu - dbała o mnie, a nie ta brzydka, obca baba. Zmiana pozycji wywołała zawroty głowy i znów musiałam zamknąć oczy.

- Niedobrze mi - jęknęłam.

- Wypij choć trochę - nalegała.

Pociągnęłam nieco soku. Mój przetyk protestował.

- Proszę mnie opuścić - powiedziałam słabym głosem.

- Musisz powoli się przyzwyczajać do siedzenia, Annie, codziennie po trochu. Lekarze nie sprawią cudów, jeśli nie będziesz współpracowała. - W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Na razie nie mogę.

Pociągnęłam jeszcze łyżeczek i oddałam jej sok. Zaciśnęła usta, a na jej pyzatej twarzy pojawiła się irytacja. Kiedy przyjrzałam się jej bliżej, zobaczyłam, że ma pryszcze, i zdziwiło mnie, czemu pielęgniarka ma tak niezdrową cerę.

Kiedy opuściła wezgłowie łóżka, do pokoju wpadła ciotka Fanny, a za nią Luke. Jeszcze nigdy tak nie ucieszył mnie ich widok. Ciotka stanęła nade mną i załamała ręce.

- O Boże... o Boże! - wrzasnęła tak, że pani Broadfield o mało nie wypuściła tacy. - Och, Annie, kochane biedactwo! Moja biedna siostrzenica. - Łzy popłynęły jej po twarzy i ocierała je jedwabną chusteczką. - Bożeż ty mój... i tak leży w tym łóżku, biedne dziecko... - lamentowała. Oparła się o Luke'a. Ramiona jej drżały. Wreszcie wzięła głęboki oddech, pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w policzek.

Z przyjemnością wdychałam różaną woń jej ulubionych perfum, które sprowadzała sobie raz na miesiąc z Nowego Jorku. Trzymała mnie w ramionach i płakała, aż trzęsłam się razem z nią. Zerknęłam na Luke'a, który był wyraźnie zażenowany tym teatralnym występem matki. Dałam mu znak, żeby podszedł bliżej. Ciotka Fanny trzymała mnie kurczowo, jakbym zaraz miała utonąć. Jej łkanie stało się jeszcze głośniejsze.

- Mamo, tylko pogarszasz sprawę - powiedział Luke. - Proszę, przestań.

Fanny spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Co? - Znów zaczęła trzeć oczy. - Och... o Boże, Boże...

- Mamo, proszę. Pomyśl, przez co przeszła Annie - argumentował Luke. Mama często powtarzała, że nikt nie potrafi okiełznać Fanny tak skutecznie jak on.

- Och, kochana Annie! - Ciotka pocałowała mnie, mocząc mi łzami policzek. - Biedny Luke i ja przesiadywaliśmy tu godzinami, czekając, aż lekarze i pielęgniarki raczą nas wpuścić - dodała, zerkając wrogo na panią Broadfield.

- Proszę nie denerwować chorej - poleciła pani Broadfield i wyszła.

- Jak ja nie cierpię tych doktorów i siostrzyczek! - syknęła Fanny. - Mają takie wredne, szczerze gęby. I nienawidzę szpitalnego zapachu. Dlaczego nie rozpylę na korytarzach jakichś dezodorantów i nie postawię kwiatów? Jakbym kiedyś zachorowała, Luke, i nie kontaktowała, co się dzieje, wynajmij prywatną pielęgniarkę, jak ma Annie, i nie dawaj mnie do szpitala, dobra? Obiecuj mi! - Już zapomniała o płaczu, jakby jej ból i żal były tylko przykrywką, którą zdejmowała, kiedy to przestawało jej pasować.

Odsunęła się wreszcie i Luke podszedł do łóżka. Jego oczy były jak dwa jeziora strachu i rozpacz.

- Cześć, Annie.

- Luke, och, Luke!

Delikatnie wziął mnie za rękę. Łzy, które błyszczały mu w oczach, napełniły moje serce jeszcze większym smutkiem. Jego rozpacz była równie głęboka jak moja. Choć przez lata nie mówiło się głośno o tym, kim naprawdę był dla niego Logan, przecież on także stracił ojca. A moja mama była dla niego czuła i kochająca bardziej niż rodzona matka.

- Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy tu sterczeli i wypłakiwali sobie oczy - stwierdziła nagle ciotka Fanny. - Nie wrócimy ich do życia, choć dałabym wszystko, co mam, żeby żyli. Strasznie kochałam Heaven, mimo że z wierzchu to mogło wyglądać inaczej. Teraz sobie wyrzucam, że byłam dla niej taka niedobra, ale zżerała mnie zazdrość i nie mogłam się powstrzymać. Ona zawsze mi wybaczała, a ja tak mało dobrego dla niej zrobiłam. - Dyskretnie otarła oczy chusteczką. - Ale - podjęła zdecydowanym tonem - trzeba jakoś żyć dalej. Jestem pewna, że Heaven by chciała, żebym wzięła sprawy w swoje ręce. Po prostu to wiem. - Przytaknęła sama sobie z przekonaniem i jej duma objawiła się w pełnej okazałości, jak na parady.

- Potrafię pokierować wszystkim nie gorzej niż ten... ten wredny, nadziany staruch, który nazywa siebie jej dziadkiem. - Pokręciła głową i otarła dłonią twarz, jakby zdejmowała z niej pajęczynę.

- Mamo - wtrącił Luke - to nie jest pora, żeby...

- Musimy robić, co trzeba. On mówi, że taka by była wola jej rodziców, żeby on się nią zajął, ale po mojemu to...

Luke spiorunował ją wzrokiem.

- Mamo, Annie zbyt słabo się czuje, żeby dyskutować teraz o tym wszystkim. Ma inne zmartwienia, chyba rozumiesz?

- Zgoda, jest w porządku, że zapewnił ci najlepszych lekarzy i opiekę - ciągnęła ciotka Fanny, nie zważając na prośby Luke'a - ale jak chodzi o Hasbrouck House i...

- Mamo!

Zagryzła usta ze zniecierpliwieniem. Drobne białe zęby kontrastowały z jej indiańską cerą.

- Dobra, zaczekam, aż poczujesz się lepiej, Annie. I nie martw się, że ten milioner wydaje na ciebie tyle kasy. On nie ma co zrobić z pieniędzmi.

- Jest dla mnie bardzo miły, ciociu Fanny - powiedziałam głosem tak słabym, że

zabrzmiał jak szept.

- Bo ma powody.

- Jakie?

- Mamo, przestań. - Luke odwrócił się do niej z furią. - Powiedziałem, że to nie czas na takie rozmowy!

- No już dobra.

Nagle pojawiła się pani Broadfield. W swoich miękkich butach pielęgniarki poruszała się tak cicho, że nikt jej nie słyszał. Po prostu zmaterializowała się w sali jak biała zjawia.

- Będą państwo musieli wyjść. Przygotowujemy Annie do podróży.

- Wyjść, jak dopiero co przyszliśmy? To moja siostrzenica.

- Bardzo mi przykro, ale takie są zarządzenia - odpowiedziała oschle pielęgniarka.

- A dokąd ją zabierają? - spytała Fanny.

- Do szpitala w Bostonie. Dokładniejsze informacje otrzyma pani od pielęgniarki dyżurnej. - Pani Broadfield podeszła, żeby podłączyć mi kroplówkę.

- Annie, koteńku, nie martw się o nic i szybko zdrowiej. - Ciotka Fanny pocałowała mnie w policzek i ścisnęła mi dłoń. - Za parę dni odwiedzę cię w tym wypicowanym szpitalu w Bostonie i sprawdzę, czy dobrze tam o ciebie dbają - dodała, zerkając z niechęcią na panią Broadfield, która robiła swoje, jakby ciotki Fanny tam w ogóle nie było.

- Przyjadę z nią, Annie - obiecał Luke.

- Och, Luke, nie będę na rozdaniu świadectw i nie wysłucham twojej mowy - jęknęłam.

- Będziesz - powiedział z absolutną pewnością siebie.

- Przeczytam ci całą mowę przez telefon, a zanim wyjdę do szkoły, pójdę do altany i będę tam siedział, udając, że jestem z tobą, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- Co to za dziwna gadka? - spytała ciotka Fanny z zaciekawieniem.

- Nasza prywatna gadka - wyjaśnił Luke. Prawda była w jego spojrzeniu. I miłość. Pochylił się i pocałował mnie w policzek.

W tym momencie do pokoju wszedł Tony Tatterton.

- No i jak się czujesz, Annie? - zapytał i podejrzliwie spojrzał na Luke'a, który odskoczył od mojego łóżka.

- Jestem Tony Tatterton - przedstawił się szybko i wyciągnął do niego rękę. - A ty musisz być...

- Mój syn, Luke junior - weszła mu w słowo ciotka Fanny. - A ja, jak się pewnie domyślasz, jestem siostrą Heaven.

Mówiła to ostro i nienawistnie. Spojrzałam na Tony'ego, żeby sprawdzić jego reakcję,

ale on tylko skinął głową.

- Teraz musimy myśleć o Annie, bo za chwilę wyjeżdża. Będę czekał przy karetce - dodał i znów zerknął na Luke'a.

Luke przyglądał mu się intensywnie, krytycznie.

- My też będziemy z tobą w Bostonie - powtórzył, po czym wyszedł razem z matką.

Zanim zdążyłam się rozplakać, zjawili się sanitariusze i pod kierunkiem pani Broadfield przełożyli mnie na łóżko transportowe. Moment później wyjechałam na nim z pokoju.

Nikt bliski nie trzymał mnie za rękę, nie dodawał mi otuchy. Twarze wokół mnie były obce i beznamienne - twarze ludzi, dla których opieka nade mną to była praca. Pani Broadfield wprawnie owinęła mnie kocem i wyjechaliśmy na parking, gdzie czekała karetka.

Niebo było pochmurne, lecz musiałam przymknąć oczy, tak raziło mnie światło dnia. Zanim zdążyły się przyzwyczaić, przełożono mnie z łóżka do ambulansu. Pani Broadfield poprawiła mi kroplówkę i usiadła obok. Karetka ruszyła na lotnisko, skąd samolot miał mnie zabrać do szpitala w wielkim mieście.

Mimo woli zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zobaczę Winnerrow. Nagle wszystko, co dotąd miałam, co było mi dane, stało się niezmiernie drogie i cenne - zwłaszcza to małe miasto, które Drake nazywał grajdołkiem.

Żałowałam, że nie mogę siedzieć i wyglądać przez okno w czasie jazdy. Chciałam ostatni raz rzucić okiem na Winnerrow i zabrać ten widok z sobą, w moją podróż w nieznane. Chciałam zachować pod powiekami pola, łąki i schludne farmy. A najbardziej pragnęłam popatrzeć na Wzgórza Strachu z przyklejonymi do zboczy chatkami górników i bimbrowników. Nie będzie już kwitnących magnolii, które mijałam w drodze do szkoły. Nie będzie już magicznej altany ani miniaturowego domu z pozytywką grającą Chopina. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Hasbrouck House. Cała służba jest pewnie w żałobie i rozpacz, ciągle niepokodzona ze stratą ukochanych państwa.

W głowie zaczęło mi boleśnie pulsować. Łzy strugą popłynęły z oczu. Trzęsłam się od łkania.

Nigdy już ich nie zobaczę. Nigdy nie usłyszę, jak tata woła, kiedy wraca z pracy do domu: „A gdzie jest moja dziewczynka? Gdzie Annie?”. Kiedy byłam mała, przed jego powrotem ukrywałam się za obitym niebieskim perkalem fotelem w salonie i tłumiąc chichot piąstką wciśniętą do ust, obserwowałam, jak tata udaje, że mnie szuka, zaglądając w każdy kąt. Nie znajdował i robił zmartwioną minę. Serce mi miękło, bo nie wyobrażałam sobie, że przeze mnie mógłby być smutny.

- Tu jestem, tatuniu! - krzyczałam, a on porywał mnie w ramiona i obsypywał mi buzię

pocałunkami. Przechodziliśmy do bawialni, gdzie Drake opowiadał mamie, co było w szkole. Tata siadał na skórzanej kanapie, a ja wdrapywałam mu się na kolana i słuchałam, aż mama stwierdziła, że trzeba się umyć i przebrać, bo pora na kolację.

Tamte dni były zawsze słoneczne i pełne śmiechu. A teraz jak żalobny kir zebrały się nade mną czarne chmury ze zwisającymi całunami deszczu. Mama i tata nie żyli, moje kolorowe dni spopielił żal.

- Spróbuj zasnąć, Annie - poradziła pani Broadfield, wrywając mnie z otchłani wspomnień. - Jeśli będziesz tak płakać, staniesz się coraz słabsza, a musisz mieć siły, bo czeka cię długa, ciężka walka, wierz mi.

- Czy miała pani już wcześniej takiego pacjenta jak ja? - zapytałam, uświadamiając sobie, że z braku kogoś innego pragnę się z tą kobietą zaprzyjaźnić. Potrzebowałam przyjaciół, potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym pogadać. Kogoś starszego, mądrzejszego, kto doradziłby, jak mam postępować i jak myśleć. Kogoś mądrego, kto dałby mi także ciepło, czułość i troskę.

- Owszem, opiekowałam się wieloma ofiarami wypadków - odpowiedziała obojętnym tonem.

- Czy wszyscy wyzdrowieli? - dopytywałam się z nadzieją.

- Oczywiście nie wszyscy.

- A ja wyzdrowieję?

- Twoi lekarze mają taką nadzieję.

- Ale co pani myśli? - Zastanawiałam się, czemu ktoś, kto powinien z powołania pomagać innym, może być tak chłodny i obojętny. Czy ta kobieta nie wie, ile znaczą czułość i troska? Dlaczego jest zimna i nieprzystępna?

Przecież Tony, zanim wynajął panią Broadfield, musiał coś o niej wiedzieć. Widać było, że kwestia mojego wyzdrowienia jest dla niego bardzo ważna, więc z pewnością szukał kogoś najbardziej odpowiedniego. Ta pielęgniarka była fachowa i doświadczona, ale żałowałam, że nie znalazł młodszej, miłszej i bardziej współczującej. Potem przypomniałam sobie jednak, jak Drake powiedział, że powinnam oddać się w ręce osób starszych i mądrzejszych, którzy myślą rozsądniej niż ja teraz.

- Na razie odpoczywaj i nie myśl o tym. Teraz i tak nic więcej nie zrobimy - powiedziała pani Broadfield głosem, który nie był ani trochę cieplejszy czy mniej obojętny

- Twój pradziadek zapewnił ci najlepszą opiekę lekarską. Masz szczęście. Wierz mi, zajmowałam się wieloma pacjentami, którzy mieli nierównie mniej od ciebie.

Tak, pomyślałam. Jak szybko zjawił się z pomocą i z jaką troską się mną zajął! Tym

bardziej zachodziłam w głowę, co sprawiło, że moja mama, która miała naturę anioła, przeklęła na zawsze tego hojnego człowieka o dobrym sercu.

Czy kiedykolwiek się tego dowiem? Czy odpowiedzi zginęły na urwisku Wzgórz Strachu, razem z moją matką i ojcem?

Poczułam się śmiertelnie zmęczona. Pani Broadfield miała rację - na razie pozostało mi tylko odpoczywać i nie tracić nadziei

Usłyszałam syrenę karetki i zasnęłam.

Rozdział szósty

TONY TATTERTON

Spałam przez resztę drogi na lotnisko i obudziłam się, kiedy przenoszono mnie do karetki lotniczej. I znów powrót do rzeczywistości był dla mnie wstrząsem. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że to nie był sen i wszystko zdarzyło się naprawdę. Mama i tata naprawdę nie żyli, odeszli na zawsze. Ja byłam na wpół sparaliżowana; wszystkie moje marzenia, plany, wszystkie cudowne doświadczenia, które według mamy i taty miały się stać moim udziałem, wyparowały na zawsze w jednym strasznym momencie - na górskiej drodze.

Za każdym razem, kiedy się budziłam, wracało przerażające wspomnienie. Widziałam deszcz siekający o przednią szybę, słyszałam rodziców klójących się z powodu zachowania ojca na przyjęciu, a potem patrzyłam bezsilnie, jak z przeciwka nadjeżdża samochód i pędzi prosto na nas. Te wizje wywoływały taki ból, że z ulgą zapadałam w kolejny, nieprzytomny sen. Zасыpiając, doznawałam ulgi - tylko po to, żeby się obudzić i znów zderzyć się z koszmarem rzeczywistości.

Na szczęście przespałam cały lot. Ocknęłam się, kiedy przenoszono mnie do karetki wysłanej przez szpital w Bostonie. Byłam pod wrażeniem władczego tonu pani Broadfield i sprawności, z jaką dyrygowała sanitariuszami. „Proszę uważać, to nie worek kartofli” - powiedziała w pewnym momencie. Tak, pomyślałam, Drake miał rację. Jestem w dobrych rękach. W fachowych rękach.

W czasie jazdy zasnęłam po raz kolejny. Już w szpitalu poczułam, że ktoś trzyma mnie za rękę. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Tony'ego Tattertona. Nie od razu dostrzegłam, że się obudziłam, i miał tak rozmarzony, nieobecny wyraz twarzy, jakbym zabrała go z sobą w moje senne krainy i tam pozostawiła. Kiedy wreszcie zdał sobie sprawę, że na niego patrzę, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Witaj w Bostonie. Mówiłem ci, że będę na ciebie czekał, kiedy tu przyjedziesz, aby cię powitać i zadbać, czy masz wszystko, co trzeba. Podróż przebiegła spokojnie? - zapytał z wielką troską.

Kiwnęłam głową. Wczoraj siedział przy moim łóżku, ale wszystko wydawało mi się wtedy tak nierealne, że ledwie go zapamiętałam. Teraz wreszcie zobaczyłam, że jest człowiekiem z krwi i kości; mogłam go porównać z obrazem mężczyzny, który stworzyłam w wyobraźni. Brwi miał idealnie wypielęgnowane, włosy ostrzyżone i ułożone przez świetnego stylistę; ich siwizna wyglądała szlachetnie. Był gładko ogolony. Jego jedwabny garnitur w

szaro-białe prążki, znakomicie uszyty, prezentował się bardzo wytwornie z ciemnoszarym krawatem. Kiedy popatrzyłam na dłonie Tony'ego, zobaczyłam, że ma długie, smukłe palce o starannie wypielęgnowanych, błyszczących paznokciach. Tak, dzisiejszy Tony Tatterton był zupełnie innym człowiekiem niż opisywany przez Drake'a. Tamten list i rozmowa telefoniczna wydawały się należeć do innej epoki, do innego, wyimaginowanego świata, do którego czasami wchodziłam i który musiałam nagle opuścić, aby trafić do tej zimnej, okrutnej, prawdziwej egzystencji.

Tony nie spuszczał ze mnie łagodnego, ciepłego spojrzenia.

- Spałam prawie przez całą podróż - powiedziałam słabym głosem.

- Tak, mówiła mi pani Broadfield. Cieszę się, że jesteś tutaj, Annie. Jutro zacznie się cała seria badań, które zaplanowali dla ciebie lekarze, by ostatecznie zdiagnozować twoje problemy i dobrać właściwe leczenie.

- Moi rodzice...

- Tak? - zapytał, wstając.

- Pogrzeb...

- Teraz o tym nie myśl, Annie. Zatrąszczę się o wszystko. Ty masz za zadanie odzyskać siły i jak najszybciej wyzdrowieć.

- Ale powinnam tam być...

- W tej chwili nie możesz - powiedział łagodnie. - Lecz kiedy tylko dojdiesz do siebie, zorganizuję specjalną uroczystość przy ich grobie, w której będziemy razem uczestniczyli. Obiecuję. A na razie zaczniesz najlepsze leczenie, jakie można kupić za pieniądze.

Nagle spoważniał.

- Pewnie cię dziwi, skąd ta troska o ciebie i zainteresowanie twoim losem, skoro od lat nie widziałem się z twoją mamą i nie chciała mnie znać. Bardzo ją kochałem, Annie, wbrew temu, co ci się może wydawać. I twojego ojca też. Jak tylko go poznałem, wiedziałem, że jest materiałem na menedżera, i byłem szczęśliwy, kiedy zgodził się przejść do mojej firmy. Okres, w którym twoi rodzice mieszkali w Farthy i pracowaliśmy razem, uważam za najpiękniejsze lata swojego życia... Potem, kiedy wyjechali, przyszedł czas najgorszy i najsmutniejszy. Cokolwiek złego zrobiłem, co podzieliło nas wtedy - teraz chciałbym to zrekompensować, pomagając tobie, Annie. Proszę, abyś pozwoliła mi zrobić wszystko co w mojej mocy, bo w ten sposób uczczę ich pamięć. - Popatrzył na mnie smutno i błagalnie.

- Nie chcę cię zatrzymywać, Tony, ale mam tyle pytań. Od dawna usiłowałam namówić mamę, żeby opowiedziała mi o latach spędzonych w Farthy i wyjaśniła, czemu stamtąd odeszła, ale unikała tych rozmów, obiecując, że niedługo wszystko mi powie. Zaraz po moich

osiemnastych urodzinach obiecała mi to po raz kolejny. A teraz... Teraz już mi nic nie powie.

- Ale ja powiem, Annie - zapewnił szybko Tony. - Odpowiem na każde twoje pytanie. Zaufaj mi. - Uśmiechnął się i usiadł z powrotem przy mnie. - Prawdę mówiąc, ulży mi, kiedy będę mógł ci wszystko wyznać.

Wpatrywałam się uważnie w jego twarz. Czy był szczery? Czy zrobi to, co obiecał, czy tylko tak mówi, żebym go polubiła, żeby zdobyć moje zaufanie?

- Próbowałem na wszystkie sposoby przywrócić kontakt - zaczął. - Dostawałaś ode mnie prezenty, a przynajmniej taką mam nadzieję. Mama pozwalała ci je zatrzymać?

- O tak, mam je wszystkie... piękne, cudowne lalki!

- Bardzo się cieszę. - Oczy mu pojaśniały i wyglądał teraz o wiele młodziej. Było w jego twarzy coś, co przypominało mi mamę... sposób, w jaki potrafił zasygnalizować swoje myśli czy nastroje jednym błyskiem w oku.

- Z każdej podróży starałem się przywieźć specjalny prezent dla ciebie. Sam już nie wiem, ile lalek ci wysłałem, ale chyba to już spora kolekcja, prawda?

- Tak. Zajmują całą ścianę w moim pokoju. Tata zawsze powtarzał, że powinnam otworzyć sklep. Za każdym razem, kiedy wchodzi do mojego... - Urwałam, gdyż uświadomiłam sobie, że tata już nigdy nie przyjdzie.

- Biedna Annie - powiedział współczująco Tony. - Poniosłaś straszliwą stratę. Nigdy nie uda mi się całkowicie złagodzić twojego bólu, ale wierz mi, zrobię wszystko co w ludzkiej mocy, żeby przywrócić ci zdrowie. To jest teraz moją misją, moim życiowym celem - dodał z tą samą determinacją, jaką często widziałam w oczach mamy.

Nie byłam w stanie zdystansować się od niego, tak jak mama. Może chodziło tu o jakieś okropne nieporozumienie. Może wyrokiem losu ja powinnam je zakończyć.

- Zdaję sobie sprawę, że traktujesz mnie nieufnie - podjął Tony. - Jednak wierz mi, Annie, jestem posiadaczem ogromnej fortuny, który nie ma nic i jest dozgonnie wdzięczny za możliwość zrobienia czegoś dobrego i szlachetnego w jesieni swojego życia. Liczę, że nie odbierzesz mi tej szansy.

- Nie, jeśli obiecasz mi, że wkrótce odpowiesz na wszystkie moje pytania.

- Masz solenną obietnicę Tattertona, wspartą honorową tradycją rodu dżentelmenów, na których słowie polegało wielu ludzi - przyrzekł z powagą. Po czym wstał i odwrócił się do sanitariuszy, którzy czekali przy drzwiach. - Możecie ją zabierać. Trzymaj się, moja droga.

- Poklepał mnie po ręce.

Powieźli mnie korytarzem. Uniosłam głowę najwyżej, jak mogłam, żeby zerknąć na Tony'ego, który trzymał się z tyłu. Zobaczyłam w jego twarzy troskę i miłość. Jakim

cudownym, łagodnym był człowiekiem - a do tego obdarzonym bogactwem i wpływami, których potrafił użyć w dobrym celu. Nie mogłam się doczekać, kiedy dowiem się o nim czegoś więcej. Rodzice bardzo skąpo dawkowali mi informacje, jakby przekaz wiedzy o Tonym Tattertonie miał być rozłożony na całe moje życie.

Oczywiście wiedziałam, że zbudował niezwykle imperium zabawek - tak określał to mój tata - warte miliony dolarów, z oddziałami na całym świecie. „Tattertonowie są królami przemysłu zabawkarskiego - powiedział do mnie w jednej z rzadkich chwil, kiedy zechciał coś powiedzieć o Tony. - Ich zabawki są elitarne, przeznaczone dla kolekcjonerów”.

„Zabawki Tony’ego są tylko dla bogatych” - mówiła z kolei mama. Była dumna, że zabawki wytwarzane w Winnerrow są kupowane przez wszystkich, nie tylko bardzo zamożnych. „Produkty Tattertonów kupują bogaci ludzie, którzy nie muszą dorastać i nie mają potrzeby zapomnieć o ubogim dzieciństwie, w którym nie było prezentów bożonarodzeniowych ani urodzinowych. Taki jest Tony i jego towarzystwo” - dodawała z nienawistnym błyskiem w oku.

Dlatego teraz zdumiewało mnie, że Tony może tak odstawać od obrazu, jaki odmalowali mi ojciec i matka. Choć ewidentnie był człowiekiem bogatym, ja wyczuwałam w nim także łagodność i wrażliwość. Prawdziwymi łzami oplakiwał los moich rodziców i mój.

Przez resztę dnia starałam się współpracować z lekarzami, którzy robili mi wszystkie możliwe badania, jakie zna nauka. Kłuto mnie i pobierano próbki. Prześwietlano mnie na wszystkie sposoby; odbywały się narady i konsultacje.

Jak przepowiedział doktor Malisoff, w czasie badań nie czułam nic w nogach, żadnego bólu. Były jak nogi szmacianej lalki, bezwładne, przekładane i zginane, kiedy kładziono mnie na stołach i odkładano na łóżko. Czułam się tak, jakbym weszła do pasa do lodowatej wody i zdrętwiała z zimna. Nie reagowałam na bodźce i przyglądałam się w napięciu, jak asystent doktora Malisoffa i neurolog, doktor Friedman, kłują mnie szpilką. Nic nie czułam, ale na widok stali wbijającej się w skórę o mało nie krzyknęłam, jakby naprawdę mnie bolało.

- Annie - powiedział w pewnym momencie Malisoff - to wygląda prawie tak, jakbyśmy dali ci znieczulenie oponowe, które stosuje się przy operacjach. Podejrzewamy, że przyczyną tego paraliżu jest zapalenie, które wywiązało się przy urazie kręgosłupa. Potrzebujemy jeszcze paru badań, żeby potwierdzić nasze podejrzenia.

Starałam się być cierpliwą pacjentką. Mój stan sprawiał, że byłam zdana na łaskę innych. Musiano mnie przewozić i przenosić z miejsca na miejsce. Próbowałam siadać na łóżku, ale kosztowało mnie to wiele wysiłku. Każda taka próba mnie wyczerpywała. Lekarze zapewniali, że w końcu mi się to uda, ale ja czułam, jakby połowa mojego ciała zginęła w

wypadku razem z rodzicami.

Normalnie jesteśmy nieświadomi, ile rzeczy robimy, nawet nie zastanawiając się nad nimi - chodzimy, siadamy, wstajemy, kiedy tylko mamy ochotę. Moje kalectwo było jak sól sypana na rany. Nie dość, że straciłam oboje rodziców w nagły i koszmarny sposób, to jeszcze zostałam na wpół sparaliżowana! Ile nieszczęść może znieść jeden człowiek? Co zrobiłam, że zasłużyłam sobie na takie tortury?

Pomimo fatalnego samopoczucia nie mogłam nie zauważyć, w jakim wspaniałym miejscu się znalazłam i jacy cudowni ludzie się mną opiekowali. Bostoński szpital był ogromny, korytarze miał dwa razy szersze niż skromna placówka w Winnerrow. Wszędzie kręcił się personel, wiecznie zabiegany i zajęty. Nieustający strumień łóżek, na których transportowano pacjentów, przepływał przez korytarze i wylewał się z wind. Co chwila dzwoniły pagery lekarzy. Dowiedziałam się, że budynek ma dwadzieścia pięter i pracuje tu cała armia pielęgniarek i techników.

Pomyślałam, że ciotka Fanny i Luke mogą zabłądzić, kiedy zaczną mnie tu szukać.

A jednak nawet tutaj, wśród tylu pracowników i pacjentów, czułam się ważna i wyjątkowa. Wyczuwałam, że za pracą i staraniami moich opiekunów stoją wpływy i pieniądze Tony'ego Tattertona. Na razie go nie widziałam, porwana wirem badań i otoczona tłumem lekarzy i techników, którzy towarzyszyli mi przez cały dzień. W końcu, po wielu godzinach, zostałam zawieziona do swojego osobnego, luksusowego pokoju. Tam czekała już na mnie pani Broadfield.

Delikatnie przełożyła mnie na łóżko - najpierw bezwładne nogi, a potem resztę ciała. Pracowała szybko i sprawnie, nic nie mówiąc; nawet się nie zasapała.

Kiedy już ułożyła mnie wygodnie, podała mi sok do picia, a potem zasunęła zasłonę wokół łóżka, żebym mogła spokojnie zasnąć. Powiedziała, że będzie siedziała przy drzwiach, na wypadek gdybym czegoś potrzebowała. Wyczerpana badaniami, zasnęłam od razu. Obudziły mnie głosy nad moją głową. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam doktora Malisoffa i Tony'ego Tattertona.

- Witaj ponownie, Annie. Jak się czujesz? - zapytał doktor.

- Zmęczona.

- Wcale się nie dziwię. Masz prawo tak się czuć. Podjęliśmy ostateczną decyzję co do twojego leczenia, młoda damo. Moja wstępna diagnoza okazała się słuszna. W miejscu urazu, tam gdzie kręgosłup szyjny łączy się z czaszką z tyłu głowy, wywiązało się zapalenie, które spowodowało paraliż. Ponieważ twój stan zdążył się już poprawić w tak krótkim czasie, choć na razie nieznacznie - stwierdziliśmy, że nie ma sensu robić operacji. Spróbujemy zadziałać

lekami, a potem dołączyć fizjoterapię. Nie będziesz musiała przez cały ten czas przebywać w szpitalu - dodał, uśmiechając się na widok mojej zmartwionej miny. - Na szczęście pani Broadfield jest też dyplomowaną fizjoterapeutką, więc może realizować program twojej rehabilitacji w Farthinggale Manor. Tyle z mojej strony. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

- Czy będę kiedyś chodzić? - zapytałam z nadzieją.

- Nie widzę powodu, aby tak nie było. Nie stanie się to szybko, ale z każdym dniem jest postęp.

- Czy to wszystko, co mi dolega? - dopytywałam się podejrzliwie.

- Jeszcze ci mało? - odpowiedział ze śmiechem. - Już zdążyłem zapomnieć, jak cudownie jest być młodym - powiedział do Tony'ego.

- A jeśli nie jest się już młodym, cudownie mieć koło siebie kogoś tak młodego i pięknego jak Annie - rzekł Tony, uśmiechając się do mnie ciepło.

- Nie chcę być dla ciebie ciężarem - zaprotestowałam. Co innego korzystać z opieki osób, które kochasz i które cię kochają, a co innego oddać się pod opiekę kogoś obcego, zwłaszcza będąc w takim stanie jak ja. Niewyobrażalnie brakowało mi teraz uczucia i troski rodziców, lecz okrutny los postanowił, że nie będą mi dane. Musiałam sobie jakoś poradzić.

- Dla mnie absolutnie nie będziesz ciężarem. Zresztą mam służbę, która z radością powita dodatkowe zajęcia, gdyż nudzi się, nie mając prawie nic do roboty. Poza tym masz panią Broadfield.

- Zaczekam na pana w gabinecie - powiedział do niego doktor Malisoff ściszone głosem, jakiego używają lekarze, kiedy wymieniają się uwagami przy łóżku chorego w czasie obchodu. Wyszedł.

- Będę cię odwiedzał dwa razy dziennie - obiecał Tony. - I za każdym razem coś ci przyniosę. - Powiedział to lekkim, wesołym tonem, jakbym była jeszcze dzieckiem, które łatwo pocieszyć zabawkami. - Czy masz jakieś specjalne życzenie?

Nie byłam w stanie pomyśleć o niczym; mój umysł był zbyt otumaniony rozpaczą i szpitalnymi przeżyciami.

- Nie szkodzi, to nieważne. Za każdym razem będziesz miała niespodziankę. - Pochylił się, by pocałować mnie w czoło. Jego dłoń przez moment spoczywała na moim ramieniu. - Dzięki Bogu, że wyzdrowiejesz, Annie. Dzięki Bogu, że zamieszkasz u mnie i będę mógł ci pomagać. - Przyniósł twarz tak blisko mojej, że musnął mnie policzkiem. Pocałował mnie jeszcze raz i wyszedł.

Pani Broadfield zmierzyła mi ciśnienie, a potem umyła mnie gąbką i ciepłą wodą. Kiedy skończyła, znowu zasnąłam.

Drake odwiedził mnie następnego dnia. Jego widok ogromnie mnie ucieszył. Byłam daleko od domu, ale na szczęście miałam w pobliżu kogoś z rodziny - a rodzina zawsze była dla mnie najważniejsza.

Pocałował mnie na przywitanie, a potem przytulił mnie tak delikatnie, jakbym była skorupką jajka, która może pęknąć.

- Dzisiaj nie jesteś już tak blada. Jak się czujesz?

- Okropnie zmęczona. Ciągłe śpię. Za każdym razem, kiedy się ocknę, muszę przypominać sobie, kim jestem i co się stało. Mój umysł nie chce przyjąć do wiadomości okrutnej prawdy.

Drake kiwnął głową i pogładził mnie po włosach.

- A jak ty się miewasz? I co robisz? - spytałam szybko, ciekawa, jak radzi sobie z rozpaczą i z żalem.

- Postanowiłem, że nie przerwę nauki i zaliczę rok.

- Tak? - Dla mnie świat zamarł w miejscu i nawet słońce nie chciało wzejść. Noc spowiała wszystko mrokiem. Jak ktoś mógł normalnie żyć i pracować, jak gdyby nic się nie stało?

- Uczelnia chciała mi dać urlop dziekański, lecz uznałem, że muszę zająć czymś myśli, bo inaczej zwariuję z rozpaczy - wyjaśnił, przysuwając sobie krzesło. - Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za bezdusznego i nieczułego, ale zrozum, nie mogę siedzieć beczynn timer. To zbyt bolesne.

- Dobrze zrobiłeś, Drake. Jestem pewna, że tego właśnie by chcieli mama i tata.

Uśmiechnęła się z ulgą i z wdzięcznością. Byłam przekonana, że mam rację. Nikt nie potrafił tak dzielnie walczyć z przeciwnościami losu jak mama. Tata zawsze powtarzał, że ona ma kręgosłup ze stali. „Wykuty przez kowali ze Wzgórz Strachu” - żartował. Och, co bym dała teraz za jeden jego żart!

- Masz teraz wolne, Drake?

- Tak, ale nie wrócę do Winnerrow. Byłoby dla mnie zbyt bolesne mieszkać w pustym domu. Zresztą Tony Tatterton złożył mi bardzo atrakcyjną ofertę pracy w czasie letnich wakacji.

- Jakiej? - spytałam zdziwiona, jak szybko Tony Tatterton przejął zarządzanie życiem naszej rodziny.

- Mam odbyć staż kierowniczy w jednym z jego biur, wyobrażasz sobie? Jeszcze nie zrobiłem dyplomu, a on chce powierzyć mi odpowiedzialną pracę. Dał mi nawet służbowe mieszkanie w Bostonie. Czy to nie cudowne? Sama powiedz!

- O tak, Drake. Cieszę się za ciebie. - Odwróciłam wzrok. Nie chciałam mówić tego Drake'owi, ale szczęście i radość wydały mi się niestosowne. Uważałam, że cały świat powinien oplakiwać mnie i moich rodziców. Żałobny kir mroczył mi duszę. Choćby nie wiem jak błękitne i słoneczne było niebo, dla mnie pozostanie szare.

- Nie widać, żebyś choć trochę się ucieszyła. Jesteś bardzo przygaszona. Czy to efekt działania lekarstw?

- Nie. - Patrzyliśmy na siebie przez chwilę i zobaczyłam, jak jego twarz z powrotem zagarnia smutek, przywracając cienie pod oczami i drżenie warg. - Nie - powtórzyłam. - Po prostu dużo ostatnio myślałam o Tonym. I ciągle nie rozumiem, czemu z takim rozpędem wszedł w nasze życie i czemu aż tak się o nas troszczy. Przecież mama i tata od lat traktowali go, jak gdyby nie istniał. Powinien nas nienawidzić. Tobie też to daje do myślenia?

- A o czym tu myśleć? Wydarzyła się straszna, niewyobrażalna tragedia, a on... on jest przecież naszą rodziną, prawda? Po śmierci twojej prababci, kiedy twoi rodzice wyprowadzili się z Farthy, żyje kompletnie sam. Jego młodszy brat popełnił samobójstwo, jak pewnie wiesz - dodał szeptem, bo pani Broadfield kręciła się po pokoju.

- Młodszy brat? Nie pamiętam, żeby coś o nim mówiono.

- Logan raz wspomniał mi o nim. Ponoć to był samotnik i introwertyk, który mieszkał w małym domku ogrodnika za labiryntem, a nie w tym cudownym pałacu.

- Domek ogrodnika? Domek w wiejskim stylu?

- Podobno.

- Jak ten, który mama miała w swoim pokoju i który podarowała mi w osiemnaste urodziny? Taka miniaturka z pozytywką.

- Nigdy się nie zastanawiałem, czy to model tego domu... ale wygląda na to, że tak. Czemu pytasz?

- Zawsze o nim marzyłam. Kiedy byłam małą dziewczynką, mama czasami pozwalała mi go obejrzeć i posłuchać tej muzyki. I teraz... teraz, gdy się budzę, zdaje mi się, że jestem w domu, słyszę głosy mamy i taty, chcę wołać panią Avery... a potem koszmar wraca, zagarnia mnie jak lodowata, ciemna fala i zatapia okrutną prawdą. Czy ja wariuję, Drake? Czy to również skutek tego wypadku, tylko nikt mi tego nie mówi? Błagam, powiedz mi! Muszę wiedzieć!

- Twój umysł ciągle nie może sobie poradzić z tym, co się stało, to wszystko - zapewnił mnie Drake. - Wspomnienia się mieszają. To zupełnie normalne, zważywszy, przez co przeszłaś. Szkoda, że nie słyszałaś głupot, które wygadywałaś, kiedy odwiedziłem cię jeszcze w Winnerrow. - Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Jakich głupot? - Przeraziłam się. Czy Drake poznał moje najgłębsze sekrety? Czy mówiłam coś o Luke'u?

- Och, przeróżne, ale nie przejmuj się tym. - Zbył moje pytanie machnięciem ręki. - I nie bój się, że zwariujesz albo zostaniesz sama. Jak już ci wspominałem, mam pracować u Tony'ego latem, więc będę mógł wpadać tu do ciebie. A w weekendy do Farthinggale Manor, kiedy się tam przeniesiesz. Jestem teraz za ciebie odpowiedzialny i chcę się jak najlepiej tobą opiekować. Muszę też jednak dbać o swoją karierę, żeby jak najszybciej być na swoim. Niezależność mam we krwi. Nie chcę być na łasce Tony'ego Tattertona. Będę zarabiał i piał się w górę, bo sobie na to zasłużę...

I perorował dalej na temat pracy u Tony'ego Tattertona i tego, ile dla niego ta szansa znaczy. Słowa zlewały się z sobą, przestałam rozumieć, co mówi. Po pewnym czasie zorientował się, że go nie słucham. Oczy miałam zamknięte.

- No proszę, uspiłem cię swoim gadaniem - powiedział ze śmiechem. - Może powinienem pełnić usługi usypiacza dla ludzi cierpiących na bezsenność.

- Och, przepraszam, Drake, nie zrobiłam tego specjalnie. Słyszałam większość tego, co mówiłeś, i...

- W porządku, nie ma sprawy. I tak się zasiedziałem. - Wstał.

- Nie idź, Drake. Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Musisz dużo spać i odpoczywać, jeśli masz szybko wrócić do zdrowia. Niedługo znów cię odwiedzę. Obiecuję. Pa, Annie - szepnął i pochylił się, żeby pocałować mnie w policzek. - Nie martw się o nic. W razie czego masz mnie.

- Dzięki, Drake. - Dobrze było wiedzieć, że jest blisko i na każde zawołanie, ale wolałabym, żeby Luke był tu także. A najlepiej, gdyby został ze mną w Farthy i pomógł mi wyzdrowieć. Już zaczęłam marzyć, że siedzę z nim w altanie w Farthy, dużo większej niż nasza, albo że Luke popycha mój wózek po parku lub po prostu czuwa u mojego wezglowia.

Zaledwie Drake wyszedł, przy łóżku pojawiła się pani Broadfield i nacisnęła guzik, podnosząc mnie do siedzącej pozycji.

- Czas coś zjeść - powiedziała.

Przymknęłam oczy, bo pokój zaczął wirować, ale tym razem nie odmówiłam jedzenia. Pragnęłam jak najszybciej dojść do siebie i opuścić ten szpital, gdzie byłam kompletnie zależna od personelu. A jeszcze bardziej - najbardziej ze wszystkiego - chciałam poczuć się na tyle dobrze, żebym mogła zostać zabrana na grób rodziców.

Chciałam się z nimi pożegnać.

Rozdział siódmy

CZAS MROKU

Tony dotrzymał obietnicy. Za każdym razem, kiedy mnie odwiedzał, przynosił prezent. Przychodził dwa razy dziennie - raz późnym rankiem i raz wczesnym wieczorem. Początkowo dostawałam bombonierki i bukiety, codziennie stawiano mi przy łóżku wazon świeżych róż. Za czwartym razem przyniósł mi flakonik jaśminowych perfum.

- Mam nadzieję, że ci się spodobają - rzekł. - To był ulubiony zapach twojej prababci.

- Pamiętam, że mama też go czasami używała. Tak, bardzo mi się podoba. Dziękuję.

Od razu użyłam perfum. Tony wciągnął ich woń i jego spojrzenie stało się nieobecne, szkliste. Widać było, że na moment odpłynął w krainę wspomnień. Jakim skomplikowanym był człowiekiem, jakże podobnym do mojej mamy! Jakim czułym, troskliwym mężczyzną, który chwilami przypominał małego chłopca, choć zarazem był silny i władczy! Jak dziecko na huśtawce, ciągle przerzucał się z jednej osobowości w drugą. Wystarczyło jakieś słowo, zapach, kolor, aby cofał się w przeszłość, zatapiał we wspomnieniach. A potem nagle wynurzał się z nich - energiczny, mocno trzymający się ziemi, gotowy sprostać nowym wyzwaniom.

Może nie byliśmy aż tak różni. Przecież często zdarzało się, że popadałam w smętny, melancholijny nastrój. Zwykle drobiazgi potrafiły wpędzić mnie w melancholię - samotny ptak na gałęzi, daleki odgłos samochodowego klaksonu czy nawet śmiech małych dzieci. W jednej chwili opadały mnie mroczne myśli, ale równie nagle potrafiłam wyjść z mroku na słońce, wrócić do świata i nie potrafiłam wytłumaczyć, dlaczego byłam smutna. Kiedyś mama zastała mnie zapłakaną, zalaną łzami. Siedziałam w salonie, spoglądając za okno na zielone drzewa i błękitne niebo.

- Czemu płaczesz, Annie? - spytała, a ja spojrzałam na nią, nic nie rozumiejąc. Dotknęłam swojego policzka i ze zdziwieniem poczułam łzy.

Nie potrafiłam jej wyjaśnić, dlaczego popłynęły. Po prostu tak się stało.

Nazajutrz Tony zjawił się w szpitalu w towarzystwie swojego szofera, Milesa, który niósł za nim jakieś pudełko. Tony kazał położyć je na stoliku przy moim łóżku. Otwierał opakowania jedno po drugim, wyjmując rozmaite jedwabne koszule nocne. Ostatnia była piękna, karmazynowa.

- W tym kolorze pięknie wyglądała twoja mama - powiedział i wspomnienie rozjaśniło mu wzrok. - Do dzisiaj pamiętam przepiękną karmazynową sukienkę i żakiet, które kupiłem

jej, kiedy uczyła się w Winterhaven, szkole dla dziewcząt.

- Mama nie była tam szczęśliwa - przypomniałam sobie. - Mówiła, że inne dziewczyny traktowały ją okrutnie i choć były światowe i bogate, nie miały tyle serca i dobra dla innych co biedota ze Wzgórz Strachu.

- Zgoda, zgoda, ale te przeciwności ją zahartowały. Jakież silny miała charakter! Winterhaven było - i nadal jest - szkołą na bardzo wysokim poziomie. Nauczyciele są tam bardzo wymagający, ale świetni. Pamiętam, jak mówiłam twojej mamie, że jeśli będzie miała oceny celujące, zacznie być zapraszana do domów ludzi z bostońskiej elity. Ale masz rację, ona nie lubiła tego towarzystwa. No, zmieńmy temat. Będiesz najlepiej ubraną pacjentką w szpitalu!

Chciałam, żeby opowiedział jeszcze inne historie z okresu pobytu mamy w Farthinggale Manor, ale pomyślałam, że będzie jeszcze okazja, kiedy tam zamieszkać.

Nazajutrz jedna z Różowych Dam - były to przemiłe starsze panie w różowych fartuchach, które wolontarystycznie opiekowały się pacjentami - przyniosła mi pocztę, cały plik kart z życzeniami powrotu do zdrowia przysłany mi z Winnerrow przez moich przyjaciół, nauczycieli, panią Avery i Rolanda Stara. Były także kartki od Drake'a i Luke'a. Poprosiłam panią Broadfield, żeby przykleiła wszystkie do ściany przy moim łóżku. Nie była zachwycona, ale zrobiła, co chciałam.

Dzień później zjawili się Luke i ciotka Fanny. Ponieważ miałam osobny pokój, można było mnie odwiedzać o każdej porze. Drzwi były otwarte i słyszałam z daleka głos ciotki nadchodzącej szpitalnym korytarzem. Słyszałabym ją pewnie i przez zamknięte drzwi. Najpierw zatrzymali się przy dyżurce pielęgniarek.

- Przyszliśmy odwiedzić moją siostrzenicę - oznajmiła głośno ciotka. - Annie Stonewall.

Pielęgniarka odpowiedziała tak cicho, że nie słyszałam, co mówi, ale Fanny nie pojęła aluzji.

- Dlaczego prywatne pokoje są tak daleko od windy? - wydierała się dalej. - Jak się płaci taką kupę kasy, powinna być wygoda. Idziemy, Luke.

- Moja ciotka nadchodzi - ostrzegłam panią Broadfield, która jak kamienny posąg siedziała przy drzwiach, czytając najnowszy numer „People”. Tego ranka Tony przyniósł mnóstwo kolorowej prasy i moja opiekunka ułożyła magazyny na parapecie. Mój pokój wyglądał jak kiosk. Pielęgniarki w wolnej chwili wpadały z pytaniem, czy mogą pożyczyć coś do poczytania. Pani Broadfield zgadzała się, ale notowała każde wypożyczenie i pilnowała zwrotu.

Wstała z krzesła, kiedy kroki ciotki Fanny zabrzmiały głośniejsz. Ich ostry stukot wskazywał, że ma wysokie obcasy i pewnie wystroiła się na tę wizytę. Pojawiła się w drzwiach w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, z czarną aksamitną wstążką. Do tego miała kostium z czarnego dżinsu z żakietem o krótkich rękawach i krótką spódniczką - oczywiście bardzo obcisłą.

Choć styl życia ciotki Fanny i jej sposób wystawiania się pozostawiały wiele do życzenia, nie sposób było zaprzeczyć, że jest niezmiernie atrakcyjną kobietą, zwłaszcza kiedy się elegancko ubierze. Nic dziwnego, że młodzi mężczyźni ciągnęli do niej jak pszczoły do miodu.

Tuż za nią szedł Luke. Miał na sobie niebieską koszulę z krótkim rękawem i dżinsy, ale zauważyłam, że ma wyjątkowo starannie ułożone włosy. Był bardzo dumny ze swojej bujnej, czarnej czupryny. W szkole zawistni chłopcy kpili z niego, że tyle czasu i starań poświęca swojej fryzurze.

Kiedy Fanny weszła do pokoju, pani Broadfield szybko cofnęła się pod okno i cisnęła swój magazyn na parapet.

- Annie, kochanie! - Ciotka Fanny podbiegła do łóżka i zarzuciła mi ramiona na szyję.

Za jej plecami pani Broadfield ruszyła do wyjścia.

- Ale się pani spieszy - mruknęła Fanny. Śmiać mi się chciało, bo miała minę, jakby wypila skwaśniałe mleko.

Luke stanął po drugiej stronie łóżka, jak zwykle zażenowany zachowaniem matki i spięty.

- Jak się czujesz, Annie? - zapytał.

- Trochę lepiej. Kiedy siadam, już nie kręci mi się w głowie. I zaczęłam normalnie jeść, nie tylko papki.

- To cudownie, kochanie! - zagruchała ciotka. - Tak liczyłam, że kiedy trafisz w te luksusy, zaraz ci się polepszy. Ta ponura pielęgniara dobrze cię traktuje?

- Tak, ciociu. Jest bardzo fachowa.

- To akurat widać. Pewnie jest dobra w podawaniu pigułek, ale mnie tam by się nie chciało budzić ze śpiączki, gdybym miała oglądać jej ponurą gębę.

- Cała szkoła wysłała ci życzenia powrotu do zdrowia i wyrazy współczucia, Annie - powiedział Luke, usiłując zmienić temat.

- Podziękuj im ode mnie. I dzięki za piękną kartkę, którą mi przysłałeś. - Gestem głowy pokazałam na ścianę.

- Miałem nadzieję, że ci się spodoba.

- A gdzie kartka ode mnie? - zapytała Fanny, obejrzawszy wszystko, co wisiało nad moim łóżkiem.

- Wysłałaś mi kartkę, ciociu? Kiedy?

- O, już dawno. Długo szukałam, zanim wybrałam najlepszą. I pamiętałam o znaczku, więc nie mów, że zapomniałam, Luke - dodała szybko, uprzedzając jego teorię.

- Może dojdzie jutro, ciociu Fanny

- A może ta pielęgniarka specjalnie ją wyrzuciła?

- Dlaczego miałyby to robić?

- Licho ją wie! Od początku krzywo na mnie patrzyła, a mnie też się od razu nie spodobała. Źle jej z oczu patrzy i najchętniej wyrzuciłabym ją stąd na zbity tyłek.

- Ciociu!

- Mamo! - ostrzegł Luke.

- Dobra, już dobra - mruknęła.

- Przygotowałeś mowę pożegnalną, Luke? - zapytałam sztucznie wesołym tonem, przejęta żalem, że nie będę na uroczystości.

- Zostały jeszcze trzy dni. - Przeciągnął palcem po gardle na znak, że jeśli nie zdąży, będzie katastrofa. - Po raz pierwszy będę robił coś bardzo ważnego bez twojej obecności i wsparcia, Annie.

Cudownie było słyszeć, że jestem dla niego tak ważna, lecz byłam pewna, że doskonale poradzi sobie beze mnie. Był niezwykle zdolny i potrafił sprostać każdemu wyzwaniu. Nauczyciele w naszej szkole byli zachwyceni, kiedy Luke zgłaszał się do jakiegoś zadania, bo wiedzieli, że nie trzeba go poganiać i znakomicie się z tego wywiąże.

- Na pewno świetnie ci pójdzie, Luke. Szkoda, że nie będę mogła być tam z tobą.

- Luke przemawia do drzew za domem, tylko jakoś nie słyszałam oklasków - wtrąciła Fanny. Luke zagryzł usta. Matka go irytowała, podobnie jak mnie. - Mówię ci, Annie, jak te snoby z Winnerrow nie urządują Luke'owi owacji na stojąco, to...

- Mamo, prosiłem cię...

- Głównie się martwi o to, że nie będę umiała się zachować i nagadam tym nadętym ważniakom tak, że im w pięty pójdzie - wyjaśniła Fanny. Rozejrzała się po pokoju, po czym poleciała głośno: - Luke, bądź tak dobry i podsuń mi krzeselko, na którym wysiadywała ta stara kwoka.

Z niepokojem zerknęłam na drzwi, żeby sprawdzić, czy pani Broadfield przypadkiem nie usłyszała. Ale nie było jej. Najwyraźniej postanowiła trzymać się z daleka od mojego pokoju, dopóki urzęduje w nim ciotka Fanny.

Luke przysunął matce krzesło. Fanny usiadła, zdjęła kapelusz i delikatnie odłożyła go w nogi łóżka. Włosy miała starannie upięte. Pomyślałam, że coś się w niej zmieniło. Spojrzenie niebieskich oczu spoważniało. Przez moment przyglądała mi się intensywnie, zacisnąwszy usta, a potem wzięła mnie za rękę.

- Annie, kochanie, bardzo dużo ostatnio myślałam. Cały czas myślałam, prawda, Luke?

- Tak, nic innego nie robiła - przytaknął kpiąco.

Ciotka zauważyła, że popatrzyliśmy na siebie wymownie.

- Mówię poważnie.

- Tak, ciociu Fanny. Słucham cię. Mów. - Założyłam ręce na piersiach i mocniej oparłam się o poduszki. Nogi nadal miałam jak martwe. Musiałam przekładać je rękami, a pani Broadfield dwa razy dziennie masowała mi je i gimnastykowała.

- Postanowiłam, że przeprowadzę się do Hasbrouck House na czas twojego zdrowienia, bo ktoś musi dopilnować domu i służby, żeby robiła to, za co jej płacą. Zajmę jeden z pokojów gościnnych. Tyle ich tam jest, że kiedy Luke będzie przyjeżdżał z uczelni, też się dla niego znajdzie miejsce.

- Zaczynam studia już latem - dodał Luke. - Harvard ma letni program, w którym mogę uczestniczyć, i moje stypendium go obejmuje.

- To cudownie, Luke! Ciociu Fanny, czy powiedziałaś Drake'owi o swoich planach?

- A co, muszę mieć na wszystko zgodę Drake'a? Mam swoje prawa. Mój adwokat zajmie się sprawami dziedziczenia. Twoja mama była dla mnie tak dobra, że chcę się jakoś odwdzięczyć. I nikt mi nie powie, że ma być inaczej, ani Drake, ani już tym bardziej Tony Tatterton.

- Nie widzę powodu, żeby Tony miał się z tym nie zgodzić, ciociu Fanny.

- Tak czy owak Drake jeszcze się uczy, a ja jestem teraz najstarsza w rodzinie, więc muszę zadbać o wszystko. Drake wyjedzie, ciebie też nie będzie i ktoś musi pilnować spraw na miejscu. Jestem pewna, że Heaven by tego chciała.

- Nie mam nic przeciwko, żebyście ty i Luke wprowadzili się do Hasbrouck House, ciociu. I apróbuję twoje plany.

- Wielkie dzięki, Annie. To cudnie z twojej strony, że szanujesz swoją starą ciotkę. Jaka ona słodka, prawda, Luke?

- Tak. - Luke patrzył na mnie tak samo jak wtedy, kiedy opowiedział mi, co ciotka Fanny zrobiła z jego listem z Harvardu. Poczułam, że się rumienię, i szybko przeniosłam spojrzenie na ciotkę.

- Żałuję tylko, że nie będziesz się kurowała we własnym domu, Annie, tylko w tym

kamiennym pałacu, wśród obcych. Sama zajęłabym się tobą lepiej niż to nadęte, ponure babsko wynajęte przez Tattertona za ciężkie pieniądze. Twoja matka była najszczęśliwsza, kiedy mieszkała w Winnerrow. Oczywiście wtedy, kiedy była już starsza i bogata, a nie wcześniej.

- Dlaczego tak uważasz, ciociu? - Zastanawiałam się, ile zna tajemnic z przeszłości.

- Nie lubiła tych bostońskich bęcwałów - wyjaśniła szybko ciotka. - I miała niezłe przejścia z Tonym. Nie mówiąc już o jej świrowatej babce. To taki popieprzony dom, że biedaczce się całkiem pomieszało i już sama nie wiedziała, kim jest. No i się zabiła, co pewnie wiesz - powiedziała obojętnym tonem.

- Myślałam, że to był nieszczęśliwy przypadek.

- Jaki tam przypadek! Po mojemu któreś nocy poczuła, że dłużej nie wytrzyma w tym więzieniu, i łyknęła za dużo pigułek na sen. Nie wmówisz mi, że to był przypadek.

- Ale jeśli nie wiedziała, co robi ani kim jest, to przecież...

- Annie ma rację, mamó. To mogło się stać przypadkiem.

- Może. W każdym razie twojej mamie nie robiło dobrze mieszkanie w tym domu wariatów. I nie wierzę, że chciałyby być pochowane w jakimś marmurowym grobowcu w parku. Na pewno wolałyby nasze góry, gdzie by leżała razem ze swoją mamą.

Luke i ja wymieniliśmy szybkie spojrzenia. Wiedział, że często chodzę na stary cmentarz, aby posiedzieć przy grobie, na którym jest tylko napis: „Anioł, ukochana żona Thomasa Luke’a Casteela”.

- Choć twój tata chciałby pewnie tego marmurowego grobowca - dodała Fanny.

- Widzieliście go? - Szybko zerknęłam na Luke’a. Kiwnął głową i zagryzł usta.

- Tak, po drodze tutaj wstąpiliśmy z Lukiem na rodzinny cmentarz Tattertonów, żeby odwiedzić grób Heaven.

- Byłeś w Farthy, Luke?

- Na terenie posiadłości, bo tam znajduje się cmentarz. Do domu nie wchodziliśmy. Do cmentarza prowadzi osobny dojazd.

- Zresztą nikt nas tam nie zapraszał, Annie. Mogliśmy tylko popatrzeć na dom z daleka. Wydawał się taki zimny i opuszczony. - Fanny objęła się ramionami, jakby na to wspomnienie ogarnął ją chłód.

- Niewiele było widać, mamó - powiedział Luke, znów gromiąc ją spojrzeniem.

- Wyglądał jak jeden z tych starych zamków w Europie - upierała się. - Dlatego właśnie bym wolała doglądać cię w Hasbrouck House. Tamto stare domiszcze pewno jest nawiedzone i może przez to twoja prababka dostała świra.

- Och, mammo! - jęknął Luke.

- A żebyś wiedział! Logan opowiadał mi kiedyś, jak Jillian - bo tak miała na imię - gadała ze zmarłymi.

Luke odwrócił wzrok. Na każdą wzmiankę o kontaktach mojego ojca i jego matki reagował zażenowaniem.

- Nie musisz się tym martwić, ciociu. Tony ma wyremontować i przebudować Farthy tak, żeby było mi tam wygodnie - zapewniłam. - Ma już wszystko zaplanowane.

- Jasne. - Odwróciła wzrok, jakby nie chciała, żebym wyczytała coś z jej oczu.

- Ciociu Fanny, czy wiesz, czemu moja mama zerwała z nim wszystkie kontakty?

Pokręciła głową, wpatrzona w podłogę.

- Było coś pomiędzy twoimi rodzicami a nim. To musiało być niedługo przed sprawą sądową o przyznanie mi Drake'a. Wtedy ja i twoja mama trochę się poprzytykałyśmy, więc Heaven mi się nie zwierzała, a mnie głupio było pytać. Ale jestem pewna, że musiała mieć ważny powód, więc zastanów się, co robisz, póki nie będzie za późno - dodała, patrząc na mnie spod zmrużonych powiek.

- Ciociu, Drake uważa, że Tony jest cudowny. Załatwił mu na lato staż w swojej firmie i obiecał posadę.

- Dobra, jak sobie chcesz, Annie, ale bądź czujna, kiedy trafisz do tego zamczyska. Jeśli tylko coś będzie nie tak, jeśli będzie ci dokuczać ta pielęgniarka albo ktoś inny, dzwoń śmiało do cioci Fanny, a ja przylecę migiem i zabiorę cię do domu.

W głębi duszy zastanawiałam się, czy ciotka Fanny nie ma racji, jeśli chodzi o Tony'ego Tattertona. Czy istniały jakieś ukryte powody jego postępowania? Czy rzeczywiście w tym domu i w rodzinie przewija się wątek szaleństwa? Na razie postanowiłam, że podtrzymam swoją decyzję. Przeniecę się do Farthy i sama się przekonam, ile w tym wszystkim prawdy. Świadomość, że Luke i Drake będą niedaleko, w Bostonie, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Gdy zamieszkam w Farthy, Luke będzie miał dużo bliżej do mnie z Harvardu, niż gdybym wróciła do Winnerrow.

- Dzięki za troskę, ciociu, ale myślę, że wszystko będzie dobrze. Tu mogę liczyć na najlepszą opiekę medyczną, jaka jest dostępna w kraju.

- Ona ma rację, mammo.

- Wiem, że Annie potrzebuje fachowej opieki. Tylko że... a, nieważne. W razie czego dzwoń, przylecę na każde wezwanie. No, na nas czas. - Wyprostowała się, próbując wyglądać jak moja mama, kiedy miała ważne sprawy do załatwienia. - Zdaje się, że twoi rodzice nie zmienili zapisu, w którym kiedyś upoważnili Tony'ego Tattertona do zarządzania ich

majątkiem. A on to teraz wykorzystuje i kieruje fabryką.

- I wciąga w to Drake'a. W przyszłości pewnie przekaze mu fabrykę - powiedziałam.

- Papa byłby z tego dumny. - Fanny rozpromieniła się, ale moment później sięgnęła po chusteczkę, żeby dyskretnie obetrzeć łzę. - Teraz ty i Luke jesteście moją jedyną najbliższą rodziną, Annie. Tym bardziej muszę o was dbać. Odtąd będę się starać, żeby wypaść jak porządna matka i ciotka. Postaram się. Daję słowo.

Widać było, że bardzo pragnie przekonać nie tylko mnie, ale i samą siebie.

- Dziękuję, ciociu. - Doceniałam jej intencje, choć wątpiłam, czy zdoła wprowadzić je w czyn.

Pocałowałyśmy się. Oczy Fanny szklily się łzami. Ten widok pogłębił mój smutek, ale stłumiłam płacz. Ciotka znów się wyprostowała i wcisnęła chusteczkę do torebki.

- Pójdę sobie teraz na kawę do tego picownego barku - oznajmiła. - Obiecałam Luke'owi, że na jakiś czas zostawię was samych, choć bardzo bym chciała wiedzieć, co za sekrety ukrywacie przede mną.

Luke się zaczerwienił.

- To nie są sekrety, mamó. Mówiłem ci.

- Dobra, przecież nic nie mówię. Będę za dziesięć minut.

Wyszła. Kiedy tylko znikła za drzwiami, Luke przysunął się bliżej. Wzięłam go za rękę.

- Jak się naprawdę czujesz, Annie?

- Jest mi ciężko, Luke. Zwłaszcza kiedy się budzę i wraca mi pamięć - wyznałam łamiącym się głosem i znów się rozplakałam.

Luke obejmował mnie silnymi ramionami. Trwaliśmy tak długą chwilę, aż moje serce nabrało sił i łzy obeschły.

- Żałuję, że nic nie mogę dla ciebie zrobić. Często marzę, że już ukończyłem studia medyczne i szybko przywracam cię do zdrowia.

- Będziesz wspaniałym lekarzem - powiedziałam, kiedy przestało mnie ścisnąć w gardle.

- Szkoda, że teraz nim nie jestem.

- Mam bardzo dobrą opiekę - zapewniłam. - Drake przychodzi codziennie, a Tony robi dla nas wszystko. Postanowiłam, że pojedę do Farthy.

- Odwiedzę cię tam. Jeśli mi pozwolą.

- Oczywiście, że ci pozwolą!

- Zjawię się najszybciej, jak będzie można. Jeśli nadal będziesz na wózku, obwiozę cię po posiadłości. Możemy nawet zwiedzić labirynt i...

- Zawieziesz mnie na cmentarz?

- Z przyjemnością, Annie. To znaczy, chciałem powiedzieć...

- Może wkrótce będę mogła sama poruszać się na wózku, więc będziemy mogli się rozdzielać, a potem odnajdywać, jak w naszych marzeniach - dodałam szybko. Farthy było tak cudowne w naszych fantazjach.

- Możemy siedzieć nad basenem albo zajrzeć na kort tenisowy...

- I dalej będziesz moim księciem?

- Och, jeszcze bardziej niż kiedyś. - Luke wstał i przybrał księżęcą pozę. - Pani - powiedział, zamiatając w ukłonie podłogę wyimaginowanym piórem kapelusza - czy mogę cię zawieźć do ogrodu? Pojedziemy do altanki, gdzie przesiedzimy do zachodu słońca, rozmawiając i pijąc napój miętowy.

- Dobrze, mój księciu, ale obiecaj, że potem posłuchamy razem koncertu fortepianowego.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, pani - odparł, przyklękając przy łóżku i przyciskając moją dłoń do ust. Pocałował po kolei wszystkie palce i wstał. Oczy mu zabłyśły.

- Albo bylibyśmy parą arystokratów z Południa - przypomniał mi inną naszą fantazję.

- Wystrojonych na wytworne przyjęcie?

- Naturalnie. Ja miałbym smoking, a ty długą suknię, w której efektownie schodziłabyś ze schodów, jak Scarlett O'Hara w *Przeminęło z wiatrem*. I powiedziałałabyś do mnie...

- Powiedziałabyś: „Miło cię wiedzieć, Luke'u Casteel”.

- Annie, wyglądasz jeszcze piękniej niż kiedyś - odpowiedział, naśladując Clarka Gable'a z filmu. - Ale muszę się mieć na baczności. Dobrze wiem, jak manipulujesz mężczyznami, wykorzystując swoją oszałamiającą urodę.

- Nie tobą, Luke. Tobą nigdy nie manipulowałam.

- Żadnej innej kobiecie nie pozwoliłbym manipulować sobą, tylko jednej, jedynej Annie - wyznał z taką szczerością, że na moment zaniemówiłam.

- Lepiej się do tego nie przyznawaj - odpowiedziałam wreszcie.

Zaczęliśmy się śmiać. Po chwili spowaźniałam i popatrzyłam mu w oczy.

- Luke, jeszcze coś chciałabym zobaczyć. I ciągle o tym myślę.

- Co? - zapytał, a w jego szafirowych oczach pojawiło się zaciekawienie.

- Domek po drugiej stronie labiryntu. Muszę tam być.

- Pójdziemy tam razem.

- Mam nadzieję, Luke. - Ścisnęłam mu dłoń. - Obiecaj.

- Obiecuję, Annie. - Sprawiał teraz wrażenie bardziej dojrzałego i zdeteminowanego

niż zwykle. Przez moment patrzyliśmy sobie głęboko w oczy i zobaczyłam, że jego miłość do mnie jest jak ciepłe, krystaliczne jezioro, w którym mogłabym się cała zanurzyć. Nagle, jak powiew lodowatego wiatru, rozdzieliło nas wejście pani Broadfield.

- Pora zmienić opatrunek na głowie - powiedziała.

- Zaczekaj chwilę pod drzwiami, Luke.

- Poszukam mamy i sprawdzę, czy znowu nie narozrabiła.

Wrócili jeszcze na chwilę po obiedzie. Uzgodniliśmy, że Luke zadzwoni do mnie jutro i przeczyta mi ostateczną wersję swojej szkolnej mowy.

- Muszę coś jeszcze do niej dodać - rzekł. - A ty powinnaś usłyszeć to pierwsza.

Po południu zjawili się Drake i Tony.

- Słyszałem, że odwiedziła cię ciotka - powiedział Tony, wchodząc.

- Tak - odpowiedziałam, wpatrzona w Drake'a. Prezentował się świetnie w garniturze w czarno-białe prążki, w typie tych, jakie nosił Tony. Pomyślałam, że już wygląda na człowieka sukcesu. - Drake, ciocia Fanny chce się wprowadzić do Hasbrouck House, żeby dopilnować domu i spraw. Powiedziałam, że nie mam nic przeciwko temu.

- Co takiego?!

- Och, słyszałem, że to duży dom, nie będziecie sobie przeszkadzać - wtrącił Tony, rzucając na Drake'a spojrzenie, które ostrzegało: „Tylko nie denerwuj Annie!”.

Błysk w oczach Drake'a przygasł szybko.

- Jakoś damy radę, przynajmniej na razie. Ty przeniesiesz się do Farthinggale Manor, ja będę bardzo zajęty, więc nie będziemy sobie z Fanny wchodzić w drogę.

- Ona bardzo się stara. - Chciałam bronić Fanny; chciałam wierzyć, że naprawdę ma dobre chęci. - Potrzebuje rodziny. Wierzę jej i nie miałabym serca jej odmówić. Nie teraz.

Drake kiwnął głową.

- Masz dobre serce, Annie - powiedział Tony. - Myślisz o potrzebach innych, kiedy sama jesteś w wielkiej potrzebie. Cieszę się, że będę mógł gościć tak wspaniałą osobę u siebie w Farthinggale Manor.

- Och, a ja nie mogę się doczekać, kiedy tam przyjadę! - zawołałam z entuzjazmem.

Obaj się roześmiali - z tym że Drake najpierw zerknął na Tony'ego, by sprawdzić, czy jego mentor się śmieje. Zdumiało mnie, jak szybko Tony Tatterton zrobił z Drake'a swego wyznawcę i czeladnika. Jakże Drake się przy nim zmienił! Pierwszy raz widziałam, żeby do tego stopnia uległ czyjemuś wpływowi.

Tony wziął mnie za rękę.

- Chwalą cię, że jesteś idealną pacjentką. Pani Broadfield wygłasza peany na twoją

cześć - dodał, zerkając na pielęgniarkę. Tym razem nie zareagowała wymuszonym służbowym uśmiechem, tylko skinęła głową i posłała mi ciepłe, pełne aprobaty spojrzenie.

- Dziękuję. - Uśmiechnęłam się do niej.

- Jednego tylko nie mogę pochwalić, Annie - podjął Tony. - Ukrywasz przede mną coś ważnego.

- Ja? Ukrywam?

- Drake powiedział mi, że jesteś zdolną malarką.

- Och, Drake, stanowczo przesadziłeś!

- Tylko prawdę powiedziałem, Annie. Jesteś naprawdę dobra - stwierdził z niezachwianą pewnością.

- Dopiero uczę się malować. - Nie chciałam, żeby Tony doznał rozczarowania, zobaczywszy moje prace.

- Skoro tak, znajdę najlepszego nauczyciela malarstwa w mieście i zatrudnię go w Farthy, żeby dawał ci lekcje.

W zamyśleniu obserwował mnie spod zmrużonych powiek, czekając, jak zareaguję, a ja zastanawiałam się, o co mu chodzi. Co takiego widzi we mnie, czego ja sama nie dostrzegam?

- I jeszcze jedna niespodzianka. - Tony sięgnął do kieszeni i wręczył mi pudełeczko - takie, w jakim trzyma się biżuterię. Otworzyłam je i zobaczyłam wspaniały złoty pierścionek z perłą. - Długo szukałem w rzeczach twojej babci i znalazłem coś, co moim zdaniem będzie świetnie wyglądać na twojej dłoni. - Wziął ode mnie pierścionek i delikatnie nasadził mi go na palec lewej ręki. Nie wydawał się zdziwiony, gdy okazało się, że pierścionek pasuje, jakby był zrobiony na miarę.

- Jaki piękny! - szepnęłam z zachwytem. Nie kłamałam. Perła była duża i osadzona w różowym złocie.

Wysunęłam rękę i obróciłam ją, żeby Drake też mógł zobaczyć. Skinął głową.

- Piękny - przyznał.

- W swoim czasie wszystko, co mam i co należało do twojej prababci, będzie twoje, Annie - obiecał Tony.

- Nie wiem, co powiedzieć i jak mam ci dziękować. Przecież tyle już mi dałeś!

- Po prostu przyjedź do Farthinggale Manor i wyzdrowiej tam. To będzie najlepsze podziękowanie i największa radość dla mnie.

Znów miałam zapytać, dlaczego to robi, i znów się powstrzymałam. Stwierdziłam, że zaczekam z pytaniami do czasu pobytu w Farthinggale Manor. Tam narodziły się tajemnice mojej mamy i tam powinny zostać rozwiązane.

Nazajutrz w umówionym czasie Luke zadzwonił do szpitala, żeby przeczytać mi nową część swojej przemowy.

- Wszyscy w Winnerrow wiedzą o twojej rodzinnej tragedii, Annie. Kiedy na uroczystości dyrektor wywołał mnie, żebym wygłosił mowę, od razu sobie o tym pomyślał. Dlatego wiele myślałem o Heaven i o tym, czego by ode mnie oczekiwała, co chciałaby, żebym powiedział. Dobrze wiesz, że twoja mama była dla mnie inspiracją - może nawet największą inspiracją w życiu, gdyż urodziła się w nędzy, miała trudne życie i musiała walczyć z przeciwnościami losu, który doświadczał ją bardzo ciężko. A jednak zawsze była dumna, dobra i piękna. Wasz dom był dla mnie zawsze otwarty i nie czułem się tam nieproszonym gościem, lecz wiem, że moja obecność była dla niej bolesna.

- Och, Luke, mama nigdy...

- Nie, Annie, to zupełnie zrozumiałe i naturalne uczucie. Rozumiem i... - Głos mu się załamał. - Kochałem ją za tę dobroć. Naprawdę kochałem. Niech Bóg mi wybaczy, kochałem ją bardziej niż własną matkę.

- Myślę, że o tym wiedziała, Luke.

- Z pewnością. I dlatego postanowiłem dodać ten fragment. Gotowa?

- Zamieniam się w słuch.

Wyobraziłam go sobie na drugim końcu linii, wyprostowanego, z poważną miną, czytającego do słuchawki.

- Biblia mówi nam, że wszystko ma swój czas. Jest czas rodzenia i czas umierania; czas światła i czas mroku. Dzisiejszy dzień należy do czasu światła i jest cudowny, słoneczny - ale dla mojej rodziny ciągle trwa czas mroku. Jestem jednak pewien, że moja ciotka i... mój ojciec pragnęliby, abym pozostał w świetle rozjaśniającym ciemności i myślał tylko o tym, co ów dzień znaczy dla mnie i całej rodziny. Oznacza on szczęście i nowe perspektywy. Oto kolejny spadkobierca rodu zapoczątkowanego przez Toby'ego Casteela i jego żonę Annie wyszedł z nędzy Wzgórz Strachu, aby stać się w życiu tym, kim pragnie być. Dlatego dedykuję ten dzień pamięci Logana i Heaven Stonewallów. Dziękuję wam.

Nie mogłam utrzymać słuchawki przy uchu. Upuściłam ją na łóżko i płakałam, płakałam, płakałam.

- Annie! - wołał Luke w słuchawce. - Och, Annie, nie chciałem, żebyś tak płakała!

Pani Broadfield, która na korytarzu rozmawiała z dyżurną pielęgniarką, wpadła do pokoju.

- Co się stało?

Musiałam parę razy zaczerpnąć oddech, zanim wróciła mi zdolność mówienia. Ponownie sięgnęłam po słuchawkę.

- Luke, przepraszam. To było piękne. Ale czy naprawdę uważasz, że... - Zawahałam się na moment. - Że powinieneś powiedzieć...

- O swoim ojcu? Tak, Annie. Zwłaszcza w tym dniu. Chcę, żeby prawda wybrzmiała mocno i donośnie; chcę pokazać, że jestem dumny z tego, kim jestem. Podobałoby mu się to, prawda?

- Nie wiem. Po prostu chodzi mi o twoje dobro i opinię...

- Opinia się nie liczy. Idę na studia i w tym jednym przypadku całkowicie zgadzam się z matką - nie obchodzi mnie zdanie hipokrytów z Winnerrow.

- Żałuję, że nie będę tam z tobą, Luke.

- Będziesz przy mnie, Annie. Wiem, że będziesz moimi myślami.

Znow zaczęło mnie dławić w gardle. Ukryłam twarz w dłoniach.

Pani Broadfield z gniewną miną podeszła do łóżka.

- Dosyć tego! - zawołała. - Odłóż słuchawkę. Rozmowa za bardzo cię wzburza.

Wyjęła mi słuchawkę z ręki, zanim zdążyłam zareagować.

- Tu mówi Broadfield - odezwała się do mikrofonu.

- Niestety, Annie nie może kontynuować tej rozmowy. Jest zbyt słaba i źle znosi napięcia emocjonalne.

- Proszę oddać mi słuchawkę, pani Broadfield - błagałam.

- Zakończ tę rozmowę - nakazała. - Ona ci tylko zaszkodzi.

- Już będę spokojna. Obiecuję.

Niechętnie oddała mi słuchawkę.

- Przepraszam - powiedział Luke. - Nie chciałem...

- Nic się nie stało, Luke. Muszę być silna. Płakałam ze szczęścia, bo cieszę się i życzę ci jak najlepiej.

- Życz jak najlepiej nam obojgu, Annie.

- Spróbuję.

- Zadzwoń do ciebie zaraz po uroczystości i opowiem, jak wyszło.

- Dobrze, tylko nie zapomnij.

- Już prędzej zapomnielibym o oddychaniu - zapewnił.

- Powodzenia, Luke.

Oddałam słuchawkę pani Broadfield, która szybko odłożyła ją na widelki.

- Musisz zdać sobie sprawę ze swojego stanu, Annie - powiedziała. - Doznałaś nie tylko

urazu fizycznego, ale i psychicznego. To może się utrzymywać miesiącami.

Łzy i udręka sprawiły, że serce zaciężyło mi w piersi jak kamień. Tak ciężki, że nie mogłam oddychać. Czułam, jak krew ucieka mi z twarzy i policzki stają się lodowate. Jeszcze dotarł do mnie krzyk pani Broadfield: „Szybko!” - i wessała mnie studnia mroku.

Rozdział ósmy

Z ZALECENIA LEKARZA

Miałam wrażenie, jakbym spadała w długi ciemny tunel, ale daleko w głębi majaczyło światło. Byłam coraz bliżej i bliżej, aż w końcu zaczęłam słyszeć szmer, jakby wielu ludzi naraz szeptało; potem szepty stały się głośniejsze, brzmiały jak bzyczenie setek much za szybą w gorące letnie popołudnie. Wreszcie bzyczenie zmieniło się w słowa i wypadłam z tunelu w oślepiający blask.

Naprawdę świeciło mi w twarz jaskrawe światło.

- Budzi się - powiedział ktoś.

Snop światła przesłonił głową doktor Malisoff.

- Witam, jak się masz, Annie?

W ustach miałam sucho. Przeciągnęłam językiem po wargach.

- Co się stało?

Odwrociłam głowę. Zobaczyłam przy umywalce panią Broadfield rozmawiającą z asystentem Malisoffa, doktorem Carsonem. Gestykulowała z przejęciem, najwyraźniej opisując, co się ze mną działo. Jeszcze nie widziałam jej tak ożywionej.

- Cóż, Annie, to częściowo moja wina - powiedział doktor. - Powinienem cię ostrzec, że jesteś bardzo osłabiona emocjonalnie. Za bardzo skupiliśmy się na twoim stanie fizycznym, zaniedbując sferę psychiki. Twoje rany są głębsze, niż się wydawało.

Zdjął mi zimny okład z czoła i oddał pani Broadfield. Usiadł przy łóżku.

- Pamiętasz, jak zapytałaś mnie, czy coś jest z tobą nie tak, a ja się roześmiałem? - Kiwnęłam głową. - No właśnie, nie powinienem się śmiać. Powinienem ci powiedzieć, że doznałaś także urazów psychicznych. Może nie doszłoby do tego, co stało się dzisiaj.

- Ale co się stało? Pamiętam tylko, że poczułam ciężar w piersi i...

- Straciłaś przytomność. Z napięcia emocjonalnego. Nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo jesteś słaba i podatna na stresy, gdyż zapewniamy ci tu komfort i najlepszą opiekę. Jednak wypadek spowodował u ciebie rozmaite szkody i twoja psychika jest równie obolała jak ciało. Jesteś przewrażliwiona, jakbyś nie miała skóry. Znasz to powiedzenie, że ktoś jest gruboskórny, prawda? Wcale nie jest takie głupie. Chronimy nasze uczucia, naszą psychikę na wiele sposobów, ale twoja bariera ochronna została poważnie uszkodzona. Dlatego jesteś tak bezbronna, przewrażliwiona, nerwowa. Rozumiesz teraz?

- Chyba tak.

- Od tej pory musimy pamiętać, że twoja rekonwalescencja fizyczna może być opóźniona albo nawet całkowicie zatrzymana, jeśli nadal będziesz cierpieła emocjonalnie. Człowiek nie może być fizycznie zdrowy, jeśli jest w złym stanie psychicznym. I ten aspekt zaniedbałem. Powinienem cię bardziej chronić, przynajmniej dopóki się nie wzmocnisz, dopóki nie zgrubieje twoja emocjonalna skóra. Na tym teraz musimy się skupić.

- Co to dokładnie znaczy? - Narastał we mnie niepokój. Trudno się szybko pozbierać komuś, kto stracił oboje rodziców, został na wpół sparaliżowany i zaważyło mu się całe życie. Miałam poczucie, jakbym bez przerwy płakała i rozpaczała, lecz zamykałam te łzy w swoim sercu, aby inni nie musieli na to patrzeć i wysłuchiwać moich żalów. A pan doktor mówi mi, że jestem psychicznym wrakiem! I zabiera mi całą nadzieję, że jednak potrafię być silna. Zupełnie jak gdyby kazał mi spojrzeć w lustro, abym zobaczyła siebie w kompletnej rozsypce. Wzdrygnęłam się mimo woli.

- Pani Broadfield powiedziała mi o twoich gościach i rozmowach telefonicznych. - Ściągnął brwi, aż pogłębiły się bruzdy na czole. - Musimy na razie ograniczyć te kontakty, aby cię chronić. Zdaję sobie sprawę, że nie będziesz tym zachwycona, ale na razie, dopóki nie wydobrzejesz, musisz nam zaufać i pozwolić, abyśmy zrobili wszystko, co będzie najlepsze dla ciebie i pozwoli ci szybko powrócić do normalnego życia. Chyba też ci na tym zależy, prawda?

- Nie przychodziło do mnie wielu gości... tylko Tony i Drake oraz ciocia i Luke. A dzwonił do mnie tylko Luke - tłumaczyłam się.

Doktor odwrócił się do pani Broadfield, która miała minę, jakby słuchała bredni.

- Annie, nie jest istotne, ilu ludzi do ciebie przychodzi albo ilu dzwoni. Ważne, jak te wizyty czy rozmowy wpływają na ciebie. - Doktor Malisoff mówił z nieznośną troską w głosie. - Można powiedzieć, że masz wielkie szczęście. Twoja rekonwalescencja będzie się odbywać w miejscu wprost do tego wymarzonego, równie dobrym jak klinika. Będziesz chroniona przed światem zewnętrznym, otoczona troskliwą i czułą opieką. Tam twoje ciało i twój umysł zyskają szansę wyzdrowienia. Nastąpi ono tym szybciej, im bardziej będziesz chroniona przed problemami i emocjami innych.

Poklepał mnie po dłoni i wstał.

- Czy mogę liczyć na twoje zaufanie i współpracę, Annie?

- Tak - powiedziałam głosem tak słabym i piskliwym, jakby należał do małej dziewczynki. Może znów byłam małą dziewczynką. Cofnęłam się do czasów, kiedy płakałam z byle powodu i często byłam smutna, tylko teraz nie było już taty i mamy, którzy by mnie tulili i pocieszali.

- Bardzo się cieszę.

- Czy to oznacza, że będę musiała dłużej zostać w szpitalu?

- Zobaczymy.

- Co z nią? - W drzwiach pojawił się Tony. Twarz miał zaczerwienioną, siwe włosy zmierzwiłone, ciemnoniebieski garnitur wymięty. Wyglądał, jakby biegł przez całą drogę.

- Już dobrze - zapewnił go doktor Malisoff. - Nie musiał pan tak gnać, panie Tatterton. - Zerknął na panią Broadfield, która układała ręczniki.

- Dzięki Bogu - wysapał Tony. - Myślałem... co się właściwie stało?

- Och, mała zapasć wynikła z wyczerpania emocjonalnego. Właśnie rozmawiałem z Annie o tym. Teraz już rozumie, jak powinniśmy postępować, prawda, Annie? - Doktor znów poklepał mnie po dłoni i skierował się do wyjścia.

- Chwileczkę! - zawołał za nim Tony.

Razem wyszli na korytarz. Słyszałam, jak rozmawiają ściszymi głosami. Pani Broadfield podeszła do mojego łóżka, żeby wstrząsnąć mi poduszkę i wygładzić koc. Była sztywna, chłodna i miała surowe spojrzenie.

- Chyba nikt pani za to nie wini? - upewniłam się, sądząc, że tym się dręczy.

- Mnie? Dlaczego ktoś miałby mnie obwiniać? Nie byłam władna ukrócić twoich wizyt czy telefonów.

- Po prostu myślałam...

- Nie, nie, Annie. Przynajmniej teraz wszyscy zgadzają się ze mną - powiedziała. Szeroki, pełen satysfakcji uśmiech pojawił się na jej obliczu i przypominała mi teraz aroganckiego kota, który szykuje się do drzemki na miękkiej kanapie.

Chwilę później wrócił Tony.

- Na pewno czujesz się lepiej?

- O tak.

Był zatroskany; jego niebieskie oczy przygasły, pogłębiły się bruzdy na czole.

- Ja też zachowałem się nieodpowiedzialnie. Powinienem wiedzieć, że....

- Nic nie da, jeśli wszyscy będą obwiniali siebie albo jedni drugich - przerwałam mu. - Było, minęło i zapomnijmy o tym.

- Przeciwnie, o tym nie można zapomnieć. Doktor przekazał mi wszystko, co powiedział tobie, i przyznałem mu rację. Trzeba wydać nowe dyspozycje.

- Nowe dyspozycje?

Ruchem głowy dał znak pani Broadfield. Pielęgniarka podeszła do telefonu i wyjęła kabel z wtyczki.

- Mój telefon! - zaprotestowałam.

- Na razie nie będzie rozmów, Annie. Takie jest zalecenie lekarza.

- Ale Luke ma zadzwonić po zakończeniu szkoły, żeby powiedzieć, jak mu poszło przemówienie! - krzyknęłam z rozpaczą.

- Jak tylko stąd wyjdę, zejdę do centralki na dole i poproszę operatora, żeby przekierowywał wszystkie twoje telefony do mojego biura, gdzie ja albo Drake będziemy je przyjmować za ciebie. I natychmiast będziemy ci przekazywali informacje. Obiecuję, a chyba już wiesz, że dotrzymuję obietnic, prawda?

Odwrociłam wzrok. Wiedziałam, że Luke będzie się obwiniał za mój stan. Z drugiej strony bardzo chciał podzielić się ze mną wrażeniami po uroczystości. Czułam, że łzy znów napływają mi do oczu, moje biedne serce zaczęło głośno łomotać w piersi. Przypomniałam sobie uwagi doktora Malisoffa. Muszę wyrobić sobie grubą skórę, bo inaczej nie wyzdrowieję. Trudno, będę stosować się do zaleceń.

- Wszyscy chcemy dla ciebie dobrze, Annie. Masz najlepszych lekarzy. Jeśli będziesz ich słuchać, błyskawicznie dojdiesz do zdrowia. Uwierz mi, proszę.

- Wierzę ci, Tony. Tylko szkoda mi Luke'a.

Tony popatrzył na mnie z ogromną czułością i współczuciem.

- Wiesz co? Zrobimy tak: wyślę mu w twoim imieniu telegram z życzeniami powodzenia na nowej drodze życia. To powinno mu poprawić nastrój, prawda?

- Świetny pomysł! - ucieszyłam się.

- Poza tym... zadzwonię do niego i osobiście zapewnię, że wszystko jest z tobą w porządku, tylko lekarze wydali nowe zalecenia i przez jakiś czas trzeba cię zostawić w spokoju.

- Powiedz mu jeszcze, żeby nie winił się za ten telefon do mnie - poprosiłam.

- Och, oczywiście. A jeśli mi nie uwierzy, poproszę doktora, żeby mu to potwierdził. - Spowaźniał nagle. - Zrobię wszystko co w mojej mocy, żebyś stanęła na nogi i jak najszybciej znów była szczęśliwa. Nie będzie to łatwe, gdyż straciłaś ludzi, których najbardziej kochałaś, ale w miarę możliwości chciałbym ci ich zastąpić. Czy pozwolisz mi na to?

- Tak - szepnęłam oszołomiona determinacją w jego głosie. Czy w ten sam sposób błagał moją matkę o wybaczenie? Jeśli tak, jak mogła pozostać nieczuła?

- Dziękuję, Annie. A teraz już pójdę, bo musisz odpocząć. Przyjdę po południu. - Pocałował mnie w czoło. - Drake też czeka na wieści o tobie.

- Pozdrów go ode mnie.

- Pozdrowię. Muszę powiedzieć, że świetnie mu idzie. To urodzony menedżer, ambitny

i pewny siebie. Przypomina mi mnie, kiedy byłem w jego wieku - dodał z nutą dumy w głosie.

Koniec z telefonami i wizytami. Och, trudno, jakoś to wytrzymam, pomyślałam. Przecież niedługo będę w Farthy. Miałam nadzieję, że magia, w którą tak wierzyliśmy z Lukiem, naprawdę przenika tę posiadłość i przyspieszy moje wyzdrowienie.

Pani Broadfield, uzbrojona w zalecenia pana doktora, zmieniła się w żywą fortecę. Nawet Różowe Damy musiały uzyskać jej pozwolenie, żeby wejść do mnie. Prawie cały czas drzwi mojego pokoju były teraz zamknięte. Znienawidziłam tę ochronę. Skazana na samotność, rozpaczałam za rodzicami. Kiedy pani Broadfield zastawała mnie we łzach, zamiast pocieszać, łajała mnie i ostrzegała, że znów grozi mi załamanie. Ale co mogłam na to poradzić, skoro ciągle wspominałam piękny uśmiech mamy, którego już nigdy nie zobaczę? Albo cudowny, ciepły głos taty, którego już nigdy nie usłyszę?

Zgodnie z obietnicą nazajutrz Tony przybył do szpitala zaraz po telefonie do Luke'a, żeby przekazać mi, jak wyglądała uroczystość.

- Pogoda była idealna, ani jednej chmurki. Powiedział, że na widowni podniósł się szum, kiedy został zaanonsowany i wszedł na mównicę. Podkreślał parę razy, abym przekazał ci, że po przemówieniu otrzymał owację na stojąco. Podobno jego mama pierwsza zerwała się z miejsca, ale reszta zaraz do niej dołączyła. I wszyscy pytali o ciebie.

- Och, Tony, jaka szkoda, że nie mógł sam do mnie zadzwonić! - jęknęłam.

- Nie, nie. Absolutnie rozumie. To wspaniały chłopak, dla którego najważniejsze jest twoje dobro. Specjalnie zaznaczył, że mam ci przekazać, abyś się o niego nie martwiła. Tylko staraj się jak najszybciej wyzdrowieć. - Wyprostował się i twarz mu się rozjaśniła; najwyraźniej pragnął mi oznajmić jakąś ważną nowinę. - A teraz słowa, na które czekałaś: doktor Malisoff podpisał zgodę na twoje wyjście ze szpitala. Jutro zabieram cię do Farthy.

- Naprawdę? - Wiadomość była ekscytująca, ale zarazem mnie zasmuciła i wzmogła moje napięcie. Wreszcie miałam zobaczyć Farthinggale Manor, zamek z bajki, o którym marzyłam przez całe życie. Tyle że miałam przybyć tam w żałobie. Nie dane mi będzie wkroczyć na te wielkie, szerokie schody z mamą i tatą u boku. Znajdę się w Farthy jako sierota i inwalidka.

- Skąd taka smutna mina? - Uśmiech Tony'ego przybladł.

- Myślałam o rodzicach i o tym, jak byłoby cudownie, gdybyśmy razem przyjechali do Farthinggale Manor.

- O tak. - Jego spojrzenie znów stało się zamglone i nieobecne. - To byłoby cudowne. -

Szybko wrócił do rzeczywistości i dodał: - Zamówiłem dla ciebie najlepszy wózek inwalidzki, jaki jest na rynku. Dostarczą go dziś po południu i pani Broadfield nauczy cię, jak się nim posługiwać.

- Wielkie dzięki, Tony. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś i co stale robisz.

- Już ci mówiłem, jak masz mi dziękować. Po prostu szybko zdrowiej.

- Próbuję.

- Zatem jutro zaczniesz wielką podróż powrotną do zdrowia i szczęścia.

Pochylił się, żeby swoim zwyczajem pocałować mnie w policzek, ale zatrzymał usta tuż nad moją twarzą, chciwie wdychając zapach.

- Używasz jaśminowych perfum. Dobrze, że są tego całe litry w Farthy. - Pocałował mnie i jego wargi zostały dłużej na skórze, niż się spodziewałam. Kiedy wreszcie się wyprostował, jego spojrzenie nabrało niespotykanej intensywności. - Wiele jest jeszcze w Farthy rzeczy przeznaczonych specjalnie dla ciebie - dodał.

- Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę!

Mniej więcej w godzinę po jego wyjściu dostarczono wózek przewiązany szeroką różową wstążką. Pani Broadfield zdjęła ją szybko i rozłożyła wózek. Miał lśniąca, chromowaną ramę, siedzenie z miękkiej brązowej skóry i wyściełane podłokietniki. Nawet wsporniki na stopy były wyściełane.

- Musiał być wykonany na zamówienie - oceniła pani Broadfield. - Jeszcze takiego nie widziałam.

Podprowadziła wózek do łóżka i po raz pierwszy miałam przedsmak tego, jak będzie wyglądał mój dzień, zaczynający się od przeniesienia mnie z łóżka na wózek inwalidzki.

Najpierw maksymalnie podniosła oparcie łóżka, aż przyjąłam pozycję siedzącą. Potem zdjęła koc z moich nóg, uniosła je i przełożyła przez krawędź łóżka. Zwisły bezwładnie w dół. Nie bolały mnie; wcale ich nie czułam.

Następnie pani Broadfield obeszła łóżko, wsunęła mi ręce pod pachy i ustawiła mnie tak, że mogłam się zsunąć na wózek, którego prawą poręcz wcześniej opuściła. Czułam się jak małe dziecko. Okropnie było tak całkowicie zależeć od kogoś, ale cóż miałam zrobić...

Kiedy znalazłam się na wózku, pielęgniarka ustawiła mi stopy na wspornikach.

- Ta mała dźwignia to hamulec do stopowania wózka, żeby się sam nie toczył - poinstruowała. - Nie musisz używać wiele siły, żeby go ruszyć z miejsca. Potem, gdy się rozpędzi, wystarczy popychać go lekkimi, równymi ruchami. Kiedy będziesz chciała skręcić w prawo, przytrzymaj tę metalową obręcz przy kole, a w lewo - tamtą. No, poćwicz - zakomenderowała i niepewnie wytoczyłam się z pokoju.

Jak żałowałam, że nie ma ze mną Luke'a ani Drake'a. Brakowało mi ich wsparcia. Drake pewnie by zażartował, że wyglądam jak mała dziewczynka, która uczy się jeździć na trójkołowcu. Luke też pewnie skomentowałby z humorem moją jazdę, choć oczy miałyby smutne i zatroskane. Tymczasem musiałam się zadowolić asystą pani Broadfield, która szła obok, dając mi kolejne rady, aż wreszcie uznała, że wystarczy na pierwszy raz. Zawiozła mnie do łóżka, zdjęła z wózka i ułożyła w pościeli. Następnie odprowadziła wózek do kąta i podała mi kolację.

Leżałam, patrząc na wózek i myśląc, że od tej pory będę się musiała z nim zaprzyjaźnić. Choć Tony bardzo się starał, żeby mój sprzęt wyglądał jak wygodny fotel, trudno było ukryć jego prawdziwe przeznaczenie. Byłam inwalidką skazaną na ciągłą obsługę przez innych i na mechaniczny sprzęt. Na razie żadne pieniądze i żadna, nawet najlepsza pomoc nie były w stanie tego zmienić. Tylko ja mogłam to zmienić i byłam zdeterminowana, że wreszcie mi się uda.

Nazajutrz od rana trwał taki ruch wokół mojej osoby, że pani Broadfield najchętniej zamknęłaby drzwi na klucz, by mnie izolować. Szpitalne pielęgniarki, które wpadały na krótkie pogawędki albo pożyczwały magazyny, teraz zaglądały, żeby się pożegnać i życzyć mi zdrowia i szczęścia. Przychodziły też salowe i inny personel. I oczywiście Różowe Damy.

Poprzedniego wieczoru Tony przyniósł mi pudło z bardzo elegancką sukienką. Choć wyglądała na nową, zobaczyłam, że ma fason sprzed dwudziestu, trzydziestu lat.

- Należała do twojej mamy - wyjaśnił. - Kupiłem ją dla niej, kiedy miała pójść do szkoły w Winterhaven. Masz podobny rozmiar jak ona wtedy. Podoba ci się?

- Jest piękna, Tony. Tylko że dzisiaj takich się nie nosi. Ale skoro należała do mamy...

- Twoja mama wyglądała w niej pięknie. Poza tym, Annie, nie możesz być niewolnicą mody. Piękne stroje są ponadczasowe. Dzisiejsze dziewczęta tego nie rozumieją; są opętane najnowszą modą, reklamami, ulotnymi trendami. Jestem pewien, że odziedziczyłaś po mamie świetny gust i docenisz ten styl.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Mama chciała, żebym ładnie wyglądała, ale niczego mi nie narzucała i nosiłam, co chciałam. Tacie podobałam się w luźnych T-shirtach i dzinsach. Czasami nazywał mnie „Miss Be-Bop”.

W jednym tylko Tony mnie wyczuł - lubiłam modę i stroje bardziej niż inne dziewczyny w moim wieku. To też przejęłam po mamie.

- Przyniosłem tę sukienkę, żebyś włożyła ją jutro, w tym specjalnym dniu, kiedy wyjdiesz ze szpitala i wrócisz do Farthy.

- Wróć?

- Chciałem powiedzieć, że wrócisz ze mną do Farthy - poprawił się szybko. - Poza tym myślę, że ubranie mamy przyniesie ci szczęście.

Nazajutrz pani Broadfield pomogła mi się ubrać i na wózku podjechałam do lustra, które znajdowało się nad umywalką. Widziałam siebie tylko od pasa w górę, ale i tak zauważyłam, że w tym stroju bardzo przypominam mamę. Pani Broadfield była tak uprzejma, że pomogła mi się uczesać. Specjalnie ułożyłam włosy podobnie jak mama na zdjęciach z młodości. Choć jej były o ton ciemniejsze od moich, miały tę samą gęstość i miękkość, i tak samo się układały.

Kiedy przyszedł Tony, dosłownie pochłaniał mnie wzrokiem. Aż poczułam się nieswojo.

- Jestem gotowa - powiedziałam, żeby wytrącić go z tego dziwnego transu.

Jego spojrzenie znów stało się bystre.

- Tak, tak, Annie, idziemy. - Wyglądał o kilkanaście lat młodziej, co mogło być zasługą letniego jasnoniebieskiego garnituru w tym samym odcieniu co jego oczy. Policzki miał zaróżowione, twarz mu się wygładziła, włosy wydawały się bardziej bujne i lśniące niż zwykle. Pani Broadfield pchała mój wózek do windy, a Tony szedł obok. Pielęgniarki z mojego piętra jeszcze raz życzyły mi szczęścia i pomachałam im na pożegnanie.

Puls dudnił mi w uszach. W tle tego dudnienia wciąż odzywał się głos taty wołającego moje imię, choć echa koszmarne wypadku trochę już przycichły.

Obejrzałam się na szpitalny korytarz, zanim się zamknęły drzwi windy. Pielęgniarki i lekarze powrócili do swoich obowiązków. Dla nich byłam już tylko kartą z nazwiskiem, którą trzeba przenieść do archiwum. Nagle przypomniałam coś sobie.

- Moje kartki! Zostawiłam je na ścianie!

- Kartki? A, te z życzeniami. Nie martw się, każę odesłać do Farthy - obiecał Tony, ale i tak zrobiło mi się smutno, że je zostawiłam. Zabawną kartkę od Luke'a, śliczną od Drake'a... W tym momencie uświadomiłam sobie, że nie zabrałam z Winnerrow niczego, że nie mam nic na pamiątkę od Luke'a.

Winda zjechała na dół i podprowadzono wózek do limuzyny.

- Annie, to jest Miles, mój wierny szofer. Woził twoją mamę i dobrze ją znał - powiedział Tony.

- Bardzo mi miło, panno Annie, i cieszę się, że wyszła pani ze szpitala. - Miles uchylił służbową czapkę. Zobaczyłam uśmiech w jego oczach i na jego wargach, szczery i szczęśliwy. Z pewnością przypominałam mu mamę.

- Dziękuję, Miles.

Otworzył dla mnie tylne drzwi. Pani Broadfield pomogła mi przesiąść się z wózka na kanapę. Tony uparł się, żeby pomóc. Wsiadł z drugiej strony i delikatnie wciągnął mnie do wnętrza samochodu. Na moment przytulił mnie do siebie i jego wargi musnęły mój policzek. Byłam zaskoczona, bo niemal rozgniółł mnie na swojej piersi. Potem kazał Milesowi złożyć fotel i zapakować do bagażnika. Pani Broadfield usiadła z nami z tyłu i tak zaczęła się moja podróż do Farthinggale Manor. Wiedziałam, że zapamiętam ją na zawsze.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział dziewiąty

MARZENIA I RZECZYWISTOŚĆ

Wyglądałam przez okno limuzyny. Z początku dzień był szary i ponury, lecz nagle jasne promienie słońca przedarły się przez chmury i odsłonił się szeroki pas łagodnego błękitu, który przypomniał mi leniwe letnie dni w Winnerrow. Może Bóg wreszcie zechce zesłać na mnie swój blask.

Kiedy obejrzałam się do tyłu, zobaczyłam, jak ogromny jest szpital Boston Memorial, zwłaszcza w porównaniu ze szpitalem w Winnerrow. Przejechaliśmy przez miasto. Skończyła się zwarta zabudowa i z rzadka tylko pokazywały się domy rozrzucone wśród łąk i lasów.

- Wygodnie ci? - dopytywał się Tony. Poprawił mi poduszki pod plecami i pod pupą, które podłożyła mi pani Broadfield.

Z zainteresowaniem oglądałam mijane krajobrazy, a limuzyna pędziła autostradą ku Farthingale Manor.

- Pamiętam dzień, w którym Jillian i ja odebraliśmy twoją mamę z lotniska i wieźliśmy ją do Farthy. Wyglądała tak samo świeżo i niewinnie jak ty; była tak samo żywa i ciekawa świata. A jednocześnie zdenerwowana. Jillian, twoja prababcia, nie wiedziała, że Heaven ma u nas zostać na stałe. Myślała, że będzie to krótka wizyta. - Roześmiał się. - Jillian bardzo zależało, żeby nikt nie znał jej prawdziwego wieku, toteż poprosiła... nie, zażądała, żeby twoja mama mówiła do niej po imieniu i nigdy nie nazywała jej babcią.

- Mama dziwnie się z tym czuła.

- Nie dawała nam tego poznać. Była bardzo ładną dziewczyną, wyjątkowo mądrą jak na swój wiek. - Tony zamilkł na moment i zapatrzył się w okno, pogrążony we wspomnieniach. Wreszcie westchnął i wrócił do rzeczywistości. - Niedługo dojedziemy - powiedział, gdy samochód zjechał z autostrady na lokalną szosę. - Patrz w prawo i wyglądaj przerwy w drzewach. Pierwszy widok Farthy robi wrażenie.

- Ile lat ma Farthy?

- Posiadłość zbudował mój prapraprapradziadek w 1850 roku, ale wiek nie ma tu znaczenia. To dom równie luksusowy i wygodny jak dzisiejsze. Wiele gwiazd filmowych i przedsiębiorców pragnęło go kupić.

- A sprzedałbyś?

- Skąd, za żadną cenę. Posiadłość jest jak... jak moje nazwisko. Kiedy byłem mały, uważałem, że to najpiękniejszy dom na świecie. W wieku siedmiu lat zostałem wysłany do

Eton, gdyż mój ojciec uważał, że w angielskich prywatnych szkołach jest większa dyscyplina niż w naszych. Od pierwszego dnia, kiedy tam przybyłem, straszliwie tęskniłem za domem. Czasami zamykałem oczy i udawałem, że wdycham balsamiczny zapach sosen i słony zapach morza. - Przymknął oczy i chyba wspomnieniami przeniósł się w tamte czasy.

Samochód zwolnił i skręcił w prywatną drogę. I oto nagle zobaczyłam widok, który tyle razy wywoływałam w wyobraźni - bramę z kutego żelaza z napisem FARTHINGGALE MANOR. Spomiędzy metalowych liści wyglądały gnomy, elfy i duszki.

- Brama jest niemal tak duża, jak sobie z Lukiem wyobrażaliśmy - powiedziałam z westchnieniem.

- Słucham?

- Luke i ja bawiliśmy się w taką grę, w fantazjowanie. Wyobrażaliśmy sobie, jak wygląda Farthinggale Manor.

- Zaraz zobaczysz na własne oczy.

Wewnętrzna droga zdawała się ciągnąć w nieskończoność, aż wreszcie, niespodziewanie, zza linii drzew wychynął wielki szary budynek przypominający zamek. Stromy czerwony dach górował nad drzewami; widać było wieżyczki i kalenice, jak na zdjęciu, które dał mi Luke.

Farthy z naszych fantazji bardzo różni się od rzeczywistego, pomyślałam, rozglądając się po okolicy. Niestety, opis Drake'a pasował dużo bardziej.

Trawniki były zarośnięte, krzewy nieprzystrzyżone, klomby zarośnięte chwastami.

Dom zapierał dech swoją wielkością i to się zgadzało z naszymi wyobrażeniami. Jednocześnie sprawiał wrażenie, jakby od lat był niezamieszkały. Tynk pękał i odpadał, drewniane elementy szedziały i zmurzały. Ciemne okna z zasuniętymi kotarami wyglądały jak zamknięte powieki starego umierającego człowieka.

Kiedy słońce zajaśniało zza szarych chmur, fronton wielkiego domu przybrał jeszcze bardziej ponury wygląd, bo zniszczenia i zaniedbanie uwydatniły się w jasnym świetle. Nagle przejął mnie chłód, lęk i poczucie samotności. Ciasno zaplotłam ramiona na piersi. Zrozumiałam, że nie znajdę tu domowego ciepła.

Tymczasem Tony uśmiechał się szeroko i był bardzo podekscytowany. Ani trochę się nie wstydził za fatalny stan domu i ogrodu. Zupełnie jakby kompletnie tego nie zauważał. Spojrzałam na panią Broadfield, żeby sprawdzić, czy jest równie zaskoczona jak ja, ale siedziała z kamienną twarzą, nie patrząc w okna.

- Teren Farthy to całe hektary - wyjaśnił z dumą Tony. - To najbardziej żyzne grunty w całej okolicy. Mamy też prywatną plażę. Kiedy będziesz miała ochotę pozwiedzać posiadłość,

obwiezę cię po terenie i pokażę nasze stajnie, basen, korty tenisowe - obiecał. - I chcę, żebyś uważała to wszystko za swoje. Nie czuj się w Farthy jak gość; jesteś o wiele, wiele ważniejsza.

Miles zajechał pod drzwi i zatrzymał samochód. Pani Broadfield szybko wyszła z auta i zaczęła, aż szofer wyjmie wózek z bagażnika. Popatrzyłam na schody wiodące do szerokich łukowych drzwi. Nawet one nie były już imponujące. Z prawej strony widziałam głębokie rysy, jakby wielkie zwierzę darło drzwi pazurami, usiłując dostać się do domu. Jak Tony mógł wchodzić tędy codziennie i nie widzieć, że należy to naprawić?

- Jesteś w Farthy! - wykrzyknął Tony. - Jak pierwsze wrażenia?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam rozczarowana i smutna, bo mój dom z marzeń właśnie runął.

- Och, wiem, przydałby się mały remont - rzekł Tony. - I zaraz go zacznę, bo teraz wreszcie mam cel. - Wpatrzył się we mnie intensywnie. Serce zatrzepotało mi w piersi. Gdzieś w głębi mojej duszy podniósł się alarm.

- Farthy jest cudowne i kiedy odnowisz je trochę, na pewno będzie wyglądało równie wspaniale, jak w czasach twojego dzieciństwa - powiedziałam szybko, nie chcąc, żeby dostrzegł moje zmieszanie.

- Właśnie! Och, wiedziałem, że zrozumiesz. Tak się cieszę, że tu jesteś!

Pani Broadfield otworzyła drzwi od mojej strony i z pomocą Milesa rozłożyła wózek. Wyciągnęła rękę, żeby mnie na niego przesadzić.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział Tony, stając przy niej.

Pielęgniarka się odsunęła. Tony objął mnie w pasie lewą ręką, a prawą wsunął pod moje uda. Powoli i delikatnie unióś mnie i wyjął z auta, jak gdybym była... już miałam pomyśleć „dzieckiem”, ale w sposobie, w jaki mnie trzymał, i w jego uśmiechu było coś, co kazało mi się porównać raczej do panny młodej wnoszonej przez oblubieńca do nowego domu.

- Panie Tatterton? - zapytał Miles, najwyraźniej zastanawiając się, ile jeszcze czasu Tony będzie mnie trzymał na rękach, zamiast posadzić na wózku.

- Co takiego? A tak, już.

Ostrożnie posadził mnie na wózku, a potem razem z Milesem wnieśli wózek po schodach. Wysoki, szczupły, siwowłosy mężczyzna o ciemnoszarych oczach i bladej, poszarzałej skórze, pomarszczonej i fałdzistej, stał w drzwiach jak manekin.

- To Curtis, mój wierny lokaj - przedstawił mi go Tony.

- Witam. - Curtis skłonił się lekko i odstąpił w bok, żebyśmy mogła wjechać do ogromnego holu.

Jechałam korytarzem wyłożonym chińskim chodnikiem, który pamiętał lepsze czasy. Przez dziury i przetarcia przezierały deski podłogi. Żyrandol rzucał blade światło na kamienne ściany. Paliła się tylko jedna żarówka. Na ścianach wisiały rzędem portrety przodków. Patrzyły na mnie poźółkle, surowe twarze kobiet i mężczyzn z Nowej Anglii; twarze kobiet wyglądały, jakby przemocą starto z nich uśmiech, a mężczyźni usiłowali wyglądać poważnie, imponująco, solidnie jak skała, z której zbudowano ten wspinały dom.

- Stopniowo pokażę ci wszystko - obiecał Tony - ale na razie musisz zakwaterować się w swoich pokojach i odpocząć. Po tym, co przeszłaś, nawet tak krótka podróż musiała być dla ciebie męcząca.

- Jestem tak podekscytowana, że zapomniałam o zmęczeniu. Nie martw się o mnie.

- Och, ależ zamierzam martwić się o ciebie. Twój powrót do zdrowia jest w tej chwili dla mnie najważniejszym zadaniem.

Pchał wózek w głąb domu.

- Tu jest mój gabinet; pozwolę ci zajrzeć tylko na chwilę, bo nie jest to widok dla kobiecych oczu. Trzeba posprzątać.

Otworzył drzwi. Choć nie mogłam zajrzeć głębiej do pokoju, zobaczyłam, że nie przesadzał. Samotna lampa w rogu rzucała anemiczne smugi światła na duże mahoniowe biurko i czarne, obite skórą fotele. Książki na ciemnym bibliotecznym regale pokrywał szary nalot kurzu. Pył wirował w promieniach słońca przeciskających się przez ciemne kotary w oknach, tańczył w powietrzu. Kiedy ostatni raz był tu ktoś ze szmatką i odkurzaczem? Zapewne przed wiekami. Biurko Tony'ego było zavalone papierami. Jak mógł tam coś znaleźć?

- Oczywiście teraz, kiedy się pojawiłaś, doprowadzę tę jaskinię brudu do porządku i wtedy cię tu zaproszę. Ach, ci mężczyźni - dodał, przyklękając przy wózku, aż jego twarz znalazła się prawie przy mojej. - Jeśli mieszkają sami, strasznie się zaniedbują. Ale to się skończyło... dzięki Bogu, skończyło się - mruknął, wstając. Odwrócił wózek i pojechaliśmy dalej.

Schody mnie nie rozczarowały. Były dokładnie takie jak w naszej wizji - o marmurowych pałacowych stopniach, z mahoniową rzeźbioną poręczą. Jeszcze intensywniej zapragnęłam wyzdrowieć, aby zstępować z tych stopni jak księżniczka, w długiej balowej sukni, z klejnotami lśniącymi na szyi, rękach i we włosach. Och, jak żałowałam, że nie ma przy mnie Luke'a i nie może tego widzieć.

- Niestety, schody są dla ciebie przeszkodą. Na szczęście nie na długo - powiedział Tony.

Podjechaliśmy do podnóża schodów. Gdy spojrzałam w prawo, zobaczyłam duży salon z fortepianem, z malowidłami na ścianach i na suficie.

- Jaki piękny salon! Co to za freski?

Tony roześmiał się i skierował wózek do salonu. Pomieszczenie było ogromne, z satynowymi zasłonami w starym stylu, które kiedyś były białe, a teraz poszarzały od brudu i kurzu. Obita aksamitem sofa, szeszlony i głęboki klubowy fotel były okryte folią, na której również leżała warstwa kurzu. Stoły o marmurowych blatach, fortepian, wazony wyglądały bardzo stylowo i musiały mieć dużą wartość, ale dopiero po porządnym oczyszczeniu i wypolerowaniu mogłyby odzyskać dawny blask.

Zblakłe malowidła na ścianach i suficie były piękne i niezwykle. Przedstawiały sceny z bajek - cieniste lasy ze słońcem przeświecającym przez drzewa, krętymi drogami prowadzącymi do zamglonych gór na horyzoncie, z zamkami na szczytach. Nad głową, na suficie, było błękitne niebo z ptakami i mężczyzną na latającym dywanie. Tam był jeszcze jeden zamek, zdawał się wlatywać ponad chmurami. Niestety, bajkowe kolory wyblakły i poszarzały; od lat nikt nie czyścił ani nie konserwował tych fresków. Sceny i krajobrazy miały nostalgiczny, smutny nastrój, jak dawno umarłe marzenia. Wzdrygnęłam się mimo woli.

- To wszystko namalowała twoja praprababcia - rzekł Tony - Teraz już wiesz, skąd wziął się twój malarski talent. Swego czasu Jillian była słynną ilustratorką książek dziecięcych.

- Naprawdę?

- Tak. - Jego spojrzenie znów przybrało daleki, nieobecny wyraz. - Poznaliśmy się dzięki tym malowidłom. Pewnego dnia - a miałem wówczas dwadzieścia lat - wróciłem do domu po partii tenisa, spojrzałem w górę i zobaczyłem drabinę, a na niej parę najzgrabniejszych nóg, jakie widziałem w życiu. Kiedy ta cudowna istota zeszła i zobaczyłem jej twarz, pomyślałem, że widzę anioła. Przybyła do nas z dekoratorem i zasugerowała, że namaluje freski. „Sceny z bajek dla króla zabawek”, powiedziała, a ja natychmiast podchwyciłem ten pomysł. - Mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Był to świetny pretekst, aby często bywała tutaj.

- Co za piękna, romantyczna historia! - zawołałam. - A kto gra na fortepianie?

- Słucham?

- Grasz, Tony?

- Ja? Nie. Dawno temu grał na nim mój brat Troy - rzekł cicho. - Był dużo młodszy ode mnie i kiedy oboje rodzice odeszli, miał zaledwie dwa latka, toteż byłem dla niego raczej

ojcem niż bratem. Uwielbiał grać, zwłaszcza Chopina. Zmarł dawno temu.

- Moja mama uwielbiała słuchać Chopina.

- Naprawdę?

- I miała miniaturkę wiejskiego domku z wytwórni Tattertonów. Kiedy podnosi się dach, pozytywka gra nokturn Chopina.

- Naprawdę? Miniaturka domku?

- Tak, z labiryntem.

Milczał długo. Nagłe jego nieobecny wzrok zogniskował się na mnie. Zmrużył powieki, usta drgnęły mu ledwo dostrzegalnie.

- Tony?

- Och, przepraszam. Śniłem na jawie. Wspominałem brata - wyjaśnił i znów się uśmiechnął.

- Musisz mi o nim opowiedzieć.

- Oczywiście.

- Tylko od ciebie mogę się dowiedzieć różnych rzeczy o mojej rodzinie. - Czułam, że nadszedł odpowiedni moment. - Chcę wiedzieć wszystko o prababci, babci i o pobycie mamy w Farthy.

- Tyle jest do opowiadania, że szybko bym cię zmęczył.

- Nie bój się o to. Naprawdę chcę wiedzieć wszystko. A zwłaszcza - dodałam z determinacją - muszę wreszcie usłyszeć, dlaczego ty i moja mama przestaliście się widywać i rozmawiać z sobą. Obiecasz, że mi powiesz, bez względu na to, jak to będzie dla mnie bolesne?

- Obiecuję. A wiesz już, że mam zwyczaj dotrzymywania obietnic. Pozwól tylko, że porozmawiamy za jakiś czas, bo na razie musisz spokojnie dojść do siebie i wyzdrowieć, dobrze?

- Skoro obiecałeś, zaczekam.

- Świetnie. A teraz - powiedział pogodnie - przed siebie i na górę.

Pani Broadfield przygotowywała mój pokój. Miles czekał cierpliwie przy schodach. Na znak Tony'ego podszedł, żeby pomóc wnieść mnie razem z wózkiem. Powoli, uważnie wchodzili na górę i czułam się jak królowa wracająca do swoich włości, kiedy nieśli mnie po tych wspaniałych marmurowych schodach.

- Tylko kłopot ze mną - powiedziałam, widząc ich napięte z wysiłku twarze.

- Nonsens. Potrzebujemy z Milesem treningu, co, Miles?

- Żaden kłopot, panienko Annie. Będę cię nosił tak często, jak potrzeba.

Postawili mnie na podłodze i zobaczyłam długie korytarze, które zdawały się ciągnąć całymi kilometrami w różnych kierunkach.

- Mam dla ciebie wspaniałą niespodziankę. Pokój, w którym będziesz mieszkała - mówił Tony, energicznie pchając wózek korytarzem - należał do twojej babci, a potem do mamy. - Skręcił pod podwójne drzwi. - Jest twój! - Położył dłoń na mojej dłoni. - W głębi serca zawsze wiedziałem, że kiedyś w nim zamieszkaasz.

Odwróciłam się szybko i spojrzałam na niego. Nasze spojrzenia spotkały się i miałam wrażenie, jakby Tony przesyłał mi wzrokiem ukryty komunikat. Przez moment się bałam. Coraz bardziej wydawało mi się, że Tony już dawno zaplanował dla mnie całe życie.

Serce mi trzepotało jak skrzydełka zaniepokojonego kanarka, który nie może się zdecydować, czy ma wejść do złotej klatki. Dobrze wie, że jeśli tam wejdzie, będzie zadbany, żywiony, kochany i podziwiany, lecz ma świadomość, że jeśli zamkną się za nim te drzwiczki, zawsze już będzie widział świat przez złote pręty.

Do czego to wszystko zmierza? Co powinnam zrobić?

Tony, jak gdyby wyczuł moje lęki, popchnął przed siebie wózek.

Rozdział dziesiąty

POKÓJ MAMY

Przez szerokie, podwójne drzwi wjechałam do pierwszego pokoju dwupokojowego apartamentu. Delikatne jak mgielka światło słońca przesiewało się przez zasłony koloru bladej kości słoniowej. Ściany były obite tkaniną tego samego koloru co zasłony, z subtelnym, wyblakłym orientalnym deseniem w zielono-fioletowo-niebieskich barwach.

Pokojówka w miętowo-zielonym uniformie i białym fartuszk z koronkami zdejmowała folię z dwóch małych sofek obitych tym samym materiałem co ściany. Potem wyklepała niebieskie ozdobne poduszki, pasujące do chińskiej kapy okrywającej łożo. Sądząc po pani Avery, która służyła w naszym domu od lat, myślałam, że pokojówki są starszymi paniami, i zdziwiłam się, widząc tę młodą kobietę w Farthy. Nie miała więcej niż trzydziestkę.

- Annie, to jest Millie Thomas, twoja osobista pokojówka - przedstawił mi ją Tony.

Powitała mnie ciepłym uśmiechem. Miała pospolitą twarz o niezbyt bystrych, brązowych oczach i pyzatyh policzkach. Pomyślałam, że przez swoją budowę - mały biust, wąskie ramiona i biodra tak szerokie, że wyglądała jak dzwon - jest skazana na wieczną posługę, na pucowanie cudzych domów i sianie cudzych łożek.

- Miło mi poznać panienkę. - Dygnęła krótko i odwróciła się do Tony'ego. - Posprzątałam już sypialnię i muszę tylko zmienić pościel.

- Dziękuję, Millie. Annie, zobaczmy twoją sypialnię - powiedział Tony, popychając wózek przez salonik.

Zatrzymał się za progiem, żebym mogła ogarnąć spojrzeniem cały pokój. Słyszałam, jak pani Broadfield krząta się w łazience. Powoli przesuwalam wzrokiem po sypialni, usiłując poczuć się jak mama, kiedy oglądała ją po raz pierwszy. Wcześniej mieszkała z Kitty i Calem Dennisonami - parą, która zapłaciła za nią jej ojcu pięćset dolarów.

Rozmyślałam o dziwnych kolejach losu mamy. O dzieciństwie i wczesnej młodości spędzonych w nędznej chałupie na Wzgórzach Strachu, kiedy była biedna jak mysz kościelna. Potem pobyt u dziwnych Dennisonów i nagle przybycie do tego pałacu, gdzie oferowano jej wspaniały apartament. Musiała przystanąć w drzwiach i wpatrywać się zdumionym, zachwyconym wzrokiem w to, co miała przed sobą - piękne łożo z baldachimem z błękitnego jedwabiu i koronkami koloru kości słoniowej, szeszlong obity niebieską satyną, kryształowy żyrandol, długa toaletka z całą ścianą luster, trzy fotele i sofę.

Pokój wyglądał, jakby mama opuściła go wczoraj. Fotografie w srebrnych ramkach

stały na toalecie; obok leżała szczotka do włosów. Para aksamitnych kapci koloru czerwonego wina stała obok krzesła; pasowały kolorem do szlafroka, który Tony przyniósł mi do szpitala. Czy ten szlafrok był nowy, jak myślałam, czy wyjął go z maminej garderoby?

Czułam lekki, zatęchły zapaszek, jakby drzwi i okna tych pomieszczeń były zamknięte przez całe lata. Wszędzie ustawiono bukiety kwiatów, żeby odświeżyły powietrze.

Garderoba była pełna ubrań. Wiele było w plastikowych pokrowcach; inne wyglądały, jakby je przed chwilą powieszono. Zobaczyłam też dziesiątki par butów. Tony zauważył, że patrzę na ubrania.

- Niektóre należały do twojej mamy, a niektóre do babci. Masz praktycznie ten sam rozmiar. Nie musisz sobie ubrań sprowadzać ani kupować. Masz tu ogromną garderobę do swojej dyspozycji.

- No tak, Tony, ale większość tych rzeczy jest już niemodna.

- Nie masz racji. Zauważyłem, że dawna moda wraca. Czemu to miałyby się zmarnować?

Pani Broadfield wyszła z łazienki i zdjęła kapę z łóżka.

- Początkowo miałem zamiar zainstalować tu łóżko szpitalne - wyjaśnił Tony - ale pomyślałem, że to będzie wygodniejsze i przyjemniejsze. Dodaliśmy jeszcze poduszek, szpitalny stolik i specjalne oparcie z podłokietnikami, żebyś mogła siedzieć i czytać.

- Nie chcę jeszcze iść do łóżka! - zaprotestowałam. - Podjedź ze mną do okna, chcę wyrzucić na zewnątrz. Proszę, Tony.

- Powinnaś odpocząć - stwierdziła pani Broadfield. - Nie zdajesz sobie sprawy, jak męcząca była dla ciebie ta podróż ze szpitala.

- Jeszcze momencik - błagałam.

- Pokażę jej tylko widok z okna - powiedział Tony pojednawczo.

Pani Broadfield założyła ramiona na bujnej piersi i stała, czekając. Tony podjechał ze mną do okna i rozsunął zasłony. Z lewej strony widać było prawie połowę labiryntu. Nawet w ciepłym blasku słońca jego ścieżki robiły wrażenie mrocznych, tajemniczych i niebezpiecznych. Z prawej strony widziałam podjazd i główne wejście. W dali rozpoznałam rodzinny cmentarz i byłam prawie pewna, że widzę tam grobowiec moich rodziców.

Długo nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Ból i rozpacz wróciły ze zdwojoną siłą. Poczulałam się samotna, zagubiona, sparaliżowana żalem i smutkiem. Wzięłam się jednak w garść i wychyliłam się w wózku, żeby lepiej widzieć. Tony zorientował się, co przyciągnęło moją uwagę.

- Za parę dni zabiorę cię tam - szepnął.

- Powinam od razu tam pojechać.

- Na razie musimy dbać o twój stan emocjonalny. Zalecenie lekarskie, nie pamiętasz? Ale obiecuję, że zabiorę cię tam już wkrótce. - Poczyszająco poklepał mnie po ręce.

- Chyba jestem zmęczona - przyznałam i odchyliłam głowę na oparcie wózka. Przymknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech. Dwie łzy przecisnęły się pod powiekami i jak ciepły deszcz spłynęły po policzkach, skręcając ku kącikom ust. Tony wyjął chusteczkę i wytarł je delikatnie. Poruszyłam ustami, dziękując mu bezgłośnie. Podjechał moim wózkiem do łóżka, pomógł pani Broadfield zdjąć mnie z niego i położyć.

- Teraz przebiorę ją w koszulę nocną, panie Tatterton.

- Dobrze. Wrócę za parę godzin, żeby sprawdzić, jak się czuje. Miłych snów, Annie. - Pocałował mnie w policzek i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi sypialni.

Ale zanim się zamknęły, mignęła mi jego twarz. Miała ekstatycznie szczęśliwy wyraz; oczy mu błyszczały jak dwa niebieskie gazowe płomienie. Czy możliwe, że opieka nade mną tak odmieniła jego życie? Co za ironia, że niedola jednego człowieka prowadzi do szczęścia drugiego!

Nie mogłam go za to potępiać. Nie on zapoczątkował ciąg wydarzeń, który przywiódł mnie tutaj. I za co właściwie miałabym go winić? Za to, że zorganizował dla mnie najlepszych i najdroższych lekarzy? Że oddał swój dom i swoją służbę na potrzeby mojej rekonwalescencji? Że robił wszystko co w jego mocy, by złagodzić mój ból i rozpacz?

Może to raczej ja powinnam mu współczuć? Samotnemu mężczyźnie przygniecionemu losem, mieszkającemu w ogromnym, pustym domu, gdzie echem wracały wspomnienia, którego tylko moje nieszczęście mogło przywrócić do życia? Gdyby nie wydarzyła się ta tragedia rodzinna, nie byłoby mnie tutaj i Tony nie miałby szans zająć się mną. Być może pewnego dnia uświadomi sobie to i wpadnie w kolejną frustrację.

Pani Broadfield zaczęła mnie rozbierać.

- Mogę to zrobić sama - zaprotestowałam.

- Świetnie. Spróbuj, a jeśli ci się coś nie uda, pomogę ci. - Odstąpiła od łóżka i podała mi jedną z moich nocnych koszul.

- Chcę niebieską - powiedziałam, odrzucając koszulę, którą wybrała. Pielęgniarka bez komentarza odłożyła zieloną i sięgnęła po niebieską. Marudziłam, ale nie mogłam się powstrzymać. Irytowała mnie moja sytuacja.

Rozpięłam guziki sukienki i usiłowałam zdjąć ją przez głowę, ale nie mogłam, bo przygniatałam dół ciężarem swojego ciała. Nie zamierzałam się tak łatwo poddać. Położyłam się na boku i szarpałam niezdarnie, usiłując wyciągnąć sukienkę spod siebie. Sapałam z

wysiłku i musiałam wyglądać żałośnie. Pani Broadfield stała w milczeniu przy łóżku, czekając, kiedy poproszę o pomoc. Ja jednak byłam uparta i dopóty skręcałam górną część ciała, ciągnąc za sukienkę, aż wyszarpnęłam ją spod siebie i zadarłam w górę. Nagle zrobiło mi się głupio, gdyż nie byłam w stanie przelożyć jej przez głowę. Poza tym szarpanina bardzo mnie wyczerpała. Z trudem łapałam oddech i nie mogłam uwierzyć, że tak mogą mnie boleć mięśnie rąk. Byłam naprawdę bardzo słaba.

W końcu musiałam pozwolić, żeby pani Broadfield przebrała mnie w nocną koszulę.

- Potrzebujesz do łazienki? - spytała.

Pokręciłam głową. Pani Broadfield ułożyła mnie wygodnie na poduszce i okryła, starannie podwijając kołdrę pod nogi.

- Kiedy się obudzisz, przyniosę ci lunch - powiedziała.

- A gdzie pani będzie mieszkać?

- Pan Tatterton przygotował dla mnie pokój po drugiej stronie korytarza, ale na razie będę spędzać większość czasu w twoim salonie i drzwi sypialni pozostaną otwarte.

- To musi być bardzo nudne zajęcie - zauważyłam, mając nadzieję, że zachęcę ją, aby opowiedziała mi coś o sobie. Od dwóch tygodni towarzyszyła mi bezustannie, ale nie wiedziałam, co czuje i myśli.

- Ta praca jest dla mnie całym życiem. - Nie uśmiechnęła się przy tych słowach, jak zrobiłoby wielu ludzi. Powiedziała to tak, jakby mówiła coś oczywistego.

- Rozumiem, ale nadal...

- Nieczęsto zdarza mi się opiekować pacjentem w tak bogatej posiadłości - dodała. - Dom i jego otoczenie są niezmiernie interesujące. Jestem pewna, że nie będę się tu nudziła. Nie musisz się o mnie martwić. Lepiej skup się na tym, co musisz robić, żeby wyzdrowieć.

- Nie była tu pani wcześniej?

- Nie. Dlaczego miałabym być? Pan Tatterton wynajął mnie za pośrednictwem agencji.

- Ale ten dom... teren wokoło...

- Co z nimi ma być?

- Nie myśli pani, że są zniszczone i zaniedbane?

- To nie moja sprawa - ucięła ostro.

- Nie jest pani zaskoczona? - Chciałam powiedzieć „rozczarowana”, ale bałam się, że uzna mnie za zepsutą i niewdzięczną pannicę.

- Utrzymanie takiej posiadłości musi kosztować majątek. Zresztą, jak już powiedziałam, to nie moja sprawa. Dla mnie najważniejsze są twoje zdrowie i rekonwalescencja. Ty też powinnaś się na tym skoncentrować. Spróbujesz się teraz zdrzemnąć?

- Tak - odpowiedziałam słabym głosem. Pani Broadfield była dobrą, fachową pielęgniarką, która znakomicie potrafiła sobie radzić z kimś takim jak ja, ale brakowało mi kogoś przyjacielskiego. Rozpaczliwie tęskniłam za mamą, do której mogłam przyjść z każdym zmartwieniem i liczyć na pocieszenie. Brakowało mi jej ciepłego spojrzenia i łagodnego, kojącego głosu. Brakowało mi kogoś, kto kochałby mnie tak jak ona. A przede wszystkim tęskniłam za jej mądrością wspartą doświadczeniem trudnego życia.

„Ciężkie chwile postarzają człowieka jak deszcze i wichry korę na drzewie i przyginają go do ziemi - mawiała jej ukochana babcia ze Wzgórz Strachu. - Jeśliś mądra, to oprzesz się o drzewo”.

Bolała mnie myśl, że już nie mam się na kim oprzeć. Drake rzucił się w ekscytujący świat wielkiego biznesu. Luke wyjechał na studia i też pewnie pochłonęły go nowe sprawy. A Tony'ego nadal nie byłam pewna. Był dla mnie niezwykle miły i uczynny, a jednak... a jednak moje myśli mroczył jakiś cień. Dlaczego mama była do niego tak źle nastawiona?

- Wrócę za parę godzin - powiedziała pani Broadfield. - Na stoliku masz szklankę z wodą, gdyby zachciało ci się pić. Dosięgniesz jej?

- Tak.

- Dobrze. W takim razie widzimy się niedługo. - Zasunęła szczelnie zasłony w oknach i wyszła.

Teraz, kiedy wreszcie zostałam sama, usiadłam na łóżku, żeby dokładnie rozejrzeć się wokół. Jak czuła się w tym pokoju moja mama w czasie pierwszej spędzonej tu nocy? Przybyła tu, aby zamieszkać z ludźmi, których wcześniej nie znała - obcych, choć byli jej rodziną. I praktycznie obie przybyłyśmy tu jako sieroty - ona już dawno nie miała matki, a ojca straciła, kiedy sprzedał swoje dzieci. Ja zostałam sierotą, bo bezduszną śmierć nagle wykradła mi rodziców.

Poza tym mama tak samo jak ja wiedziała bardzo niewiele o rodzinie i jej historii. Musiała penetrować Farthy jak odkrywca nieznany ląd, aby dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Tyle że nie była na łasce pielęgniarek i służby; nie była przykuta do łóżka ani do wózka inwalidzkiego. Mogła zwiedzać i poszukiwać do woli.

Och, nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do zdrowia. Nie mogłam się doczekać, kiedy zjawi się Luke i razem zapuścimy się w naszą wymarzoną krainę.

Luke. Jakże mi go brakowało, jak potrzebowałam jego obecności, pocieszenia. Nie rozmawiałam z nim od czasu tamtych nieszczęsnych wydarzeń w szpitalu. Ale niedługo zadzwoni. Albo ja zadzwonię do niego. Spojrzałam na nocną szafkę.

Nie było telefonu! Jak mam zadzwonić? Gorąca fala paniki zalała mi pierś, zdławiła

gardło.

- Pani Broadfield! - zawołałam. - Pani Broadfield! - Czy poszła gdzieś, myśląc, że zasnęłam? - Pani Broadfield!

Usłyszałam pospieszne kroki i za moment pojawiła się pielęgniarka.

- Co się stało? - spytała, zapalając światło.

- W tym pokoju nie ma telefonu!

- Boże, i z tego powodu podnosisz taki alarm? - Przycisnęła ręką serce.

- Proszę, niech pani powie Tony'emu, żeby przyszedł!

- Annie, ustaliłyśmy, że teraz się zdrzemniesz, więc...

- Nie zasnę, dopóki nie zobaczę Tony'ego - odpowiedziałam, zakładając ręce na piersi, jak często robiła ciotka Fanny, kiedy chciała, żeby sprawy szły po jej myśli. Postanowiłam, że będę tak samo uparta.

- Jeżeli będziesz się tak zachowywać, nie wyzdrowiejesz szybko - ostrzegła pielęgniarka. - A może nawet nigdy.

- Wszystko mi jedno. Chcę widzieć Tony'ego.

- Jak sobie życzysz.

Wyszła. Po niedługiej chwili usłyszałam, że zbliża się Tony.

- Co się stało, Annie? - zapytał zaalarmowanym tonem.

- Tony, tu nie ma telefonu. Nie mogę do nikogo zadzwonić, nikt nie może zadzwonić do mnie. W szpitalu było to zrozumiałe, bo źle się czułam, ale teraz, skoro mam tu być dłużej, muszę mieć telefon pod ręką.

Na twarzy Tony'ego pojawiła się ulga. Zerknął szybko na panią Broadfield, która stała za nim sztywno, zirytowana.

- Och, oczywiście, że będziesz go miała. Jak tylko to będzie możliwe. Rozmawiałem o tym z lekarzami, zanim jeszcze cię tu przywiozłem. Zalecili, żebyś jeszcze przez jakiś czas miała spokój, a potem stopniowo wracała do normalnych spraw. Zresztą lekarz zjawi się tu pojutrze, zbada cię i wtedy będziemy wiedzieli, jak postępować dalej.

- Jednak możliwość porozmawiania z kimś tak mi bliskim jak Luke, Drake czy inni starzy przyjaciele...

- Drake wpadnie do ciebie dzisiaj, a Luke pojawi się, kiedy będzie mógł. Ja tylko wypełniam zalecenia lekarzy, Annie. Gdyby twój stan się pogorszył przez jakieś moje niedopatrzenie, nie wybaczyłbym sobie tego.

Rozłożył ręce, jak gdyby błagał mnie, żebym sobie nie zaszkodziła. Poczułam się zawstydzona i uciekłam spojrzeniem do okna.

- Przepraszam. Po prostu... jestem w obcym miejscu i...

- Och, proszę, nie mów, że jesteś w obcym miejscu! To jest także twój dom rodzinny.

- Mój dom rodzinny?

- Mieszkały tu twoja prababcia, babcia i mama. Jestem pewien, że szybko poczujesz się jak u siebie.

- Bardzo przepraszam - powtórzyłam, opadając na poduszkę. - Prześpię się teraz, dobrze? Możesz zgasić światło.

Tony zbliżył się i poprawił mi kołdrę.

- Śpij dobrze.

Kiedy wyszedł, spojrzałam na drzwi i zobaczyłam sylwetkę pani Broadfield na tle światła z korytarza. Wyglądała jak wartownik. Pewnie czekała, żeby się upewnić, czy zasnęłam.

Czułam się zmęczona, przegrana i samotna. Zamknęłam oczy i pomyślałam o mamie i o tym, jak pierwszy raz położyła głowę na poduszce w tym właśnie łóżku. Czy tak jak ja myślała w tym momencie o swojej matce i jej życiu w Farthy? Czy w życiu jej mamy również było tyle tajemnic i czy chciała je poznać, tak jak ja jej tajemnice? Miałam poczucie, jakbym odziedziczyła lęki babci i mamy.

Z pewnością moja babcia Leigh czuła się obco, gdy po raz pierwszy przyjechała do Farthy ze swoją matką, moją prababką Jillian. Wszystko było nowe i świeże. Kolory nie zdążyły zblaknąć, dywany i zasłony były nowe i czyste, posadzki lśniące, podobnie jak szyby w oknach. Musiały być tłumy służby, ogrodników, lokajów, kucharzy, a jednak, jak zrozumiałam, Leigh czuła się wykorzeniona, zabrana od ojca do nowego domu, gdzie miała rozpocząć nowe życie z przybranym ojcem, Tonym Tattertonem. Zасыpiając, musiała słyszeć ten sam odwieczny szum oceanu i porywy wiatru napierającego na okna, łomoczącego okiennicami.

Lata później jej córka i moja matka też się tutaj znalazła, zasypiała wśród tych samych odgłosów, zapewne czując się tak samo samotna. W swoim czasie ten wystawny pałac stał się dla nich domem i może stać się nim dla mnie. Tony miał rację, nie powinnam czuć się obco w Farthy. Przeszłość wiązała mnie blisko z tym miejscem. Jednak pytania, na które nie miałam odpowiedzi, mroczne tajemnice i ponure cienie czające się po kątach odbierały mi pewność siebie i napełniały niepokojem.

Może z każdym dniem zbliżającym mnie do zdrowia te cienie i sekrety zaczną się stopniowo rozplątać, aż Farthinggale Manor znów zajaśnieje blaskiem, które miało w czasach mojej babci Leigh i mamy.

Zabawne, pomyślałam, czuję się jak zagubiona w labiryncie, który widać z moich okien, i usiłuję znaleźć z niego wyjście.

Wyjście dokąd?

Do czego?

Zasypiałam, licząc pytania zamiast baranów.

Rozdział jedenasty

DRAKE

Obudził mnie śmiech dźwięczący w korytarzu i poznałam głos Drake'a. Nawet nie przypuszczałam, jak ucieszył mnie ten jego śmiech - coś znajomego, wspomnienie z rodzinnego domu. Śmiech ucichł i usłyszałam kroki. Za moment pojawił się Drake, niosąc mi jedzenie na solidnej srebrnej tacy. Włączył światło i wkroczył do sypialni.

- Och, Drake!

- Annie, gnałem tu z Bostonu, żeby zaserwować ci lunch.

Ze śmiechem postawił tacę na stoliku przy łóżku, pocałował mnie i przez chwilę trzymał w objęciach. Łzy zakręciły mi się w oczach, ale były to łzy szczęścia, a nie palące łzy rozpacz.

- Drake, jak się cieszę, że cię widzę!

- Wszystko w porządku, prawda? - zapytał, odsuwając się o krok i obrzucając mnie zatroskanym spojrzeniem. Przystojny, wysoki, ciemnowłosy Drake, o śniadej karnacji i hebanowych oczach. Jak dojrzała wygląda, myślałam, jak dorosłe. Poczułam się jak mała dziewczynka, która przespała całe lata jak Rip Van Winkle; teraz, kiedy się ocknęłam, wydawało mi się, że wszyscy nagle wydorośleli, a ja zostałam dzieckiem. Czy Luke też tak wygląda? Czy kiedykolwiek go dogonię?

Drake miał na sobie dwurzędowy jasnoniebieski jedwabny garnitur, taki sam, jaki nosił Tony. Włosy miał obcięte krócej i zaczesane w tył, jak Tony. Gdybym ujrzała go na ulicy w mieście, pewnie bym go nie poznała.

- Wszystko w porządku, Drake, tylko wyglądasz jak... bankier.

Roześmiał się.

- Jak biznesmen. Musisz się odpowiednio ubierać, żeby ludzie cię szanowali. Szybko się tego nauczyłem. Ale to nieważne. Opowiedz mi lepiej, jak tu przyjechałaś, oczywiście podczas jedzenia. - Podsunął mi poduszki pod plecy, żebym mogła usiąść.

Zerknęłam w stronę drzwi i Drake zauważył moje spojrzenie.

- Dałem twojej pielęgnowarce wolne; powiedziałem, że sam cię nakarmię.

- A gdzie jest Tony?

- W swoim gabinecie, zavalony górami papierów. Mówi, że musi doprowadzić go do porządku, abys mogła tam wpadać i patrzeć, jak pracuje. Twierdzi, że tak robiła twoja babcia.

- Drake - wyszeptalam pomiędzy jedną a drugą łyżką gorącej zupy - tu jest dokładnie

tak, jak opisywałeś mi w liście, a potem w rozmowie przez telefon... wszystko wygląda, jakby było nieremontowane i niesprzątane od lat. A Tony wydaje się tego nie widzieć. Zauważyłeś?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Myślę, że nie chce tego widzieć - rzekł wreszcie. - To może być dla niego zbyt bolesne. Woli pamiętać ten dom w czasach świetności.

- Ale...

- Daj mu trochę czasu, Annie. On jest jak chory, który wybudził się po latach śpiączki i dopiero wraca do rzeczywistego świata.

- Jest miły, pełen troski i w ogóle... ale czasami mnie przeraża. - No proszę, wreszcie powiedziałam to głośno.

- Dlaczego, Annie? Przecież jest miłym starszym panem, który stracił rodzinę i jest sam jak palec. Powinnaś mu raczej współczuć.

- Oczywiście, Drake. Tylko...

- Masz wszystko, czego ci potrzeba. Lekarze będą przyjeżdżali do ciebie, a nie ty do nich. Tony zachęcał ich, żeby nie wahali się zaordynować nawet najdroższej terapii, leku czy aparatury, które mogłyby przyspieszyć twoje uzdrowienie. Przez całą dobę masz na zawołanie profesjonalną pielęgniarkę i cały oddział służby. Tony zatrudnił już dodatkową pokojówkę i jeszcze dwóch ogrodników. Niesamowicie, ile on dla ciebie robi.

- Wiem. - Popatrzyłam na fotografie w srebrnych ramkach. - Pewnie tak reaguję dlatego, że strasznie brakuje mi mamy i taty.

- Jasne. - Drake usiadł na krawędzi łóżka i ujął moją dłoń. - Biedna Annie. Mnie też ich brakuje. Czasami, kiedy mam przerwę w pracy, odruchowo myślę, że zadzwonię do Heaven, a potem przypominam sobie, co się stało.

- Ja też ciągle myślę, że to był tylko koszmary sen. Obudzę się i wszystko będzie jak dawniej, a ty przyjedziesz z uczelni, żeby mnie odwiedzić.

Kiwnął głową, a potem pocałował mnie czule w policzek, ale tak blisko moich warg, że kąciki naszych ust się zetknęły. Drake wydawał się zażenowany. Zauważyłam, że pachnie teraz inną wodą kolońską - tą samą co Tony.

- Hej - powiedział szybko - jeśli nie zjesz, zwałą winę na mnie i już nigdy nie pozwolą, żebym przyniósł ci posiłek.

Zmusiłam się do jeszcze paru łyżek zupy i zjadłam kęs kanapki.

- Widziałeś Luke'a albo rozmawiałeś z nim? Słyszałeś o jego wspianym przemówieniu na zakończenie szkoły?

- Tak, Mark Downing mi opowiadał. Był w Bostonie i wpadł mnie odwiedzić.

Powiedział, że wszyscy byli w szoku, kiedy Luke wspomniał Logana jako swojego ojca, choć przecież nie jest to tajemnicą.

- Taka jestem z niego dumna! Ty chyba też, prawda?

- Kiwnął głową. - Ale Drake, od tamtego czasu ani razu z nim nie rozmawiałaś? Nie zadzwoniłaś z gratulacjami?

- Szczerze mówiąc, Annie, nie byłem w nastroju. Jestem strasznie zajęty i nie mogę myśleć o wszystkim.

Skinęłam głową na znak, że rozumiem.

- Więc nie rozmawiałaś z nim wcale? - upewniłam się.

- Tylko krótko, wczoraj, kiedy przybył na Harvard.

- Przybył na Harvard! Och, w takim razie jest niedaleko i mógłby mnie tu odwiedzić albo zadzwonić do Tony'ego. Może już dzwonił?

Spojrzenie Drake'a pociemniało.

- Musisz dać mu czas. Przybycie na uczelnię i rozpoczęcie nauki to cała procedura. Mnóstwo spraw, formularzy do wypełnienia, ustalenie planu zajęć i tak dalej. Był niesamowicie podekscytowany i zdążył już poznać nowych ludzi w swoim dormitorium. Teraz jest tam koedukacja, wiesz? Luke pozna nowe dziewczyny. Kto wie, może sobie jakąś przygrucha?

Serce mi się ścisnęło. Luke chodzący z dziewczyną? Ktoś inny ma zastąpić w jego sercu mnie, której zawsze mógł powierzyć swoje najtajniejsze marzenia? W głębi duszy spodziewałam się, że prędzej czy później coś takiego się stanie, ale nie słuchałam wewnętrznych ostrzeżeń.

I oto Drake w ten swój nonszalancki sposób oznajmia mi, że Luke poderwie jakąś studentkę, zakocha się, a potem będą żyli długo i szczęśliwie. Co gorsza, mój stan może tylko przyspieszyć ten moment, bo co mu ze sparaliżowanej dziewczyny, która nie może się ruszyć z domu? Pozostanę tu na wieczność, bezradna i samotna.

Przymknęłam powieki, żeby Drake nie mógł odczytać moich myśli.

- Jasne, ale mam nadzieję, że zjawi się, jak tylko będzie wolny.

- Wiesz... - Drake dziwnie szybko chciał zmienić temat. - Teraz, kiedy na razie musisz zrezygnować z podróży po Europie, powinnaś także pomyśleć o swojej edukacji. Myślę, że powinniśmy ci załatwić tutora, żebyś nie traciła ciągłości nauki i punktów na uczelnię. Jeśli oczywiście lekarze się zgodzą. - Powiódł wzrokiem po pokoju. - Bo inaczej się tu zanudzisz.

- Dobry pomysł.

- Pogadam o tym z Tonym.

- A ty nie możesz tego załatwić, Drake? Porozmawiaj z ludźmi z Harvardu. Mogłabym się zapisać na jakiś kurs, na który będzie chodził Luke. Gdyby mnie odwiedzał, uczylibyśmy się razem. - Poza tym mielibyśmy wspólne tematy i mniej by się ze mną nudził, dodałam w myśli.

- Zobaczę, co się da zrobić. Nie doceniasz władzy i wpływów Tony'ego. Co prawda na długi czas wyłączył się z interesów, przekazując menedżerom kierowanie jego zabawkarskim imperium, ale i tak wszędzie w Bostonie słyszę o Tattertonach. Samo wspomnienie tego nazwiska otwiera każde drzwi, a ludzie mnie obskakują, jakbym sam był milionerem. A ile mogę się od Tony'ego nauczyć! - ciągnął, rozpędzając się jak samochód, który coraz szybciej stacza się z góry. - On ma wiedzę życiową, a nie z podręczników. Wie, z kim się spotykać, jak postępować z ludźmi i co im mówić, zwłaszcza w trakcie negocjacji. - Roześmiał się. - Założę się, że świetnie gra w pokera.

- Cieszę się, Drake, że dobrze ci się z nim pracuje. - Odłożyłam niedojedzoną kanapkę. - Czy wspominał coś o mojej mamie i ich wzajemnych stosunkach?

- Nie. A ja nie pytam. Jeśli przypadkiem padnie imię Heaven, twarz mu się rozjaśnia i wspomina piękne, szczęśliwe chwile. I może niech tak zostanie. Po co budzić лихо? Czy nie wystarczy nam niemiłych przeżyć? Pomyśl o tym w ten sposób, Annie - dodał szybko. - Zastanów się, czy warto drażnić te sprawy.

- Jasne, nie chcę nic na siłę, ale zrozum, że nie mogę mieszkać tu, nie wiedząc, o co chodziło. Czasami czuję się, jakbym zdradziła mamę, pozwalając Tony'emu robić to wszystko dla mnie.

- Och, Annie, to już czysty nonsens. Jestem pewien, że Heaven by pragnęła, żebyś miała najlepszą możliwą opiekę lekarską. Zawsze nadrzędne było dla niej twoje dobro. Za bardzo cię kochała, żeby przedkładać swoje racje nad twoje potrzeby. Na pewno gdyby zaszła taka konieczność, przystałaby na pomoc Tony'ego.

- Obyś miał rację.

- Myślisz, że gdyby była inna sytuacja, gdyby to Tony potrzebował pomocy Heaven, czy ona by mu odmówiła?

- Nie wiem. Wyrzuciła go ze swojego serca na długie lata. Nie widziałeś, że mama...

- Jak się miewa nasza pacjentka? - zapytał Tony od drzwi.

Zjawił się tak szybko, że zastanawiałam się, czy nie stał pod drzwiami, podsłuchując naszą rozmowę.

Drake nie wydawał się zdziwiony. Rozpromieniony zerwał się z łóżka. Widać było, że uwielbia i podziwia Tony'ego.

- Z Annie wszystko dobrze - poinformował skwapliwie. - Tutaj szybko dojdzie do siebie.

- Bardzo się cieszę. Wyspałaś się, Annie?

- Tak. Dzięki, Tony.

- Nie dziękuj. To ja powinienem dziękować tobie. Nawet nie wiesz, ile dobrego zrobiła dla mnie twoja obecność w Farthy, choć jeszcze tak krótka. Ten dom pojaśniał. Wszystko znów wydaje mi się świeże i ekscytujące. Nawet lokaj Curtis i kucharz Rye Williams ruszają się żwawiej, jakby ubyło im lat.

- Chciałabym poznać Rye'a Whiskeya. - Pamiętałam, że był to jeden z niewielu ludzi w Farthy, o których mama lubiła opowiadać.

- Przyślę go do ciebie jak najszybciej.

- I chciałabym zwiedzić cały dom. Może Drake mnie obwiezie?

- Z chęcią, Annie - przytaknął Drake - ale muszę być w Bostonie przed zamknięciem giełdy.

- Jest trochę za wcześnie na takie wyprawy - dodał Tony. - Daj sobie dzień czy dwa, żeby się wzmocnić, Annie. Kiedy poczujesz się silniejsza, sam cię oprowadzę i opowiem romantyczne historie związane z tym domem.

- Mam już dosyć siedzenia w łóżku - zaprotestowałam.

- Pani Broadfield zaplanowała dla ciebie zajęcia. Fizjoterapię, gorącą kąpiel i...

Nadałam się jak dziecko.

- Jeżeli Tony obiecał, że cię oprowadzi, zrobi to na pewno - przekonywał mnie Drake.

Trzymałam głowę opuszczoną, ale podniosłam na niego wzrok. Zobaczyłam, że uśmiech przemknął mu po wargach, jak zwykle wtedy, kiedy w Winnerrow łapałam go na tym, że przygląda mi się skrycie. Ta znajoma sytuacja sprawiła, że zrobiło mi się ciepło na sercu.

- Wiem, że jestem nieznośna i marudna. Wszyscy chcą mi pomóc, a ja zachowuję się jak niewdzięcznica.

- Ale jaka piękna niewdzięcznica! - powiedział Tony. - Dlatego ci wybaczymy.

- Widzisz, jaki on szarmancki? - zaznaczył Drake.

- Widzę. Och, Tony, Luke jeszcze nie dzwonił? Drake powiedział mi, że od wczoraj jest na Harvardzie.

- Nie dzwonił. Jeśli się odezwie, od razu cię zawiadomię.

- Powiedz mu, żeby przyjechał, jak tylko będzie mógł.

- Dobrze. - Tony klasnął w ręce, ucinając naszą rozmowę. - Dajmy zacząć pani

Broadfield. Nie przeszkadzajmy Annie w powrocie do zdrowia.

- Przepraszam pana - powiedziała Millie Thomas, nieśmiało stając w drzwiach. - Przyszłam sprawdzić, czy panna Annie już zjadła.

- Tak, zjadłam, możesz wziąć tacę. Wpadnij do mnie, kiedy będziesz wolna.

Zmarszczyła brwi, jak gdyby przyjazna i życzliwa propozycja ją zaskoczyła. W naszym domu w Hasbrouck House służba była zawsze traktowana jak rodzina. Millie zerknęła na Tony'ego.

- Tak, panienko Annie.

- I proszę, Millie, mów do mnie po prostu Annie.

Pokojówka na paluszkach wymknęła się z pokoju.

- Mam nadzieję, że będzie się dobrze sprawowała - mruknął Tony. - Wziąłem ją w ostatniej chwili z nowej agencji.

- Wydaje się miła.

- Zobaczymy.

- Pójdę już - powiedział Drake. - Wpadnę znów za dzień czy dwa. Co ci przywieźć?

- Chciałabym parę rzeczy z Winnerrow. Kiedy się tam wybierasz?

- Nieprędko, Annie, ale myślę, że można po nie posłać. - Pytająco spojrzął na Tony'ego.

- Naturalnie.

- A może zadzwonię do cioci Fanny. Niedługo się do mnie wybiera, więc będzie mogła mi to przywieźć.

- Drake, na pewno będziesz się mógł zwolnić na jeden dzień - oświadczył Tony. - Ta sprawa jest ważna.

- Zrób listę, Annie - poprosił Drake. - Wszystko przywiozę ci wkrótce.

- Dzięki, Drake.

- Do zobaczenia. - Szybko cmoknął mnie w policzek i wybiegł z pokoju.

Tony został. Wyraz jego twarzy uległ zmianie. Niebieskie oczy pojaśniały, a twarz ożywiła się radośnie, jakby znalazł coś, co uważał za bezpowrotnie zgubione.

- Możemy odsłonić okna. Niebo się przejaśniło i pogoda jest piękna. - Rozsunął zasłony. - Kwiaty kwitną wszędzie. Jutro każę napelnić basen. Wiem, że lubisz pływać.

Kto mu powiedział, że lubię pływać?, zastanawiałam się. I jak napelni basen, skoro najpierw trzeba go naprawić i odnowić?

- Każę też przygotować Scuttlesa. Zawsze lubiłaś konne przejażdżki, kiedy robiło się ciepłej.

- Scuttles? Fajne imię. Myślisz, że lekarze pozwolą mi wsiąść na konia, Tony? - Nie

odpowiedział. Patrzył na ogród. - Tony?

Odwrócił się, jakby dopiero teraz zauważył, że tu jestem.

- Och, wybacz, pogрузyłem się we wspomnieniach. Powiem pani Broadfield, żeby zaczynała. - Energicznie klasnął w ręce i wyszedł z pokoju.

Za moment zjawiała się pani Broadfield. Przeprowadziła ze mną szereg ćwiczeń, a potem zrobiła mi masaż nóg. Nie czułam nic, nawet jej dotknięcia, tylko leciutkie mrowienie w palcach u nóg, ale tak nieznaczne, że zapewne było wytworem mojej wyobraźni.

- Widzę, jak mnie pani dotyka, ale nie czuję pani rąk - powiedziałam.

Pielęgniarka kiwnęła głową i pracowała dalej, jakbym była kawałkiem gliny. Potem pomogła mi wejść na wózek i czekałam w nim, kręcąc się po pokojach, podczas gdy pani Broadfield szykowała gorącą kąpiel. Podjechałam do okna i popatrzyłam w dół, tam gdzie spoglądał Tony.

Kwiaty kwitną? Klomby były tak zarośnięte chwastami i trawą, że żaden kwiat nie przebiłby się przez tę gęstwinę. Może myślał, że każe uporządkować je ogrodnikom, i marzył już o kwiatach, które wkrótce posadzą? A Scuttles? Jazda konna? Pokręciłam głową. I jeszcze ten basen. Dziwne to było, jak gdyby Tony żył w innym czasie i uważał mnie za kogoś innego.

- Chodź, Annie, kąpiel gotowa - powiedziała pani Broadfield, stając za mną. Przestraszył mnie jej głęboki głos. Łagodnie położyła dłoń na moim ramieniu i odprężyłam się nieco. Potrafiła być delikatna, kiedy chciała.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tak, po prostu się zamyśliłam. Czy myśli pani, że w najbliższej przyszłości mogłabym pojechać konno?

- Jazda konna? - Zaczęła się śmiać. Pierwszy raz, odkąd ją poznałam. - Dobrze będzie, jeśli w najbliższej przyszłości zdołasz sama wsiąść na ten wózek i wysiąść z niego. Kto mówił ci takie głupoty?

- Nikt, tak sobie pomyślałam.

- W sumie dobrze, że myślisz pozytywnie i stawiasz przed sobą konkretne cele. To pomaga. - Popchnęła wózek do łazienki i pomogła mi zdjąć koszulę nocną. Następnie przełożyła mnie do wanny.

W szpitalu lekarze, pielęgniarki i pani Broadfield dotykali mojego ciała, naciskali je i badali, ale nie wstydziałam się ich. W szpitalu obnażanie ciała jest normalne i wstydlivość byłaby śmieszna. Kogo obchodziło, że jestem rozebrana? Bardziej przypominałam zwłoki niż żywego człowieka.

Ale teraz, silniejsza, bardziej świadoma, zaczerwieniłam się ze wstydu. Od czasu kiedy byłam małą dziewczynką, nikt nie asystował mi przy kąpieli. Pani Broadfield przytrzymywała mnie pod pachami, kiedy powoli opuszczałam się w gorącą wodę.

- Parzy! - syknęłam.

- Musi taka być, Annie.

Gdy już ułożyłam się w wannie, nadal trzymała mi ręce na barkach. Pod wodą moje nogi wyglądały, jakby zrobiono je z szarego ołowiu. Silne palce, wytrenowane tysiącami masażu, ugniatały mi ramiona i kark.

- Zamknij oczy i odpręż się - powiedziała pani Broadfield.

Posłuchałam i odchyliłam głowę na krawędź wanny.

Gęsta para wypełniła mi płuca i zamgliła powietrze, aż wydawało się, że pani Broadfield mający w oddali. Odpłynęłam w krainę marzeń, gdzie grała łagodna muzyka. Woda zdawała się wysysać całą moją energię i robiło mi się słabo. Usłyszałam, jak pielęgniarka zanurza gąbkę w wodzie, i poczułam, jak przesuwa nią po mojej ręce.

- Sama mogę to zrobić - zaprotestowałam.

- Leż spokojnie. Po to przecież pan Tatterton mnie wynajął.

Trudno mi było leżeć spokojnie, kiedy ktoś mnie mył. Pani Broadfield powoli przesuwała mi gąbką po szyi i pod pachami. Potem odchyliła mnie do przodu, żeby umyć mi plecy.

- Nie jest ci dobrze, Annie?

Bez słowa kiwnęłam głową, nie otwierając oczu. Tak było mi łatwiej. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam, że pielęgniarka pochyla się nad wanną z uważnym spojrzeniem jak fachowy technik dokładnie wykonujący swoją robotę.

- Masz ładne, twarde ciało, Annie. Silne. Szybko dojdiesz do siebie, jeśli będziesz współpracowała i nie zaniedbywała terapii.

Para skropliła się na fałdach na jej czole i na puciołowatych policzkach. Krople wyglądały jak perełki. Pielęgniarka miała twarz czerwoną z gorąca, niemal tak jak ktoś, kto zasnął w palącym słońcu.

Zanurzyła ręce w wodzie, sięgając do moich nóg, myjąc i masując. Wreszcie wyprostowała się, łapiąc oddech. Spostrzegła, że ją obserwuję, i szybko podniosła się z klęczek, wycierając ręce ręcznikiem.

- Posiedź jeszcze trochę w wannie - powiedziała i wyszła do sypialni.

Staralam się współpracować, kiedy wyciągała mnie z wanny. Sama wytarłam sobie górną połowę ciała, podczas gdy pani Broadfield wycierała mi nogi. Potem pomogła mi

włożyć świeżą koszulę i powiozła do łóżka. Chciałam jeszcze zostać w wózku, choć gorąca kąpiel bardzo mnie zmęczyła.

- Dobrze, ale tylko chwilę - zastrzegła. - Niedługo wrócę i pomogę ci się położyć, żebyś mogła się zdrzemnąć przed kolacją.

Zaczekałam, aż wyjdzie z pokoju, i podjechałam do okna, gdyż chciałam znowu popatrzeć na rodzinny cmentarz Tattertonów. Nie byłam tam jeszcze, ale widok grobowca rodziców dawał mi poczucie bliskości.

Słońce obniżyło się i budynek rzucał wielki, długi cień sięgający labiryntu. Wtem dostrzegłam mężczyznę, który pojawił się jakby znikąd. Musiał przed chwilą wyjść z cienia. Pochyliłam się ku szybie i mrużąc oczy, wpatrywałam się w odległą postać. Początkowo pomyślałam, że to może być Luke, ale kiedy moje spojrzenie się wyostrzyło, zauważyłam, że ten mężczyzna jest wyższy i szczuplejszy.

Kim był? Na pewno nie Tonym, choć w jakiś sposób jego sylwetka przypominała Tony'ego.

A może to ktoś ze służby, kto znał i pamiętał mamę?

Zamrugalam, bo oczy zaszyły mi łzami od intensywnego wpatrywania się w dal. Otarłam je wierzchem dłoni.

Kiedy znów pochyliłam się do szyby, żeby popatrzeć na cmentarz i grobowiec, nieznajomy znikł - jakby rozpląnął się w powietrzu.

Nagła myśl przejęła mnie drżeniem i chłodem. Czy wyobraźnia płata mi figle?

Wyczerpana przeżyciami, odsunęłam się od okna.

Rozdział dwunasty

DUCHY W DOMU

Tony zastał mnie śpiącą na wózku; ocknęłam się, czując, że popycha mnie w stronę łóżka.

- Och, nie chciałem cię obudzić. Tak pięknie wyglądałaś, jak śpiąca królewna. Już chciałem się wcielić w księcia i obudzić cię pocałunkiem - powiedział ciepłym głosem. Oczy mu błyszczały.

- Nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam. Która godzina?

Ciemne, niskie chmury wypełzły na niebo, zasłaniając słońce.

- Nie przejmuj się czasem. To zdrowe zmęczenie będące rezultatem masażu i gorącej kąpieli - rzekł dodającym otuchy, ojcowskim tonem. - Początkowo zabiegi będą cię męczyły, bo jeszcze nie odzyskałaś pełni sił. Dlatego właśnie lekarzom tak zależy, żebyś w czasie rekonwalescencji miała jak najwięcej spokoju i odpoczynku. Przynajmniej na razie.

Odgadłam, że było to łagodne upomnienie, abym nie urządziła już więcej scen, takich jak żądanie telefonu.

- Wiem, ale jestem niecierpliwa - wyjaśniłam ze skruchą.

Od razu się rozpromienił.

- To całkowicie zrozumiałe. Będiesz powoli wracała do siebie, etapami, czyniąc niewielkie postępy każdego dnia, co wymaga cierpliwości. Pani Broadfield mówi, że kiedy pacjent usiłuje przyspieszyć sprawy, tylko spowalnia proces zdrowienia.

- Ale ja wcale nie czuję się słaba! - zawołałam. - Czy to nie dziwne? Czuję się tak, jakbym mogła zacząć chodzić zaraz, gdybym tylko musiała.

Tony ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Twoje odczucia są zdradzieckie. Doktor Malisoff mówił mi, że tak może być. Tak się zdarza. Umysł nie chce przyjąć do wiadomości ograniczeń ciała.

Chciałam pokazać mu, że on, lekarze i pani Broadfield głęboko się mylą, dlatego celowo nie poprosiłam go, żeby pomógł mi przenieść się z fotela na łóżko. Drgały mi mięśnie rąk zaciśniętych na poręczach fotela, kiedy usiłowałam się podnieść. Jednak dolna połowa ciała jak kamień ciągnęła mnie w dół. Unosiłam tylko tułów i bezsilnie opadałam na wózek, z sercem bijącym ciężko z wysiłku. Poczulałam ostry ból w skroni i jęknęłam.

- No właśnie - powiedział Tony. - Widać, że masz wolę walki, ale nic ci nie wychodzi. Twój umysł usiłuje zanegować prawdę. Czasami bywa, że ludzie o nawet najsilniejszych

umysłach nie chcą uwierzyć, że ich ciało... uwierzyć w to, co mówi im rzeczywistość. Kombinują, fantazjują, udają, po prostu robią wszystko, żeby nie słyszeć słów, które ich przerażają.

Mówił żarliwie, z wielkim zaangażowaniem. Skinęłam tylko głową. Tony pochylił się nade mną tak, że nasze twarze niemal się stykały. Wsunął mi ręce pod pachy, uniósł mnie w górę, wyjął z wózka i ułożył na łóżku. Przez długą chwilę tulił mnie, z policzkiem przy moim policzku. Wydawało mi się, że szepcze imię mamy, lecz nagle odsunął się ostrożnie i opadłam na poduszki.

- Mam nadzieję, że zrobiłem to delikatnie - powiedział, ciągle pochyłony nade mną, ciągle blisko mnie.

- Tak, Tony. - Nienawidziłam swojego zdradzieckiego ciała, które skazało mnie na łaskę i opiekę innych ludzi.

- Może powinnaś się zdrzemnąć przed kolacją - zasugerował.

Nie potrzebowałam tej wskazówki. Powieki zrobiły mi się tak ciężkie, że z trudnością utrzymywałam je otwarte. Za każdym razem, kiedy zerkałam w górę, widziałam, że Tony pochyła się coraz niżej. Wiedziałam, że poniżej pasa nie powinnam czuć żadnego dotyku, ale miałam wrażenie, że przesuwają dłońmi po moich nogach, pieści je. Rozpaczliwie walczyłam z sennością, gdyż chciałam potwierdzić moje odczucia albo im zaprzeczyć, ale szybko odpłynęłam, jakbym dostała środek nasenny. Moją ostatnią myślą było, że usta Tony'ego suną po policzku ku moim ustom.

Obudziła mnie krzątająca się Millie Thomas, która postawiła obok mojego łóżka tacę ze śniadaniem. W nocy musiała być burza, gdyż powietrze było świeże i wilgotne jak po deszczu. Niebo jeszcze nie całkiem się rozjaśniło.

Kiedy przypominałam sobie, że Tony pomagał mi położyć się do łóżka, i wyobraziłam sobie jego dłonie na moich udach i usta przy moich ustach, uznałam, że musiało mi się to przyśnić. Wspomnienie było zbyt nierealne.

- Nie chciałam panienki obudzić, panno Annie - powiedziała przepaszająco Millie.

Mrugałam i mrugałam, nie mogąc skupić na niej wzroku. Z łokciami przyciśniętymi do boków i dłońmi splecionymi z przodu wyglądała pokornie, jak któryś z tych grzeszników ze Wzgórz Strachu, pouczanych przez starego pastora Wise'a. Zawsze był dla nich surowszy niż dla parafian z Winnerrow.

- Nic się nie stało, Millie. Już się wyspałam. Padało w nocy, prawda?

- Och, jeszcze jak, panienko Annie!

- Proszę, nie nazywaj mnie panienką. Mów do mnie Annie. - Lekko skinęła głową. -

Skąd jesteś, Millie?

- Z Bostonu.

- Wiesz, gdzie leży Harvard?

- Oczywiście, panno... Annie.

- Mój wujek Drake studiuje tam, a mój... kuzyn zaczął w tym roku. Ma na imię Luke.

Uśmiechnęła się do mnie ciepło i podstawiła mi pod plecy poduszkę do siedzenia.

Oparłam o nią plecy, a Millie postawiła na łóżku stolik z jedzeniem.

- Nie znam wszystkich, którzy tam studiują - odpowiedziała.

- Jak długo jesteś pokojówką?

- Pięć lat. Wcześniej pracowałam jako ekspedientka w domu towarowym, ale praca pokojówki o wiele bardziej mi się podoba.

- Dlaczego?

- Bo pracuje się w dużych, pięknych domach. Oczywiście nie takich wielkich jak ten, ale zawsze. I ma się do czynienia z ludźmi z wyższej klasy. Tak tłumaczyła mi to mama. Ona też była pokojówką, przez całe lata. Teraz jest w domu opieki.

- Och, przykro mi.

- Nie, ma się tam całkiem dobrze. Tobie trzeba współczuć, Annie. Wiem o twojej tragedii. Służba ciągle o tym mówi i ci, co znali twoją mamę, stale ją wspominają.

- Na przykład Rye Whiskey?

Roześmiała się.

- Kiedy pierwszy raz słyszałam, jak ogrodnik tak do niego woła, myślałam, że zamawia drinka.

- Mama też go tak nazywała. O właśnie, prosiłam, żeby Rye przyszedł do mnie jak najszybciej. Mówiłam o tym Tony'emu, ale widać zapomniał, że ma go przysłać do mnie na górę. Będziesz tak miła, Millie?

- Jasne, chętnie mu przekażę. Czy chcesz czegoś jeszcze do jedzenia?

- Nie, wszystko wygląda smakowicie.

- W takim razie zjedz, zanim wystygnie - poleciła oschle pani Broadfield. Weszła do sypialni z naręczem białych ręczników i zmierzała do łazienki. - Prosiłam cię, abyś je przyniosła, prawda? - zapytała z irytacją.

Millie się zaczerwieniła.

- Zaraz to zrobię, proszę pani, tylko podam Annie kolację.

Pani Broadfield znikła w łazience. Millie w pośpiechu ruszyła do wyjścia.

- Nie zapomnij o Rye'u Whiskeyu - powiedziała do niej szeptem.

- Na pewno nie zapomnę.

Pani Broadfield wyszła z łazienki i podeszła do mnie. Zmarszczyła brwi na widok ciasta czekoladowego.

- Wyraźnie mówiłam kucharzowi, żeby nie serwował ci tuczących deserów. Na razie tylko galaretki.

- Dobrze, nie zjem tego ciasta.

- Sprawdź, czy da się to zamienić na galaretkę. - Sięgnęła po talerzyk z ciastem.

- Nieważne, nie muszę jeść deseru.

- Ważne jest przestrzeganie zaleceń. - Wyprostowała się jak żołnierz na defiladzie i wymaszerowała z pokoju.

Biedny Rye Whiskey, pomyślałam. Jeszcze nie zdążyłam go poznać, a już ma przeze mnie kłopoty. Jadłam raczej z rozsądku niż z apetytu. Każdy kawałek gotowanego kurczaka smakował jak tektura. Ale nie była to wina kucharza, gdyż bardzo starannie przygotował mój posiłek. Po prostu byłam zbyt znużona i w zbyt depresyjnym nastroju.

Zaledwie skończyłam jeść, zapukano do drzwi wejściowych. Zaprosiłam gościa do środka i zobaczyłam starszego czarnoskórego mężczyznę, który na głowie miał kucharską czapkę i niósł dla mnie galaretkę.

Gdy się zbliżył, zobaczyłam jego wybałuszone oczy z błyszczącymi białkami i źrenicami jarzącymi się niczym świece w halloweenowej dyni. Musiałam na nim wywrzeć ogromne wrażenie.

- Jesteś Rye Whiskey?

- Tak, a ty z całą pewnością jesteś Annie, córką Heaven, panienko. Kiedy pierwszy raz spojrzałem na ciebie od drzwi, myślałem, że zobaczyłem ducha. Bogiem a prawdą nie pierwszy raz widzę w tym domu coś takiego.

Pochylił głowę i wyszeptał krótką modlitwę. Minę miał smutną i zatroskaną. Wiedziałam, że był świadkiem wielu ponurych wydarzeń - ucieczki mojej babci z tego domu, oblędu mojej prababci, a potem jej śmierci, przybycia tu mojej mamy i jej dramatycznego rozstania z Tonym Tattertonem, i w końcu mojego dramatu.

Jego przerzedzone włosy były białe jak śnieg, lecz twarz miał dziwnie gładką, prawie bez zmarszczek. Wyglądał bardzo młodo i żwawo jak na człowieka z osiemdziesiątką na karku.

- Mama wiele razy ciepło cię wspominała, Rye.

- Miło mi to słyszeć, panienko Annie, bo strasznie lubiłem twoją mamę. - Uśmiechnął się szeroko i energicznie kiwnął głową, jakby miał w karku sprężynę. - Jedzenie smakowało?

- Bardzo. Tylko mam jeszcze słaby apetyt.

- Stary Rye zmieni to raz-dwa. - Zmrużył oczy w uśmiechu. - I jak ci tu jest, panienko Annie?

- Ciężko. - Zabawne, pomyślałam, że od razu jestem z nim taka szczerą. Może dlatego, że mama tak go lubiła.

- Tak myślałam. - Zabujał się na stopach. - Pamiętam, jak twoja mama pierwszy raz przysłała do mnie do kuchni. Jakby to było wczoraj. Tak jak ty, była jak skóra zdjęta ze swojej matki. Przesadywała u mnie często, patrzyła, jak gotuję, i zasypywała mnie pytaniami o Tattertonów. Była ciekawska, jak nie przymierzając mały kociak, który wpadł do koszyka z praniem.

- A co chciała wiedzieć?

- Oj, wszystko, co pamiętam o ich rodzinie. Wyciągała ze mnie opowieści o wujkach, ciotkach, dziadkach i pradziadkach pana Tattertona. Dopytywała się, kto jest kto na tych portretach, co wiszą na ścianach. Oczywiście, jak w każdej rodzinie, są sprawy, o których uczciwy człowiek nie plotkuje.

Jakie sprawy, chciałam zapytać, ale trzymałam język na wodzy, w nadziei że kiedyś się dowiem. Rye klepnął się dłońmi po udach i westchnął.

- Co dobrego mogę ci jeszcze zrobić? - spytał szybko, aby zmienić temat.

- Lubię pieczone kurczaki. Mój kucharz w Winnerrow robił taką panierkę...

- Zaczekaj, aż spróbujesz mojej, dziecko. Zrobię ci jeszcze w tym tygodniu. Chyba że twoja pielęgniarka zarządzi inaczej. - Zerknął za siebie, by sprawdzić, czy pani Broadfield nie ma w pokoju. - Przysłała do mnie do kuchni z listą tego, co mam gotować, a czego nie. Mój podkuchenny, Roger, boi się jej jak diabeł święconej wody.

- Nie rozumiem, jak może zaszkodzić pieczony kurczak. Rye, Farthy było ładniejsze, kiedy moja mama tu mieszkała, prawda?

- O, jeszcze jak ładniejsze! Gdy kwitły kwiaty, wyglądało niczym raj!

- Kiedy pan Tatterton przestał o nie dbać?

Rye szybko odwrócił wzrok. Zobaczyłam, że zareagował nerwowo na moje pytanie, ale tym bardziej byłam ciekawa odpowiedzi.

- Pan Tatterton miał ciężkie przeżycia, panienko Annie, ale całkiem odmienił go twój przyjazd. Teraz jest prawie taki jak dawniej. Zaczął gadać, że trzeba zmienić i poprawić to i tamto. Wszystko tu wraca do życia, co jest dobre dla nas, ale niedobre dla duchów - zakończył szeptem.

- Duchów?

- Cóż, w każdym wielkim, starym domu, przez który przewinęło się tylu mieszkańców, pokazują się duchy, panienko Annie. - Z przekonaniem pokiwał głową. - I nic na to nie poradzę. Pan Tatterton też nie. Żyjemy sobie z nimi w pokoju i nie przeszkadzamy im, a one nam.

Mówił to bardzo serio.

- Czy dużo osób ze służby było tutaj za czasów mojej mamy?

- Nie, panienko. Tylko ja, Curtis i Miles. Reszta pokojówek i ogrodników odeszła albo umarła.

- Czy ten wysoki, szczupły mężczyzna też tu pracuje? Taki dużo młodszy od Curtisa?

Rye zastanawiał się przez moment, po czym pokręcił głową.

- Jest paru ogrodników, ale są niscy i krępi.

Kim w takim razie był mężczyzna przy grobie moich rodziców, zastanawiałam się.

- Musiało ci tu być ciężko, Rye, skoro pan Tatterton był w takim stanie?

- Bynajmniej, panienko. Smutno, ale nie ciężko. Fakt, zamykałem się w swoim pokoju po kolacji, zostawiając dom duchom. Ale teraz - dodał z uśmiechem - nie będą już hulać i powracają do swoich grobów. Przegoni je życie i światło. Duchy nienawidzą młodych ludzi kręcących się po domu. Bledną i rozplywają się, bo młodzi mają w sobie za dużo energii i blasku.

- Naprawdę widziałeś duchy w tym domu, Rye? - zagadnęłam z uśmiechem. Jednak kucharz był śmiertelnie poważny.

- Pewnie. Jest zwłaszcza taki jeden duch, bardzo nieszczęśliwy, który błąka się po korytarzach, zagląda po kolei do pokoi i szuka.

- Czego szuka?

- Nie wiem, panienko Annie. Nie gadałem z nim ani on nie gadał ze mną. Ale słyszałem, jak chodzi po domu, i słyszałem muzykę.

- Muzykę?

- Tak. Piękną. Fortepianową.

- Rozmawiałaś o tym z panem Tattertonem?

- Nie, panienko. Nie musiałem. Widziałem to w jego oczach.

- Co widziałeś?

- Że słyszał i widział to samo co ja. Ale nie martw się teraz duchami, panienko. Zapomnij o nich i martw się o swoje wyzdrowienie, bo musisz szybko wydobrzeć. Stary Rye będzie teraz gotował jak szatan, bo wreszcie ma dla kogo.

Zastanowiłam się przez moment, a potem spytałam:

- Rye, czy jest tu koń o imieniu Scuttles?

- Scuttles, panienko? W Farthy od dawna nie ma żadnych koni. Scuttles? - Zmarszczył czoło, natężając pamięć. Nagle spojrział na mnie i wiedziałam, że skojarzył.

- Hm, tak się mógł nazywać kucyk pani Jillian, którego miała, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wychowała się na końskim ranczu i często o Scuttlesie opowiadała, bo to był jej pierwszy koń. Ale tutaj miała innego. Wielkiego ogiera. Nazywał się Adulla Bar i był istnym diabłem.

- W oczach Rye'a zabłysnął strach na samo wspomnienie.

- Dlaczego tak o nim powiedziałaś?

- Nie pozwalał się dosiąść nikomu, tylko pani Jillian, i pan Tatterton zawsze pilnował, żeby nikt inny go nie brał... poza tym okropnym wypadkiem. Ale to nie była niczyja wina - dorzucił szybko.

- Jaki okropny wypadek?

- Ach, panienka wybaczy, ale to nie czas, żeby mówić o takich smutnych rzeczach. Panienka ma swoje kłopoty.

- Rye, proszę. Nie chcę pytać pana Tattertona, ale bardzo bym chciała wiedzieć.

Zerknął za siebie i przysunął się bliżej do łóżka.

- Jego brat Troy, panienka Annie, pewnego dnia wskoczył na tego ogiera i wjechał na nim do morza. Tylko diabelski koń mógłby zrobić coś takiego. Każdy inny by się zaparł.

- A więc to miał na myśli Drake, kiedy powiedział, że Troy popełnił samobójstwo. Czyli wjechał do oceanu na koniu mojej prababci i...

- I utonął. Ile jeszcze w tym domu musi się wydarzyć strasznych nieszczęść, panienka Annie? Czy to się nigdy nie skończy? - Pokręcił głową. - Coraz częściej zdarza mi się przeklinać, że żyję tak długo. Człowieka opadają złe wspomnienia i słyszy za dużo samotnych duchów.

- Dlaczego on to zrobił, Rye?

- Nie wiem - odpowiedział szybko; za szybko. - Troy był młodym przystojniakiem i miał wiele talentów. Zrobił dla fabryki mnóstwo zabawek. Trudno to nawet nazwać zabawkami. One były jak dzieła sztuki. Takie tycie domy i tyci ludzie. Niektóre z pozytywkami.

- Z pozytywkami?

- Tak, wygrywały piękne melodie... takie delikatne, na fortepianie.

- Chopin - mruknęłam do siebie. Obraz miniaturowego domku mamy stanął mi przed oczami, wywołując na nowo ból w sercu i zatapiając mnie falą smutku.

- Że co, panienko?

Szybko zamrugałam, żeby nie zobaczył moich łez.

- To kompozytor tych melodii.

- Aha. No dobra, muszę ruszyć swoje stare nogi i powlec się do kuchni, żeby sprawdzić, czy Roger czego nie sknocił. On jest moim, jak by to nazwać... czeladnikiem. Muszę go wyuczyć, bo przecież stary Rye nie jest wieczny. Będzie tu potrzebny dobry kucharz, kiedy Pan wezwie mnie do siebie. Ale jeszcze mi się nie spieszy, panienko Annie - dodał, błyskając białymi zębami w szerokim uśmiechu. - Och, byłbym zapomniiał o galaretkę. - Położył miseczkę na mojej tacy.

- Szkoda, że nie mogłam spróbować twojego czekoladowego ciasta, Rye. Wyglądało bardzo smakowicie.

Kucharz zerknął szybko za siebie i pochylił się ku mnie.

- Podesłę tu panience kawałek - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Za niedługo.

- Dzięki, Rye. I wpadnij jeszcze do mnie, proszę.

- Jasne, panienko.

- No, no... - W drzwiach pojawił się Tony. - Szef kuchni osobiście sprawdza, jak smakują jego dania?

- Ktoś musiał zanieść panience galaretkę i pomyślałem, że to akurat dobry moment, żebym się jej przedstawił, panie Tatterton. - Kucharz mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Ano cóż, muszę wracać do garów.

Tony odprowadził go wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na mnie.

- Ciekawe, czemu Millie nie mogła przynieść galaretki - zastanawiał się głośno.

- Poprosiłam Millie, żeby go przysłała.

- Tak? - Zmrużył oczy.

- Uznałam, że tak będzie lepiej.

Tony był zmieszany.

- Miałem mu powiedzieć, żeby wpadł do ciebie po kolacji. To jeden z najlepszych kucharzy na Wschodnim Wybrzeżu. Jego pudding Yorkshire jest po prostu bezkonkurencyjny.

- Dokładnie tak mówiła o nim mama. Musi mieć powyżej osiemdziesiątki, prawda?

- A kto to wie? Rye albo nie pamięta, kiedy się urodził, albo kłamie na temat swojego wieku. No dobrze, powiedz raczej, jak się czujesz. Przybyło ci sił?

- Męczy mnie rehabilitacja i jestem sfrustrowana. Chciałabym się ruszyć, zwiedzić dom i posiadłość.

- Może pani Broadfield pozwoli na krótką przejażdżkę korytarzem jutro rano. A pojutrze będzie tu lekarz.

- Luke dzwonił? - zapytałam z nadzieją.

- Jeszcze nie.

- Nie rozumiem, co się stało. - Serce zabiło mi niespokojnie. Czyżby prognoza Drake'a już się sprawdzała?

- Pewnie chce dać ci czas, żebyś się tu zadomowiła. - Przysunął sobie krzesło do łóżka. Usiadł, założył nogę na nogę i starannie wygładził kant eleganckich szarych spodni.

- To do niego niepodobne. Bardzo się przyjaźnimy. Wiesz, że urodziliśmy się tego samego dnia?

- Naprawdę? Niesamowite!

Urodziny moje i Luke'a były najważniejszą datą w moim życiu i dziwiłam się, że Tony nic o tym nie wie. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak całkowicie moja mama i tata go od siebie odseparowali. Zastanawiałam się, czy wie, że jesteśmy przyrodnim rodzeństwem.

- Naprawdę. I nasze więzy zawsze były tak bliskie jak te, które kiedyś łączyły moją mamę z jej bratem Tomem. Tym, który tragicznie zginął w cyrku.

- A, tak. - Tony znów wpatrywał się we mnie tak intensywnie i zachłannie, iż zdawało mi się, że jego wzrok przewierca mi duszę. - Twoja mama głęboko przeżyła jego śmierć, ale była bardzo silną kobietą i też na pewno taka jesteś. „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”, tak mówił do mnie ojciec, cytując powiedzenie jakiegoś niemieckiego filozofa, nie pamiętam którego. Mówił: „Anthony, musisz wyciągać nauki z każdej swojej klęski, bo inaczej twoje życie będzie klęską” - wspominał Tony, nieświadomie prostując się na krześle, jakby naśladował ojca. - Kiedy dawał mi tę radę, miałem raptem z pięć lat, a jednak, co dziwne, bardzo zapadła mi w pamięć.

- Tattertonowie to fascynująca rodzina, Tony.

- Och, przesada. Wielu moich krewnych to zwykli, nudni ludzie. Nie utrzymuję z nimi kontaktów. Okropne ponuraki. Rodzina ze strony Jillian jest nie lepsza. Obie jej siostry i brat odeszli jakiś czas temu. Po śmierci Jillian... - Oczy mu się zaszklily i znów zapadł we wspomnienia.

- Opowiedz mi o swoim bracie, Tony. Proszę - dodałam szybko, widząc, że jego rysy twardnieją.

- Musisz odpocząć, Annie.

- Tylko trochę. Choć parę zdań. - Nie wiem, skąd wzięła mi się ta ciekawość. Troya nie było już wśród żywych, ale należał do tajemnic Farthy, które pragnęłam rozwikłać, zwłaszcza

że to, co słyszałam o nim i o jego tragicznej śmierci, było niesłychanie intrygujące. - Tony, proszę.

Znów popatrzył na mnie ciepło i uśmiech przemknął przez jego wargi. A potem pochylił się i pogładził mnie po włosach - tak jak robiła mama.

- Kiedy prosisz, niesamowicie przypominasz mi Leigh, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną i błagała, żebym zabrał ją tu i ówdzie, pokazał to i to. Miała zwyczaj wpadać do mojego gabinetu jak bomba, przerywając mi pracę, nawet żebym był nie wiem jak zajęty, i żądała, żebym zabrał ją na żagle albo na konną przejażdżkę. A ja zawsze ulegałem. Mężczyźni z rodu Tattertonów rozpieszczają swoje kobiety, ale wcale tego nie żałują.

- A Troy? - Czy brat Tony'ego celowo usunął się na margines rodzinnego życia?

- Ach, Troy... Cóż, jak ci mówiłem, był dużo młodszy ode mnie. W dzieciństwie bez przerwy chorował i prawdę mówiąc, był dla mnie ogromnym ciężarem. Przyznam, że uważałem go za kamień u szyi. Nasza mama umarła, kiedy był jeszcze malutki, a wkrótce potem odszedł tata. Musiałem zastąpić mu ojca. Wyrósł na niezwykle bystrego młodzieńca i skończył studia w wieku osiemnastu lat.

- Coś podobnego! - zdumiałam się. - I co potem robił?

- Pracował w rodzinnej firmie. Miał wielki talent artystyczny i zaprojektował większość naszych słynnych zabawek. I tak to było - dodał, najwyraźniej zamierzając zakończyć na tym opowieść o Troyu.

- Dlaczego popełnił samobójstwo?

Łagodne spojrzenie niebieskich oczu stwardniało, jak gdyby zmroził je lód.

- On nie popełnił samobójstwa, Annie. To był wypadek; tragiczny wypadek. Mama nie mówiła ci o tym?

- Nie. Nigdy nie wspomniała o Troyu - odpowiedziałam, przemagając ucisk w gardle.

Tony był wściekły. Zacisnął usta w cienką, bladą linię. Przeraził mnie i musiał to zauważyć, gdyż szybko postarał się złagodzić wyraz twarzy. Teraz sprawiał wrażenie smutnego i zdesperowanego.

- Troy był melancholikiem, człowiekiem głębokim i niesłychanie przewrażliwionym. Miał fatalistyczne nastawienie do życia. Mimo starań nie byłem w stanie tego zmienić. Jednak nie lubię mówić o Troyu, gdyż... gdyż czuję się w jakiś sposób odpowiedzialny za to, co się stało. Nie zdołałem mu pomóc, choć bardzo chciałem.

- Przepraszam. Nie chciałam sprawić ci przykrości. - Zrozumiałam. Tony nigdy nie pogodzi się z myślą, że jego brat zabił się, gdyż nie miał ochoty dalej żyć. Zachowałam się okrutnie, próbując zmusić go do mówienia o Troyu.

- Wiem, że nie byłabyś zdolna świadomie sprawić mi przykrości; jesteś zbyt słodka, dobra i niewinna, aby to zrobić. - Uśmiechnął się ciepło. - Proponuję, żebyśmy już nie mówili o smutnych rzeczach. Przynajmniej na chwilę skupmy się na tym, co piękne i niosące nadzieję, dobrze?

- Dobrze - przytaknęłam.

- Jeśli się zgodzisz, zrobię listę książek, które powinnaś przeczytać, i przyniosę ci je do pokoju. Poza tym jutro każę zainstalować tu telewizor i będę zaznaczał ci w programie najlepsze pozycje nadające się dla ciebie.

Dziwne, pomyślałam. Czy on uważa mnie za niedokształconą i niewychowaną? Sama wiedziałam, jakie książki mam czytać i co oglądać w telewizji. Mama chwaliła mój gust literacki. Tymczasem Tony traktował mnie jak jakąś prostaczkę, która potrzebuje oglady i musi mieć mentora. Nie chciałam jednak protestować, żeby nie urazić jego uczuć. Widać było, że jest szczęśliwy, mogąc coś zrobić dla mnie.

- A ja muszę zrobić listę rzeczy, które Drake ma mi przywieźć z Winnerrow - przypomniałam sobie.

- No właśnie. Drake będzie dzisiaj po południu. Czy jest coś jeszcze do załatwienia?

Pokręciłam głową.

- Dobrze, teraz muszę iść, bo mam sporo pracy.

- Wstał. - Zobaczymy się jutro rano. Miłych snów, Heaven.

- Heaven?

- Och, wybacz. Tak bardzo jesteś podobna do swojej mamy, że...

- Nic nie szkodzi, Tony. Nie będę miała pretensji, jeśli od czasu do czasu się pomylisz. Bardzo kochałam mamę. - Łzy popłynęły tak szybko, jakby tylko czekały na odpowiednią okazję, aby przerwać tamy.

- Och, znów wprowadziłem cię w smutek.

- To nie twoja wina.

- Biedna Annie. - Pochylił się nade mną, łagodnie pocałował mnie w policzek i przez chwilę nie odrywał od niego ust. Nagle gwałtownie cofnął głowę i wyprostował się, jakby zdał sobie sprawę z niestosowności tak długiego pożegnania przed snem. - Dobranoc - rzucił i szybko wyszedł z pokoju.

Opadłam na poduszkę i zaczęłam rozmyślać o rzeczach, których dzisiaj się dowiedziałam. Rye pytał, ile jeszcze w tym domu musi wydarzyć się nieszczęść - jakby to, co już się stało, nie wystarczyło. A może jest tak we wszystkich bogatych rodzinach, które mają tak wiele i zarazem tak wiele cierpią?

Czy nad rodem Tattertonów wisi klątwa, która dotyka każdego, kto ma z nim bliższy kontakt? Może Rye Whiskey nie kłamał, kiedy mówił, że widzi duchy snujące się po domu? I mężczyzna, którego widziałam z daleka, odwiedzający grób moich rodziców, też był takim duchem?

Drake chyba miał rację; nie powinnam zajmować się smutną przeszłością. Ona jednak nie dawała mi spokoju. Musiałam się jak najwięcej dowiedzieć. Dręczyło mnie to jak swędząca wysypka, której nie sposób nie podrapać.

A jednak najbardziej dręczyło mnie milczenie Luke'a. To było do niego niepodobne. W dodatku nie mogłam do niego zadzwonić; zresztą gdybym nawet mogła, nie wiedziałam, w którym dormitorium mieszka.

Zajrzała Millie, pytając, czy czegoś potrzebuję, i wpadł mi pomysł do głowy.

- Zajrzyj do szuflady, może jest tam papeteria i długopis.

Szybko znalazła papeterię.

- Perfumowana - powiedziała, wachając kopertę. - Nadal bardzo ładnie pachnie.

- Wszystko mi jedno. Chcę napisać krótki list. Przyjdź za kwadrans, to poproszę, żebyś ten list wysłała.

Wysłała, a ja na stoliku nocnym zaczęłam pisać list do Luke'a:

Kochany Luke'u!

Wiem, że rozmawiałeś z Tonym po zakończeniu szkoły, i bardzo się cieszę, że Twoja przemowa tak się podobała. Zaslżyłeś sobie na uznanie. Szkoda tylko, że nie możesz być tu ze mną, że nie ma tu moich rodziców.

Drake odwiedził mnie w Farthy i opowiadał o Twoim przybyciu na Harvard. Lekarze chcą, żebym dochodziła do siebie w spokoju, więc nie mam jeszcze telefonu. Gdybym miała, już dawno zadzwoniłabym do Ciebie, a nie pisała list. Poproszę, żeby wysłano go ekspresem, abyś szybko go otrzymał.

Nie mogę się doczekać, kiedy Cię usłyszę i zobaczę. Już marzę o naszym wspólnym zwiedzaniu Farthy.

Proszę, odezwij się albo przyjeźdź!

Całuję

Annie

Zaadresowałam list do Luke'a Toby'ego Casteela w Harvard College. Kiedy Millie wróciła, wytłumaczyłam, co ma zrobić.

- Zanieś to do pana Tattertona i poproś, żeby uzupełnił adres, a potem dodał ten list do swojej poczty i wysłał go jak najszybciej.

Luke odezwie się, jak tylko dostanie mój list. Pewność, że za parę dni go zobaczę, przywróciła mi spokój i dobry humor. Zamknęłam oczy. Lekko uniosłam powieki, kiedy usłyszałam, że do pokoju weszła pani Broadfield. Zmierzyła mi ciśnienie krwi, sprawdziła puls, poprawiła kołdrę i wyszła, gasząc światło.

Kiedy słońce zaszło i niebo pociemniało, noc spadła na mnie jak ciężka czarna kurtyna. To była moja druga noc w Farthy, lecz nie przypominała tej pierwszej.

Nasłuchiwałam duchów, o których opowiadał Rye. Możliwe, że miał bujną wyobraźnię, ale w środku nocy zdawało mi się, że słyszę ciche dźwięki fortepianu, walc Chopina... A może mi się to tylko śniło.

Czy zadziałała moja desperacka potrzeba ocalenia pamięci, wspomnień, widoku łagodnego uśmiechu mamy, kiedy głaskała mnie po głowie, że tak ciągle wracałam do przeszłości? Albo Rye miał rację. Czy naprawdę ten dom po nocy nawiedzał niespokojny duch, który ciągle szukał czegoś albo kogoś?

Może szukał mnie. I wiedział, że kiedyś tu trafię.

Rozdział trzynasty

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

Pani Broadfield rozsunęła zasłony i nagle oszołomiła mnie eksplozja jasnego blasku. Pielęgniarka wyglądała rześko, jakby od dawna była na nogach, ale zawsze tak wyglądała.

- Powinnaś wstawać wcześniej, Annie - powiedziała, nie patrząc na mnie. Mówiła dalej, krążąc po pokoju i bezustannie wykonując różne czynności - rozłożyła mój wózek, wyjęła szlafrok z garderoby, przyniosła mi do łóżka kapcie. - Zrobienie czegokolwiek zajmuje ci teraz dużo czasu, więc twój dzień musi być dłuższy. Wkrótce będziesz już potrafiła o własnych siłach przesiadać się z łóżka na wózek i odwrotnie. Sama będziesz się udawała do łazienki za potrzebą i jadła przy stoliku. Aby tak było, musisz trenować wytrwale i ciężko jak sportowiec. Rozumiesz? - Wreszcie spojrzała na mnie.

Usiadłam oparta plecami o poduszki i kiwnęłam głową.

- W takim razie zaczynamy - stwierdziła energicznie.

Musiałam spać bardzo mocno, bo ciągle jeszcze byłam otumaniona. Spokojnie i płynnie, jakbyśmy odgrywały scenę w pantomimie, pani Broadfield pomogła mi przenieść się z łóżka na fotel inwalidzki, a potem powiozła mnie do łazienki, gdzie zdjęła mi koszulę. Sama umyłam sobie twarz. Po chwili, umyta i przebrana, zostałam zawieziona z powrotem do pokoju i ustawiona przy oknie.

- Zaraz przyniosę śniadanie - powiedziała, ruszając do wyjścia.

- A dlaczego nie przyniesie go Millie? - zapytałam, bo chciałam się upewnić, czy pokojówka dodała mój list do poczty Tony'ego.

Pielęgniarka przystanąła w drzwiach.

- Millie została wczoraj zwolniona - powiedziała i wyszła, zanim zdążyłam zareagować.

Zwolniona? Dlaczego? Zdążyłam już polubić tę sympatyczną dziewczynę. Była akuratką, miła i uczynna. Czym zawiniła, że zwolniono ją tak szybko? Zaledwie zjawił się Tony, od razu zadałam mu pytanie.

- Tony, pani Broadfield powiedziała mi przed chwilą, że zwolniłaś Millie. Dlaczego?

Pokręcił głową, przygryzając górną wargę.

- Z powodu niekompetencji. Od pierwszego dnia więcej bałaganu, niż sprzątała. Miałem nadzieję, że to się zmieni i zacznie się bardziej starać, lecz było coraz gorzej. Jillian wywaliłaby taką osobę po jednym dniu. Szkoda, że nie znałaś znakomitej służby, którą tutaj mieliśmy - profesjonalnej, bardzo...

- Ależ Tony, ona była bardzo miła - zaprotestowałam.

- Owszem, miła, lecz to za mało. Sprawdziłem jej referencje i okazały się niewystarczające. Wcześniej pracowała jako kelnerka, a nie pokojówka. Nie martw się, jeden z moich ludzi już szuka kogoś na jej miejsce.

Zjawiała się pani Broadfield z tacą.

- W takim razie idę - powiedział Tony. - Jedz spokojnie.

- Zaczekaj! Wczoraj dałam jej list, który miała ci przekazać, abyś go wysłał Luke'owi.

Z uśmiechem uniósł brwi.

- List? Nie dała mi żadnego listu.

- Ależ...

- Wezwałem ją do siebie około dwudziestej trzydzieści, powiadomiłem ją o zwolnieniu i wypłaciłem dwutygodniową odprawę, ale nie wspomniała o żadnym liście.

- Nic nie rozumiem.

- Wszystko jest jasne. Okazała się niekompetentna. Pewnie miała list w kieszeni fartucha i zapomniała o nim. Naprawdę nie wiem, co się dzieje dzisiaj z tymi młodymi ludźmi, są tak strasznie roztargnieni. Nic dziwnego, że trudno znaleźć porządną służbę.

- To był list do Luke'a! - krzyknęłam z rozpaczą.

- Jajko ci stygnie - zauważyła oschle pani Broadfield.

- Bardzo mi przykro, Annie - powiedział Tony. - Napisz dzisiaj drugi list i tym razem daj go mnie. Kiedy wrócę z pracy, zrobimy sobie wycieczkę po piętze. Oczywiście jeśli pani Broadfield wyrazi zgodę - dodał, zerkając na pielęgniarkę. Nie odpowiedziała.

Wyszedł, zanim zdążyłam ustalić z nim coś jeszcze na temat listu. Spojrzałam na pannę Broadfield i zobaczyłam, że jest poirytowana.

- Zacznijmy poranne zabiegi, Annie, bo potem musisz długo odpoczywać. Jeśli zaczniemy z opóźnieniem, nie widzę szans na zwiedzanie. Proszę, jedz.

- Nie jestem głodna.

- Musisz jeść, żeby mieć siłę. Już ci mówiłam, że twoja rehabilitacja ma przypominać trening sportowca, a żaden sportowiec nie osiągnie wyników bez porcji energii, jaką dostarcza jedzenie. Różnica jest tylko taka, że oni ryzykują przegranie meczu czy biegu, a ty ryzykujesz trwałe inwalidztwo.

Sięgnęłam po sztućce i zaczęłam jeść. Dzięki Bogu, że gotuje Rye Whiskey, pomyślałam. W jego wykonaniu nawet proste potrawy smakowały bosko.

Moje poranne zabiegi były takie same jak zwykle, a jednak tym razem ujawniła się różnica. Byłam prawie pewna, że czuję dotyk dłoni pani Broadfield na udach. Przypominało

to kłucie, jakby wbijano w skórę szpilki, i zaboląło, aż krzyknęłam.

- Co się stało? - zapytała pielęgniarka niecierpliwie.

- Coś... jakby mnie kłuje.

- Masz bujną wyobraźnię.

Podjęła masaż. Znow mnie boleśnie zakłuło.

- Ale ja czuję... naprawdę czuję! - zaprotestowałam.

- Nazywa się to bólem histerycznym - stwierdziła pani Broadfield. - Jesteś w gorszym stanie psychicznym, niż myślałam. Jakby tego było jeszcze mało.

- Tak, ale...

- Jeśli znow ci się będzie wydawało, że coś czujesz, musisz nad sobą zapanować.

- Ale...

Znow wzięła się do masażu. Bolało, lecz tym razem krzywiłam się tylko i tłumiłam okrzyki bólu. Wysilek tak mnie wyczerpał, że przed lunchem musiałam się zdrzemnąć. Pani Broadfield przyniosła mi jedzenie i powiedziała, że dzwonił Tony i obiecał, że niedługo wraca, aby obwieść mnie po piętrze. Zabawne, pomyślałam, jak zdawałoby się zwykła czynność urosła do rangi wydarzenia, do którego trzeba się specjalnie przygotowywać, jak do jakiegoś balu. A perspektywa wyjechania na wózku z pokoju i zwiedzania piętra była równie ekscytująca jak wizja dalekiej podróży. Jakże zmieniło się moje życie! Ile spraw kiedyś uważałam za oczywiste!

Zjawił się Parson, jeden z pracowników, i przyniósł mi telewizor - z pilotem, abym mogła oglądać programy z łóżka. Był to silny, krępy mężczyzna o ogorzałej twarzy. Całe lata pracy na słońcu i wietrze poznały mu skórę głębokimi bruzdami.

- Od dawna tu pracujesz, Parson? - zapytałam.

- Nie, od jakiegoś tygodnia.

- I jak ci się podoba? - Myślałam, że nie usłyszał mojego pytania, ale po chwili zrozumiałam, że namyśla się nad odpowiedzią. - Pewnie masz dużo roboty - dodałam, żeby go zachęcić do mówienia.

Przerwał podłączanie kabli i popatrzył na mnie.

- Owszem, jest kupa roboty, ale ile razy coś zacznę, to pan Tatterton zmienia zdanie i każe mi zaczynać coś nowego.

- Zmienia zdanie?

- No tak. Jak mnie najmował, była mowa o remoncie basenu, więc zacząłem mieszać cement. Za moment zjawia się pan Tatterton i pyta, co robię. Kiedy mu powiedziałem, popatrzył na ten basen, a potem na mnie, jakbym był niespełna rozumu. I opowiada, że ojciec

uczył go, żeby naprawiać coś dopiero wtedy, jak się popsuje. „Że jak?”, pytam, bo ten basen to istna ruina. A on na to, że trzeba przyciąć żywopłoty w labiryncie i oczyścić ścieżki. Więc poszedłem do labiryntu, bo co miałem robić? Przez ten czas cement stwardniał i diabli go wzięli. Ale przynajmniej zapłata jest dobra - dodał ze wzruszeniem ramion i znów zajął się telewizorem.

- A co dalej z basenem?

- Nie pytałem. Robię, co każą. No, powinno działać. - Włączył telewizor i przez chwilę sprawdzał kanały.

- Ma być włączony?

- Nie, zgaś, na razie dziękuję. Jak jest w labiryncie?

- Jak? - Znów wzruszył ramionami. - Bo ja wiem? Cicho, spokojnie... jeśli się wejdzie głębiej. Nic nie słyszysz i nagle... Chodzi o to, że kiedy jest tak cicho, to wydaje ci się, że słyszysz dziwne rzeczy - Zachichotał.

- Co masz na myśli?

- Parę razy zdawało mi się, że ktoś chodzi po drugiej stronie żywopłotu, więc zawołałem do niego, ale nikt nie odpowiedział. Wczoraj byłem już pewny, że słyszę kroki. Zacząłem biegać po ścieżkach i wypatrywać, kto tam jest. No i jak pani myśli, co się stało?

- Nie mam pojęcia.

- Zabłądziłem, jak to w labiryncie. - Zarechotał głośno. - Straciłem pół godziny, zanim wróciłem do miejsca, w którym pracowałem.

- A te kroki?

- Potem już ich nie słyszałem. No nic, miło się gada, ale muszę już iść.

- Dziękuję, Parson! - zawołałam za nim.

Po jego wyjściu zapatrzyłam się w okno. Niebo lśniło błękitem jak oczy mamy, kiedy była promienna i szczęśliwa. Moje oczy muszą być teraz zgaszone, pomyślałam. Poszarzałe jak stara, sprana niebieska bluzka. Ale świat za oknem tętnił blaskiem i życiem; trawa miała szmaragdowy odcień; drzewa zieleniły się listowiem i kwitły kwiaty. Puszyste białe chmurki na niebie były czyste i miękkie jak świeżo wzruszone poduszki.

Rudziki i wróble skakały po gałązkach podniecone perspektywą słonecznego popołudnia. Z jaką chęcią zamieniłabym się z nimi! - pomyślałam. Wołałabym być teraz zwykłym ptaszkiem, bo przynajmniej mógł się poruszać, polecieć tam, dokąd zechce, i cieszyć się życiem.

Mama i tata odeszli na zawsze, straciłam kontakt z Lukiem i byłam skazana na zamknięcie w wielkim, starym domu, gdzie moimi jedynymi zajęciami były zabiegi, gorące

kąpiele, przyjmowanie lekarstw i od czasu do czasu wizyty lekarzy. I tak miało trwać nie wiadomo jak długo, gdyż nikt nie był w stanie mi tego powiedzieć.

Wzięłam się w garść i przestałam uważać się nad sobą, kiedy zobaczyłam rolls-royce'a Tony'ego nadjeżdżającego drogą. Samochód zatrzymał się przy cmentarzu. Podjechałam bliżej i niemal rozplaszczyłam nos na szybie, żeby lepiej widzieć. Tony wysiadł i podszedł do grobowca moich rodziców. Ukląkł, pochylił głowę. Klęczał tak nieruchomo przez długi czas, po czym nagle z lasu wyłonił się ów tajemniczy mężczyzna i podszedł do niego. Tony zdawał się nie słyszeć jego kroków, bo nawet nie drgnął.

Nieznajomy przez chwilę stał obok niego, a potem położył Tony'emu rękę na ramieniu. Czekałam i czekałam z bijącym sercem, ale Tony nie uniósł głowy. Minęło jeszcze parę chwil, aż wreszcie tamten człowiek wrócił do lasu. Tony podniósł się z kolan i wsiadł do samochodu.

Odniosłam wrażenie, że tylko ja widziałam tego tajemniczego mężczyznę, który stał obok Tony'ego. Nie mogłam się doczekać, kiedy Tony do mnie przyjdzie. Podjechałam do łóżka i ustawiłam wózek tak, że patrzyłam na drzwi.

Musiałam czekać jeszcze dwie godziny, zanim Tony przyszedł do mnie. Umierałam z niecierpliwości, kiedy będę mogła go zapytać o nieznajomego na cmentarzu. Chciałam nawet go zawołać, ale uznałam, że moja ciekawość nie usprawiedliwia takiego alarmu. Przecież za moment tu będzie, powtarzałam sobie, wsłuchując się w tykanie zegara. Nikt nie nadchodził. Przypomniałam sobie, co mówił mi Roland, kiedy byłam mała i często się niecierpliwiłam: „Woda się szybciej nie zagotuje, jeśli będziesz stać nad garnkiem”.

Próbowałam skupić myśli na czymś innym i zaczęłam przeglądać książki przysłane mi przez Tony'ego. Wszystkie były powieściami autorów, o których nigdy nie słyszałam, jak dziewiętnastowieczny pisarz William Dean Howells. Na obwolutach czytałam opisy: „Powieść historyczna” lub „Powieść obyczajowa”. Tony chyba pomylił epoki!

Wreszcie się zjawił. Natychmiast, półprzytomna z podekscytowania, zapytałam go o mężczyznę z cmentarza.

- Jaki mężczyzna? - Uśmiech Tony'ego pozostał przylepiony do twarzy, ale całe jego ciepło uleciało.

- Widziałam, jak podchodzi do ciebie, kiedy klęczałeś przed grobem moich rodziców.

Tony stał w progu, mrugając gwałtownie, jakby chciał skupić się na realnym świecie. Głośno wypuścił powietrze z płuc i podszedł do mnie. Jego uśmiech znów stał się ciepły i życzliwy.

- Ach, zapomniałem, że widzisz nasz cmentarz z okna. - Wzruszył ramionami. - To był jeden z pracowników, może ogrodnik. Prawdę mówiąc, byłem tak pogrążony w żalu, że nie zwróciłem uwagi, który to i czego chciał.

- Ogródnik? Ale Rye Whiskey mówił, że...

- A teraz - podjął wesoło Tony i klasnął w ręce, jakby nie słyszał moich słów - pora na twoją pierwszą przejażdżkę po Farthy. Pani Broadfield powiedziała, że zasłużyłaś sobie na nią. Gotowa?

Zerknęłam za okno, w dal, gdzie widać było las i cmentarz. Chmury, długie, ciemne i cienkie jak szpony czarownicy, zasłaniały słońce, rzucając cień na grób rodziców.

- Powinnam pojechać na cmentarz, Tony.

- Pojedziesz, jak tylko lekarze zezwolą. Może nawet jutro. A tymczasem pokażę ci coś specjalnego.

Stanął za moimi plecami i ujął rączki wózka. Dlaczego nie powiedział mi prawdy o tym człowieku? Czy bał się, że się zdenerwuję? Jak mam zmusić go, żeby przestał kłamać? Może Rye będzie wiedział? Muszę go zapytać, ale tak, żeby Tony się nie zorientował.

Czułam jego ciepły oddech na swoim czole, kiedy pocałował mnie w czubek głowy. Zaskoczył mnie. Tony musiał to wyczuć.

- Jak dobrze, jak cudownie, że tu jesteś i możesz razem ze mną odbyć podróż w głąb czasu.

- Tony, jestem inwalidką - zaprotestowałam, ale miałam wrażenie, że mnie nie słyszy.

- ...Aby odzyskać piękne wspomnienia, aby znów zaznać szczęścia. Niewielu ludzi ma okazję odzyskać to, co stracili. - Wytoczył mój wózek z pokoju.

- Dokąd jedziemy?

- Najpierw chcę, żebyś zobaczyła amfiladę pokojów, które przygotowałam dla twoich rodziców, kiedy przyjechali do Farthy na swoje weselne przyjęcie. Byli jak dwa gołąbki jedzące sobie z dziobków.

Często usiłowałam sobie wyobrazić tatę i mamę jako młodych ludzi. Wiedziałam, że poznali się, kiedy rodzina taty sprowadziła się do Winnerrow. Podobno zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia.

Nigdy jednak mama nie opowiadała o szczęśliwych chwilach w Farthy. Byłam pewna, że musiały być takie chwile. Dlatego słuchałam uważnie słów Tony'ego, który opisywał, jak śmiali się i przytulali do siebie, jak podobało się mojemu tacie Farthinggale Manor i z jaką radością oprowadzał go po posiadłości.

- Gdy po raz pierwszy zobaczyłem twoją mamę, byłem zdumiony, jak bardzo

przypomina własną matkę - dodał, popychając mój wózek długim korytarzem.

- Tak jak ty, moja droga. Czasami, kiedy przymknę oczy i słyszę, jak mówisz, wyobrażam sobie, że gdy je otworzę, zobaczę Heaven. Więc otwieram je i przez chwilę nie jestem pewien. Czy lata, które upłynęły od czasu, kiedy mnie zostawiła, były tylko sennym koszmarem? Czy wrócą szczęśliwe czasy? Jeśli bardzo czegoś pragniesz, modlisz się o to i marzysz, czy marzenie może się spełnić? Czasami pojawiają się wszystkie razem w moich myślach... jak gdybyście były nie trzema kobietami, lecz jedną. Leigh, Heaven, a teraz ty, tak podobna z głosu, z zachowania, z wyglądu. Jesteście jak siostry, trojaczki, a nie matki i córki - powiedział miękko.

Nie podobał mi się sposób, w jaki nas wszystkie łączył. Jakbym nie była dla niego osobnym bytem mającym swoje myśli i odczucia. Oczywiście, chciałam być jak mama, nawet wyglądać jak ona, ale przy tym chciałam pozostać sobą. Być Annie, a nie Leigh; Annie, córką Heaven, nie jej sobowtórem. Dlaczego Tony uporczywie ignorował moją indywidualność? Czy nie wiedział, jak ważna jest dla każdego świadomość własnej osobowości? Jak by się czuł, gdyby ktoś powiedział o nim: „To kolejny Tatterton, podobny do reszty”? Postanowiłam, że później będę musiała poruszyć z nim ten temat. Nie tylko ja powinnam się uczyć.

Skupiłam się na zwiedzaniu domu. Kiedy przywieziono mnie tutaj, nie zwróciłam zbyt wiele uwagi, jak wygląda piętrowy; odnotowałam tylko, że chodnik w korytarzu jest bardzo wydeptany i wystrzępiony. W żyrandolach zwisających z sufitu większość żarówek była przepalona, a ich konstrukcje pokrywały pajęczyny. Zasłony w oknach były zaciągnięte i w korytarzu panował mrok, zwłaszcza tam gdzie wiózł mnie Tony.

- Cała ta część domu nie była ruszana od lat. Pokoje pierwotnie należały do moich pradziadków, ale kazałem je wyremontować i przerobić dla twoich rodziców. Wiedziałem, co będzie się podobało twojej mamie, i kazałem wyszukać apartament na jej przyjazd. Powinnaś widzieć zaskoczoną minę Heaven, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła, co jest za nimi!

Zaśmiał się, ale był to dziwny śmiech kogoś, kto śmieje się do własnych myśli; kogoś, kto jest zamknięty we własnym świecie, którego nie dzieli z innymi. Kiedy zadarłam głowę, żeby popatrzeć na niego, zobaczyłam, że znów ma nieobecne spojrzenie.

Czy nie widzi, jaki obskurny jest ten korytarz? Nie czuje woni kurzu i stęchlizny?

- Od dawna nikt tędy nie przechodził. Nie pozwoliłem nikomu wchodzić do tych pokojów - dodał Tony, jakby czytał w moich myślach i wiedział, że zastanawiam się, dlaczego nie przysłał tu armii pokojówek z kubłami i ze szczotkami.

Gdy wjechaliśmy w ten historyczny rezerwat, zrobiło się jeszcze bardziej mrocznie. Wielkie, obrosłe kurzem pajęczyny pokrywały sufit i kąty korytarza. Chyba nawet sam Tony od wieków tu nie wchodził. Zatrzymał wózek przed wielkimi, dwuskrzydłowymi, panelowymi drzwiami z hikory. Były na nich długie, cienkie zacieki brudu. Niektóre wyglądały na świeże.

Tony wyciągnął z kieszeni marynarki klucze na kółku. Kiedy otworzył drzwi i odwrócił się do mnie, jego twarz promieniała dziwną jasnością, a oczy lśniły podekscytowaniem. Tak musiał wyglądać tamtego dnia, w którym zaskoczył moich rodziców ich małżeńskim apartamentem. Czy jego wspomnienia były tak żywe? Czy mógł mieć złudzenie, że to wszystko dzieje się dzisiaj?

- Apartament państwa Stonewall - oznajmił, jak gdyby rodzice żyli i stali obok mnie.

Drzwi zaskrzypiały głośno. Nie czekając, aż mnie tam wwiezie, zakręciłam kołami wózka i wtoczyłam się do środka. Ku swojemu kompletnemu zaskoczeniu zobaczyłam amfiladę nienagannie utrzymanych pokojów - czystych, odkurzonych, wypucowanych, po prostu lśniących za tymi myląco odrapanymi drzwiami w zaniedbanej części domu. Rzeczywiście było tak, jakbym przekroczyła niewidzialną granicę czasu i znalazła się w przeszłości.

Tony znów się roześmiał, ale tym razem rozbawiła go moja mina.

- Piękne, prawda?

Wszędzie widziałam ulubiony kolor mojej mamy - kolor czerwonego wina. Meble w stylu prowansalskim miały obicia tego samego koloru; takie same akcenty miał perski dywan. Podobnie wyglądała kwiecista tapeta na ścianach. Dwa duże okna miały kotary i jedwabne zasłony. A wszystko wyglądało jak nowe!

Tony potwierdził moje obserwacje.

- Wszystko jest nowe i urządzone jak dawniej. Salon wygląda dokładnie tak jak w chwili, kiedy twoi rodzice weszli tu po raz pierwszy.

- Wszystko jest nowe? - powtórzyłam zaskoczona. - Ale... dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego... - Powiódł wzrokiem po pokoju, jakby odpowiedź była oczywista. - Cóż, może pewnego dnia ty i twój mąż tu zamieszkacie. Poza tym - dodał szybko - czuję się lepiej, patrząc na wnętrza wyglądające tak jak w dawnych, szczęśliwych czasach. A skoro stać mnie na takie fanaberie, czemu miałbym sobie żałować? Mówiłem ci już, że zamierzam przywrócić Farthinggale Manor do dawnej świetności.

Pokręciłam głową. Ktoś mógłby powiedzieć, że w ten sposób bardzo bogaty, starszy człowiek spełnia swoje zachcianki. Dobrze, ale czemu przywraca bolesne wspomnienia?

Przez te wszystkie lata mama nie chciała mieć z nim nic wspólnego, a Tony cały czas pielęgnował pamięć o niej, nie pozwalając czasowi jej zatrzeć. Czemu?

- Nadal czegoś nie rozumiem, Tony. Dlaczego tak ważne dla ciebie jest utrzymanie tego w... w stanie z przeszłości? - drażylałam.

Jego rysy stężały.

- Już ci mówiłem. Stać mnie na to.

- Dobrze, ale stać cię na wiele rzeczy, nowych rzeczy. Czemu zwracasz się ku przeszłości?

- Przeszłość jest dla mnie ważniejsza niż przyszłość - odpowiedział niemal z warknięciem. - Kiedy będziesz w moim wieku, zrozumiesz, jak cenne są piękne wspomnienia.

- Przecież był rozdźwięk pomiędzy mamą a tobą i wydaje się, że to powinno cię boleć. Mama uciekła stąd, z twojego życia. Była...

- Nie! - zaprzeczył z furią. - Nie - powtórzył trochę spokojniej. A potem się uśmiechnął. - Czy nie rozumiesz, że zachowałem tu Heaven taką, jaką była dla mnie... zatrzymałem na zawsze. Oszukałem los! - Zaśmiał się pustym, głuchym śmiechem. - Tak, moja droga, oto jest prawdziwa siła wielkiego bogactwa.

Nic już nie powiedziałam, tylko patrzyłam na niego. Tony postarał się, żeby dziki wyraz znikł z jego twarzy.

- Chodź, zobaczymy sypialnię.

Przeszedł do przodu i otworzył kolejne drzwi. Już nie tak ochoczo, nawet z pewnym ociąganiem. Sama wjechałam do środka i rozejrzałam się z zaciekawieniem.

Nawet królewskie łoże wydawało się niknąć w tym ogromnym pomieszczeniu o podłodze pokrytej beżową wykładziną dywanową, tak miękką i grubą, że grzęzły w niej koła wózka. Ona też była nowa.

Tak samo jak wszystkie tkaniny w pokoju. Narzuta na łóżko miała ten sam brzoskwiniowy kolor co baldachim, a na niej leżały ozdobne rdzawe poduszki. Spojrzałam na prawo i zobaczyłam białą marmurową toaletkę stanowiącą część marmurowego blatu, który biegł niemal przez całą długość pokoju. Pod nim były szuflady z jasnego drewna. Nad nimi ciągnęła się ściana luster obramowanych złotem.

Coś na toaletce przyciągnęło mój wzrok, więc podjechałam bliżej. Była to szczotka, na której zostało jeszcze kilka długich platynowych włosów. Wzięłam ją do ręki.

- Należała do Heaven - szepnął Tony, stając obok wózka. - Wtedy, kiedy miała włosy jak Leigh. Ufarbowała je z własnej woli, jak gdyby Leigh odrodziła się w niej. - Miał szalony

błysk w szeroko otwartych oczach. Serce zaczęło mi łomotać. - Te włosy są... to są włosy Leigh. Nie chodzi o to, że Heaven ufarbowała się... po prostu wróciła Leigh. I ja...

Zobaczył zdumienie na mojej twarzy i wzruszył ramionami. Łagodnym ruchem wyjął mi z rąk szczotkę i czule musnął włosy opuszką palca.

- Piękna była z tymi włosami; to kolor stworzony dla niej.

- Wołałam ją z ciemnymi włosami - powiedziałam.

Zdawał się mnie nie słyszeć. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w szczotkę, a potem ostrożnie odłożył ją na blat, jakby była cennym muzealnym eksponatem. Ja dalej przyglądałam się toaletce i blatowi, dostrzegając inne osobiste przedmioty - spinki i wsuwki do włosów, klamry, grzebienie, nawet zmiętą chusteczkę, pośliznęłam po latach.

- Dlaczego mama to wszystko zostawiła? - Odwróciłam się, kiedy nie odpowiedział od razu, i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie z dziwnym półuśmiechem.

- Tony? - Nie zareagował. - Tony, co się stało? - Obróciłam wózek tak, że patrzyłam mu prosto w twarz. To wyrwało go z transu.

- Och, przepraszam. Widok ciebie, siedzącej tutaj... tak jakbym widział Heaven przy toaletce, w nocnej koszuli, szczotkującą włosy przed spaniem.

I znów coś dziwnego, pomyślałam. Był w pokoju mamy i obserwował, jak szykuje się do łóżka? Taka sytuacja pasowałaby do męża i żony, a nie do przyrodniego dziadka i przyrodniej wnuczki. Tony mówił o mamie, jakby była Jillian, jego żoną. Coraz bardziej mnie przerażał. Może zaczynał popadać w szaleństwo, a ja na nieszczęście trafiłam właśnie na ten moment?

- Oglądałeś, jak szykuje się do snu? - Nie mogłam się powstrzymać przed tym pytaniem.

- Ach, nie, tylko pewnego razu zapukałem i stojąc w drzwiach, rozmawiałem z nią chwilę. Mówiła do mnie, nie przerywając rozczesywania włosów - wyjaśnił szybko; zbyt szybko i skwapliwie, jak mi się wydało. Mówił takim tonem, jakby chciał coś ukryć.

- Czemu mama zostawiła tyle swoich rzeczy, wyjeżdżając z Farthy? - Na blacie przede mną stało mnóstwo jej pudrów, perfum, wód toaletowych i lakierów do włosów.

- W Winnerrow miała drugi komplet wszystkiego, co potrzebne, żeby nie musiała brać bagaży, kiedy tam wyjeżdżała - wytłumaczył mi pośpiesznie.

- Mam raczej wrażenie, że uciekła stąd w pośpiechu, Tony - odpowiedziałam, aby wiedział, że nie wierzę w jego wyjaśnienia. Podjechałam bliżej do niego. - Dlaczego wyjechała tak nagle? Czy możesz mi wreszcie powiedzieć?

- Annie, proszę...

- Nie, postawmy wreszcie sprawę jasno. Naprawdę doceniam, co zrobiłeś dla mnie i dla Drake'a, ale niepokoi mnie sprawa rozstania mojej mamy z tobą. Coraz bardziej mam poczucie, że ukrywasz coś przede mną, coś złego, czego podświadomie się obawiam.

- Nie myśl, że...

- Nie wiem, jak długo wytrzymam tutaj, nie poznawszy prawdy, choćby była nie wiem jak brzydka czy bolesna - powiedziałam z uporem.

Spoczęło na mnie ostre, badawcze spojrzenie pełne głębokiego namysłu. Zamrugał, kiedy wreszcie podjął decyzję, i kiwnął głową.

- Masz rację; chyba przyszedł czas. Dzisiaj wydajesz się o wiele silniejsza, a mnie, tak jak i ciebie, dręczy sprawa rozdźwięku pomiędzy twoją mamą a mną. Poza tym nie chcę, żeby mur tajemnicy rozdzielił także nas, Annie.

- W takim razie opowiedz mi o wszystkim.

- Opowiem. - Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko mnie. Przez parę chwil, które zdawały mi się wiecznością, siedział nieruchomo i w milczeniu, podpierając policzek wypielęgowaną, arystokratyczną dłonią. Wreszcie opuścił ręce i rozejrzał się wokół. - Jest to właściwe miejsce do wyznań... jej pokoje. - Opuścił wzrok, a potem uniósł go i popatrzył na mnie smutnym, bezradnym wzrokiem osieroconego szczeniaka, który pragnie być kochany i głaskany. Wzięłam głęboki oddech i czekałam.

Rozdział czternasty

WYZNANIA TONY'EGO

- Nie oczekuję, że mi wybaczysz, Annie - zaczął, a oczy miał jak dwie bryłki błękitnego lodu. - Proszę tylko, żebyś spróbowała zrozumieć, dlaczego to zrobiłem i jak okropnie czułem się potem, kiedy Heaven dowiedziała się o wszystkim i znienawidziła mnie.

Urwał, czekając, jak zareaguję. Milczałam. Być może liczył na słowa zachęty, ale ja byłam już spięta i skupiona na tym, co za chwilę mogę usłyszeć. Nawet coś tak okropnego, że będę musiała poprosić - nie, zażądać - o natychmiastowe wywiezienie z Farthinggale Manor.

Uświadomiłam sobie, że Tony pod jednym względem miał rację - to było idealne miejsce do wysłuchania tej historii. Ubrania mojej mamy nadal wisiały w garderobie, a z ich wyglądu mogłam sądzić, że Tony kazał je prać i prasować w ramach swojej obsesji ożywiania przeszłości i utrzymywania wyłącznie szczęśliwych wspomnień. Czułam znaną woń jaśminu, choć zapewne podsuwała mi ją wyobraźnia; wydawało mi się nawet, że słyszę dźwięki pozytywki grającej melodię Chopina.

- Annie, nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, co czułem po odejściu brata. Zawsze miałem nadzieję, że Troy zdoła przezwyciężyć swój fatalizm i depresję, że spotka kogoś, kogo pokocha, ożeni się i będzie miał dzieci. Liczyłem, że mali Tattertonowie znów napelnia ten dom śmiechem i wesołą bieżącą. Że ród nie zginie, bo pojawią się dziedzice, którzy zapewnią mu ciągłość.

- Dlaczego ty i Jillian nie mieliście dzieci? - Pytanie wydało się naturalne, ale z wyrazu jego oczu i sposobu, w jaki zacisnął usta, wywnioskowałam, że sprawiło mu ból. Powoli pokręcił głową.

- Kiedy ożeniłem się z Jillian, nie była już młoda, a do tego była prózną, piękną kobietą, która uważała, że po urodzeniu Leigh straciła część swojej urody. Słyszałem, że musiała odbyć całą batalię, żeby odzyskać figurę. Krótko mówiąc, nie chciała mieć kolejnego dziecka. A ja bardzo. Prosiłem, żeby pomyślała o rodzie Tattertonów i moim pragnieniu dziedzica. Błagałem. Na nic.

- Jaka była jej odpowiedź?

- Jillian sama była jak dziecko, Annie. Nie wyobrażała sobie własnej śmierci; nie wyobrażała sobie nawet starości. Ten problem po prostu dla niej nie istniał. Na początku zbywała mnie, mówiąc, że Troy powinien zapewnić przedłużenie rodu. A potem, kiedy umarł... było już dla niej za późno na dzieci.

- Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z całkowitym odcięciem się mojej mamy od ciebie.

- Potraktuj tę część jak wstęp, Annie. Ułatwi ci zrozumienie motywów mojego późniejszego postępowania. W każdym razie Troy nie żył, a Jillian... cóż, Jillian była zapatrzona w siebie aż do kompletnego zatracenia i stopniowo wkroczyła na drogę obłądu, z której nie zeszła aż do dnia swojej śmierci.

Gdy Heaven po raz pierwszy zjawiała się u nas, nawet nie wyobrażasz sobie, jakim szczęściem zabiło moje serce, kiedy zobaczyłem ją - wnuczkę Jillian. Troy był już wtedy w głębokiej depresji i prowadził samotnicze życie, przekonany, że wkrótce umrze. Jillian coraz bardziej skupiała się na sobie, obsesyjnie stosując reżim dbania o urodę.

Heaven była inteligentna, żywa, chętna do nauki i ambitna. Chciała wyzwolić się ze swojego dziedzictwa i pokazać światu, na co ją stać. Jak wiesz, posłałem ją do drogiej prywatnej szkoły, sprawiłem jej elegancką garderobę i gotów byłem spełnić każde jej żądanie. Kiedy zapragnęła wrócić do Winnerrow i próbowała na nowo zjednoczyć ród Casteelów, finansowałem ją. - Pochylił się ku mnie i zniżył głos, jak gdyby nie chciał, żeby przodkowie słyszeli jego słowa. - Pozwoliłbym jej nawet sprowadzić tutaj cały klan, byle tylko została u mnie i zechciała dziedziczyć wszystko.

Nie wyobrażasz sobie, jak złamało mi serce postanowienie Heaven, że wróci do Winnerrow i zostanie nauczycielką w tamtejszej szkole. Nie mogłem uwierzyć, że chce zrezygnować z wszystkiego, co jej tu ofiarowałem, na rzecz skromnej posady w prowincjonalnym miasteczku, gdzie nigdy nie będzie mogła liczyć na uznanie mieszkańców, bo zawsze będą ją lekceważyli jako hołotę z gór.

- Moja mama zawsze marzyła, że wróci do Winnerrow, aby uczyć dzieci biedoty i pomagać im tak, jak kiedyś pomagała jej ukochana nauczycielka - powiedziałam.

- Pamiętam, jaka była dumna, gdy mogła coś zrobić dla tych dzieciaków. - Tak, tak, wiem. Popełniłem okropny błąd, lekceważąc jej powołanie. Za późno sobie to uświadomiłem. Kiedy dowiedziałem się, że zamierza wyjść za twojego ojca, spanikowałem. Bałem się, że małżeństwo na zawsze odciągnie ją od Farthinggale Manor. Że po ślubie Heaven osiadzie w skromnym domu w Winnerrow i... że pogodzi się ze swoim ojcem, Lukiem Casteelem, i znów zakorzeni się w świecie, z którego tak pragnęła się wyrwać. Rozumiesz teraz, jak się czułem? - zapytał błagalnie. - Miałem wrażenie, że cały mój świat się kończy... Wytwórnia zabawek Tattertonów, Farthy... po co, dla kogo się starałem, budowałem to wszystko? Całymi nocami włączałem się po tych korytarzach, czując śledzące mnie z portretów gniewne spojrzenia przodków. Zacząłem nienawidzić echa własnych kroków i widoku swojej twarzy

w lustrach. Żałowałem, że urodziłem się Tattertonem. Aż w końcu pewnego dnia pomyślałem: A może jednak jest sposób, żeby ściągnąć Heaven do Farthy?

Gdy dowiedziałem się o ich zaręczynach, skontaktowałem się z Loganem i zaczęliśmy rozmawiać o jego przyszłości. Zobaczyłem, że ma chłonny umysł, jest ambitny i żądny nowych wyzwań. Zaoferowałem mu ważne stanowisko w mojej firmie i zaproponowałem, że jeśli on i Heaven się zgodzą, wyprawię im weselne przyjęcie w Farthy.

- Wiem, widziałam zdjęcia. Musiało być wspaniałe!

- Takiej imprezy jeszcze Farthy nie widziało, wierz mi. I tego samego dnia, tuż przed przyjęciem, przedstawiłem Heaven i Loganowi pomysł przyłączenia się do mojej kompanii i zbudowania filii fabryki w Winnerrow. Twoja mama się zgodziła, a wtedy pokazałem im te apartamenty. - Urwał na moment, żeby jeszcze raz przeżyć radość tamtego sukcesu. - Heaven była oszołomiona. Odzyskałem ją całkowicie. Użyłem wszelkich swoich sposobów i możliwości; rzuciłem na szalę wszystko, co miałem, i udało się.

- Dobrze, Tony, ale dlaczego cię znienawidziła?

Opuścił głowę i zaczął uważnie oglądać swoje dłonie, jakby szukał na nich niewidocznej skazy.

- Znienawidziła mnie za coś, co zrobiłem dodatkowo, żeby zabezpieczyć mój plan. - Uniósł wzrok.

- Co to było? - Mój głos był ledwie słyszalny.

- Jak już mówiłem, obawiałem się, że Heaven zacieśni więzy ze swoim ojcem. Wiedziałem, że go kocha i bardzo jej zależy, aby on ją kochał. Po całych latach niewidzenia postanowiła wybaczyć mu, że kiedyś sprzedał ją i jej rodzeństwo. Dlatego zaprosiła go i jego nową żonę, Stacie, na swój ślub w Winnerrow. Wiedziałem, że Luke przyjmie zaproszenie. Byłem również pewien, że kiedy Heaven odzyska ojca, nie będzie już potrzebowała ani moich pieniędzy, ani fabryki, ani Farthy, niczego. Stwierdziłem, że nie mogę do tego dopuścić.

- I co zrobiłeś? - zapytałam niecierpliwie.

- Z rozmów z Heaven pamiętałem, że Luke zawsze marzył o własnym cyrku. W owym czasie pracował dla niejakiego Windenbarrona. Kupiłem więc cyrk od Windenbarrona i sprzedałem go Luke'owi za symbolicznego dolara.

- Za jednego dolara!

- Jeden dolar i jeden warunek... że nie przyjedzie na ślub i zerwie wszystkie kontakty z Heaven. Zapowiedziałem, że jeśli nie dotrzyma umowy, straci cyrk.

Patrzyłam na niego oniemiała. Nie byłam w stanie wykrztusić słowa, ale w mojej głowie kłębił się wir myśli. Jeden dolar! Tony był jak diabeł kupujący ludzką duszę, kuszący

człowieka spełnieniem marzeń, ale w zamian każący mu oddać coś najcenniejszego. Zrobiło mi się słabo; byłam zniesmaczona i oburzona, jakby mój ojciec przehandlował mnie za cyrk i za dolara!

Milczenie, które zapadło pomiędzy nami, zdawało się trwać wiecznie. W duchu wylałam z rozpacz, ale nie mogłam zerwać się i wybiec z pokoju, uciec od tych koszmarnych rewelacji. Jakim człowiekiem był Luke Casteel? Modliłam się w duchu, żeby Luke junior nie odziedziczył po nim tych podłych cech. Tylko nie on, tylko nie Luke, którego znałam i kochałam.

- I co, zgodził się? - zapytałam, choć nie miałam wątpliwości, jaka będzie odpowiedź.

- Tak, i dotrzymywał zobowiązania aż do swej tragicznej śmierci. Zginął razem z żoną w wypadku samochodowym. Niedługo potem Haven dowiedziała się, co zrobiłem. Usiłowałam wytłumaczyć jej wszystko, tak jak teraz tobie. Błagałam, żeby mi wybaczyła, ale była tak wściekła, że natychmiast wyjechała z Farthy i już nigdy tu nie wróciła.

Spuścił głowę.

- Zostawiła mnie załamanego, dręczonego poczuciem winy, snującego się samotnie po tym ogromnym domu i bez końca roztrząsającego swoje egoistyczne postęпки. Po pewnym czasie, kiedy uznałem, że rany się zagoiły, próbowałam nawiązać z Heaven kontakt, ale nie odpowiadała na moje telefony i listy. Nie chciała mieć nic wspólnego ze mną i choć robiłem wszystko co w mojej mocy, nie udało mi się jej przebłagać.

Wycofałem się w cień i tak egzystowałem - ciągnął. Na moment podniósł wzrok i znów go opuścił. - Trzymały mnie przy życiu wiadomości o życiu Heaven i Logana w Winnerrow, o twoich narodzinach. Moi ludzie donosili mi, że wspaniale się rozwijasz, że wyrastasz na piękną dziewczynę. Dostarczali mi raporty o sukcesach fabryki w Winnerrow i o rosnącym uznaniu, jakim miejscowa społeczność zaczęła darzyć twoich rodziców. Śledziłem ich cudowne życie, ich szczęście i marzyłem, że kiedyś cię zobaczę. Chciałem wiedzieć o tobie jak najwięcej.

Wiele razy zamierzałem przyjechać do was, nawet jeśli twoja mama miałaby wyrzucić mnie za bramę. Albo planowałem przyjazd do Winnerrow w przebraniu, żeby popatrzeć na was choć z daleka.

Powiedział to tak, że zaczęłam podejrzewać, czy naprawdę nie podglądał nas skrycie.

- Nawet sobie nie wyobrazasz, jak w ciągu tych samotnych, jałowych lat ważna była możliwość obcowania z tobą i z Heaven, nawet pośrednio, poprzez opowieści innych - dodał i oczy zaszkliły mu się łzami.

Czułam, że jest do bólu szczery. Przez te wszystkie lata wyczekiwał, aż mama albo ja

pojawiemy się w Farthinggale Manor. Nie mogłam mu nie współczuć.

- Och, Annie, wierz mi, oddałbym wszystko, co mam, żeby odwrócić to, co zrobiłem i żeby znów było dobrze, ale tak się nie da. Błagam... nie chcę, żebyś mnie znienawidziła. Daj mi szansę. Naprawię swoje błędy, pomagając tobie, abyś mogła być znów zdrowa i szczęśliwa.

Chwycił moje dłonie i patrzył błagalnie w moje oczy, oczekując w napięciu, czy go nie odrzucę. Uciekłam spojrzeniem w bok. Serce waliło mi mocno. Poczułam, że zaraz zemdleję.

- Chcę wrócić do pokoju, Tony. Muszę odpocząć i wszystko sobie przemyśleć.

Smutno, z rezygnacją skinął głową.

- Nie winię cię, że mnie nienawidzisz - powiedział cicho.

- Nie nienawidzę cię, Tony. Wierzę, że szczerze żałujesz swojego postępowania, lecz rozumiem, dlaczego mama robiła się taka smutna, kiedy pytałam o jej ojca. I czemu denerwowała się, kiedy wspominałam o Farthinggale Manor czy o tobie. Luke Casteel umarł, nie miała możliwości się z nim pojednać po wielu latach niewidzenia. W przeciwieństwie do ciebie, Tony, mój dziadek nie miał szansy prosić o przebaczenie.

- Wiem, i z tą świadomością pójdę kiedyś do piekła. - Tony otarł łzę z policzka.

Wybacz mi, mamó, pomyślałam, gdyż w tym momencie mogłam mu tylko współczuć.

- Odwieź mnie do pokoju, Tony, bo jestem bardzo zmęczona. Drake będzie tu po południu, żeby wziąć ode mnie listę rzeczy, których potrzebuję z Winnerrow, prawda?

- Tak.

Wstał i obszedł wózek. Słyszałam, jak wzdycha za moimi plecami. Wyprowadził mnie z apartamentu, z głębi przeszłości i pchał mój wózek w teraźniejszość.

Zawiózł mnie do sypialni, pożegnał się i zaraz pojawiła się pani Broadfield, żeby pomóc mi położyć się do łóżka.

- Zaraz wrócę - powiedziała, kiedy już leżałam wygodnie - i zaczniemy ćwiczenia.

- Nie chcę dzisiaj żadnych ćwiczeń - zaprotestowałam buntowniczo.

- Musisz je odbyć. Jeśli mają przynieść wyniki, trzeba ćwiczyć codziennie. W ten sposób narzucasz swojemu organizmowi rytm, schemat, od którego się uzależnia i który pomaga mu wrócić do zdrowia. Twoje nogi muszą być masowane, krew musi krążyć. Chyba nie chcesz, żeby w tkanki wdała się martwica? - zapytała z uśmiechem, który tym razem wyglądał jak upiorny grymas czarownicy. Oddaliła się, zanim zdążyłam odpowiedzieć, ale jej groteskowy wizerunek pozostał pod moimi powiekami.

Czekając na powrót pielęgniarki, myślałam o mamie, która odkryła, że Tony przekupił

jej ojca, aby zapomniał o ślubie córki i trzymał się od niej z daleka. Przypomnił mi się smutny, nieobecny wyraz jej oczu, kiedy mówiła o Luke'u Casteelu. Co musiała czuć, kiedy zrozumiała, że zabrano jej możliwość porozmawiania z nim, pogodzenia się i wybaczenia?

Choć nie była to do końca wina Tony'ego, myślałam. Luke przystał na ten układ. Bez wahania wyrzekł się córki, byle tylko dostać wymarzony cyrk. Gdy Heaven odkryła prawdę, musiało to ją okrutnie zboleć. Teraz zrozumiałam, czemu była tak zajadła. Ponieważ Luke już wtedy nie żył, skierowała swoją furię na Tony'ego.

Ja poznałam Tony'ego jako cierpiętnika, osamotnionego w ogromnym domu, żałującego za swoje grzechy. Współczułam mu. Być może, gdyby mama widziała go teraz, serce by jej zmiękło. Była zbyt dobra, żeby odwrócić się od zbolącej duszy.

Nie, postanowiłam, nie będę żądała, żeby wywieziono mnie z Farthinggale Manor. Dostarczałam Tony'emu okazji do odpracowania dawnych grzechów. Moje odejście byłoby dodatkową karą, która mogłaby go nawet popchnąć do fatalnego kroku, na jaki zdecydował się jego brat Troy.

Pani Broadfield wzięła mnie w obroty, ugniała mi uda i masowała mięśnie łydek. Kłucie wróciło z jeszcze większą siłą niż poprzednio, ale nie mówiłam jej o tym. Wolałam poczekać na lekarza.

Unosiła mnie, przekładała. Widziałam jej silne ręce ściskające i masujące moje ciało, aż czerwieniała blada skóra. Gdy wsunęła mi dłonie pod pośladki, żeby przewrócić mnie na brzuch, czułam je... po prostu czułam, bez towarzyszącego bólu. Ten dotyk nie był przyjemny

- Czuję pani palce i nie ma bólu - powiedziałam.
- Naprawdę? - Kontynuowała masaż, naciskając jeszcze mocniej.
- Czy to nie jest ważny objaw?
- Możliwe. Zapiszę to w raporcie. - Gniotła mnie i gniotła.
- Może już wystarczy? - zapytałam w końcu.

Wyprostowała się gwałtownie, jakbym dała jej po twarzy, i natychmiast opuściła w dół moją nocną koszulę tak, że zakrywała mnie aż do kostek. Twarz miała zaczerwienioną z wysiłku, oczy malutkie jak u gryzonia. W tym momencie dobiegły mnie głosy z korytarza.

Nadchodzili Drake i Tony. Szybko się okryłam i oparłam o poduszki, czekając na ich przybycie. Drake rozpromienił się na mój widok. Odwzajemniłam jego uśmiech, ale mój był krótki i blady. Luke od razu by zauważył, że coś mnie dręczy, pomyślałam. Drake nie był tak subtelny.

- Cześć, Annie. - Pocałował mnie w policzek. Tony stał w nogach łóżka. - Przyszedłem po twoją listę. Czy mam zamówić ciężarówkę? - Roześmiał się i odwrócił do Tony'ego, który

zdążył już całkowicie odzyskać swoje dystygowane, biznesowe „ja”.

- Nie chcę wiele, Drake. Nie będę tutaj wiecznie.

Zobaczyłam, że Tony’emu drgnęła powieka. Drake przytaknął z entuzjazmem.

- Jasne. Nie ma jak pozytywne myślenie!

- Czekam na dole - oznajmił nagle Tony. - Pogadajcie sobie.

- Niedługo zejść - powiedział Drake. - Mam jeszcze mnóstwo spraw.

- To jest lista, Drake. - Wyjęłam kartkę, którą wsunęłam pod jedną z poduszek. Trzymałam tam całą papeterię i długopis, żeby nie męczyć pielęgniarki prośbami o ich podanie. - Pani Avery pomoże ci wszystko znaleźć - dodałam.

Kiwnął głową i przebiegł listę wzrokiem.

- Obie bransoletki szczęścia? Tylko taką biżuterię chcesz tu mieć?

- A po co mi inna, Drake? Nie wybieram się nigdzie.

- Och, może niedługo przyjdzie ci ochota, żeby się wystroić na jakąś okazję, nie wiem. Zresztą wszystko jedno. W każdym razie jeśli zobaczę coś jeszcze, co mogłoby ci się przydać, wezmę to. - Złożył kartkę i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wreszcie zobaczyłam w jego oczach zmartwienie. - Czy coś jest nie w porządku, Annie?

Wybuchnęłam płaczem.

- Co się stało? - Usiadł na brzegu łóżka i objął mnie niezgrabnie. - Dowiedziałaś się czegoś o Luke’u?

- Luke? - W jednej chwili przestałam płakać. - Co z nim? Drake, powiedz mi, proszę. - Serce zaczęło mi walić jak szalone.

- Ach, miałem ci już dawno powiedzieć, żebyś niepotrzebnie się nie martwiła, że jeszcze się z tobą nie skontaktował, ale...

- Mów! - Przerazenie ścisnęło mi żołądek.

- Spokojnie, Annie. Nic złego się nie dzieje. Po wczorajszej wizycie u ciebie pomyślałem, że pojadę do Harvardu i sprawdzę, co porabia. Musiałem się trochę postarać, żeby go znaleźć. W końcu zastałem go w holu dormitorium... czule patrzącego w oczy koleżanki. - Odwrócił wzrok i nie mogłam już odczytać reszty jego myśli.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Drake? Nie rozumiem. - Ogarnęła mnie nagła słabość i z trudem wydobywałam z siebie głos, ale nie chciałam, aby Drake widział, że aż tak to przeżywam.

- Szybko znalazł sobie dziewczynę. I wydaje się, że jest mocno zaangażowany.

- Dziewczynę? A pytał o mnie? - spytałam z nadzieją. Niemal się modliłam o odpowiedź twierdzącą.

- Owszem, pytał i obiecał, że dzisiaj zadzwoni do Tony'ego. Zapytałem Tony'ego, czy dzwonił, kiedy szliśmy na górę do ciebie, ale nie... nie było żadnego telefonu. Może odezwie się później. Przez chwilę myślałem - dodał, zerknąwszy na drzwi - przyszło mi w tej chwili do głowy, że Tony posłał kogoś do Harvardu, aby odnalazł Luke'a i przekazał wiadomość o tobie.

- Nie, nie zrobił tego. - Odwróciłam głowę. Serce ciążyło mi w piersi jak kawał cementu. Luke, zajęty nową dziewczyną, całkiem zapomniał o mnie? Straciłam mamę, tatę, a teraz... a teraz jestem bliska utraty Luke'a?

Nie, to nie możliwe, to chyba jakiś koszmarny sen! Kiedy dojdę do siebie, odzyskam siły i zacznę chodzić, przyjadę do niego i na pewno straci zainteresowanie dla tej dziewczyny. Z nikim go tyle nie łączy co ze mną. Gdy wkroczę do jego pokoju w dormitorium i znów mnie zobaczy, nasze losy jeszcze raz mocno się splotą. Wierzyłam, że musi się tak stać.

- Wiem, co sobie myślisz, Annie, ale musisz zrozumieć, jakie to nowe, studenckie życie musi być ekscytujące dla kogoś, kto dotąd mieszkał w nudnej, prowincjonalnej dziurze. W Harvardzie otaczają go zupełnie inni, inteligentni ludzie. Nie możesz mieć do niego pretensji, że się zachłysnął nowymi doznaniem.

Kiwnęłam głową.

- Wiem, ale... brakuje mi Luke'a. - Nie mogłam mu wyznać, co naprawdę czuję, i nie chciałam, żeby zobaczył to w moich oczach.

- Dobra, jeśli w najbliższym czasie nie zadzwoni ani się nie pojawi, sam go tu przywiozę - obiecał Drake.

- O nie. Powinien odwiedzić mnie z własnej woli, a nie dlatego, że musi. - Nie zniosłabym tego, myślałam. Czułabym, że jestem dla Luke'a ciężarem, a nie kimś, kogo kocha i z nim pragnie być.

- Jasne. Wybacz, głupio powiedziałem - przyznał Drake, nie patrząc na mnie.

- Przecież wiem, że chciałeś dobrze. Nie mam do ciebie pretensji. - Drake był teraz jedyną rodziną, jaka mi została. Drake i Tony Tatterton.

- Dobrze, Annie, ale powiedz mi jedno. Czemu, kiedy tu wszedłem, miałaś taką smutną minę, skoro nie z powodu Luke'a?

- Pomóż mi usiąść - poprosiłam. Podłożył mi pod plecy poduszkę, poprawił kołdrę i znów usiadł na brzegu łóżka. - Posłuchaj, zmusiłam Tony'ego, żeby powiedział mi wreszcie, dlaczego mama uciekła stąd i nie chciała go więcej widzieć.

Drake skinął głową. Jego oczy nie poruszyły się, ale na wargach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Wiedziałem, że prędzej czy później to zrobisz, Annie. Jesteś jak twoja matka, kiedy sobie coś postanowisz, nie spocznesz, dopóki nie osiągniesz celu. Słucham, jaki szkielec znalazłaś w szafie w Farthy?

Opowiedziałam mu wszystko, usiłując być sprawiedliwa wobec Tony'ego i przedstawiając jego racje tak, jak mi je tłumaczył. W miarę jak mówiłam, twarz Drake'a szarzała, pod jego oczami pojawiły się cienie. Kiedy skończyłam, odwrócił głowę i milczał przez długą chwilę.

- Pamiętam mojego ojca jak przez mgłę - rzekł wreszcie. - Miałem pięć lat, kiedy rodzice zginęli, ale pamiętam piękny wóz strażacki, zabawkę Tattertonów, który dostałem w prezencie od Heaven. Za każdym razem, kiedy tata widział, że się nim bawię, robił się smutny. „Wiesz, od kogo to dostałeś?” - pytał często. Odpowiadałem, że od Heaven. Oczywiście zapomniałem, kim ona jest i jak wyglądała, ale imię wbiło mi się w pamięć, bo tata nieodmiennie odpowiadał: „Tak, od Heaven, twojej siostry”.

I uśmiechał się. Nie ma wątpliwości, że Tony postąpił niewybaczalnie, ale masz rację, twierdząc, że mój ojciec jest winny, gdyż poświęcił córkę dla upragnionego cyrku. Myślę, że nadszedł czas, aby wybaczyć Tony'emu, Annie. Kochałem Heaven niemal tak jak ty i nie sądzę, żeby znenawidziła nas za to.

Palące łzy pociekły mi po policzkach. Przytaknęłam w milczeniu, gdyż nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Drake otarł mi łzy i przytulił mnie do piersi.

- Muszę już iść - powiedział, wstając szybko. - Będę jutro, tylko bliżej wieczoru. Przywiozę ci wszystko, co zamówiłaś.

- Pozdrów ode mnie panią Avery, Rolanda i Geralda, dobrze? I obiecaj, że nie będziesz się kłócił z ciotką Fanny. Obiecaj!

- Obiecuję. Będę udawał, że jej tam nie ma.

- I powiedz jej, że chętnie zobaczyłabym ją w Farthy.

- Jasne.

- I bądź miły dla Luke'a.

- Tak jest, pani kapitan. - Zasalutował mi ze śmiechem.

- Uważaj na siebie, Drake.

- Będę uważał. Przecież zostaliśmy prawie sami.

Uściskał mnie i wyszedł. Chociaż drzwi były otwarte, czułam się, jakby zatrzasnął je i zamknął na klucz. Cisza, która zapadła, gdy oddaliły się jego kroki, była gęsta i przytłaczająca. Przeniknięta dreszczem, naciągnęłam okrycie pod brodę i leżałam, wpatrzona w sufit.

Luke z inną dziewczyną? Wyobraźnia podsuwała mi obrazy, których nie potrafiłam odpędzić od siebie. Widziałam go ze śliczną studentką, siedzących w stołówce, zatopionych w rozmowie. Widziałam, jak trzymając się za ręce, idą przez kampus i Luke ją całuje, obejmuje, tak jak zawsze marzyłam, żeby mnie całował i obejmował.

Traciłam wszystko, co darzyłam miłością. Świat, który dotąd znałam i kochałam, wypaliły ból i rozpacz. Byłam niczym mały ptaszek, wyczerpany długim lotem, który desperacko szuka bezpiecznego miejsca do życia. Lecz wszystkie drzewa były spopielone.

Zamknęłam oczy i zmorzył mnie sen. Śnił mi się tata - biegłam ku niemu, a on czekał z wyciągniętymi ramionami, ale kiedy mnie objął, okazało się, że jego ręce są z powietrza.

- Nie! Nie! - krzyknęłam.

Własny krzyk mnie obudził. Zobaczyłam Tony'ego przy swoim łóżku.

- Śnił mi się koszmar - powiedziałam, oczekując, że zapyta o sen.

- To zrozumiałe, Annie. - Usiadł na brzegu łóżka i pochylił się, żeby pogłaskać mnie po głowie. - Przeszłaś straszne chwile. Ale kiedy się budzisz, jesteś tutaj, ze mną, bezpieczna. Poza tym - ciągnął, czule gładząc mnie dalej - z czasem świat będzie dla ciebie coraz jaśniejszy i szczęśliwszy. Mam wielkie plany co do ciebie. Tyle trzeba zrobić, tyle zmian wprowadzić. Ten dom musi wrócić do życia, a centrum tego życia będziesz ty. Jak księżniczka.

Pomyślałam o Luke'u i naszych fantazjach. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie i Tony był przekonany, że ów uśmiech jest jego zasługą.

- Widzę, że już czujesz się lepiej. To świetnie. - Sięgnął do mojego nocnego stolika po proszki na sen. - Pani Broadfield powiedziała, że powinnaś to zażyć. - Wręczył mi pigułkę i podał wodę. Posłusznie łyknęłam proszek. Tony odstawił szklankę i pochylił się, żeby pocałować mnie w czoło. - Jeszcze raz zamknij oczy i spróbuj się wyciszyć, zanim nadejdzie sen. - Wstał. - Sen jest najlepszym lekarstwem. Porozmawiamy później. Dobrze się już czujesz?

- Tak, Tony.

- Cieszę się.

Patrzyłam, jak wychodzi. Niedługo potem, a może w środku nocy - nie miałam pojęcia, gdyż proszek na sen zakłócił moje poczucie czasu - w każdym razie wydawało mi się, że otworzyłam oczy i zobaczyłam majaczącą w drzwiach ciemną, szczupłą postać.

Ten ktoś podszedł do mojego łóżka, ale z jakichś względów nie bałam się go wcale. Delikatnie gładził mnie po włosach, pocałował w czoło. Poczułam się bezpiecznie i spokojnie znów zamknęłam oczy. Otworzyłam je, dopiero kiedy dobiegł mnie głos doktora Malisoffa.

Rozdział piętnasty

JAK MAMA

- Dzień dobry, Annie. Jak się czujesz? - Doktor Malisoff usiadł na brzegu łóżka.

Tony z rękami splecionymi z tyłu stał nad nim, nerwowo kołysząc się na stopach. Całkiem jak zatroskany tatuś. Pani Broadfield pobiegła do salonu i przyniosła aparat do mierzenia ciśnienia. Usiłowałam usiąść na łóżku. Spałam mocno, ale nie czułam się wypoczęta. Dolna połowa ciała nadal była bezwładna.

- Jestem trochę zmęczona - wyznałam. W rzeczywistości byłam wręcz wyczerpana, ale zależało mi, żeby doktor Malisoff pozwolił mi na telefony i przyjmowanie wizyt.

- Aha. - Owinął mi ciasno rękę mankietem. - Czy pacjentka dobrze je, pani Broadfield? - zapytał, nie spuszczać ze mnie badawczego, lekarskiego spojrzenia. Jego oczy wyglądały jak soczewki mikroskopu skierowane na moją twarz.

- Nie tak dobrze, jak bym tego sobie życzyła, doktorze - stwierdziła pielęgniarka niczym pilna uczennica wywołana do odpowiedzi.

Lekarz pokręcił głową z niezadowoloną miną.

- Jeszcze nie wrócił mi apetyt - wyjaśniłam.

- Wiem, ale musisz się starać dużo jeść, żeby mieć siłę do walki. Czy dbasz o to, by się nie denerwować? Bo wyglądasz na spiętą.

Zerknęłam szybko na Tony'ego, który uciekł spojrzeniem w bok, jakby poczuł się winny.

- Staram się.

- Nie było żadnych gości, telefonów? - upewnił się Malisoff, zwracając się do pani Broadfield.

- Pilnowałam, żeby pacjentka miała spokój - odpowiedziała oględnie.

Dlaczego ona wszystko bierze na siebie?, zastanawiałam się. Czyżby się obawiała, że zostanie zwolniona z dnia na dzień jak Millie?

- Rozumiem. - Doktor zbadał moje nogi, sprawdził odruchy i czucie, zaświecił mi w oczy malutkim wziernikiem i pokręcił głową. - Wolałbym widzieć większe postępy w czasie następnej wizyty, Annie. Musisz jeszcze bardziej skoncentrować się na zdrowieniu.

- Ależ ja to robię! - zawołałam. - Zresztą co innego mi zostało? Mogę jedynie oglądać telewizję i czytać. Odwiedzają mnie tylko Tony, Drake i kucharz Rye Whiskey. - W moim głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta hysterii.

- Widzę, że jesteś w stanie dużego napięcia emocjonalnego - powiedział łagodnie doktor, próbując mnie uspokoić. - Nie rozumiem. Przecież znalazłaś się w tym domu ze względu na spokojne otoczenie, w którym powinnaś się wyciszyć i wyzdrowieć.

- Co jeśli nie mogę się wyciszyć?

- Zmień swoją postawę mentalną, Annie. Terapia i leki nie zadziałają, jeśli nie będziesz chciała, żeby zadziałały. Myśl o zdrowiu, myśl, że znów chodzisz, i skoncentruj się tylko na tym. I stuprocentowo współpracuj z panią Broadfield, dobrze?

Posłusznie kiwnęłam głową i doktor uśmiechnął się, aż bujny rudawy wąs podjechał mu w górę na końcach. Nie powiedziałam mu o kluciu i wracającym czuciu w nogach, gdyż najpierw musiałam załatwić coś bardzo ważnego.

Uniosłam górną część ciała, mocno opierając się dłońmi o materac.

- Proszę, żeby zawieziono mnie do grobu rodziców. Jestem już na tyle silna, by temu podolać, a nie będę się mogła skoncentrować na zdrowieniu, dopóki nie pożegnám się z nimi.

- Nie chciałam żądać ani błagać, ale czułam, że tak naprawdę jest.

Doktor przyglądał mi się przez chwilę w zamyśleniu, a potem spojrzał na Tony'ego. Porozumieli się wzrokiem i lekarz prawie niedostrzegalnie skinął głową.

- Dobrze - powiedział. - Odpocznij jeszcze przez jeden dzień, a potem pan Tatterton zawiezie cię na cmentarz. Pod warunkiem że kiedy stamtąd wrócisz, musisz dostać środek uspokajający - dodał, znów zerkając na Tony'ego.

- Dziękuję, doktorze.

- I jedz więcej. Zdrowiejący organizm potrzebuje dużo energii.

- Spróbuję.

- Zatem do zobaczenia w następnym tygodniu, Annie. Chcę widzieć, jak te palce u nóg się poruszają, i słyszeć twój chichot, kiedy połaskoczę cię w podeszwę, dobrze? - Pogroził mi palcem jak niesfornemu dziecku.

Wyszedł w asyście Tony'ego i pani Broadfield. Słyszałam, jak we troje rozmawiają o mnie szeptem na korytarzu. Tak długo konferowali, aż przestraszyłam się, że chcą znów zabrać mnie do szpitala. Wreszcie pojawił się Tony. Od razu podszedł do łóżka i wziął mnie za rękę.

- Jestem zły na siebie. Czuję się odpowiedzialny za twój dzisiejszy kiepski stan. Nie powinienem ci ulegać i opowiadać tragicznych historii z przeszłości.

- Nie obwiniaj się, Tony - powiedziałam, ale teraz zaczęłam się bać, że po dyskusji zmienił zdanie na temat mojego wyjścia na cmentarz. - Powiedz, zawieziesz mnie jutro na grób?

- Doktor się zgodził, więc oczywiście cię zawiozę. Już wydałem odpowiednie dyspozycje w kwestii nabożeństwa.

- Zaprosisz Drake'a i Luke'a?

- Zrobię, co będę mógł. Drake powinien jeszcze dziś przed kolacją przyjechać z Winnerrow.

- Świetnie, ale czy mógłbyś zawiadomić Luke'a? - Nagle serce mi się ścisnęło. A jeśli się okaże, że Luke jest zajęty... swoją nową dziewczyną? I nie odbierze telefonu albo odbierze za późno? A ja tak go potrzebowałam! - Drake znajdzie Luke'a w dormitorium - dodałam spokojniej.

- Nie sądzę, żeby był jakiś problem - uspokoił mnie Tony. - Poproszę sekretarkę, żeby zadzwoniła.

- Och, dziękuję.

Dalej ścisnął mi rękę, choć opadłam na poduszki. Przymknęłam oczy. Nawet taka chwila podekscytowania męczyła mnie i osłabiała. Pomyślałam, że chyba mają rację, twierdząc, że trzeba chronić mnie przed światem zewnętrznym. Chciałam się zdrzemnąć, ale pani Broadfield miała wobec mnie inne plany.

- Muszę ją podnieść i dać jej śniadanie - powiedziała do Tony'ego.

Skinął głową i puścił moją rękę.

- Wrócę wczesnym popołudniem.

Zmusiłam się, żeby zjeść śniadanie do ostatniego okruszka. Nie chciałam, żeby pani Broadfield albo Tony uznali, że jestem za słaba na jutrzejszą wizytę na cmentarzu. Co będzie, jeśli Luke przyjedzie, a tymczasem wszystko zostanie odwołane? Na pewno nie pozwolą mi się ze mną zobaczyć, jeśli okażę się zbyt słaba. Myśl, że mogę stracić okazję spotkania z Lukiem, wzbudziła we mnie panikę, którą musiałam szybko stłumić, żeby pani Broadfield się nie zorientowała.

Po śniadaniu zaczęłyśmy poranne zabiegi. Czułam na nogach dotyk palców pani Broadfield, ale nie zdradziłam się słowem, gdyż bałam się, że zostanie to użyte przeciw mnie i pielęgniarka zablokuje moje wyjście na cmentarz. Choć mocno bolało, zagryzałam usta, usiłując zachowywać się obojętnie. Potem długo leżałam w łóżku, gapiąc się w telewizor. W pewnym momencie, po lunchu, który zjadłam cały, wrócił Tony.

- Rozmawiałeś z Lukiem? - zapytałam, zaledwie przekroczył próg.

- Nie, ale zostawiłem wiadomość w dormitorium. Na pewno zadzwoni dzisiaj, a może od razu przyjedzie na grób. Mszę odprawi mój stary przyjaciel, pastor Carter. Zacznie się o drugiej po południu.

- Och, Tony, powinieneś dzwonić aż do skutku! Spróbuj jeszcze raz! - poprosiłam błagalnym tonem.

- Dobrze, spróbuję jeszcze, ale później będę zajęty, więc poproszę sekretarkę, jeśli mi się nie uda. Nie martw się, kochanie. Naprawdę, za bardzo się tym wszystkim przejmujesz.

Tony był w dziwnie radosnym nastroju. Chyba ulżyło mu, że nie chciałam wyjechać po jego wyznaniach.

- Pewnie zastanawiasz się, w co jutro się ubrać, prawda? - spytał, mylnie interpretując moją zatroskaną minę. - Na szczęście masz ogromny wybór. - Rozsunął drzwi garderoby, za którymi zobaczyłam całe rzędy ubrań.

- Tyle tego tu jest! Wielu rzeczy Heaven nie miała okazji nosić. I wszystkie na ciebie pasują! Są tu takie - dodał, ściągając z wieszaka jakąś sukienkę - które szczególnie lubiła. - Sukienka była z czarnej bawełny, z długimi rękawami, dość krótka. Tony pogładził ją tkliwie, jakby nadal widział ten strój na Heaven.

Odwrócił się ku mnie z tym nieobecny spojrzeniem, które widziałam u niego zawsze, kiedy wspominał przeszłość.

- Wszyscy patrzyli na nią w zachwycie, gdy wchodziła do kościoła i kroczyła w stronę ołtarza. Nawet pastor Carter był oszołomiony, jakby anioł sfrunął do świątyni, aby uczestniczyć w nabożeństwie. - Tony się roześmiał. - Czerń podkreślała urodę Heaven, tak samo jak u jej matki. Tobie też będzie w niej do twarzy.

- Jest mi obojętne, jak będę wyglądała, Tony. Nie robię tego na pokaz.

- Wiem, ale taki strój byłby wyrazem hołdu dla pamięci twojej mamy i babci. - Położył sukienkę na łóżku i odstąpił krok w tył. Przez chwilę wpatrywał się w nią hipnotycznie, zanim znów zwrócił się do mnie. - Gdybyś ufarbowała włosy na srebrny blond, byłabyś wiernym obrazem swojej babci. - Wziął jedną z fotografii w srebrnych ramkach, które stały na długim marmurowym blacie, i przyniósł mi.

Było to zdjęcie mojej prababki Leigh, kiedy była mniej więcej w moim wieku. Musiałam przyznać, że podobieństwo było duże i gdybym rozjaśniła włosy, stałoby się jeszcze większe.

- Nie ufarbowałabyś włosów? Tak po prostu dla odmiany, bo jesteś taka smutna. Jutro sprowadzę do ciebie fryzjera. Co ty na to?

- Mam się przefarbować na srebrny blond? Chyba żartujesz!

- Ależ mówię jak najbardziej serio. Wyobraź sobie, jak wszyscy będą zaskoczeni.

Omam się nie roześmiałam, ale ponownie spojrzałam na fotografię babci i zamilkłam. Było coś fascynującego w jej twarzy... w oczach, nosie, podbródku; w rysach, tak podobnych

do rysów moich i mamy. Czy dlatego mama utleniła włosy?, zastanawiałam się.

- Mam wiele zdjęć twojej mamy z jasnymi włosami - powiedział Tony, jakby wiedział, o czym myślę. Podsunął mi inną fotografię w srebrnej ramce. Pochodziła z okresu, kiedy rodzice spędzali miesiąc miodowy w Farthy. Tu byli na prywatnej plaży Tony'ego. - Interesujące, prawda?

- Tak.

- Kiedy mam sprowadzić fryzjera?

- Nie powiedziałam, że tego chcę. Jeszcze się zastanawiam.

- Przecież widzisz, jak pięknie wyglądała twoja babcia w jasnych włosach, podobnie jak mama. - Oczy płonęły mu podekscytowaniem. - Cała twoja rekonwalescencja, zabiegi, leczenie i odosobnienie siłą rzeczy są nudne. Pozwól mi sprowadzić fryzjera. Powinnaś znów poczuć się jak śliczna młoda kobieta, a nie jak inwalidka.

Miło byłoby znowu czuć się ładną. Usiłowałam sobie wyobrazić, że mam włosy jak mama na zdjęciu, i poczułam jej bliskość. Na plaży promieniowała szczęściem. A moja babcia Leigh... było w niej jakieś dzikie, nieoswojone piękno. Jasne włosy pasowały do jej karnacji, ale czy będą pasowały do mojej?

- No i...? Czego byś chciała? - nalegał Tony, niecierpliwie pochylając się nade mną.

- Naprawdę nie wiem. Nigdy nie myślałam o rozjaśnieniu włosów. Mogłoby wyjść fatalnie.

- Jeżeli nowy kolor nie będzie ci pasował, wezwę fryzjera jeszcze raz, żeby przywrócił pierwotny odcień.

- Powiem ci, kiedy wrócimy od grobu. Nie chcę teraz myśleć o włosach. W każdym razie dziękuję.

Oddałam mu fotografię. Był rozczarowany, ale ze zrozumieniem kiwnął głową.

- A co z sukienką?

- Drake powinien przywieźć mi coś z domu. Na mojej liście była czarna sukienka.

- A nie mogłabyś choć przymierzyć?

Widać było, jak wiele ta sukienka dla niego znaczy. Tyle o niej mówił, że zaczęłam się zastanawiać, jak bym w niej wyglądała.

- Dobrze, przymierzę.

- Przyślę panią Broadfield, żeby ci pomogła. Kiedy już będziesz ubrana, zwołajcie mnie - rzucił i wyszedł, zanim zdążyłam coś jeszcze powiedzieć.

Nie chciało mi się przebierać, ale Tony zachowywał się jak dziecko, które czeka na Świętego Mikołaja. Nie miałam serca go zawieść. Za moment pojawiła się pani Broadfield z

niezbyt uszczęśliwioną miną.

- Nie musi pani teraz mnie przebierać, jeśli jest pani zajęta.

- Gdybym była zajęta, nie przyszłabym. - Zdjęła sukienkę z łóżka i przyglądała się jej krytycznie, a potem wzruszyła ramionami i pomogła mi usiąść. Kiedy już byłam ubrana, posadziła mnie w fotelu, żebym mogła podjechać do dużego ściennego lustra.

Ponieważ siedziałam, trudno było ocenić, czy sukienka pasuje do figury, ale uznałam, że mnie postarzyła. Od czasu wypadku nie widziałam się w innym stroju niż koszula nocna i teraz wyglądałam okropnie. Włosy wisiały w strąkach jak dawno niemyte. Czerń sukienki podkreślała bladość twarzy i zmęczone spojrzenie. Omal się nie rozplakałam na swój widok.

Pani Broadfield stała z ramionami zaplecionymi na piersi jak znudzona sprzedawczyni w domu towarowym. Pomoc w przymierzaniu sukienek najwidoczniej nie należała do jej pielęgniarских obowiązków. Nie usłyszałam, kiedy wszedł Tony. Stał przy drzwiach i przyglądał mi się bez słowa. Dopiero po chwili poczułam jego spojrzenie i odwróciłam się. Twarz zdobił mu dziwny, pełen zachwyty uśmiech. Pani Broadfield nic nie powiedziała, tylko cicho wyszła z pokoju.

- Och, Tony, wyglądam strasznie; nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. Moje włosy są obrzydliwe. Nikt mi na to nie zwrócił uwagi, ani Drake, ani ty, ani nikt ze służby - powiedziałam z pretensją.

- Jesteś piękna, Annie. Twoja uroda nie blednie nawet w chorobie. Jest nieśmiertelna. Wiem, że ta sukienka jest stworzona dla ciebie. Włóżysz ją jutro, prawda?

- Nie podobam się sobie w żadnym ubraniu, więc wszystko mi jedno.

- Jestem pewien, że twoja mama będzie uśmiechać się w niebie, widząc, jak wypiękniała jej córka.

- Ale moje włosy... - zaprotestowałam, biorąc w dwa palce pasmo zlepione w strąk i wypuszczając je z obrzydzeniem.

- Pozwól, żebym zaraz posłał po fryzjera. Sama widzisz, jak podle się czujesz zaniedbana. Nie jestem lekarzem, ale wiem, że jeśli człowiek nie czuje się dobrze we własnej skórze, nie będzie zdrowiał. Przeciwnie, będzie coraz bardziej zgorzkniał i chory.

Nalegał tak, że trudno było mu odmówić, a do tego miał wiele racji. Czemu myślenie o swoim wyglądzie w takich chwilach miałoby być zdrowe? W tym momencie Tony powiedział coś, co mnie ostatecznie przekonało.

- Luke nie widział cię od czasu szpitala. Jestem pewien, że oczekuje poprawy.

Luke, pomyślałam. Otoczony pięknymi studentkami - zdrowymi, szczęśliwymi dziewczynami, które mogą chodzić i tańczyć. Może zwleka z wizytą u mnie, bo nie chce mnie

widzieć w takim żalonym stanie? Skoro tak, mam szansę go zaskoczyć. Wystarczy, że będę silniejsza i bardziej zadbana, a wszystko znów wróci do normy.

- Dobrze, Tony, poślij po fryzjera. Ale jeszcze nie podjęłam decyzji w kwestii przefarbowania włosów. Na razie chciałabym, żeby mi je umył, wyrównał i uczesał.

- Jak sobie życzysz. - Odstąpił krok w tył i znów mnie podziwiał. - Ta sukienka doskonale na tobie leży! Włóżysz ją, prawda? Powinnaś, żebyś czuła się blisko mamy.

Znów wypowiedział magiczne słowa.

- Włóż ją, Tony.

- Świetnie! Na razie znikam, bo mam trochę spraw do załatwienia. Fryzjer dzisiaj tu będzie, choćbym miał go przywieźć osobiście. - Zbliżył się do mnie. - Wielkie dzięki, Annie, że dałaś mi szansę po tym wszystkim, co ci powiedziałem. Jesteś kochana i cudowna. - Tkliwie pocałował mnie w policzek. - Niedługo wrócę - obiecał i wyszedł w pośpiechu.

Przez długą chwilę patrzyłam na swoje odbicie w lustrze. W Winnerrow mama miała parę różnych czarnych sukienek, jedna była bardzo podobna do tej. Może dlatego miałam wrażenie, że dusza mamy przenika moją. Widziałam jej oczy w moich oczach, a jej uśmiech nałożył się na mój uśmiech. Zupełnie jakbym ustawiła ostrość w aparacie i rozmazane linie zbiegły się w jeden wyraźny obraz.

Serce biło mi boleśnie, gdyż po raz kolejny uświadomiłam sobie, że więcej jej nie zobaczę. Nie przyjdzie, kiedy będę się szykowała do zakończenia szkoły czy na bal. Nie pogładzi mnie po głowie, nie pocałuje w policzek, nie położy mi ręki na ramieniu, nie da dobrej rady. Włożenie tej sukienki i upodobnienie się do mamy jeszcze bardziej podkreślało bolesną prawdę.

Zawróciłam spod lustra i podjechałam do toaletki po chusteczkę. Wycierając oczy, patrzyłam na inne fotografie. Szczególnie jedna przyciągnęła mój wzrok. Była na niej mama w jakiejś zabawnej pozie na tle stajni. Nie wiedziałam, kto zrobił zdjęcie, ale nie to było ważne, tylko Tony stojący w tle. Patrzył na nią w ten sam sposób jak niedawno na mnie - intensywnie, z przebiegłym uśmiechem.

Przyglądałam się jeszcze przez chwilę zdjęciu, a potem przeszłam do innych. Jedno przedstawiało moją babcię Leigh też na tle stajni, też w podobnie zabawnej pozie i nawet w tym samym stroju jeździeckim. Na zestawionych zdjęciach wyglądały jak siostry.

Może dlatego Tony tak się uśmiechał. Ja też powinnam się uśmiechnąć, a nie mogłam.

- Zdejmiesz tę sukienkę, czy zamierzasz ją nosić cały dzień? - warknęła pani Broadfield.

Stała w drzwiach, podparta pod boki. Może irytowały ją polecenia Tony'ego, ale nie

powinna wyżywać się na mnie. Nie miałam już ochoty zachowywać się jak pokorna ofiara. Hardo spojrzałam jej w oczy.

- Zaraz ją zdejmę i odłożę.

Uniosła brwi, zaskoczona tonem mojego głosu.

- To dobrze, bo czas na hydroterapię.

Przeszła do łazienki i przyszykowała gorącą kąpiel. Tym razem, kiedy opuszczała mnie do wanny, miałam wrażenie, że pogrążam się we wrzątku. Krzyknęłam z bólu, ale jakby mnie nie słyszała. Widziałam, jak moja blada skóra pod wodą robi się czerwona. Usiłowałam wyczołgać się z wanny, lecz pani Broadfield przyciskała mi barki, nie pozwalając na to.

- Musisz przyzwycząić się do gorąca - wyjaśniła.

Uruchomiła dysze, które wzburzyły wodę. Gorące krople pryskały mi na szyję i policzki, piekąc jak ukąszenia os. Na moment zostawiła mnie w wodzie, trzymającą się kurczowo brzegów wanny, a sama odeszła, żeby przygotować olejki i kremy do masażu.

Wpatrzyłam się w swoje zdradzieckie nogi, usiłując myśleć o wyzdrowieniu - tak jak zalecił doktor Malisoff. Nagle zobaczyłam, że drgnął mi duży palec u nogi.

- Pani Broadfield! - Nie przyszła. Pewnie myślała, że chcę, aby wyjęła mnie z tego ukropu. - Pani Broadfield, proszę przyjść i spojrzeć! - zażądałam.

Dopiero wtedy się zjawiała.

- Już ci mówiłam, że musisz...

- Nie, nie, chodzi o duży palec u nogi. Duży palec u prawej nogi się poruszył!

Pochyliła się nad wodą.

- Porusz nim jeszcze raz.

Próbowałam. Nic się nie stało.

- Teraz ani drgnie. Ale poruszył się naprawdę. Widziałam!

Pokręciła głową.

- To raczej woda się poruszyła i tylko ci się wydawało.

- Ależ skąd, przysięgam!

- Aha. Jeśli tak, to miło. - Wróciła do swoich przygotowań.

Poczułam się niezrozumiana, wyczerpana od gorąca i wysiłku. Oparłam głowę o krawędź wanny i przymknawszy oczy, czekałam, aż moja oprawczyni uzna, że wystarczy tej kąpeli, i wyjmie mnie z wody. Po chwili, która wydawała mi się wiecznością, pani Broadfield wróciła i pomogła mi wyjść z wanny. Skórę miałam czerwoną, jakbym zasnęła na plaży w pełnym słońcu, i czułam się jak rozgotowane spaghetti. Zostałam ułożona na brzuchu. Zamknęłam oczy, kiedy pielęgniarka masowała mi ciało silnymi rękami, zaczynając

od karku i posuwając się drobnymi kolistymi ruchami przez plecy ku pośladkom i nogom.

Gwałtownie otworzyłam oczy, kiedy usłyszałam głos Tony'ego. Boże jedyny, pomyślałam w popłochu, przecież leżę goła! Usiłowałam wyciągnąć spod siebie ręcznik i zakryć się nim, ale ruchy miałam zbyt niezgrabne, a pani Broadfield nie spieszyła się z pomocą.

- Przepraszam - powiedział. Uchwyciłam jego postać kątem oka. - Zajrzałem tylko, by zawiadomić, że fryzjer będzie o trzeciej. Jeszcze raz przepraszam - dodał i wyszedł.

- Pani Broadfield, dlaczego pani nie zamyka drzwi na czas masażu? - zapytałam z niezadowolaniem.

- Wybacz, mam ważniejsze sprawy na głowie.

- A dla mnie to jest ważne. Niech pani sobie wyobrazi, że zachowałam coś takiego jak wstyd, a pan Tatterton jest mężczyzną.

- Wiem, jakiej płci jest pan Tatterton. Przepraszam - dodała po chwili. - Następnym razem zamknę drzwi.

- Liczę na to.

Choć wtarła mi w skórę jakiś łagodzący krem, skóra nadal piekła mnie po tej kąpieli mimo świeżej miękkiej koszuli. Przeszła, dopiero kiedy obudziłam się po krótkiej drzemce. Pani Broadfield przyniosła mi sok, a po niedługim czasie wróciła, oznajmiła, że przyjechał fryzjer, i pomogła mi przesiąść się na wózek. Tony wprowadził wysokiego, szczupłego blondyna o wijących się włosach i brwiach tak jasnych, że praktycznie niewidocznych. Pomyślałam, że niejedna kobieta oddałaby duszę za jego zielone oczy o romantycznym spojrzeniu. Miał bardzo jasną cerę i bardzo różowe wargi.

Tony przedstawił go jako mistrza René i dodał, że jest Francuzem. Może i był Francuzem, ale urodzonym w Stanach. Odniosłam wrażenie, że jego obcy akcent jest nieco sztuczny, jakby rozmyślnie serwował go klientom, i byłam niemal pewna, że po pracy mówi jak każdy Amerykanin.

- Ach, mademoiselle. - Odstąpił krok w tył i przechyliwszy głowę najpierw w prawo, a potem w lewo, przytakiwał sam sobie, rozważając, co zrobić z moimi włosami. Wyciągnął rękę, ujął pasmo, zważył je w dłoni. - Bujne i bardzo gęste, lecz *hélas*, zaniedbane, *n'est ce pas?* Ale nie martw się, panienko, René potrafi sprawić cuda. Ani się obejrzysz i cud się stanie!

- Proszę mi tylko umyć włosy, trochę podciąć i uczesać - powiedziałam.

- *Pardonnez-moi?* - René zerknął na Tony'ego. - Ależ kolor... myślałem...

- René jest ekspertem, Annie. Wysłuchaj najpierw jego opinii.

- Mademoiselle, mogłabyś dodać światła swojej twarzy - namawiał fryzjer. - To nie będzie trudne. Z całym zaufaniem oddaj się w ręce mistrza René, a *vraiment* nie pożałujesz. - Wystawił przed siebie ręce z rozcapierzonymi palcami, jakby mnie przekonywał do swej mocy sprawiania cudów.

Spojrzałam w lustro i pomyślałam, że może jednak warto posłuchać stylisty.

- Dobrze, niech pan robi, co pan uważa.

- *Très bien*. - Fryzjer zatarł ręce. Zamknęłam oczy, kiedy powiózł mnie do łazienki i zabrał się do pracy.

Już po wszystkim przejrzała się w lustrze i zobaczyłam twarz mamy. Zmiana koloru włosów dała iście magiczny efekt. Zupełnie jak gdyby fryzjer niczym czarodziej przeniósł mnie w przeszłość, o czym marzył Tony - cofając kalendarz do jego najszcześniejszych dni w Farthy. Mistrz René ufarbował mi włosy na srebrny blond i ułożył je tak, że wyglądałam jak mama ze zdjęcia przed stajnią. Byłam pewna, że Tony wcześniej dał mu tę fotografię.

Zastanawiałam się, jak zareaguje Luke. Widział przecież dawne zdjęcia mojej mamy i zachwycał się jej olśniewającą urodą. Czy pomyśli to samo, kiedy po raz pierwszy zobaczy mnie w nowej fryzurze? A gdy zostaniemy sami, czy ujmie moje dłonie i będzie szeptał o swoich uczuciach? W wyobraźni rozpalonej miłością słyszałam jego słowa: „Annie, kiedy pierwszy raz ujrzałem cię w kolorze włosów twojej mamy, zrozumiałem, że nie zważając na zakazy, muszę ci wyznać miłość. Och, nie mam sił dłużej temu zaprzeczać. Nie mogę!”.

Odegrałam tę wymarzoną scenę parę razy w myślach, a potem otworzyłam oczy i znów spojrzałam na siebie w lustrze. Gdyby zmiana koloru włosów rzeczywiście potrafiła to sprawić...

- Annie, czy to ty? - Drake wszedł do sypialni, niosąc dwie walizki. Postawił je przy łóżku i patrzył na mnie z uśmiechem.

Uniosłam głowę, ciekawa jego reakcji.

- Czy nie wyglądam głupio?

- Ależ skąd, w żadnym razie nie głupio, tylko... inaczej. Przypominasz mi kogoś.

- Moją mamę, Drake. Kiedy pierwszy raz wzięła cię do siebie - odpowiedziałam.

- Ach, jasne. - Oczy mu zabłyśły. - Tak, dokładnie tak. Wyglądasz przepięknie. - Chyba wreszcie się przekonał, że to jednak ja, bo przysunął się i pocałował mnie czule.

- Bardzo mi się podoba twoje uczesanie.

- Sama nie wiem. Czuję się... inaczej. I nadal nie mogę uwierzyć, że mama czuła się dobrze w tym kolorze. Jakbym udawała kogoś innego. Jestem pewna, że ona miała takie same

odczucia.

Drake wzruszył ramionami.

- Szybko zmieniła kolor włosów, kiedy wrócili z Loganem do Winnerrow i kupili Hasbrouck House. Może masz rację.

- Tony przekonał mnie, że powinnam znów się poczuć jak młoda kobieta, bo obrzydł mi własny widok. Ale dosyć o mnie i o moich sprawach. Opowiedz mi o Winnerrow. Kogo spotkałeś? Co mówiła służba? Jak wygląda dom i co słyhać u cioci Fanny?

- Hola, nie tak szybko! - Roześmiał się. Przygryzłam usta, żeby się uspokoić, i niecierpliwie wyprostowałam się na wózku. - Cóż... Winnerrow... - Udawał, że próbuje sobie przypomnieć.

- Nie drocz się ze mną, Drake. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy się jest więźniem odciętym od świata.

Łobuzerski uśmieszek natychmiast zbladł i w oczach Drake'a pojawiły się troska i tkliwość.

- Biedna Annie. Wybacz, byłem okrutny. Obiecuję, że będę tu przyjeżdżał częściej i wyprowadzał cię na świat. A w Winnerrow... Jak tylko wszedłem do domu, służba dosłownie rzuciła się na mnie, zasypując mnie pytaniami o ciebie. Pani Avery oczywiście od razu się rozplakała. Nawet Roland był niebezpiecznie wzruszony. Jedyny Gerald jakoś się trzymał, ale tylko dlatego, że...

- Że jest sztywny jak lord - dokończyłam z nim chórem. Zawsze żartowaliśmy tak z naszego lokaja, śmiejąc się za jego plecami. - Och, jak mi ich brakuje... wszystkich.

- Widziałem też w sklepie kilka twoich szkolnych przyjaciółek. Były spragnione wieści o tobie i przesyłają ci pozdrowienia.

- A ciocia Fanny? Co z nią?

- Cóż... - Drake pokręcił głową. - Jest jakaś dziwna. Zostałem ją w ogrodzie za domem. Czytała książkę! I była ubrana bardzo konserwatywnie jak na nią, w białą bawełnianą bluzkę z długim rękawem i długą, powiewną spódnicę. Włosy miała gładko zaczesane i związane z tyłu. Z daleka jej nie poznałem, nawet zapytałem Geralda, kto siedzi w altanie.

- W altanie!

- Tak.

- A co czytała?

- Nie uwierzysz, poradnik Emily Post o dobrych manierach! Kiedy do niej podszedłem, powiedziała: „Och, Drake, jak się cieszę, że cię widzę!”. Podała mi rękę i nie chciała mnie puścić, aż pocałowałem ją w policzek. Chyba pierwszy raz ją pocałowałem. I muszę

przyznać, że odbyłem z nią całkiem inteligentną rozmowę. Śmierć twojej mamy i ojca była dla niej szokiem. Teraz postanowiła, że się zmieni, stanie się lepsza, jak to ujęła... czekaj... „bo jestem to winna Heaven”, tak powiedziała. Wyobrażasz sobie? I muszę przyznać, że już wiele się zmieniło. Dom wygląda nienagannie, a służba mi mówiła, że Fanny nie sprowadza żadnych fagasów. W ogóle żyje jak mniszka.

- Pytała o mnie?

- Naturalnie.

- Czy wybiera się tutaj?

- Chciałaby, ale czeka, aż Tony powie mi, że lekarze zgadzają się na wizytę.

- Jest moją ciotką! Nie mogę tu żyć trzymana w izolacji jak więzień! - zawołałam łamiącym się głosem. Biedny Drake był wstrząśnięty moim wybuchem. - Przepraszam, Drake, nie obwiniam ciebie. Nie wątpię, że robisz, co uważasz za słuszne i dobre.

- Annie, to nie potrwa długo. Już wyglądasz o wiele lepiej. Przyzwyczyłem się do tych twoich nowych włosów i uważam, że bardzo ci w nich dobrze. Kiedy stanąłem w drzwiach, początkowo pomyślałem, że Tony pod moją nieobecność podmienił cię na jakąś gwiazdę filmową.

- Dziękuję, Drake. - Nagle przypomniałam sobie jutrzejszą ceremonię. - Czy rozmawiałeś z Tonym, zanim tu przyszedłeś? Mówił ci o wizycie przy grobie?

- Tak, oczywiście. Będę z tobą.

- A Luke? Czy Luke zadzwonił wreszcie? - spytałam z nadzieją.

- Jak to, dotąd się nie odezwał? - Drake pokręcił głową. - Powiedział Fanny, że będzie dzwonił do ciebie. Co za egoista...

- Och, Drake, nie wierzę, że Luke mógłby być taki. Proszę, ty zadzwoń do niego. Tony podobno dodzwonił się do kogoś w dormitorium i zostawił wiadomość, ale nie jest pewien, czy ten kolega mu ją przekaże. Może ktoś w tym dormitorium dla dowcipu ukrywa wiadomości - dodałam z desperacją. A jeśli Drake miał rację, kiedy mówił o dziewczynach? Ludzie się zmieniają, gdy opuszczają rodzinny dom. Możliwe, że kiedy Luke zaczął studia, Winnerrow stało się dla niego tak ciasne, nudne i pełne przykrych wspomnień, że postanowił zerwać z nim wszystkie więzi - w tym także więź ze mną!

Boże, tylko nie to, modliłam się. Świat nie może być aż tak okrutny.

- Jasne, będę próbował. A tu - powiedział, wstając i podchodząc do walizek - są rzeczy, o które prosiłaś.

- Już nie mam pokojówki, żeby mi je poukładała. Tony zwolnił Millie.

- Słyszałem. Nie ma sprawy, powieszę wszystko w szafie. - Otworzył garderobę i zrobił

miejsce na moje ubrania. - Ale tu sukienek! - stwierdził z podziwem. - Wszystkie należały do Heaven?

- I do mojej babci Leigh. Tony niczego nie wyrzucił.

- Niektóre wyglądają na nienoszone.

- Wiem. Jutro mam włożyć jedną z sukienek mamy - czarną, którą moja Florence Farthinggale powiesiła o tam, w rogu.

- Florence Farthinggale? - Zaśmiał się. - Zabawne. Rozumiem, że nie darzycie się sympatią?

- Dopóki zachowuję się jak miękka glina, z którą można zrobić wszystko, jest jako tako - powiedziałam sarkastycznie i Drake znów się roześmiał. - W każdym razie tę sukienkę Tony wybrał dla mnie.

Odwiesił moje ubrania. Potem wyjął z kieszeni dwie bransoletki szczęścia.

- Proszę, to też przywiozłem.

- Och, dzięki, Drake.

- Jak będziesz je nosiła? Obie na jednym przegubie?

- Nie, na zmianę. W dni, kiedy będzie miał przyjść Luke, założę jego bransoletkę. - Przeciągnęłam po niej delikatnie palcami, jakby gładziła policzek Luke'a.

- Zawsze siedzi w tobie dyplomatka. - Drake uśmiechnął się. - Ale to już twoja sprawa. - Zamilkł na moment.

- Kiedy teraz tak na ciebie patrzę, widzę Heaven, jak tuliła mnie, gdy byłem mały, przerażony i samotny. Widzę miłość w tych niebieskich oczach, których spojrzenie niesło mi pocieszenie, kiedy najbardziej go potrzebowałem. Nigdy ci nie mówiłem, jak cudownie, jak dobrze się czuję, kiedy jestem z tobą, Annie.

- Zawsze będę twoją przyjaciółką, Drake. W końcu jestem twoją siostrzenicą, prawda? - Zachnął się niedostrzegalnie, gdy przypominałam o naszym pokrewieństwie.

- Wiem. - Pochylił się i pocałował mnie w policzek, zwlekając z oderwaniem ust, podobnie jak Tony. Wreszcie się wyprostował i ruszył do drzwi.

- Tylko pamiętaj o Luke'u! - zawołałam za nim.

- Jasne. O, byłbym zapomniał, przyniosłem ci jeszcze coś. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Pewnie będziesz miała okazję, żeby się elegancko ubrać. Kto wie, może niedługo Tony wyprawi przyjęcie na cześć twojego wyzdrowienia... W każdym razie zabrałem to z domu. - Wyjął płaską czarną kasetkę na biżuterię, w której była diamentowa kolia i kolczyki, należące do mojej prababci Jillian.

- Och, Drake, nie powinienes tego tu przynosić. Jest zbyt cenne.

- No i co z tego? Tu nikt nie kradnie, a ja wiem, jak te klejnoty są dla ciebie ważne. Pomyślałem, że lepiej się poczujesz, mając je przy sobie.

- Masz rację, dobrze zrobiłeś. Dzięki, że o mnie myślisz. Wiem, że czasami marudzę. Przepraszam.

- Nie, Annie, jesteś najcudowniejszą osobą, jaką znam. Kiedy myślę o tobie... kojarzę cię z czymś pięknym i czystym jak jasny blask świecy. - Znów to żarliwe spojrzenie. Nie mogłam wykrztusić słowa, bo w gardle rosła mi gęsia skórka i serce zaczęło uderzać boleśnie. - Cóż - westchnął, odkładając kasetkę z biżuterią na łóżko - muszę lecieć. Widzimy się jutro po lunchu.

- Dobranoc, Drake. I dziękuję za wszystko.

- Nie musisz dziękować. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Pamiętaj o tym. Możesz zawsze na mnie liczyć.

Pocałował mnie jeszcze raz i wyszedł, powracając do szybkiego kroku zaferowanego menedżera, który myśli już tylko o sprawach korporacji. Sięgnęłam po kasetkę, otworzyłam ją i wyjęłam diamentową kolia. Jak lśniła! Napłynęły wspomnienia z dnia moich osiemnastych urodzin. W oczach mamy wręczającej mi biżuterię było tyle miłości i dumy!

Przycisnęłam naszyjnik do serca i wydawało mi się, że emanuje strumieniem ciepła, który babcia przekazała mamie, a mama mnie. Nie zdawałam sobie sprawy, że łzy ciepłym deszczem nie zaczęły spadać na moje kolana. Włożyłam naszyjnik z powrotem do kasetki i zamknęłam ją. Drake miał rację. Fakt, że miałam te brylanty pod ręką, dodawał mi otuchy.

Otarłam oczy wierzchem dłoni i spojrzałam na bransoletki leżące na łóżku. Założyłam na rękę tę mniejszą, bardziej dla mnie cenną.

Co mówił Drake? Że ciotka Fanny przesiaduje w altanie? W magicznym miejscu moim i Luke'a? Może, gdy bym jakimś cudem zdołała wrócić do domu, gdyby zawieźli mnie do altany i oparłabym się na ramieniu Luke'a, może znów zaczęłabym chodzić? Doktor pewnie by mnie wyśmiał, gdybym zasugerowała coś takiego, ale czasami wiara potrafi sprawiać cuda. Luke też wierzył, a jeśli dwoje ludzi mocno wierzy w coś razem, działanie jest jeszcze skuteczniejsze.

Luke. Jakże potrzebowałam jego wsparcia, uśmiechu, jego optymistycznych zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Tęskniłam za dotykiem jego ust muskających mój policzek. Myślami przeniosłam się w inne rejony. Wyobrażałam sobie, że Luke przeczesuje mi palcami włosy, że patrzymy sobie w oczy - tęsknie, z miłością, udrczeni naszymi pragnieniami.

Samo myślenie o nim rozgrzewało moje ciało. Znów czułam, że żyję. Jeśli wizje Luke'a

jako żarliwego, choć niespełnionego kochanka mają taki cudowny efekt, nie powinnam z nich rezygnować, uznałam. Ach, gdybyśmy byli razem, może nie doszłoby do tragedii! Los sprawił, że na mojej drodze wyrosły nagle niebotyczne góry... lecz powinnam przecież robić to, co Luke zawsze mi radził - mierzyć wysoko. Powinnam te góry pokonać.

Ale teraz właśnie Luke wydawał mi się najwyższą górą.

Uniosłam głowę i popatrzyłam na mój pusty, samotny pokój. Słyszałam głosy na dole. Pewnie Drake się z kimś żegnał. Drzwi były zamknięte. Poryw wiatru załomotał okiennicami, a potem znów zapadła cisza.

Och, Luke, pomyślałam, czemu nie poruszysz nieba i ziemi, żeby mnie zobaczyć?

Rozdział szesnasty

KALEKA!

- Mam dla ciebie wspaniałą niespodziankę - oznajmił Tony od drzwi. Przez moment myślałam, że chodzi o przyjazd Luke'a, ale miał na myśli coś innego. - Musisz wyjechać ze swojego pokoju, żeby to zobaczyć. Zresztą i tak zaraz musimy być na cmentarzu.

Odwróciłam się do pani Broadfield, która stała z naręczem ręczników używanych do masażu. Twarz miała nieruchomą jak maska. A jednak czułam, że wie, co to za niespodzianka.

- Mam wyjechać? - upewniłam się.

Kiwnęła głową i zaczęłam się toczyć do drzwi. Miałam na sobie czarną sukienkę mamy, a na przegubie czarną bransoletkę, którą dostałam od Luke'a. Fryzjer René przyjechał jeszcze raz dziś po śniadaniu, żeby mnie uczesać. Pani Broadfield nie odwołała porannych zabiegów, nabożeństwo przy grobie moich rodziców nie było dla niej żadnym argumentem. Miała jednak rację, kiedy mówiła, że przyzwyczaję się stopniowo do gorącej wody, bo zabieg już mnie tak nie zmęczył. A może po prostu nieświadomie postanowiłam, że zachowam energię na to ważne wydarzenie.

Tony stanął za mną i chwycił rączki wózka. W drzwiach obejrzałam się na panią Broadfield, żeby zobaczyć, czy się z nami wybiera, ale krzątała się obojętnie w pokoju. Na korytarzu skręciliśmy w lewo. Za chwilę zobaczyłam Parsona, który podłączył mi telewizor, oraz jeszcze jednego mężczyznę w kombinezonie stojących u szczytu schodów. Pytając obejrzałam się na Tony'ego, ale milczał, uśmiechając się niczym kot z Cheshire.

Aż zobaczyłam swoją niespodziankę.

Kazał zainstalować przy schodach specjalną windę dla inwalidów. Wystarczyło wsunąć się na siedzenie i wcisnąć guzik, aby zjechać na parter.

- Teraz schody nie będą dla ciebie przeszkodą - powiedział Tony. - Niedługo sama będziesz to robić. Na dole czeka drugi wózek.

Wiedziałam, że Tony jest rozczarowany moim brakiem entuzjazmu, ale nic nie mogłam na to poradzić. Ta winda potwierdzała moje kalectwo i sugerowała, że daleko mi jeszcze do wyzdrowienia.

- Ależ Tony, przecież wkrótce będę chodziła sama! Niepotrzebnie wydałeś mnóstwo pieniędzy!

- O to się martwisz? Niepotrzebnie, zapewniam cię. Winda jest wypożyczona. Kiedy

przestanie być potrzebna, przyda się komuś innemu. Co do drugiego fotela, wierz mi, dla mnie to drobiazg, nie wydatek. A teraz - z ożywieniem klasnął w ręce - czas na jazdę próbną! Sam wjechałem raz i winda wytrzymała mój ciężar, więc nic nie ryzykujemy

Znów obejrzałam się na panią Broadfield, ale nadal nie wyszła z pokoju. Spojrzałam w dół. Z perspektywy wózka schody wydawały się okropnie długie i strome.

- Musisz ustawić się bokiem do siedzenia windy - poinstruował mnie Tony - podnieść lewą poręcz wózka i przesunąć się na siedzenie. Zrób to sama.

Strach zaczął rozprzestrzeniać się we mnie jak potężna, mroczna symfonia. Zimny pot wystąpił mi na czoło. W wyobraźni widziałam, jak spadam w dół, objijając się o marmurowe schody, aż nieruchomieję u ich podnóża jak bezwładna szmaciana lalka.

Parson i jego towarzysz obserwowali mnie uważnym, współczującym wzrokiem. Uśmiechnęłam się dzielnie i podjechałam do windy. Przez chwilę walczyłam z opornym lewym podłokietnikiem fotela, który zaciął się i nie dał się złożyć. Nikt nie przyszedł z pomocą. Zapewne ustalono wcześniej, że ma to być sprawdzian, czy dam sobie radę sama. Wreszcie podniosłam podłokietnik i zaczęłam się sadować na siedzeniu windy.

- Kiedy już panienka usiądzie wygodnie, proszę zapiąć pas jak w samochodzie - powiedział mężczyzna w kombinezonie.

Wzmianka o samochodzie przyprawiła mnie o szybsze bicie serca. Pierś mi się ścisnęła, aż trudno mi było oddychać. Gdzie się podziała pani Broadfield? Przecież asysta i czuwanie nade mną powinny być dla niej najważniejsze!

- Och, Tony, nie wiem, czy dam radę - jęknęłam.

- Na pewno dasz radę. Nie chcesz sama zjechać na dół i wtoczyć się do mojego gabinetu? Albo zjechać do jadalni i przy kolacji siedzieć przy stole na miejscu, które zajmowała twoja mama? A już na pewno marzysz, żeby zwiedzić dom i ogrody, prawda?

- Kiedy będziesz gotowa, panienko - podjął technik - wciśnij czerwony guzik po prawej stronie, a zaczniesz jechać w dół. Czarny służy do jazdy w górę.

- Jedź! - zachęcił Tony.

Niepewnie wcisnęłam czerwony guzik i zacisnęłam powieki. Mierz wysoko, mówił Luke w mojej głowie. Uda ci się. Ty i ja jesteśmy wyjątkowi. Pokonamy najwyższe i najgorsze przeszkody, jakie los postawi na naszej drodze. Damy radę. Nie poddawaj się.

Jak strasznie żałowałam, że nie może udzielić mi wsparcia osobiście! Z nim u boku nie bałabym się niczego i gotowa byłabym podjąć każde wyzwanie, byle tylko dojść do zdrowia i odzyskać siły.

Winda drgnęła i zaczęła powoli sunąć w dół. Trzej mężczyźni szli obok mnie po

schodach. Mechanizm szumiał cicho.

- Czy to nie wspaniałe? - zapytał Tony.

Otworzyłam oczy i skinęłam głową. Siedzisko trzęsło się lekko, ale sunęło równo i czułam się bezpiecznie. Trzeba przyznać, że miło było pokonywać te schody, nie angażując nikogo do noszenia mnie razem z wózkiem.

- A jak się zatrzymam? - spytałam.

- Winda zrobi to automatycznie, panienko - wyjaśnił technik. I rzeczywiście u dołu schodów siedzisko zwolniło i zatrzymało się delikatnie. Parson podprowadził wózek, żebym mogła się przesiąść.

W tym momencie przybiegł Drake, który śledził wydarzenie z holu przy wejściu.

- Niech żyje dzielna kosmonautka Annie! - zawołał, klaszcząc w ręce.

- Drake'u Ormandzie Casteel, jak mogłeś się ukrywać, wiedząc, że potrzebuję wsparcia? - zapytałam z niezadowoleniem.

- I właśnie o to chodziło - wyjaśnił. - Tony chciał, żebyś zrobiła to sama. W ten sposób szybciej staniesz się niezależna.

- Dobrali się, konspiratorzy! - Żartobliwie pogroziłam im palcem. W głębi duszy byłam bardzo z siebie dumna i cieszyłam się, że Tony dał mi się wykazać. Spojrzałam ku wejściu, ponad ramieniem Drake'a. - Ale gdzie jest Luke? Czy on też się ukrywa?

Drake spoważniał. Zerknął na Tony'ego, którego rysy były nieruchome jak wyrzeźbione z granitu, a oczy lśniły zimno.

- Jest na pikniku integracyjnym dla pierwszorzeczników.

- Piknik?! Tony, myślałam, że zostawiłeś mi wiadomość!

- Kolega z dormitorium, który odebrał telefon, miał mu przekazać informację. Tak twierdzi moja sekretarka. Powiedziała, że w tle była muzyka i gwar, jakby trwała tam huczna impreza.

- Nie dzwoniłeś do niego wczoraj, Drake? Kiedy wróciłeś do siebie?

- Dzwoniłem dzisiaj wcześniej rano, ale wszyscy już wyszli.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Och, wiesz, jak to jest - bagatelizował. - Kumpel myślał już tylko o imprezie i zapomniał przekazać mi wiadomość.

- Chyba żartujesz! Przecież nie chodziło o studenckie zabawy, tylko o nabożeństwo żałobne! Ktokolwiek przyjął tę wiadomość, musiał zdawać sobie sprawę z jej powagi. Przecież tam nie studiują idioci.

- W każdym razie nie ma go tutaj, Annie - powiedział łagodnie Drake.

- Jestem pewna, że przyjechałby, gdyby tylko wiedział! - krzyknęłam. - Nie rozumiem! Przecież... przecież tu chodzi także o jego zmarłego ojca! - Czułam, że tracę panowanie nad sobą. Nagle wszystko co najgorsze znów zważyło mi się na głowę - wypadek, śmierć rodziców, moje kalectwo, nieobecność Luke'a. Miałam ochotę wrzeszczeć. - Nie rozumiem! - powtórzyłam łamiącym się głosem.

Tony i Drake nie spodziewali się takiego wybuchu, byli przerażeni. Za wszelką cenę usiłowałam się uspokoić. Nie chciałam wpaść w histerię i spowodować odwołania uroczystości. Była zbyt ważna dla mnie. Parson i technik przeprosili i oddalili się szybko.

Wyprostowałam się sztywno na wózku.

- Już w porządku - skłamałam, dyskretnie ocierając oczy wierzchem dłoni. - Trudno, Luke przyjdzie na grób innym razem.

- Drake, ty z Annie wyjdźcie przed dom, a ja każę Milesowi przyprowadzić limuzynę. - Tony poklepał mnie po ręce i odszedł w pośpiechu.

Kiedy Drake otwierał frontowe drzwi, nagle, bezszelestnie niczym duch, pojawiła się przy mnie pani Broadfield.

Drake popchnął mnie w potok słonecznego blasku, który zalewał taras i schody. Ten dzień zupełnie nie pasował do mojego smutnego, wręcz tragicznego nastroju. Jakby nawet Natura nie zamierzała zwracać uwagi na moje uczucia. Zamiast ołowianych, niskich chmur puchate białe obłoczki wędrowały po błękitnym niebie. Łagodny ciepły wiaterek rozwiewał mi włosy. Śpiewały ptaki, świeżo skoszone trawniki pachniały intensywnie.

Jak okiem sięgnąć, wokół kwitło życie i szczęście, a nie śmierć i smutek. Poczułam się jeszcze bardziej samotna. Nikt nie był w stanie zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, tylko Luke. Och, gdyby mógł być tu ze mną, trzymać mnie za rękę! Spoglądalibyśmy sobie w oczy, rozumiejąc się bez słów. Wreszcie przestałoby mi się wydawać, że cały świat sprzysiągł się, aby pogłębić moje cierpienie. Zyskałabym siłę do walki o powrót do normalnego życia.

Szukałam w sobie determinacji pomimo nieobecności Luke'a. Zacisnęłam palce na poręczach wózka i usiłowałam zmusić stopy, żeby nacisnęły na podnóżki. Bez skutku. Bezwładne mięśnie nie słuchały rozkazów. Przez moment poczułam tylko słaby impuls w łydkach i udach. Zniechęcona, zaprzestałam prób.

Miles podjechał limuzyną jak najbliżej schodów i wysiadł z samochodu. W tym momencie pojawił się pastor Carter. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o ostrych rysach i jasnych siwiejących włosach. Tony uściśnięła mu rękę, zamienili parę słów, po czym podeszli do mnie.

- To moja prawnuczka Annie - przedstawił mnie Tony.

- Niech Bóg cię błogosławi, dziecko. - Wielebny ujął moje dłonie. - Jesteś bardzo silna i dzielna.

- Dziękuję.

Na znak Tony'ego Miles i Drake podnieśli mnie razem z wózkiem i zeszli do samochodu. Zobaczyłam Rye'a Whiskeya stojącego obok. Przerzedzone siwe włosy miał gładko uczesane. Jego uśmiech niósł mi życzliwość i wsparcie; łagodne, ciepłe spojrzenie ogrzało moje zlodowaciałe serce.

Przejechaliśmy przez bramę i skręciliśmy w prawo, na rodzinny cmentarz Tattertonów. W miarę jak zbliżaliśmy się do wielkiego marmurowego grobowca, ból w mojej piersi narastał. Serce zacisnęło się jak mała pięść. Kiedy limuzyna stanęła, Drake wyjął mnie z auta i z pomocą Milesa przeniósł na wózek. Podjechał ze mną bliżej do grobowca, aż znalazłam się przed płytą nagrobną, na której wyryto napisy:

STONEWALL

LOGAN ROBERT

HEAVEN LEIGH

UKOCHANY MAŻ

UKOCHANA

ŻONA

Wpatrywałam się w te słowa oniemiała, zdruzgotana, gdyż świadomość, że oboje nie żyją, dopiero teraz ostatecznie i nieodwołalnie dotarła do mnie. A jednak nie ugięłam się, nie zemdlałam. Byłam twarda i zimna jak kamień.

Pastor podszedł do grobu, otworzył Biblię i rozpoczął modły. Kiedy jego słowa dotarły do moich uszu, umysł momentalnie zaczął odsyłać je dalej, do archiwum pamięci. Widziałam, jak kapłan porusza wargami, przewraca kartki, lecz ani słowa nie słyszałam.

Natomiast słyszałam słowa, które mogłaby wypowiedzieć moja mama, gdyby była teraz przy mnie.

„Annie, musisz wrócić do zdrowia. Znów musisz być silna. Nie możesz stać się słabą, zależną od innych istotą, która marnieje w mrokach Farthy. Jeśli tak dalej będzie, zaczniesz blednąć i więdnąć, a potem umrzesz jak kwiat trzymany w piwnicy”.

„Moja Annie - podjąłby tata. - Szkoda, że nie możemy być dalej z tobą, aby obdarzać cię naszą miłością i wspierać jak zawsze. Niestety, to już niemożliwe. Ale wiem, że masz w sobie siłę, aby znów stanąć na własnych nogach i z czasem kontynuować pracę, którą twoja

mama i ja rozpoczęliśmy w Winnerrow. Jesteśmy z tobą, Annie”.

Mogłam myśleć, że rozmawiam z nimi, ale nie mogłam zaprzeczyć rzeczywistości. Ta chwila nieodwołalnie i ostatecznie oznaczała koniec świata, w którym dotąd żyłam. Przybyłam tutaj nie tylko po to, aby pożegnać się z mamą i z tatą, ale także ze swym dzieciństwem. Żegnajcie, delikatne dźwięki pozytywki; żegnaj, szczęśliwy śmiech rodziny, będącej razem, kochającej się, potrzebującej swojego towarzystwa każdego dnia. Żegnajcie, czułe uściski, całusy i słowa otuchy. Nie będzie już pocieszających ramion mamy chroniących przed okrutnym, zimnym i nieczułym światem. Nie będzie śmiechu taty rozlegającego się w całym domu, odganiającego smutki.

Żegnajcie, niedzielne obiady, kiedy gadaliśmy jedno przez drugie przy stole. Żegnajcie, choinki i Mikołaje, otwieranie prezentów, bożonarodzeniowe uczty. Żegnajcie, Święta Dziękczynienia i najedzeni goście, ciężko podnoszący się od stołu. Nie będzie już poszukiwania jajek wielkanocnych i objadania się czekoladowymi królikami. Żegnajcie, rodzinne niedzielne spacerunki i wakacje nad morzem.

Nie wstanę już rano w Nowy Rok specjalnie po to, żeby pocałować mamę i tatę i życzyć im wszystkiego najlepszego. Żegnajcie, wszystkie ślicznie opakowane prezenty, żegnajcie, niespodzianki. Trzeba pożegnać się ze wszystkim, co czyniło życie pięknym, ekscytującym, ciepłym i bezpiecznym.

Miałam wrażenie, że jestem duchem samej siebie - pozbawionym czucia, unoszącym się bez celu w próżni. Nawet finalne słowa pastora zabrzmiały dla mnie pusto i rozplynęły się szybko, jakby rozwał je wiatr.

- Módlcie się wraz ze mną: Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie...

Ukryłam twarz w dłoniach i poczułam rękę Drake'a na ramieniu. Kiedy psalm się skończył i pastor zamknął Biblię, Drake powiódł mnie do limuzyny. Zamknęłam oczy.

- Wnieście ją prędko do domu i do łóżka - powiedział cicho Tony.

Wózek potoczył się szybciej. Miles otworzył drzwi i Drake włożył mnie na tylne siedzenie. Byłam wiotka jak mokra chusteczka. Czułam, jak Tony sadowi się z drugiej strony, i limuzyna ruszyła.

Otworzyłam oczy, pragnąc jeszcze raz popatrzeć na grób, ale mój wzrok przykuł jakiś ruch na skraju niedalekiego lasu. Ruch był szybki; jakaś postać wyłoniła się z cienia, weszła w blask słońca, a za moment wycofała się w gęstwą drzew.

Była to ta sama wysoka, szczupła postać, którą widziałam z okna!

Niczym gość, którego zapomniano zaprosić, przybył niezauważony przez innych, z daleka biorąc udział w ceremonii, a kiedy się skończyła, wycofał się szybko. Tylko ja go

widziałam.

Wzięłam środek nasenny i położono mnie do łóżka. Obudziłam się późnym popołudniem. Wielki dom był cichy i spokojny, a ja spałam tak mocno po proszku, że dopiero po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, gdzie jestem i co się stało. Początkowo wszystko wydawało mi się snem, przedłużającym się koszmarem, ale widok wózka inwalidzkiego czekającego przy łóżku oraz lekarstw, maści i ręczników wypełniających długi blat toaletki udowodnił mi aż nazbyt dobitnie, że to niestety nie był sen.

Za oknem puchate obłoczki zbiły się w ciemnoszarą warstwę, czyniąc resztę dnia porą smutną i mroczną, która o wiele lepiej pasowałaby do porannej uroczystości na cmentarzu. Usiadłam na łóżku i nalałam sobie wody z niebieskiego plastikowego dzbanka na nocnym stoliku. Cisza wokół była zastanawiająca. Gdzie się podziała pani Broadfield? A Tony? Czy Drake wrócił do Bostonu?

Zadzwoiłam małym dzwonkiem, który wisiał na jednym ze słupów baldachimu, i czekałam. Nikt się nie zjawił. Znów zadzwoniłam, nieco głośniejszym i dłużej. Nadal nic. Czy uznali, że pośpię dłużej? Możliwe, ale wolałabym, żeby ktoś przyszedł, bo byłam bardzo głodna. Przespałam lunch, a teraz zbliżała się pora kolacji.

- Pani Broadfield! - zawołałam.

Dziwne, że nie dyżurowała pod moimi drzwiami. Zwykle pojawiała się natychmiast. Przedłużająca się cisza zaczęła mnie denerwować. Przykuta do łóżka, ciągle zależna od pomocy innych... to się robiło coraz bardziej irytujące. Nagłona gniewem, wyciągnęłam rękę i wychylając się z łóżka, zdołałam chwycić wózek za poręcz. Zaraz im pokażę! A swoją drogą dlaczego wózek jest stawiany tak daleko od łóżka? - zastanawiałam się. Zupełnie jak gdyby pani Broadfield chciała uniemożliwić mi samodzielne wstanie.

Przyciągnęłam wózek do siebie i opuściłam prawy podłokietnik. Nie robiłam tego wcześniej, ale czułam, że mi się uda. Przesunęłam się na krawędź łóżka. Musiałam rękami ułożyć swoje nogi jak dwa ołowiane ciężarki.

Zablokowałam kółka, żeby wózek się nie odtoczył, wzięłam głęboki oddech i zsunęłam się z łóżka na siedzenie.

Wylądowałam na wózku trochę bokiem, ale jakoś udało mi się przekręcić ciało. Ustawiłam podłokietniki, oparłam się o nie mocno rękami i podciągnęłam się do wyprostowanej pozycji siedzącej. Uskrzydłona tym sukcesem uświadomiłam sobie, że mogę teraz manewrować nogami, ciągnąc za uda. Moje stopy dyndały głupio nad podłogą. Jedną po drugiej ustawiłam nogi na podnóżkach i zdyszana opadłam na oparcie, żeby chwilę odpocząć.

Ale udało się! Nie byłam tak bezsilna i bezradna, jak wszyscy sądzą! Przymknęłam oczy i czekałam, aż serce przestanie mi walić.

Znów nasłuchiwałam, lecz dom był jak martwy. Głęboko nabrałam powietrza i odblokowałam koła. Zakręciłam nimi i powoli potoczyłam się ku drzwiom. Po drodze zajrzałam do salonu. Ani śladu pani Broadfield. Żadnych otwartych książek czy magazynów, nic.

Wyjechałam na korytarz. Było tutaj chłodniej, jak zwykle dość ciemno. Skręciłam ku schodom, gdzie chciałam się zatrzymać i zawołać kogoś z dołu. Jednak moja ciekawość rosła, kusząc, żebym wykorzystała okazję i zrobiła rekonesans. Gdzie jest sypialnia Tony'ego? - zastanawiałam się. Czy nie tam dalej? Może Tony jest u siebie? Może poranna aktywność także go zmęczyła i zasnął? Uspokoiwszy serce tą myślą, dzielnie ruszyłam przed siebie.

Jechałam, aż zobaczyłam podwójne otwarte drzwi. Z daleka widać było, że układ pomieszczeń znajdujących się za nimi jest podobny do mojego. Palila się tam jedna lampa, ale kiedy wjechałam do środka, powitała mnie cisza.

- Jest tam kto?!

Czyje to pokoje?, zachodziłam w głowę. Raczej nie Tony'ego, tylko jakiejś kobiety. Wtem poczułam silny zapach jaśminu. Ciekawość jak magnes przyciągała mnie ku drugim, wewnętrznym drzwiom, które musiały prowadzić do sypialni.

Wjechałam tam i zatrzymałam się za progiem. Na taborecie przed białą marmurową toaletką leżał niedbale rzucony peniuar koloru kości słoniowej, obsyty brzoskwiniową koronką. Na blacie stało mnóstwo pudrów, kremów, zmywaczy, mleczek kosmetycznych i flakoników perfum. Po chwili zauważyłam pusty owal na ścianie. Z lustra wiszącego nad toaletką usunięto szklaną tafelę. Czemu?

Odwróciłam się w lewo i zobaczyłam, że to samo zrobiono z dużym ściennym lustrem oraz z lustrem na szafie w garderobie. Pozostały puste ramy. Dręczona jeszcze większą ciekawością wjechałam głębiej do pokoju i zobaczyłam czerwone satynowe pantofle obok ogromnego łoża z baldachimem, bardzo podobnego do mojego. Przerzucona przez łóżko leżała jasnoczerwona suknia balowa z halką, bufiastymi rękawami i koronkami przy dekolcie. Narzuta była odchylona, jakby ktoś dopiero co wstał.

Dalej na prawo zobaczyłam komodę z wysuniętymi szufladami. Bielizna i pończochy zwisały z nich jak festony. Czy ktoś w pośpiechu czegoś szukał?

Na blatach leżały pootwierane kasetki z biżuterią. Widziałam lśniące naszyjniki, kolczyki, diamentowe i szafirowe bransoletki porzucane bezładnie. Poczułam, że wtargnęłam gdzieś, gdzie znaleźć się nie powinnam, i zaczęłam się w pośpiechu wycofywać.

Wpadłam na ścianę. Kiedy obróciłam wózek, spojrzałam w płonące gniewem oczy pani Broadfield.

Twarz miała czerwoną, jakby przybiegła tu sprintem. Z jej włosów, zwykle gładko zaczesanych do tyłu, sterczały buntownicze kosmyki niczym pęknięte struny fortepianu. Ponieważ patrzyłam z poziomu wózka, jej rozdęte nozdrza widziane od dołu wydawały się szerokie jak u byka. Łono, odziane w nienagannie biały, wykrochmalony fartuch pielęgniarki, falowało unoszone ciężkim oddechem. Pośladki wyglądały, jakby miały zaraz eksplodować. Odruchowo zaczęłam się cofać przed nią, ale chwyciła za rączkę wózka i przyciągnęła go do siebie.

- Co ty tu robisz? - zapytała chrapliwie, groźnie.

- Nie rozumiem...

- Weszłam do twojego pokoju i zobaczyłam, że nie ma cię w łóżku, a wózek zniknął. - Spazmatycznie zaczerpnęła powietrza, łapiąc się ręką za gardło. - Wołałam cię, bo przecież nie mogłaś zejść na dół, a potem zaczęłam przeszukiwać korytarz, ale do głowy mi nie przyszło, że zajechałaś aż tutaj. Już wyobrażałam sobie najgorsze...

- Nic mi się nie stało.

- Nie wolno ci tu zaglądać - powiedziała, stając za wózkiem i szybko wypychając mnie z pokoju. - Pan Tatterton specjalnie prosił, żeby nikt nie przychodził tutaj. Jeśli się dowie, będzie mnie winił i pomyśli, że cię tu przywiozłam - dodała, rozglądając się czujnie na korytarzu. Kiedy się upewniła, że nikt nie nadchodzi, chyłkiem pomknęła do mojego apartamentu.

Uznałam, że jest śmieszna i bawi się w jakieś głupie podchody.

- Tony na pewno nie miałby pretensji, że zawędrowałam w tę część korytarza - powiedziałam, ale nie zwolniła ani na moment, tak bardzo się bała, że straci posadę.

- Jeśli się dowie, powiem mu, że to tylko moja wina, a nie pani.

- To niczego nie zmieni. Jestem za ciebie odpowiedzialna. Wysłałam tylko na chwilę, żeby się przejść po ogrodzie i zażyć świeżego powietrza, i wystarczyło! Na moment spuściłam cię z oka, a ty wsiadłaś na wózek i ruszyłaś na wycieczkę po domu!

- Nie rozumiem, dlaczego Tony miałby być zły.

- To stary dom i być może pewne jego części nie są bezpieczne... słabe stropy albo coś w tym stylu. Skąd mam wiedzieć? Powiedział mi, czego mam przestrzegać. Paru prostych zasad. Kto by pomyślał, że się tak zachowasz?

- Zapytam go, kiedy przyjdzie.

- Niech cię ręka boska broni! Nic nie mów, a może się nie dowie i sprawa rozejdzie się

po kościach.

Zatrzymała wózek przy łóżku i odstąpiła krok do tyłu, spoglądając na mnie z naganą.

- Ktoś jeszcze tam mieszka, prawda? - spytałam. - Kto?

- Ktoś jeszcze? - zdziwiła się.

- Poza nami, Tonym i służbą. Ten pokój wygląda na zamieszkały.

- Odkąd tu jestem, nikogo innego nie widziałam. Masz zbyt bujną wyobraźnię. Pan Tatterton będzie wściekły. Przestań już wygadywać takie bzdury, dobrze? - Mierzyła mnie zimnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

- Jeśli przez ciebie wpadnę w kłopoty... obie na tym ucierpimy. Nie mam zamiaru stracić posady tylko dlatego, że kaleka zachowuje się niesfornie.

Kaleka! Nikt jeszcze tak o mnie nie powiedział. Furia wezbrała we mnie razem ze łzami. Sposób, w jaki wymówiła słowo „kaleka”, sugerował, że nie jestem ludzką istotą.

Nie byłam żadną kaleką!

- Wołałam panią - zapewniłam. - Obudziłam się, byłam głodna, ale nikt się nie pojawił. Wołałam dalej, jadąc korytarzem. I nic.

- Musiałam chwilę odsapnąć. Zaraz bym wróciła. Szkoda, że nie wykazałaś odrobiny cierpliwości.

- Cierpliwości?! - wykrzyknęłam. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, nie odwróciłam wzroku. Mój bunt narastał, rozpalając się jak ciągle podsycany wielki stos.

Gwałtownie odskoczyła w tył, jakby dostała po twarzy. Jej rysy ożywiły się nagle w upiorny sposób - usta wyginały się i falowały, a oczy na zmianę to otwierały się szeroko, to zwężały w szparki. Żyły wystąpiły jej na czoło, jakby je ktoś wyrzeźbił, i cała ich siatka zarysowała się pod cienką, łuszczącą się skórą. Pielęgniarka postąpiła parę kroków ku mnie.

- Tak, cierpliwości - powtórzyła wzgardliwie. - Jesteś rozwydrzonym bachorem. Tak cię wychowano. Miałam już wcześniej pacjentki podobne do ciebie, rozpieszczane dziewczyszka z bogatych rodzin. Dostawały wszystko, o czym sobie zamarzyły. Nie miały pojęcia, jak to jest walczyć o byt, odmawiać sobie czegoś i oszczędzać na wszystkim. Nie znały trudów, bólu, wyrzeczeń. - Twarz wykrzywił jej uśmiech szaleńca. - Ale ci bogaci, rozpieszczeni, zepsuci ludzie są słabi. Nie mają w sobie siły, żeby zmierzyć się z życiem, kiedy osiągnie ich cios, i dlatego pozostają kalekami... inwalidami uwięzionymi w swoim luksusie, ubezwłasnowolnionymi przez własne bogactwo, tworamii niezdolnymi do życia. - Zacisnęła dłonie i zatarła je energicznie, jak gdyby nagle w pokoju zrobiło się zimno. - Są jak glina, którą trzeba urabiać. Och, jasne, są mili i ładni... jak delikatna jedwabna bielizna, przyjemni i gładcy w dotyku, ale szybko się zużywają.

- Nie jestem taka. To nieprawda! - krzyknęłam.

Znów się uśmiechnęła. Tym razem był to pobłażliwy uśmiezek, jakby mówiła do kompletnej idiotki.

- Nie jesteś? To dlaczego nie słuchasz moich zaleceń, kwestionujesz moją fachowość i krnąbrnie przeciwstawiasz się moim wysiłkom przywrócenia cię do zdrowia?

- Słucham pani zaleceń, tylko... - Słowa uwięzły mi w gardle i miałam wrażenie, że za chwilę się nimi udławię.

- Tak, słucham?

- Po prostu czuję się samotna. Straciłam rodziców, przyjaciół i... i... jestem...

Pielęgniarka kiwnęła głową, zachęcając mnie, żebym ciągnęła dalej. Nie chciałam wypowiedzieć tego słowa. Wzdragałam się.

- Jesteś kaleką - dokończyła za mnie.

- Nie!!!

- Tak! I będziesz skazana na wózek, dopóki nie pójdziesz po rozum do głowy i nie zaczniesz słuchać, co do ciebie mówię.

- Pani nie jest Bogiem! - warknęłam wściekle.

- Nigdy tego nie mówiłam. - Jej profesjonalny ton rozzłościł mnie jeszcze bardziej. - Ale jestem zawodową pielęgniarką, wyszkoloną do opieki nad takimi osobami jak ty - tylko co mi da cała moja fachowość, jeśli będę miała do czynienia z tak upartą, rozpieszczoną i nieposłuszną pacjentką jak ty? Uważasz, że jestem okropna? Nawet jeśli to prawda, mam powody. Już ci mówiłam, ale nie słuchałaś. Takie bogate, rozpuszczone pannice jak ty są słabe i źle znoszą trudne okoliczności losu. Dlatego musisz się wzmocnić, poradzić sobie z samotnością, zbudować wokół siebie twardą skorupę, zapomnieć o bólu, abyś mogła walczyć. Jeśli tego nie zrobisz, jeśli będziesz użalać się nad sobą, pozostaniesz kaleką na zawsze.

Serce mocno mi waliło, bo w dużym stopniu miała rację. Jej słowa mnie osaczały.

- Mówiłam już pani - powiedziałam ze spuszczoną głową - byłam głodna i myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli. Nikt nie reagował na dzwonienie... ani Tony, ani Drake, ani nawet pani.

- Dobrze, zostawmy już tę sprawę. Zejdę na dół, sprawdzę, czy twój posiłek jest gotowy.

- Jeżeli Drake jeszcze tam jest, proszę mu powiedzieć, żeby wpadł do mnie.

- Nie ma go, musiał wracać do Bostonu.

- A Tony?

- Nie wiem. Nie miałam czasu się za nim rozglądać, bo musiałam szukać ciebie -

burknęła i wyszła z pokoju.

Długo nie mogłam ochłonąć po tej rozmowie. Może pani Broadfield jest dobrą pielęgniarką, może nawet znakomitą, ale nie lubię jej, myślałam. Pomimo wszystkiego, co Tony dla mnie zrobił - załatwił najlepszych lekarzy, sprzęt i prywatną opiekę - żałowałam, że zgodziłam się tu przyjechać. Zapewne ciotka Fanny miała rację, szybciej doszłabym do siebie wśród ludzi, których kocham i którzy mnie kochają.

Z drugiej strony chętnie zgodziłam się wtedy na Farthy nie tylko dlatego, że zawsze chciałam zobaczyć ten dom. Był też inny powód - czułam to samo co Drake, który mówił mi, że niechętnie wraca do Hasbrouck House i Winnerrow. Nie miałam odwagi wrócić tam po szpitalu, widzieć pokoje moich rodziców, ich ubrania. Bałam się, że każdego ranka będę mimo woli nasłuchiwała kroków taty i jego czułego, ciepłego powitania „Dzień dobry, księżniczko”. Albo czekała, aż wpadnie mama, żeby pogadać ze mną o tym i o owym.

Tak, przyjazd do Farthy był próbą ucieczki przed tamtą rzeczywistością, z którą nie miałam siły się zmierzyć. Ale teraz zaczęłam wątpić, czy podjęłam właściwą decyzję. Być może tam, pod opieką ciotki Fanny, która zawsze potrafiła mnie rozbawić swoim zachowaniem i niepowtarzalnymi komentarzami, szybciej bym wyzdrowiała pomimo braku drogiego sprzętu i prywatnej pielęgniarki.

Plotkowałybyśmy o tamtejszych bogaczach i śmiałybyśmy się do rozpuku.

Żałowałam, że Luke nadal się nie zjawił, gdyż bardzo chciałam z nim o tym pogadać. Rozmowa na ten temat z Drakiem nie miała sensu. Był tak zauroczony Tonym i jego biznesem, że nie dostrzegał - nie chciał dostrzegać - ciemnych stron i problemów Farthy. Zachowywał się tak samo jak Tony, dla którego zaniedbany dom był piękny jak dawniej.

Muszę się koniecznie skontaktować z Lukiem, pomyślałam. Muszę się z nim zobaczyć. Muszę!

Podjechałam do biurka, znalazłam jeszcze jedną kopertę i napisałam drugi list - tym razem nie ukrywając desperacji.

Kochany Luke!

Odnoszę wrażenie, że cały ciąg ważnych spraw nie pozwala Ci na odwiedziny w Farthy. Wiadomości nie dochodzą do Ciebie albo na nie nie odpowiadasz.

Muszę się natychmiast z Tobą zobaczyć! Dużo się zdarzyło od czasu, kiedy ostatni raz odwiedziłeś mnie tutaj. Jestem już dużo silniejsza, ale jeśli chodzi o moje nogi, postęp jest minimalny pomimo terapii.

Coraz bardziej mam dość pobytu tutaj i o tym chciałabym z Tobą porozmawiać.

Błagam, przyjedź jak najszybciej. Nie czekaj na niczyje przyzwolenie. Przyjedź w dniu, w którym otrzymasz mój list.

Całuję

Annie

Włożyłam list do koperty i zaadresowałam ją w ten sam sposób jak pierwszy - ten, którego Millie Thomas nie przekazała Tony'emu.

- Zjesz w wózku, czy mam przełożyć cię do łóżka? - zapytała pani Broadfield, wróciwszy z tacą.

- Zostanę w wózku.

Nałożyła na poręcze wózka specjalny stoliczek. Kiedy taca stanęła przede mną, niecierpliwie podniosłam srebrną pokrywę półmiska. Była tam gotowana pierś kurczaka, marchewka z zielonym groszkiem i kawałek białego chleba z masłem. Typowe, nudne szpitalne danie.

- Rye Whiskey to przygotował? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Nie, jego pomocnik, według moich wskazówek.

- Wygląda... mało apetycznie.

- Mówiłaś, że jesteś bardzo głodna.

- Bo jestem, ale oczekiwałam czegoś innego... pyszności, które przyrządza Rye.

- Rye używa za dużo przypraw i gotuje zbyt egzotycznie.

- Ale ja uwielbiam jego kuchnię! Jem wszystko z apetytem, a o to przecież chodziło doktorowi Malisoffowi, prawda? - zaprotestowałam.

- Owszem, lecz zalecał jedzenie lekkostrawne. W twoim stanie...

Z hukiem opuściłam pokrywę na półmiskę. Impuls dumy wyprostował moje zgarbione plecy i postarałam się o lodowaty ton. Buntowniczo założyłam ramiona na piersi.

- Proszę mi przynieść coś, co ugotował Rye. Tego nie będę jadła.

Wiedziałam, że pani Broadfield kipi wściekłością, ale spojrzenie miała dziwnie spokojne i nieodgadnione. Wydawało mi się nawet, że na jej ustach zaigrał leciutki uśmiezek.

- Jak sobie życzysz. - Zabrała tacę. - Może nie jesteś aż tak głodna, jak mówisz.

- Jestem bardzo głodna. Proszę powiedzieć Rye'owi, żeby mi szybko coś przygotował.

- Było dla ciebie przygotowane, ale nie chciałaś - stwierdziła.

- Może i jestem kaleką, ale moje poczucie smaku nie zostało upośledzone. Przy okazji niech pani poprosi Tony'ego, żeby tu przyszedł.

- Bardzo źle robisz, Annie. Ja tylko chcę jak najlepiej dla ciebie.

- Na razie nie miałam problemów ze strawieniem tego, co szykował dla mnie Rye.

- Dobrze. Skoro tak, powiem mu, żeby zrobił kurczaka po swojemu.

- Niech też zrobi po swojemu warzywa i ziemniaki. Aha, i chciałabym też chleb jego wypieku - dodałam.

- Tylko nie narzekaj, jeśli pojawią się problemy żołądkowe - ostrzegła, zanim wyszła.

Zawsze musiała mieć ostatnie słowo. Ale teraz już wiedziałam, co mam zrobić, żeby uzyskać to, czego pragnę - wystarczyło pilnie wezwać Tony'ego za jej pośrednictwem.

Tony zjawił się, zanim pani Broadfield zdążyła wrócić z nową potrawą.

- Jak się czujesz?

- Zmęczona, ale głodna. Czekam, aż pani Broadfield przyniesie mi jedzenie od Rye'a. Nie chcę sprawiać kłopotu, lecz nie mam apetytu na danie, które mi przyniosła - wyjaśniłam, na wypadek gdyby doniosła na mnie Tony'emu.

- Nie sprawiasz żadnych kłopotów - zapewnił. - Rye z chęcią zrobi coś ekstra dla ciebie.

- Liczę na to.

- Wydajesz się poirytowana.

Przez chwilę nie odpowiadałam, a potem gwałtownie obróciłam się ku niemu.

- Tony, wiem, że pani Broadfield jest profesjonalistką i powinnam się cieszyć, że zajmuje się mną pielęgniarka z tak ogromnym doświadczeniem, która w dodatku jest fizjoterapeutką, ale wierz mi, ona bywa trudna do zniesienia.

- Porozmawiam z nią - obiecał. Spojrzenie miał łagodne i współczujące. Byłam pewna, że mnie rozumie.

- Najbardziej zależy mi na twoim szczęściu, Annie; wszystko inne jest mniej ważne.

- Doceniam, ile dla mnie robisz. - Od razu poczułam się spokojniejsza. Wtem przypomniałam sobie o liście.

- Tony, napisałam kolejny list do Luke'a. Czy mógłbyś go wysłać? Tylko ekspresem, żeby doszedł jak najszybciej.

- Naturalnie. - Wziął ode mnie list i wsunął do kieszeni marynarki. - A teraz pozwól, że zejdę do kuchni i sprawdzę, co z twoim jedzeniem. Nie dopuszczę, żebyś głodowała w moim domu.

- Nie trzeba, mogę poczekać.

- Jednak sprawdzę. I porozmawiam z panią Broadfield.

- Nie chcę nikomu sprawiać dodatkowych kłopotów.

- Och, nonsens, już ci mówiłem. Ty jesteś najważniejsza. - Ruszył do wyjścia.

- Tony...

- Tak? - Zatrzymał się w drzwiach.

- Czy ktoś tu jeszcze mieszka? Kobieta?

- Kobieta? Masz na myśli kogoś innego niż pani Broadfield? - Przymrużył oczy podejrzliwie.

- Tak. Wyjechałam sama na korytarz i zawędrowałam do innego apartamentu, podobnego do tego i...

- Och... - Tony przestąpił z nogi na nogę. - Rozumiem, że byłaś w pokojach Jillian.

- Jillian? - Przecież Jillian już dawno nie żyje, a te pokoje wyglądały na zamieszkane, pomyślałam ze zdumieniem.

- Tak. Pewnie zostawiłem otwarte drzwi. Nie lubię, kiedy ktoś tam zagląda - powiedział twardym, niezadowolonym tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszałam.

- Przepraszam, nie chciałam. Ja...

- Nic nie szkodzi - przerwał mi szybko. - Nie jestem na ciebie zły. Utrzymuję ten pokój w takim stanie, jaki był w chwili jej śmierci. Do dziś trudno jest mi się pogodzić z jej odejściem.

- Dlaczego nie ma tam luster?

- Bo gdy widziała swoje odbicie, jej szaleństwo bardzo się nasilało. W każdym razie nikt inny tu nie mieszka - zakończył i dodał z wymuszonym śmiechem: - Tylko nie mów mi, Annie, że ty także widzisz duchy, tak jak Rye Whiskey. - Pokręcił głową i wyszedł.

Kolejne pokoje w roli muzeum? Czy Tony przesuwiał się od jednego momentu w przeszłości do innego, ożywiając wspomnienia? Mogłam zrozumieć, dlaczego samotny mężczyzna trzyma się wspomnień, zdjęć, listów i innych sentymentalnych pamiątek, ale żeby przez lata utrzymywać pokój żony w stanie takim jak w dniu jej śmierci... to już było dziwactwo. Wzdrygnęłam się mimo woli i zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam zażądać, żeby Tony odwiózł mnie do Winnerrow.

Wkrótce pojawiła się pani Broadfield z nowym daniem na tacy. Tym razem był to słynny pieczony kurczak Rye'a z ziemniaczanym puree i warzywami gotowanymi na parze, pachnącymi świeżo i delikatnie. Byłam tak głodna, a wszystko wyglądało tak apetycznie, że błyskawicznie zmiotłam jedzenie z talerza.

Pani Broadfield przyglądała mi się z boku. Spojrzenie miała chłodne, twarz nieprzeniknioną, zupełnie jak gdyby założyła maskę.

- Było pyszne - powiedziałam, kiedy skończyłam jeść.

- Chcesz położyć się do łóżka?

- Nie, posiedzę jeszcze w wózku i pooglądam telewizję.

Zabrała tacę i wyszła. Sięgnęłam po pilota i włączyłam telewizor. Wybrałam kanał z filmem, którego nie znałam, i zaczęłam go oglądać, ale po paru minutach ostry ból przeszył mi żołądek. Jęknęłam i ścisnęłam brzuch rękami. Ból ustał i wyprostowałam się, oddychając głęboko. Za moment powrócił ze zdwojoną siłą; miałam wrażenie, że rozdziera mi żołądek i promieniuje do serca.

- Pani Broadfield! - zawołałam. - Pani Broadfield! - krzyczałam coraz głośniejsze, lecz pielęgniarka się nie pojawiła. Podjechałam do drzwi. - Pani Broadfield!

Puściły mi zwieracze.

- O nieee! Pani Broadfield!!!

Kiedy wreszcie przyszła, siedziałam skulona na wózku, przerażona i upokorzona.

Stała w drzwiach z rękami opartymi na biodrach, z zimnym, pełnym złośliwej satysfakcji uśmiechem na kamiennej twarzy.

- Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam - powiedziała.

Jęcząc, błagałam o pomoc.

Rozdział siedemnasty

ZEMSTA PANI BROADFIELD

Szybko zawiozła mnie do łazienki. Odkręciła wodę nad wanną i zaczęła zdzierać ze mnie ubranie. Czułam się jak dojrzały banan w rękach wygłodniałej małpy. Wszystkie czynności wykonywała w milczeniu, ale widziałam w jej wściekłym spojrzeniu bez przerwy powtarzany, bezgłosny komunikat: „A nie mówiłam?”. Jęczałam i trzymałam się za brzuch.

- Mam uczucie, jakby ktoś zapalał tam zapalki - skarżyłam się, ale moje słowa odbijały się od głuchych uszu.

Pielęgniarka najpierw wytarła mnie wilgotnymi ręcznikami, a potem wyszarpnęła z wózka i dosłownie wrzuciła do gorącej wody. Była naprawdę bardzo silna jak na kobietę.

Powoli osunęłam się niżej, aż tkwiłam w wodzie po szyję. Choć była jak zawsze gorąca, tym razem przyniosła mi pewną ulgę. Przymknęłam oczy i odchyliłam głowę do tyłu, pojękując cichutko.

- Co się stało?! - zawołał z salonu Tony. Widocznie słyszał całe to zamieszanie i przybiegł sprawdzić, czy nic mi nie jest.

- Niech pani zamknie drzwi od łazienki! - poprosiłam.

- Leż spokojnie - nakazała pielęgniarka i wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi. Mimo to słyszałam ich rozmowę.

- Czy coś się stało Annie, pani Broadfield?

- Prosiłam ją, żeby nie jadła mocno przyprawionych, egzotycznych potraw, które przyrządza jej pański kucharz. Poprosiłam nawet jego asystenta, by przygotował coś bardziej delikatnego i pożywnego, ale ona była uparta. Domagała się, żebym przyniosła jej danie od kucharza, więc musiałam zamówić je u niego.

- Rozumiem, ale...

- Jej żołądek jest bardzo wrażliwy, tak jak i całe ciało. Usiłowałam wytłumaczyć to Annie, lecz jest niecierpliwa jak typowa nastolatka i chciałaby już wyzdrowieć. Nie słucha, co mówi jej ktoś starszy i doświadczony.

- Czy mam sprowadzić lekarza? - zapytał Tony z niepokojem.

- Nie, sytuacja jest już opanowana. Jeszcze przez jakiś czas Annie będzie się źle czuła, ale nie ma potrzeby nikogo sprowadzać.

- Mogę jakoś pomóc? - Kochany Tony, pomyślałam. W jego głosie brzmiała taka troska, tyle współczucia - ogromny kontrast w porównaniu z surowym, oschłym tonem pani

Broadfield.

- Nie, nie trzeba. Umyję ją, przebiorę i dam jej lekarstwa. Do rana powinna poczuć się lepiej, ale jej żołądek będzie jeszcze bardziej wrażliwy. Jeśli chce pan pomóc, proszę porozmawiać ze swoim kucharzem i powiedzieć mu, aby przygotowywał posiłki dokładnie według moich wskazówek.

Usłyszałam, jak Tony wychodzi. Pani Broadfield wróciła do łazienki i pochyliła się nade mną. Moje łzy mieszały się ze skroploną parą, która skapywała z jej policzków. Nagle kamienna twarz pielęgniarki zmiękła niczym twarz woskowego posągu postawionego zbyt blisko ognia. Zaciśnięte wargi rozluźniły się, kąciki ust podjechały w górę, pucołowate policzki zwiotczały, a oczy zawilgotniały od współczucia.

- Biedne dziecko. Gdybyś mnie posłuchała... taki ból, jakby mało było jeszcze temu udręczonemu ciału. - Przyklękła przy wannie i myjką otarła mi łzy. - Zamknij oczy, spróbuj się odprężyć. Poleż jeszcze trochę, a potem cię wyjmę, wytrę, przebiorę w czystą, mięciutką koszulę i dam ci leki. Będziesz spała jak dziecko.

- Nie rozumiem... dotąd nic z jedzenia mi nie zaszkodziło.

Myjką masowała mi kark i barki delikatnymi, kolistymi ruchami, jakby polerowała kruchą chińską porcelanę.

- Teraz jesteś w moich rękach, Annie. Pozwól, żebym zrobiła, co do mnie należy, i staraj się tylko odprężyć i uspokoić. Pozwolisz mi robić to, za co mi płacą?

Kiwnęłam głową i zamknęłam oczy. Ból złagodniał, choć dalej burczało mi w żołądku. Pani Broadfield zsunęła rękę poniżej moich piersi i położyła mi płasko dłoń na brzuchu. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam jej twarz tuż przy mojej - tak blisko, że widziałam każdy por skóry, każdy włoszek w nosie i każdą zmarszczkę przy wargach.

- Jeszcze się tam burzy - powiedziała szeptem. Popatrzyła mi w oczy, ale spojrzenie miało nieobecne.

- Czy mogę już wyjść z wanny?

- Co? Och... tak, tak. - Wyprostowała się szybko i sięgnęła po ręcznik. Wyjęła mnie z wody, wytarła, przebrała w świeżą koszulę i zawiozła do łóżka. Tam podała mi dwie łyżeczki szarego płynu o konsystencji rozpuszczonej kredy. Chwilę potem burczenie w żołądku ustało. Wtedy dała mi jeszcze proszek na sen.

Zamknęłam oczy i postarałam się szybko zasnąć, licząc, że rano będę się już czuła o wiele lepiej. Zanim odpłynęłam na dobre, na moment uniosłam powieki i zobaczyłam panią Broadfield stojącą nade mną i wpatrującą się we mnie z miną kota, który zapędził mysz do kąta i teraz napawa się strachem bezbronnej ofiary.

Jutro poczuje się lepiej, myślałam. Jutro Luke dostanie mój list i przyjedzie do mnie. Potem mi się przyśnił. W tym śnie był rycerzem na białym koniu. Wjechał galopem przez bramę Farthy i zaszarżował na dom, wdzierając się po schodach do mojego pokoju. Z hukiem otworzył drzwi i przypadł do łóżka, biorąc mnie w ramiona. Byłam taka szczęśliwa! Pocałowałam go żarliwie w usta. Nocna koszula zsunęła mi się z ramion, a Luke przycisnął usta do moich nagich piersi, przymykając oczy i wdychając mój zapach, jakby wąchał różę.

- Och, Luke! - jęknęłam. - Tak na ciebie czekałam, tak tęskniłam!

Pieścił mnie delikatnie, a moje ciało śpiewało upojnie z każdym pocałunkiem, aż pieszczota dosięgła ud i poczułam, że w moje nogi wstępuje nowa siła i życie.

- Muszę cię stąd zabrać - szepnął - żebyśmy mogli kochać się do woli, i tak będzie już zawsze.

Chwycił mnie w ramiona, porwał z łóżka jak piórko i zbiegł ze mną po schodach. Byłam półnaga, ale nie dbałam o to. Wsadził mnie na konia i pogalopowaliśmy przed siebie, coraz dalej od Farthy. W tym śnie obejrzałam się za siebie tylko raz i zobaczyłam Tony'ego w oknie, patrzącego za mną, z twarzą ściągniętą rozpaczą. Za nim stała jakaś ciemna postać. Nie widziałam twarzy tego mężczyzny, ale zrobiło mi się smutno, że muszę go zostawić. Chciałam zawołać coś do niego i w tym momencie się obudziłam.

Cały następny ranek przeleżałam w łóżku. Pani Broadfield postanowiła, że tego dnia daruje mi zabiegi. Kazała Rye'owi przygotować na śniadanie owsiankę, a przez resztę dnia żywiłam się tostami i galaretką, popijając to bardzo słodką herbatą. W południe poczułam się na tyle silna, żeby usiąść na wózku. Po drugiej pojawił się nagle Rye Whiskey w swoim kucharskim fartuchu, korzystając z chwili, kiedy pani Broadfield wyszła na spacer.

Sprawił wrażenie niepewnego i skruszonego. Widać było, że czuje się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło.

- Jak się panienka czuje?

- Dużo lepiej, Rye. Nie chcę, żebyś się obwiniał. Nie mogłeś wiedzieć, co szkodzi mojemu żołądkowi. Wszystkie potrawy, które dla mnie gotowałeś, dotąd mi służyły - dodałam z naciskiem.

- Tak też myślę, panienko Annie. Nie włożyłem w ten posiłek niczego, czego bym wcześniej nie użył. - Widziałam, że coś go nurtuje.

- To była moja wina, Rye - powiedziałam szybko. - Nie powinnam odsyłać pani Broadfield z powrotem z tym obiadem, który przygotował twój pomocnik.

- Ach, żeby panienka wiedziała, co się działo! Wpadła do kuchni niczym furia i jak nie

trzepnie tacą! Aż podskoczyłem! A potem kazała, żebym migiem naszykował twojego ulubionego kurczaka, warzywa i ziemniaki. A że akurat szykowałem to dla pana Tattertona, powiedziałem, że już jest gotowe. Burknęła coś tylko i podsunęła mi tacę.

- I co dalej?

- Nic. Nałożyłem na półmisek i dałem jej, bo nie mamy teraz pokojówki, żeby nosiła jedzenie do pokojów. Wzięła tacę i poszła. Ale zapomniała chleba, więc poleciałem za nią. Złapałem ją w jadalni, bo zatrzymała się tam, żeby dodać lekarstwo, i...

- Lekarstwo? Jakie lekarstwo?

Rye wzruszył ramionami.

- Powiedziała mi, że to lekarstwo. I że ma ci pomóc w trawieniu.

- Nie dostawałam lekarstw w takiej formie.

- W każdym razie dałem jej ten chleb i poszła na górę. A niezadługo potem przyleciał pan Tatterton roztrzęsiony, bo się pochorowałaś po jedzeniu. Kazał, żebym robił wszystko tak, jak chce pielęgniarka. No i tyle. Naprawdę lepiej się panienka czuje?

- Tak, Rye. Jesteś pewien, że dodała mi lekarstwo do jedzenia?

- Tak, do ziemniaków. Mieszała je z nimi, kiedy wszedłem. Nie chciałem, żeby popsuła smak, ale bałem się jej to powiedzieć. Musi być dobrą pielęgniarką, jeśli tak szybko wypędziła z panienki takie choróbsko.

- Jest dobra, jeśli chce - powiedziałam tajemniczo. To nie było żadne lekarstwo. Pani Broadfield zemściła się na mnie za to, że śmiałam się jej przeciwstawić. Rany boskie, pomyślałam, jestem w rękach sadystycznej, mściwej, nienawistnej baby! Cały mój ból i wstyd to jej zasługa! - A jeśli nie chce być dobra, może wpędzić człowieka w chorobę - dodałam. Rye zrozumiał.

- Panienko Annie... - Odwrócił się i czujnie zerknął w stronę drzwi, sprawdzając, czy nikt nie nadchodzi.

- Już się panience poprawiło. Najlepiej byłoby teraz, gdyby panienka wróciła do domu.

- Co? - Uśmiechnęłam się zmieszana. - Tak uważasz?

- Muszę lecieć do kuchni. Cieszę się, że już jesteś zdrowsza, panienko Annie. - Wybiegł, zanim się dopytałam, o co mu dokładnie chodzi. Ale byłam pewna, że stary Rye wie bardzo, bardzo wiele na temat tego, co się dzieje w Farthy.

Tony nie pojawił się na kolacji. Dostałam posiłek, którym poprzednio wzgardziłam - gotowaną pierś kurczaka, rozgotowaną marchewkę z groszkiem i puree ziemniaczane bez sosu. Pani Broadfield z szerokim uśmiechem postawiła mi tacę na stoliku. Nie odeszła, tylko przyglądała się, jak jem, aby upewnić się, że nic nie zostawię na talerzu.

- Czy dodała pani coś do jedzenia, żeby wzmóc mój apetyt? - zapytałam.

Jej uśmiech zniknął w jednej chwili.

- Słucham? Co miałabym dodać?

- Nie wiem... może pani mi powie, co dodała pani do potrawy, kiedy wczoraj drugi raz przyniosła mi pani lunch.

- Kto ci naopowiadał takich fantazji? - Nie wyglądała na rozgniewaną; raczej rozbawioną, jakby słuchała bredzenia idiotki. Wkurzał mnie jej kpiący, cyniczny uśmieszek.

- Rye mi powiedział - warknęłam. - Przyszedł tu, żeby zapytać, jak się czuję. Mówił, że widział, jak pani domieszała coś do ziemniaków, zanim przyniosła tacę na górę. Wyjaśniła mu pani, że to lekarstwo.

- Co za historia! - Zaśmiała się piskliwie. - Dlaczego wymyśla takie bujdy? Doprawdy, żalodne!

- Zrobiła to pani - powiedziałam oskarżycielskim tonem.

- Moje dziecko, ten człowiek usiłuje ukryć swoją winę, bo wycierpiałaś się przez niego. Już pierwszego dnia, kiedy tu przybyliśmy, posłałam do kuchni i pouczyłam go, że musi wyeliminować ostre przyprawy z twoich posiłków. Podobnie zastrzegłam, żeby nie dawał ci rzeczy bardzo słodkich, a on przysłał ciasto czekoladowe! Jest albo uparty, albo głupi. Sądzę, że pan Tatterton ma go już dosyć i po tym skandalu może go nawet zwolnić.

- Zwolnić Rye'a? - Teraz ja zaśmiałam się kpiąco. - Pani nie ma pojęcia, od jak dawna ten kucharz służy swemu panu. On jest jak rodzina i zostanie tu do końca swoich dni. A mówienie, że powinien czuć się winny, jest po prostu śmieszne. Rye słynie ze swojej kuchni i jeszcze nigdy nikt się po niej nie rozchorował.

Pokręciła głową i umknęła spojrzeniem w bok. To potwierdziło moje przypuszczenia.

- Niemniej pan Tatterton był bardzo zły na niego - powiedziała. - A teraz dokończ jedzenie, bo ci wystygnie. Musisz jeść ciepłe. - Odwróciła się i wyszła.

Po niedługiej chwili zjawił się Tony.

- Jak się czujesz, Annie? Dwa razy dzwoniłem dzisiaj do pani Broadfield i mówiła mi, że coraz lepiej.

- Okłamała cię - oznajmiłam bez wstępów. Byłam zdeterminowana i postanowiłam, że ta sprawa musi zostać natychmiast załatwiona, inaczej będę musiała wyjechać.

- Co takiego?

- Nie rozchorowałam się od nadmiaru przypraw. Owszem, moje jedzenie zostało doprawione, ale trucizną! - oświadczyłam.

Patrzył na mnie wielkimi oczami.

- Trucizna? Annie, czy ty wiesz, co mówisz? Może...

- Nie, Tony, jeśli naprawdę zależy ci na moim zdrowiu, wysłuchaj mnie do końca - powiedziałam z naciskiem.

- Niewątpliwie pani Broadfield jest kompetentną, bardzo sprawną pielęgniarką, ale nie jest miłą, a na dodatek nienawidzi ludzi bogatych. Uważa ich - zwłaszcza młodych - za zepsutych do szpiku kości, rozpieszczonych i słabych. Szkoda, że nie widziałeś, jak zmienia się jej twarz, kiedy o nich mówi. Robi się jeszcze bardziej brzydka, odpychająca i nienawistna, po prostu upiorna.

- Nie miałem pojęcia - rzekł zdumiony.

- Tak, a do tego nie znosi, kiedy ktoś sprzeciwia się jej woli albo kwestionuje jej postępowanie. Gdy śmiałam zadawać jej pytania na temat tego, co robi, od razu wpadała w furję. Odstawiłam jej obiad i zażądałam smacznego dania Rye'a, a ona postanowiła dać mi nauczkę. Rye przybiegł do mnie z przeprosinami i opowiedział, jak niosąc tacę, po drodze wmieszała coś do jedzenia i tłumaczyła, że to lekarstwo. Ale ja nigdy przedtem nie dostawałam leków w jedzeniu, Tony! Przecież wiesz o tym. Skazała mnie na ból i wstyd tylko dlatego, że chciała mi dać nauczkę - powtórzyłam ogarnięta gniewem, który palił mi policzki.

Kiwnął głową.

- Rozumiem, Annie. Cóż, w takim razie pora zrezygnować z usług tej pani, prawda?

- Tak, Tony. Nie wytrzymam z tą kobietą ani dnia dłużej!

- Nie musisz, Annie. Odeślę ją jeszcze dzisiaj. Znalezienie nowej pielęgniarki potrwa chwilę, ale postaram się jak najszybciej zastąpić panią Broadfield kimś lepszym i miłszym - zapewnił.

- Dziękuję, Tony. Nie chciałam ci przysparzać problemów, ale...

- Nonsens. Nie dojdiesz do zdrowia, jeśli będziesz nieszczęśliwa z powodu swojej pielęgniarki. A ja w żadnym razie nie życzę sobie w moim domu kogoś tak sadystycznego i nieczulego jak ta pani. A teraz zapomnij o przykrych sprawach. Skupmy się na czymś weselszym, przyjemniejszym. - Powiódł wzrokiem dokoła. - Wiem, co jeszcze jest tu złego. Żyjesz w atmosferze choroby, Annie. Ten pokój wygląda przygnębiająco, prawie jak szpitalny. Wózek, lekarstwa, tace, basen... Ale mam dla ciebie magiczny lek. - Niebieskie oczy zaśniły mu jak chłopaczkowi, który za chwilę zrobi psikusa.

- Magiczny lek? Co takiego?

Tony uciszył mnie gestem, po czym wyszedł na korytarz. Za moment pojawił się Parson, niosąc długie pudło. Oparł je o okno i odwrócił się do Tony'ego.

- Tutaj mam to zmontować, panie Tatterton?

- Tak.

- Co to jest, Tony? - zapytałam.

- Zaraz zobaczysz.

Pustą tacę odłożył na komodę, podprowadził mój wózek do łóżka i usiadł obok. Obserwowaliśmy, jak Parson rozpakowuje pudło. To była prawdziwa, profesjonalna sztaluga. Parson skręcił ją szybko i dopasował tak, żebym mogła malować, siedząc na wózku.

- Tony, cudownie! - Szczerze się ucieszyłam.

- Najlepsza sztaluga, jaką mogłem dostać - zaznaczył z dumą.

- Och, dzięki, ale...

- Żadnych ale! Musisz wracać do normalnego życia. Powtarzają mi to wszyscy, z którymi rozmawiam o tobie.

Skinął na Parsona, który wrócił z dwoma kolejnymi pakunkami. W jednym były farby, pędzle i inne przybory malarskie, a w drugim papier. Tony od razu przypiął jeden arkusz do sztalugi.

- Nie wiem, co tam dokładnie jest - przyznał. - Zleciłem zadanie mojemu zaopatrzeniowcowi, każąc mu kupić wszystko, czego może potrzebować młoda, obiecująca malarka. Powinien tam być nawet beret.

Pogrzebał w pudle i wyciągnął czarny, miękki, aksamitny beret, po czym nasadził mi go na głowę. Roześmiałam się.

- Widzisz? Już zaczęłaś się śmiać. - Podwiał mnie do lustra. - Czarny to twój kolor, Annie. Czujesz już przyływ natchnienia?

Czułam. Już sam widok siebie w berecie przywołał niemal zapomniane marzenia. Jeszcze nie tak dawno sztuka wypełniała mi życie, nasycając je wewnętrzną radością, nieporównywalną do żadnego innego uczucia. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi jej brakuje. Może była to jedna z przyczyn, dla których nie czułam się w pełni człowiekiem. Bardzo się bałam, że smutek zabije we mnie najgłębsze, najbardziej ulotne uczucia i zdolność przetwarzania ich na sztukę. Co będzie, jeśli chwycę pędzel i zobaczę tylko pustą białą płaszczyznę, której nie będę umiała zappełnić?

- Nie wiem, Tony... - westchnęłam.

- Ale spróbujesz, prawda? To możesz dla mnie zrobić. Obiecuj mi!

Wahałam się.

- Obiecujesz? - nalegał.

- Spróbuję, Tony. Obiecuję.

- Bardzo się cieszę. - Klasnął w dłonie. - W takim razie zostawiam cię, żebyś mogła

tworzyć. Za dzień lub dwa oczekuję arcydzieła.

- Nie spodziewaj się za wiele, Tony. Nigdy nie byłam specjalnie dobra i...

- Jesteś stanowczo zbyt skromna, Annie. Drake mówił mi, jak wspaniale malujesz.

Przywiózł mi nawet parę twoich prac.

- Niemożliwe! - krzyknęłam.

- Wiszą w moim gabinecie.

- Nic mi o tym nie mówił. Które prace?

- Na przykład obraz z wróbelkiem na magnolii. Uwielbiam go. Mam nadzieję, że zechcesz mi go podarować.

- Oczywiście, ale nie chodzi o to... Drake nie powinien ich brać bez pytania - powiedziałam z lekką pretensją, choć z drugiej strony pochlebiało mi, że on i Tony doceniają moją sztukę.

- Poprosiłem go, żeby przywiózł tu jakieś twoje dzieło, a on chciał mi sprawić przyjemność. Nie miej do niego żalu - poprosił Tony.

- Dobrze, nie będę - obiecałam. Uśmiechnął się i ruszył do wyjścia. - Tony! - zawołałam za nim.

- Tak?

- Jeśli Luke nie zadzwoni do siódmej, podłącz mi tu aparat, bo muszę zadzwonić do niego. Nie rozumiem, co się z nim dzieje i dlaczego nie odpowiada na moje listy i twoje telefony. Coś musiało się stać!

- Jeśli coś by się stało, i tak nie powinnaś o tym na razie wiedzieć. Sam do niego zadzwonię, jeśli się nie odezwie.

- Przed chwilą twierdziłaś, że nie powiesz mi, jeśli coś będzie nie tak.

- Powiem ci, obiecuję.

- Chcę mieć telefon w pokoju. Nie zniosę dłużej tej izolacji. Błagam, poproś doktora, żeby na to zezwolił.

Tony się skrzywił. Wyraźnie zabolalo go słowo „izolacja”, którego użyłam, ale nie mogłam się powstrzymać. Dokładnie tak się czułam.

- Wiem, że robisz dla mnie wszystko co w twojej mocy - ciągnęłam. - Doceniam to, ale zrozum, brakuje mi przyjaciół. Jestem młodą kobietą, która wkracza w najbardziej ekscytujący wiek. Nie mogę być wiecznie sama, nawet jeśli ty i Drake staracie się poświęcać mi jak najwięcej uwagi. Proszę, porozmawiaj z doktorem - błagałam.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- Dobrze, porozmawiam i jestem pewien, że wyrazi zgodę. Jesteś na najlepszej drodze

do wyzdrowienia i wierzę, że ci się uda. Maluj, jedz dużo i wypoczywaj, a szybko staniesz na nogi.

- Przyjdź, jak tylko dodzwonisz się do Luke'a - poprosiłam.

Tony kiwnął głową i wyszedł.

Rozmyślałam o tym, co się stało. Możliwe, że Tony miał rację... nie powinnam ciągle skupiać się na mojej chorobie i pograżać w smutnych myślach. Obiecał, że zwolni panią Broadfield jeszcze dzisiaj. Ale gdyby nawet zastąpiła ją miła, troskliwa pielęgniarka, i tak czułabym się jak w więzieniu.

Co z tego, że Tony kupił mi najdroższy telewizor i pewnie mogłabym mieć wszystko, o czym zamarzę, poza jednym - moim dawnym pokojem w rodzinnym domu. Tęskniłam za zapachem mojej pościeli i poduszek, za puszystymi kocami. Brakowało mi moich spinek i grzebieni.

Brakowało mi pogaduszek przez telefon z koleżankami i słuchania muzyki - samotnie albo z przyjaciółmi. Brakowało mi prywatki, śmiechów i zabawy w towarzystwie rówieśników. Tęskniłam za wonią kwiatów na naszym tarasie i za widokiem mamy szydełkującej w salonie. Przypomnił mi się tata czytający gazetę, przewracający wielkie płachty papieru, który od czasu do czasu wesoło puszczał do mnie oko.

Ale najbardziej brakowało mi Luke'a. Uwielbiałam obserwować go z daleka, kiedy o tym nie wiedział. Uwielbiałam nasze nocne rozmowy przez telefon.

Przed wypadkiem praktycznie nie było dnia, żebyśmy się nie spotkali albo przynajmniej nie rozmawiali. Teraz on żył w swoim nowym świecie i ktoś inny był mu w tej chwili bliski. Na samą myśl o tym krwawiło mi serce. Jednak Tony miał rację. Nie powinnam roztkliwiać się nad sobą. Odzyskam Luke'a tylko wtedy, jeśli wezmę się w garść i znów będę zdrowa.

Powinnam zacząć od jak najszybszego powrotu do dawnego zamiłowania. Powoli rozpakowałam nowe przybory.

Ale co mam namalować?, zastanawiałam się. Mój wzrok powędrował ku oknu i pobiegł dalej, aż do cmentarza Tattertonów. Wyjęłam ołówek i zaczęłam szkicować, pracując w natchnieniu, jakby jeden z duchów, o których mówił Rye Whiskey, prowadził moją rękę, zapelniając kreskami biały arkusz. W miarę jak tworzyłam, zaczęły napływać łzy.

Tak jak dawniej, kiedy brałam pędzel do ręki, wkrótce całkiem zatraciłam się w pracy. Stało się to, na co liczyłam - miałam wrażenie, że skurczyłam się i weszłam w obraz, nakazując swej ręce pociągnąć tę czy inną kreskę. Świat wokół mnie zbladł i rozmył się; nie miałam pojęcia, że wrócił Tony, i nie zdawałam sobie sprawy, jak długo już stoi za mną,

patrzac, jak pracuje. Az podskoczylam, kiedy nagle wyczulam jego obecność.

- Wybacz, nie zamierzałem cię przestraszyć, ale nie chciałem też przeszkadzać ci w pracy i psuć twórczy nastrój. Wiem, że artyści potrzebują skupienia. Z Jillian też tak było, kiedy rysowała czy malowała. Mogłem stać przy niej godzinami, a ona w ogóle mnie nie zauważała. To mnie zawsze fascynowało. I teraz z podobną fascynacją patrzę na ciebie, Annie. - W jego głosie zabrzmiały takie emocje, że mimo woli się zaczerwieniłam.

Uśmiechnął się i szybko dodał normalnym tonem, jakby przypomniawsobnie, po co przyszedł.

- Zdaje się, że pora na twój proszek na sen. Pani Broadfield, zanim wyjechała stąd w pośpiechu, zostawiła mi pewne instrukcje. Zresztą gdyby tego nie zrobiła, zgłosiłbym zażalenie do agencji i więcej nie zostałaby zatrudniona.

- Nie trzeba, Tony, dzisiaj na pewno zasnę bez pigułki. Dzięki.

- Dobrze. W takim razie popracuj jeszcze trochę, a potem wpadnę, żeby pomóc ci się położyć do łóżka.

- Obdarzył mnie promiennym uśmiechem i miał zamiar wyjść.

- Zaczekaj, Tony. Dzwoniłeś do Luke'a? I co?

- Ach, jeszcze nie zdążyłem. Najpierw musiałem załatwić sprawę z panią Broadfield, chyba rozumiesz? Zrobię to teraz, jak tylko zejdem na dół.

Wyszedł, a ja wróciłam do malowania.

Po paru godzinach wyczerpana opadłam na oparcie wózka. Musiałam naprawdę malować w transie, bo kiedy teraz popatrzyłam na swoje dzieło, miałam wrażenie, że twórcą był ktoś inny.

Namalowałam ramę okienną, aby służyła za ramę obrazu. W jego centrum dominował grobowiec, duży i wyraźny, podczas gdy inne groby były tylko uchwycone w zarysie. Przed grobem klęczała samotna postać. Nie był to Tony ani ja, tylko tajemniczy nieznajomy. Jego twarz majaczyła niewyraźną plamą, ale widać było, że jest wysoki i szczupły.

Użyłam głównie koloru czarnego i różnych odcieni szarości, tak pasujących do mojego nastroju. Postanowiłam odłożyć malowanie do jutra rana, kiedy będę w lepszym humorze. Kiedy odwróciłam się od obrazu, zobaczyłam bransoletkę szczęścia, którą dostałam od Luke'a.

Pani Broadfield zdjęła mi ją, kiedy miałam kłopoty żołądkowe i musiała mnie szybko umyć. Teraz bransoletka leżała na nocnym stoliku. Było po dwudziestej i Tony powinien już być po telefonie do Luke'a. Dlaczego nie przyszedł, żeby mi o tym powiedzieć, tak jak obiecywał? Czyżby Luke nadal był nieosiągalny albo pod jakimś pretekstem wymigiwał się

od wizyty u mnie?

Wzięłam parę głębokich oddechów, żeby uspokoić serce dudniące jak wojskowy bęben na polu walki. Przeklinałam własną bezsilność. Jaka szkoda, że nie mogłam sama zadzwonić!

Ale tym razem frustrację zastąpiła zdrowa złość, co dobrze wróżyło mojemu powrotowi do normalnego życia. Zacisnęłam pięści i wyprostowałam plecy, jakby ktoś nagle szarpnął drutami marionetki, stawiając ją do pionu. Twardo postanowiłam, że już nie będę cicha i pokorna, nawet gdyby panią Broadfield zastąpił prawdziwy anioł.

Oczywiście nadal będę musiała wstawać czy jeść, kiedy mi każą i kiedy ktoś się zjawi, żeby mi w tym pomóc. Tak samo spać, ubierać się, myć się, chodzić do toalety i brać zabiegi. Nawet kontakty z ludźmi były zależne od cudzej woli, nie mojej. Stałam się marionetką, a pielęgniarka, lekarz i nawet Tony pociągali za sznurki.

- Nie! - wrzasnęłam do pustego pokoju, czując, jak gniew buzuje w moim ciele, rozpalając krew i krążąc w moich zbuntowanych nogach. Nagle jakby impuls prądu uderzył w dolną część kręgosłupa i rozprzestrzenił się dalej. Potem nastąpiło mrowienie w łydkach, które przeniosło się aż do czubków palców u nóg. Udało mi się zmusić stopy, żeby mocniej przylgnęły do podpórek wózka.

Czułam ucisk pod podeszwami. Czułam napięcie w nogach, słabych i drżących - ale coś czułam! Nie były już martwe i obojętne. Poszłam za ciosem i spróbowałam unieść się na wózku nie tylko z pomocą rąk. I udało się! Nogi przejęły część ciężaru ciała. Słuchały rozkazów mózgu! Odżyły. Będę chodzić! Zaraz będę chodzić!

Trzęśłam się z wysiłku, ale czułam, że dam radę... Chwiejnie, prostując się powoli, wstałam z wózka. Udał mi się ogromny wyczyn - zrobiłam to, co przez całe życie robiłam zupełnie nieświadomie i odruchowo, bez najmniejszego wysiłku. Serce waliło mi jak szalone z radości, niecierpliwości i szczęścia. Moje nogi reagowały na rozkazy mózgu!

Wydawało mi się, że upłynęły godziny, a nie sekundy - w każdym razie zdołałam wyjść spomiędzy podpórek na stopy i stanąć obok wózka, opierając się o poręcz. Wyprostowałam się, choć nogi drżały pode mną i miałam wrażenie, że są cienkie jak patyki, zaraz złamią się pod ciężarem ciała. W tym momencie wszedł Tony. Zatrzymał się w pół drogi od drzwi i patrzył na mnie zdumiony.

- Tony... Patrz, spróbowałam i udało się! Moje nogi reagują, Tony! Naprawdę zaczęły działać! Tylko mam zabawne poczucie, jakbym stała w próżni. - Zaśmiałam się, aż się zachwiałam.

- Spokojnie - powiedział, idąc ku mnie powoli, z wyciągniętymi rękami, jak gdyby rozmawiał z potencjalną samobójczynią chwiejącą się na parapecie wieżowca.

- Na razie nie próbuj chodzić. Chyba nie chcesz upaść i złamać nogi?

Nie sprawiał wrażenia nawet w połowie tak szczęśliwego i podekscytowanego jak ja. Przeciwnie, był nawet poirytowany. Dlaczego się nie cieszy? Przecież spełniło się nasze wspólne marzenie. Cud, na który tak długo czekaliśmy, wreszcie się zdarzył!

- Wracam do zdrowia! - entuzjasmowałam się, mając nadzieję, że moja radość udzieli się i jemu.

- Oczywiście, że wracasz do zdrowia - powiedział spokojnie. - Ale nie powinnaś niczego przyspieszać. Spokojnie, nic na siłę. Usiądź i odpocznij. Na dzisiaj wystarczy.

- Wcale nie czuję się zmęczona, Tony. Tak cudownie jest stać na własnych nogach! Och, nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę! Szkoda, że Drake nie może tego zobaczyć, a tym bardziej Luke... o właśnie, co z Lukiem? Zadzwoń do niego?

- Tak, zadzwoniłem.

- Och, więc wstanę dla niego! Powiedz mi zaraz, kiedy przyjedzie, to będę czekała na niego, stojąc, i jak tylko pojawi się w drzwiach...

- Nie przyjedzie jutro - poinformował obojętnym tonem. - Ma jakieś kolokwium.

Podekscytowanie, które dosłownie mnie rozsadzało, uleciało nagle jak powietrze z przekłutego balonu. Poczulałam, że świeżo odzyskane siły słabną, a mocno bijące serce zaczyna tracić rytm i trzepotać bezsilnie. Znow spadł na mnie ten zniechęcony, mroczny cień.

- Jak to? A jeśli nawet, kolokwium nie zajmie mu całego dnia.

- Nie wiadomo jeszcze dokładnie, kiedy się odbędzie. Musi czekać, aż ogłoszą termin. Może być jutro, pojutrze albo nawet w weekend. Nie był pewien.

- Nie był pewien? Tak powiedział?

Nagle poczułam, że nogi mam jak z galarety. Krzyknęłam. Tony rzucił się, żeby mnie podtrzymać, ale nie zdążył. Gruchnęłam na podłogę.

Rozdział osiemnasty

BUNT

Pierwszą rzeczą, jaką skojarzyłam, kiedy odzyskałam świadomość, był fakt, że mam na sobie inną koszulę nocną - jedną z tych jedwabnych, które Tony kupił mi, kiedy byłam w szpitalu. Co oznaczało, że musiał mnie przebrać przed przybyciem lekarza. Dlaczego? Czyżbym rozdarła tamtą koszulę, kiedy upadłam? Myśl, że rozbierał mnie do naga i ubierał, kiedy leżałam bez przytomności, była zawstydzająca. Owszem, jest starszym panem, moim pradziadkiem, ale... jednak mężczyzną!

Zanim zdążyłam zapytać go o to, razem z doktorem Malisoffem weszli do mojego pokoju. Od razu rozjaśniło mi się w głowie i przypomniałam sobie swój sukces. Wreszcie zrobiłam postępy! Nawet fatalny upadek nie był w stanie temu zaprzeczyć. Jeszcze chwila, a zacznę chodzić! Serce znów przepełniła mi radość. Niedługo będę poruszała się bez niczyjej pomocy, przestanę być kaleką, zależeć od pielęgniarek, lekarzy, lekarstw i sprzętu medycznego.

Czekałam spokojnie, ale z radosnym podekscytowaniem, kiedy doktor Malisoff badał moje odruchy neurologiczne. Tony czekał oparty o framugę.

Leżąc w łóżku, znów poczułam budzące się czucie w nogach i upewniłam się ostatecznie, że zaczyna się dzieć coś niezwykłego. Nie zwiodła mnie zawodowo obojętna twarz doktora, gdyż dostrzegłam zmianę w jego spojrzeniu.

- I co? - zapytałam niecierpliwie. Tony zbliżył się, żeby lepiej słyszeć. - Jest postęp?
- Tak - odparł Malisoff. - Wraca czucie w nogach; odruchy są silniejsze.
- Och, dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - Triumfowałam.

Zerknęłam na Tony'ego, ale nadal miał stropioną minę. Doktor dał mu znak i wyszli do salonu na krótką naradę. Co musieli ustalić poza zasięgiem moich uszu? Jedynym wyjaśnieniem, jakie przyszło mi do głowy, była obawa, abym nie popadła w zbytnią ekscytację. Kiedy wrócili, mieli weselsze miny.

- Annie - powiedział doktor - definitywnie wkroczyłaś na drogę do całkowitego wyzdrowienia. Tym bardziej jest ważne właśnie teraz, żeby nie przyspieszać tego procesu na siłę, gdyż skutek może być zgoła odwrotny - ostrzegł.

- Ależ ja nie chcę nic na siłę!
- Musisz ściśle przestrzegać moich zaleceń, dobrze? - Kiwnęłam głową. Zgodziłabym się na wszystko, nawet gdyby powiedział, że wyzdrowieję, jeśli zetnę trawę na zieleńcach

Farthy własnoręcznie nożyczkami. - Upadłaś i straciłaś przytomność po wstaniu na nogi, ponieważ nadal jesteś wyczerpana fizycznie. Musimy wzmocnić twoje siły do batalii, która czeka cię teraz, kiedy odzyskujesz czucie w nogach. Zaordynuję ci specjalną terapię. Dałem już wskazówki panu Tattertonowi. Będę tutaj pojutrze i znów cię zbadam.

- Czy będę mogła rano poćwiczyć z chodzikiem? - Chciałam jak najszybciej znów wstać i zrobić kolejne postępy.

Doktor Malisoff popatrzył na Tony'ego i w zamyśleniu pogłodził palcami brodę.

- Annie, bardzo precyzyjnie przedstawiłem panu Tattertonowi etapy twojej rehabilitacji. I proszę, żebyś nie robiła nic bez jego zgody, dobrze?

- Tak, ale...

- Żadnych ale. Nie stwarzaj niepotrzebnych komplikacji - dodał, uśmiechem kryjąc zniecierpliwienie. - Czy mogę liczyć na twój rozsądek? I powinnaś się cieszyć, bo jesteś na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Głowa do góry! - Poklepał mnie po ramieniu i sięgnął po swoją torbę.

Tony uściskał mu dłoń na pożegnanie. Kiedy lekarz wyszedł, popatrzył na mnie smutno.

- Gdy zemdlałaś, byłem pewien, że trzeba cię będzie zawieźć do szpitala. Na szczęście mamy dobre wieści, ale nie wyglądasz na szczęśliwą.

- Po prostu chcę jak najszybciej wrócić do normalności, Tony.

- Naturalnie. - Przez moment stał w zamyśleniu i nagle coś mu się przypomniało. - Wiesz, mam dla ciebie kolejną niespodziankę. Teraz, kiedy zaczęłaś robić tak znaczne postępy, jeszcze bardziej się z niej cieszę.

- Co to takiego? - spytałam z ciekawością. Tony niezwykle się ożywił, jego niebieskie oczy lśniły młodzieńczym blaskiem, policzki poróżwiały.

- Ponieważ jest już dla ciebie podnośnik na schodach, postanowiłem dobudować jeszcze rampę przy frontowym wejściu. Będziesz mogła zjechać nią do ogrodu i swobodnie zwiedzać teren wokół Farthy. Oczywiście pierwsze parę razy będę ci towarzyszył, ale z czasem...

- Z czasem będę spacerować na własnych nogach, Tony - ucięłam.

Zrobiło mi się przykro, że tak ostro zareagowałam. Naburmuszył się jak mały chłopiec, który został skarcony, ale nic nie mogłam na to poradzić. Moje postępy napełniły mnie ogromną nadzieją, a tymczasem on i lekarz psuli mi całą radość, każąc zwlekać z nauką chodzenia. Według nich jeszcze długo miałam być przykuta do wózka.

- Tak, oczywiście - bąknął. - Nie chciałem...

- Naprawdę doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Tony. Dziękuję, bardzo dziękuję

za troskę i wsparcie. Jestem pewna, że gdyby nie one, nie doszłabym tak szybko do siebie.

Jego twarz znów się rozjaśniła.

- Cieszę się, że tak czujesz, Annie. Och... - Powędrował spojrzeniem ku sztaludze.

Obserwowałam go, kiedy uważnie oglądał niegotowy jeszcze obraz. Spoważniał. Podeszedł do okna i długo wpatrywał się w atramentowy mrok nocy.

- To na razie tylko szkic - wyjaśniłam niepewnie.

- Tak. - Znów się do mnie odwrócił. Zmarszczył czoło i przygryzł wargi, jakby zmagał się z wewnętrznym napięciem. - Jest dobry, ale miałem nadzieję, że zobaczę namalowane ogrody i żywopłoty, alejki i szemrzące fontanny.

- Ależ Tony, fontanny nie działają. Są zapchane jesiennymi liśćmi. A ogrody wymagają uporządkowania i pielęgnacji. Chwasty na klombach zdusiły wszystkie kwiaty. Niektóre żywopłoty były przycinane, lecz większość zarosła.

Nie słuchał. Nieruchomo, nie mrugając, spoglądał w dal.

- Kiedy wychodzi słońce, wszystko lśni. - Uśmiechnął się. - Jillian mówi, że to jakby olbrzym stał na dachu i rzucał klejnoty na trawniki. Ona jest artystką, więc ma artystyczne spojrzenie i wyobraźnię. Maluje tylko ładne motywy, które sprawiają, że czuje się młoda i szczęśliwa. Dlatego zaczęła ilustrować książki dla dzieci.

- Jillian... mówisz o mojej prababci Jillian, tak? Ale ona nie żyje, Tony! - Znów miał nieobecne spojrzenie. Zadrżałam. Czy to, co się z nim działo, nasila się? Miałam wrażenie, że coraz częściej zdarzały mu się wycieczki w przeszłość i coraz trudniej przychodziły mu powroty do teraźniejszości.

- Co? Och, oczywiście, kiedyś tak mówiła. - Zaśmiał się urywanym, suchym śmiechem i znów popatrzył na sztalugę. - Wiesz, kiedy widzę obrazy, szkice albo przyrządy malarskie, bardzo wyraźnie przypomina mi się Jillian z tamtych dni. A ty, kiedy już będziesz zdrowa, usiądziesz sobie w ogrodzie i będziesz malować, malować, aż zużyjesz wszystkie farby i pędzle. Wcale mnie nie dziwi, że namalowałaś smutną scenę, skoro ciągle jesteś zamknięta w tym pokoju. Artysta potrzebuje przestrzeni, musi oddychać pełną piersią. Tylko Troy potrafił się zamknąć w czterech ścianach i bez końca tworzyć piękne rzeczy.

- Chciałabym zobaczyć więcej prac Troya.

- Zobacysz. Kiedy zjedziesz na dół, zawiozę cię do mojego gabinetu, gdzie na półkach mam wszystkie modele. On je wykonał osobiście, w najmniejszych szczegółach.

- Może jutro? - zapytałam z nadzieją.

- Dobrze. Zorganizujemy twoją pierwszą wycieczkę jutro. Czy to nie cudowne, że znów, tak jak kiedyś, będziesz przemierzała korytarze Farthinggale Manor?

- Znów, jak kiedyś?

Tony klasnął w ręce. Wszystko zaczęło mu się mieszać. Czyżby powodem była radość z mojego szybkiego zdrowienia? W końcu miał swoje lata i długo żył w samotności, gwałtowne emocje mogły mu trochę namieszać w głowie.

- A teraz pomogę ci się położyć. Na pewno jesteś zmęczona.

- Jestem zbyt podekscytowana, żeby spać - powiedziałam i przypomniała mi się koszula nocna. - Tony, dlaczego mam teraz inną koszulę nocną niż ta, w której zemdlałam?

- Inną koszulę? - W jego uśmiechu pojawiło się zmieszanie. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Wcześniej nie miałam na sobie tej koszuli. Przebrałeś mnie, tak?

Pokręcił głową.

- Chyba coś ci się pomyliło. Zawsze nosisz tę koszulę. Przecież to twoja ulubiona. Sama mi o tym mówiłaś.

- Ja mówiłam? - Przez chwilę pomyślałam, że rzeczywiście coś mi się pomyliło, ale dałam za wygraną. Miałam ważniejsze sprawy na głowie.

- Dam ci coś na sen. Doktor zalecił, żebyś nie przerywała przyjmowania tych leków.

- Nie chcę proszków nasennych. Mam po nich koszmary - zaprotestowałam.

- Annie, przecież umówiliśmy się, że będziemy kontynuować leczenie, które ma doprowadzić cię do zdrowia, prawda? - powiedział kojąco, pojednawczym tonem. - Tak uważa doktor Malisoff, a w końcu płacę za jego doświadczenie i wiedzę. Zaraz przyjdę.

Wrócił z pigułką i szklanką wody. Niechętnie połknęłam lekarstwo. Tony poprawił mi kołdrę i zgasił lampę. Ale nie wyszedł, tylko wziął mnie za rękę.

- Wygodnie ci? - zapytał.

- Tak. - Mój głos zabrzmiał cienko i słabo. Żałowałam, że to nie tata trzyma mnie za rękę.

- Odtąd zawsze będę przy tobie i będę ci służył. Wystarczy tylko, że zadzwonisz po mnie. Będę nasłuchiwał i przybiegnę natychmiast.

- Nie możesz poświęcać mi całego swojego czasu, Tony. Masz interesy, sprawy do załatwienia - zaprotestowałam.

- Och, nie martw się o moje interesy. One same się kręcą, a poza tym mam wiernych, sprawdzonych ludzi, którzy ich pilnują, w tym Drake'a. Nie sądz więc, że będziesz dla mnie ciężarem - dodał, klepiąc mnie po dłoni.

- Czy jutro zjawi się nowa pielęgniarka?

- Rano zadzwonię do agencji - zapewnił. - Śpij dobrze. - Przykląkł przy łóżku, objął

mnie i pocałował w policzek. Długo nie wypuszczał mnie z ramion. - Dobranoc.

- Dobranoc, Tony - odpowiedziałam i patrzyłam, jak powoli opuszcza pokój, poruszając się jak jeden z duchów Rye'a. Po drodze gasił światła, zostawiając za sobą całun mroku.

Środek nasenny powinien zadziałać, ale z radości nie mogłam zasnąć. Bezustannie próbowałam poruszać palcami u nóg. Czułam, jak dochodzą do nich impulsy, i czułam nawet dotyk kołdry, kiedy ocierały się o nią, drgając. Wyobrażałam sobie, że w taki sposób nowo narodzone dziecko instynktownie poznaje swoje ciało. Każde drgnięcie, każde odczucie przynosiły mi nową falę szczęścia. Och, jaka szkoda, że nie ma przy mnie nikogo bliskiego, kochanego, żeby mógł dzielić ze mną ten cud uzdrowienia! Jak byłoby pięknie, gdyby Luke był ze mną w chwili, kiedy stanęłam na własnych nogach! Chwyciłby mnie w objęcia, tulił i całował. Uśmiechnęłam się do siebie, wyobrażając sobie tę scenę i słysząc jego szept. Poczulałam rozkoszny dreszcz na samą myśl o tym. Och, Luke, jęknęłam w duchu, czy grzeszę, mając takie myśli?

W końcu pigułka zaczęła działać. Powieki opadały mi ciężko, jakby były z ołowiu. Kiedy znów otworzyłam oczy, słońce świeciło mi w twarz, a Tony rozsuwał zasłony. Był jeszcze w kapciach i w szlafroku, ale zdążył się ogolić. W całym pokoju pachniała jego woda po goleniu.

W pierwszym momencie z przerażeniem pomyślałam, że to wszystko mi się przyśniło - wracające czucie w nogach, w palcach u nóg i udana próba ustania. Dlatego skoncentrowałam się na poruszaniu nogami i oto proszę - udało mi się zgiąć nogę w kolanie!

- Tony! - krzyknęłam. Obrócił się gwałtownie, jakby ktoś ukłuł go w plecy. - Moje nogi... coraz łatwiej jest mi poruszać nimi i coraz bardziej je czuję!

Szybko kiwnął głową i dalej odsłaniał okna, a potem zaczął szykować mi ubranie.

- Włóż to dzisiaj - powiedział, wyjmując z szafy jedną ze starych sukienek mamy. Odsunął wieszak na odległość ramienia i przez chwilę ją podziwiał. - Będiesz w tym wyglądać cudownie.

- Nie noszę takiego fasonu.

- A powinnaś. Bardzo do ciebie pasuje.

Sukienka była z jasnoniebieskiej bawełny z falbaniastymi rękawami i haftowanym kołnierzykiem, długa do pół łydki. Pasowała raczej na popołudniową herbatkę niż jako ubranie na co dzień dla kogoś, kto nie wychodzi z pokoju.

- Włożę coś ze swoich rzeczy. - Byłam pewna, że tego ranka obędę się bez niczyjej pomocy. Aby to udowodnić, usiadłam na łóżku i ostrożnie spuściłam nogi, bujając nimi nad podłogą.

- Co robisz?! - krzyknął Tony.

- Wstaję. Widzisz, potrafię już to zrobić sama!

- Nie słyszałaś, co wczoraj mówił doktor? Nie rób nic bez mojego pozwolenia. Czekaj. Jeśli spróbujesz wstać i upadniesz, możesz łatwo sobie coś złamać. Nie wystarczy ci to, co masz? Chcesz, żeby zakuli cię w gips na kolejne miesiące?

Jego słowa napełniły mnie przerażeniem.

- W porządku, Tony. Czekam.

Położył sukienkę w nogach łóżka i podprowadził do niego wózek. Postawiłam stopy na podłodze, ale zanim zdążyłam się na nich oprzeć, Tony chwycił mnie pod pachy i posadził na wózku.

- Mogłabym to sama zrobić, Tony.

- Nie zamierzam ryzykować. Doktor by mi nie wybaczył, gdyby stało się coś, co opóźniłoby twój proces zdrowienia.

- Wydaje mi się, że najszybciej wyzdrowieję, kiedy będę ćwiczyć.

- Wszystko w swoim czasie - uciał. - W swoim czasie, Annie. Niczego nie można przyspieszać. Jeśli chodzi o sukienkę...

- Sama coś sobie wybiorę, Tony, tylko najpierw się umyję.

- Pomogę ci - zaoferował i nie czekając na moją zgodę, popchnął wózek do łazienki.

- Ależ Tony...

- Pamiętaj, co powiedział doktor Malisoff. Żadnych ale - upomniał mnie. Postawił wózek tak, że był zwrócony ku wannie, i zaczął napuszczać do niej wodę.

- Tony, nie mogę pozwolić, żebyś wszystko przy mnie robił - zaprotestowałam.

- Nonsens. Jest mi niezmiernie przykro z powodu pani Broadfield, bo przecież ja ją wynająłem. Dopóki nie znajdę następnej pielęgniarki, będę ci służył. Myśl o mnie jak o pielęgniarku - dodał z uśmiechem. - Co powiesz na kąpiel z pianą? - Wsypał do wody jakiś różowy proszek, a potem przyniósł myjkę i ręczniki.

- Tony, zrozum - powiedziałam najłagodniej, jak umiałam - jestem już kobietą, a nie dzieckiem. Potrzebuję prywatności.

- Nie myśl teraz o tym, Annie. Zresztą tak zalecił lekarz. Nie ma się czego wstydzić, przecież chodzi o twoje zdrowie. - Zakręcił kran. - Pora na kąpiel - oznajmił. Patrzył na mnie z czułością. - Kiedy już wejdiesz, pozwolę, żebyś sama się umyła - zachęcił. - Będę tylko pilnował, abyś się nie obsunęła w wodzie i nie utopiła.

Z niechęcią ściągnęłam koszulę. Tony chwycił mnie pod pachy. W sposób nieunikniony jego palce dotknęły z boków moich nagich piersi. Ze świstem wciągnęłam oddech. Nikt inny

nie widział mnie nagiej, a już tym bardziej nie dotykał - tylko rodzice, lekarze i pielęgniarki. Ale Tony zdawał się nie zwracać uwagi na moją nagość. Drugą rękę podłożył mi pod kolana i ostrożnie opuścił mnie w wodę, aż piana zakryła mnie po szyję. Czułam się nieznośnie bezsilna, bardziej jak dziecko niż jak inwalidka.

- No widzisz? Gładko nam poszło - zagadnął wesoło, podając mi gąbkę. - Umyj się, a ja pójdę pościelić twoje łóżko.

Wrócił po mniej więcej dziesięciu minutach.

- Chcesz, żebym wyszorował ci plecy? Jestem w tym ekspertem. Myłem plecy twojej babci i twojej mamie.

- Naprawdę? - Nie mogłam sobie wyobrazić, że mama pozwoliła mu na to.

- Absolutnym ekspertem - podkreślił i wyjął mi gąbkę z rąk. Usiadłam w wodzie i pochyliłam się, żeby ułatwić mu zadanie. - Masz piękną, smukłą szyję - powiedział, myjąc mnie delikatnymi ruchami. - I szczupłe, wąskie kobiece ramiona, które potrafią wodzić na pokuszenie i dręczyć nawet najsilniejszych mężczyzn.

Pieszczotliwie wodził gąbką po moich barkach, karku, plecach i znów wracał do szyi. Poczulałam na skórze jego gorący oddech, a kiedy spojrzałam w lustro nad wanną, zobaczyłam, że ma przymknięte oczy i wdycha mój zapach. Przeszedł mnie dreszcz przerażenia.

- Tony - powiedziałam, odbierając mu gąbkę. - Dalej umyję się sama. Dzięki.

- Co? A tak, tak. - Wstał szybko. - Powieszę ci ręcznik na poręczy wózka. Będziesz chciała już wyjść?

- Tak. Przykro mi, bo pewnie się pochlapiesz, wyjmując mnie z wanny.

- Nie martw się o mnie. I tak już jestem mokry. - Zanurzył ręce w wodę i żwawo wyjął mnie z wanny, a potem posadził na wózku. Szybko okryłam się ręcznikiem. Tony wziął drugi ręcznik i zaczął mi wycierać nogi.

- Nie trzeba, sama to zrobię.

- Kolejny nonsens. Po co masz się męczyć, kiedy masz mnie do pomocy? - Wycierał dalej, masując mi łydki i posuwając się wyżej, do kolan. Osuszał mnie błyskawicznie, z wirtuozerską wprawą. Przykucnął i uniósł wzrok, szukając mojego spojrzenia. - Kiedy widzę ciebie taką, nieodmiennie myślę o twojej babci Leigh.

- Dlaczego mi to mówisz, Tony?

- Jesteś jak ona - młoda, niewinna, taka delikatna i te włosy...

Zaczęłam żałować, że zgodziłam się na zmianę koloru. Pewnie z tego powodu ciągle widział we mnie kogoś innego.

- Już się ubiorę - powiedziałam.

Podniósł się i zawiózł mnie do łóżka, gdzie czekała niebieska bawełniana sukienka.

- Pomogę ci - zaproponował znów i szybko przyniósł mi figi i stanik, a potem przykląkł przede mną.

- Dam sobie radę sama. - Sięgnęłam po bieliznę, ale Tony mnie ubiegł. Uniósł mi stopy, wciągnął mi majtki na nogi i zaczął powoli przesuwając je w górę palcami, ze skupionym spojrzeniem, nie dotykając skóry. Kiedy dotarł do ud, wyprostował się, sięgnął za moje plecy, po czym jedną ręką uniósł mnie lekko, a drugą błyskawicznie podciągnął figi. Zacisnęłam powieki, bezsilna i upokorzona. Tony zaczął odwijać ze mnie ręcznik.

- Proszę, Tony, pozwól mi przynajmniej to zrobić.

- Ja ci tylko pomagam - rzucił i przyłożył mi stanik do piersi. Szybko przełożyłam ręce przez ramiączka, ale kiedy sięgnęłam do zapięcia, nie zdążyłam, on już zrobił, co trzeba. - No, zostało nam jeszcze jedno - stwierdził z satysfakcją i stanął przede mną z sukienką w rękach.

- Tony, moim zdaniem ta sukienka nie...

- Unieś ręce w górę. Zaraz...

Niechętnie, świadoma, że tylko w ten sposób skończę ów żenujący spektakl, pozwoliłam włożyć sobie sukienkę. Tony sprawnie ją zapiął, obciągnął, wygładził i wreszcie odstał do tyłu.

- Widzisz, jak łatwo nam poszło? Będę przychodził tu co rano, żeby ci pomagać.

- Co rano? Przecież jutro powinna już być nowa pielęgniarka.

- Mam nadzieję, lecz zdajesz sobie sprawę, że muszę teraz o wiele staranniej sprawdzać oferty. Chyba nie chcemy nowej pani Broadfield, prawda? - Klasnął w dłonie. - A teraz pozwól, że zajmę się twoim śniadaniem - dodał i szybkim krokiem wyszedł, podekscytowany tym, co już zrobił i co jeszcze miał do zrobienia.

Po paru minutach wrócił ze śniadaniem na tacy.

- Mam nadzieję, że zjesz z apetytem - powiedział.

- O tak, strasznie zgłodniałam. - To była chyba kolejna oznaka mojego zdrowienia.

- Jedz, ja się przez ten czas ubiorę.

Kiedy wrócił, wyglądał dość niechlujnie, tak jak opisywał go kiedyś Drake w liście; włosy miał zmierzwione, krawat zwisający luźno, do tego poplamiony. Marynarka i spodnie były wymięte.

- Dzień dobry - przywitał mnie, jakbyśmy widzieli się pierwszy raz tego ranka. Zdawał się nie zauważać mojego zdumionego spojrzenia. Podeszedł do okna i stanął tam z rękami splecionymi za plecami, kiwając się na stopach. Przesunął po wargach językiem, na moment wciągnął policzki, a potem kiwnął głową. Kolejny raz odniosłam wrażenie, że na przemian to

traci kontakt z rzeczywistością, to go odzyskuje, jakby bez ustanku przemieszczał się między przeszłością a teraźniejszością. Niepokoił mnie coraz bardziej.

- Dziś czuję się silniejsza, Tony - oznajmiłam. Marzyłam, żeby jak najszybciej powrócić do normalnego funkcjonowania i wreszcie skontaktować się z Lukiem. - Może dzisiaj zabierzesz mnie na wycieczkę?

- Obiecuję - odpowiedział, jakby prowadził zupełnie inną rozmowę. - Dam ci dom i wszystko, co ci potrzeba...

- Dom? Nie rozumiem, Tony. Ja mam swój dom, więc...

- Wiem, że szybko się adaptujesz. Wkrótce będziesz bardziej bostońska niż ja, choć tu się urodziłem. - Zaczął się śmiać, ale zaraz umilkł; rysy mu stężały, zacisnął wargi. - Ale nie chcę tu widzieć tej twojej rodzinki, tej hołoty z gór, wykluczone...

- Hołoty z gór? O czym ty mówisz, Tony? Przerażasz mnie.

Zamrugnął gwałtownie, jakby budził się ze snu, a potem potrząsnął głową.

- Tony, dobrze się czujesz?

- Co? A... tak. Wybacz, zamyśliłem się. Cóż, muszę zejść na dół i załatwić parę spraw. Rye przyjdzie tu po tacę. - W pośpiechu opuścił pokój.

Serce bilo mi niespokojnie. Co się z nim dzieje? Czyżby tak wpłynęło na niego to, co robił dzisiaj rano - kąpanie i ubieranie mnie? Ucieszyłam się, kiedy zjawił się Rye Whiskey, choć stary kucharz nie był tak pogodny jak zwykle.

- Jak się czujemy dzisiaj, panienko Annie?

- Dużo lepiej, Rye. Dzięki, że pytasz. - Kucharz wziął ode mnie tacę i miałam wrażenie, że chce uciec. - Czy wszystko w porządku z panem Tattertonem?

- Wygląda normalnie. Teraz pracuje w gabinecie.

- Pytam, bo przed chwilą mówił coś dziwnego i zachowywał się, jakby mnie nie poznawał.

- Może jeszcze się nie obudził. - Rye wzruszył ramionami. - W tym wieku ludziom rano czasem się miesza w głowie.

- Niemożliwe, bo już od dłuższego czasu był na nogach. A co do wieku, ty jesteś o wiele starszy od Tony'ego i jakoś nic ci się nie miesza rano, prawda?

- Oj, panienko, mnie się też to zdarza. Zwłaszcza po ostatniej nocy.

- Po ostatniej nocy? Czemu? - dopytywałam się, ale nagle przestał być gadatliwy. - Co się stało, Rye? Powiedz mi, proszę.

- Nie chcę być namolny, panienko, ale wolno spytać, czy długo zamierzasz tu pobyc?

- Niedługo, Rye. Na szczęście coraz szybciej dochodzę do siebie.

- I chwała Bogu, bo stare duchy knują coś niedobrego. Wczoraj tłukły się po domu przez całą noc.

- Stare duchy? - Uśmiechnęłam się.

- Panienko Annie, lepiej szybko zdrowiej i wracaj do siebie. Tylko nie myśl, że stary Rye nie chciałby cię tutaj. Przywodzisz mi na pamięć najpiękniejsze wspomnienia. Ale nie chcę, żeby dopadły cię upiory.

- Dobrze, Rye, będę miała uszy i oczy otwarte - obiecałam.

Z powagą kiwnął głową. Nie dało się tego obrócić w żart. Sprawy duchów i upiórów zawsze traktował bardzo poważnie. Wziął tacę i wyszedł.

Pragnąc odciąć się od duchów i dziwactw, wróciłam do malowania. Możliwe, iż przypływ sił i nowa nadzieja na powrót do zdrowia sprawiły, że zapragnęłam nasycić swój obraz kolorami. Skupiłam się na listowiu drzew i krzewów tworzących tło dla grobowca. Z szarego nieba zrobiłam lazurowe. Pracowałam nad każdym detalem obrazu. Każdym poza postacią przed grobem.

Tuż po lunchu pojawił się Drake. Wpadł do pokoju jak człowiek, który spieszy się na pociąg, i szybko cmoknął mnie w policzek. Nabył tę nerwowość, od kiedy zaczął pracować dla Tony'ego. Zupełnie jakby całe jego życie zostało wpisane w napięty harmonogram. Domyślałam się, że zaplanował sobie nawet, ile czasu ma spędzić u mnie. Gdy złoty zegarek, który dostał od swojego pryncypała, wybije godzinę wyjścia, Drake pożegna się ze mną i nie zostanie ani minuty dłużej. Ogromnie się zmienił i wydawał mi się coraz bardziej obcy. Miałam ciągle nadzieję, że ta prawda nie odnosi się do Luke'a i że kiedy wreszcie mnie odwiedzi, nie okaże się całkiem odmieniony. Bardzo się tego bałam.

Najwyraźniej Drake nic nie wiedział o ostatnich wydarzeniach.

- Nikt ci nie powiedział, co się stało? - Nie dowierzałam. - Pani Broadfield praktycznie mnie zatrąła, Tony ją zwolnił, ale najważniejsza wieść to moje postępy! - wyliczyłam żywo.

- Jeszcze nie widziałem się z Tonym. Od razu wpadłem do ciebie. Mów dokładniej. Co zrobiła pielęgniarka? - poprosił, siadając obok mnie.

Opowiedziałam mu szybko. Drake pokręcił głową.

- Nie darzyłem jej zbyt dużą sympatią, ale miała świetne referencje. To kolejny dowód, jak trudno znaleźć w tych stronach kompetentnych, wartościowych pracowników. Tak samo jest w biznesie. Ja też ostatnio zatrudniałem, więc wiem. - Urwał i przyglądał mi się przez chwilę, a potem się uśmiechnął. - Wyglądasz inaczej. Ożywiona, silniejsza. Opowiedz o swoim powrocie do zdrowia!

- Drake, ja... stałam samodzielnie! - zawołałam, zirytowana, że myśli tylko o sobie.

- Naprawdę? Kiedy? - Jego ton był sceptyczny.

- Wczoraj. Mogę to zrobić i teraz, ale doktor i Tony upominają mnie, żebym nie przyspieszała spraw. Och, Drake, ja nie chcę czekać! Tak bym chciała już wyjść z tego domu.

Przytaknął w zamyśleniu, wpatrując się we mnie uważnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek, jak Tony.

- Z pewnością nakazują ci cierpliwość dla twojego dobra.

- Nie uważam, żeby mieli rację - upierałam się. - Wiem, że mogę już ustać. Powinnam próbować tego częściej, żeby nogi się wzmacniały. I powinnam ćwiczyć w chodziku, a stoi bezużytecznie w kącie pokoju.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie jeśli zrobisz o jeden krok za dużo, może z tego być więcej szkody niż pożytku. Zresztą nie wiem, Annie. Nie zamierzam być lekarzem.

- Luke zamierza - powiedziałam. Drake skrzywił się, jakbym go uderzyła, ale nie mogłam sobie darować tej uwagi. - Szkoda, że go tu nie ma. Nie rozumiem, co go powstrzymuje.

- Zostawiałem mu wiadomości.

- Nie dotarły do niego.

- Żadna?

- To niepodobne do Luke'a - dodałam.

- Ludzie się zmieniają, zwłaszcza kiedy idą na studia.

- Ale nie Luke - stwierdziłam z uporem. - Drake, czy ja cię jeszcze obchodzę?

- Oczywiście. Skąd w ogóle takie pytanie?

- Skoro tak, to wywieź mnie z tego pokoju. Zjadę na dół, a potem pojedziesz ze mną do najbliższego telefonu. Chcę sama zadzwonić do Luke'a, teraz, zaraz. Tony obiecał, że zainstaluje mi w pokoju aparat, ale jeszcze tego nie zrobił i wcale mu się nie spieszy. Poza tym wątpię, czy naprawdę usiłował skontaktować się z Lukiem w moim imieniu.

- Czemu wątpisz? Jeśli powiedział, że próbował, i obiecał, że założy ci telefon...

- Nie, on zapomina, o czym mówi i co obiecał. Ty nie znasz go od tej strony. Moim zdaniem zaczyna mieć jakieś starcze zaburzenia pamięci i z każdym dniem jest gorzej.

- Co? Niemożliwe, przecież pracuję z nim i...

- Czasami ze mną rozmawia i wszystko mu się myli... mówi do mnie jak do mojej mamy, mojej babci, nawet prababci. Zapomina, kto żyje, a kto nie. Teraz żałuję, że uległam namowom Tony'ego i jego fryzjera, by przefarbować włosy. Przez to jeszcze bardziej mu się myli.

Drake z uśmiechem pokręcił głową.

- Annie, sama zaczniesz mówić, jakbyś miała zaburzenia.

- Och, przestań, Drake. W tym domu naprawdę dzieją się dziwne rzeczy... Tony utrzymuje dawny apartament mamy i taty oraz mojej prababci Jillian w takim stanie, jakby wszyscy nadal żyli. Nawet Rye Whiskey uważa, że tu jest dziwnie. Oczywiście jak to on, ciągle gada o duchach snujących się po korytarzach, ale wie swoje. Radzi nawet, żebym jak najszybciej wracała do domu! - wykrzyknęłam. Uświadomiłam sobie, że dotąd czułam litość dla Tony'ego. Usiłowałam zrozumieć, dlaczego tak się zachowuje, i w jakiś sposób pragnęłam go usprawiedliwić. Ale teraz, kiedy wyliczyłam Drake'owi wszystkie objawy, zrozumiałam, że raczej powinnam litować się nad sobą. Możliwe, że więzi mnie w swoim domu szaleniec, a nie szlachetny starszy dżentelmen, który od czasu do czasu ma zaburzenia pamięci.

- Rye chce, żebyś stąd wyjechała? - Drake pokręcił głową. - I kto tu ma zaburzenia?

- Tony traktuje pokój Jillian jak muzeum - ciągnęłam, próbując za wszelką cenę uświadomić Drake'owi, jak poważny mam problem. - Szkoda, że nie widziałeś go, kiedy był tu niedawno... stał i mamrotał, że nie wpuści do domu mojej rodziny, tej hołoty z gór, wyobrażasz sobie? I pewnie nie wiesz, że z pokoju Jillian usunięto wszystkie lustra i...

- Moment, przerwij na chwilę, bo w głowie mi się kręci od tych rewelacji - poprosił Drake. - Mam cię zwieźć na dół, żebyś mogła zadzwonić do Luke'a, Tony zamienia dom w muzeum, Tony traci zdrowe zmysły, duchy hulają po Farthy, ty żałujesz, że ufarbowałaś włosy... Boże, czy ten słowotok nie jest ubocznym skutkiem leków, które zażywasz?

- Drake, czy ty w ogóle mnie słuchasz?! - wybuchłam. Przyglądał mi się w milczeniu. - Zrozum, ja naprawdę zaczynam się bać. Zależy mi na wyzdrowieniu i chcę się stosować do zaleceń lekarzy, ale z obawą myślę, co jeszcze Tony robi.

- Tony? - Drake ciągle mi nie wierzył. - Nie znam nikogo tak miłego, dobrego, tak poświęcającego się dla nas jak Tony Tatterton.

- Wyprowadź mnie stąd - zażądałam. - Natychmiast.

- Pozwól, że najpierw porozmawiam z twoim lekarzem.

- Nie - powiedziałam szybko, bo nowa myśl przyszła mi do głowy. - On jest pod wpływem Tony'ego i robi wszystko, żeby go zadowolić. - Ta możliwość zmroziła moje serce. - Mój Boże, a co jeśli... jeśli... - W panice omiotłam spojrzeniem pokój.

- Jeśli lekarz jest z nim w zмовie, to chciałaś powiedzieć? - podchwycił Drake. - Annie, teraz ty mnie posłuchaj uważnie. Jesteś roztrzęsiona. Za wiele przeszłaś. Ten wypadek, paraliż... pożegnanie przy grobie... to wszystko rzuciło ci się na głowę. Rozumiem,

co czujesz, ale masz najlepszych lekarzy i najlepszą możliwą opiekę. Na pewno zaraz pojawi się nowa, lepsza pielęgniarka i...

- I co z tego? - westchnęłam. Albo Drake naprawdę nie widzi, co tu się dzieje, albo... Albo nie chce widzieć, bo jest zachwycony menedżerską posadą, którą zapewnił mu Tony. Zakochał się w swojej władzy, pozycji i wpływach. Tony kupił Drake'a. - Myślałam, że mogę na ciebie liczyć. Myliłam się. Nie ma już rodziców, a ty, Luke i ciocia Fanny...

Poczułam się nagle bardzo, bardzo chora; chora i samotna. Serce łomotało mi głucho, jakby było puste w środku, a pokój zdawał się rozbrzmiewać echem moich daremnych krzyków i wezwań o pomoc, których nikt nie mógł usłyszeć, bo ludzie, których kochałam, już nie żyli. Nawet Luke wydał mi się teraz martwy.

- Słuchaj - powiedział Drake pospiesznie. - Muszę lecieć do Nowego Jorku. Odpowiadam tam za duży projekt. Zajmie mi to parę dni, a potem od razu przyjadę do ciebie. Jeśli nie zmienisz zdania w sprawie pobytu w Farthy, osobiście zawiozę cię do Winnerrow.

- Na pewno? Obiecujesz? - Nie wiązałam zbyt wielu nadziei z jego obietnicą.

- Naturalnie. Wtedy ja zacznę być odpowiedzialny za twoje wyzdrowienie; ja zorganizuję nowych lekarzy, pielęgniarki, sprzęt...

- Och, Drake, szkoda, że nie możesz tego zrobić już teraz.

- Dajmy sobie jeszcze parę dni. Rozumiem, teraz wszystko czarno widzisz, ale proponuję, żebyś w spokoju zastanowiła się nad tym jeszcze raz. Odejście z Farthy to poważna decyzja, więc musisz być pewna, czy na pewno tego chcesz... Jeśli dojdiesz do wniosku, że tak, obiecuję, że ci pomogę.

Pocałował mnie czule w policzek, przytulił na chwilę, a potem zerwał się gwałtownie, jakby w jego głowie biznesmena rozbrzmiał sygnał alarmowy.

- Muszę pędzić, żeby zdążyć na samolot.

- Och, Drake, myślałam, że chociaż zwieziesz mnie na dół, abym mogła zadzwonić do Luke'a.

- Nie ma sensu bez przerwy do niego wydzwaniać. Jeśli będzie chciał i mógł, na pewno przyjedzie.

- Drake, proszę - powiedziałam błagalnym tonem, licząc, że zrozumie, jakie to dla mnie ważne

Myślał przez chwilę.

- Wychodząc, zagadam do Tony'ego. Na pewno zadzwoni.

- Ależ Drake...

- Głowa do góry, Annie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Fajnie, że wróciłaś do

malowania. - Obdarzył mnie służbowym uśmiechem, pomachał mi jeszcze od drzwi i zniknął, jakby obawiał się, że zażądam czegoś jeszcze, co zagrozi mu konfliktem z Tonym. Rozczarował mnie ogromnie - ten ukochany wujek, który był dla mnie jak starszy brat, zachowywał się teraz jak obcy człowiek.

Po jego wyjściu zapadła cisza, która jeszcze bardziej uświadomiła mi moją bezsilność. Znowu zostałam sama; ranne zwierzę zamknięte w złotej klatce.

Jednak tym razem byłam zdeterminowana. Podjechałam do drzwi, otworzyłam je i parłam dalej. Przejechałam przez salon i znalazłam się na korytarzu. Skręciłam ku windzie. W dole czekał drugi wózek. Odchyliłam poręcz fotela i przeniosłam się na siedzenie - tak jak uczył mnie technik. Kiedy już dobrze się usadowiłam, zapięłam pas, wcisnęłam guzik i winda zaczęła zjazd. Serce mi waliło, ale postanowiłam się zbuntować, wyrwać się z tego więzienia.

U podnóża schodów przesiadłam się na drugi wózek. Zachęcona dotychczasowymi sukcesami, potoczyłam się wyłożonym chodnikiem korytarzem w stronę gabinetu Tony'ego.

Drzwi były niedomknięte. Przez chwilę nasłuchiwałam. Było cicho, więc pchnęłam je i wjechałam do środka. Mała lampa do czytania była jedynym źródłem światła; szelnie zaciągnięte, grube zasłony blokowały dostęp słońca. W gabinecie nie było nikogo. Gdzie się podział Tony? Wtem mój wzrok padł na aparat telefoniczny stojący na biurku.

Wreszcie mam okazję porozmawiać z Lukiem osobiście! Żwawo podjechałam do biurka... i uświadomiłam sobie, że nie znam numeru. Jak się nazywa dormitorium, w którym Luke mieszka? Drake nigdy mi tego nie powiedział.

Wybrałam biuro numerów i zapytałam o Harvard. Operatorka, zniecierpliwiona moim kompletnym brakiem orientacji, zaczęła odczytywać długą listę biur i wydziałów. Przerwałam jej, kiedy wymieniła dziekanat do spraw studenckich. Zapisałam numer, połączyłam się i trafiłam na bardzo uprzejmą sekretarkę. Poinformowała mnie, że większość studentów nie ma jeszcze podłączonych telefonów w pokojach, ale dała mi numer do aparatu w holu dormitorium Luke'a. Podziękowałam jej i zadzwoniłam tam.

Odebrał ktoś młody. Miał bostoński akcent.

- Muszę pilnie porozmawiać z Lukiem Castelem - powiedziałam. - Mówi jego kuzynka Annie.

- Zaczekaj chwilę.

Czekałam, spoglądając na drzwi gabinetu i spodziewając się, że Tony pojawi się lada moment. Miałam przemożne poczucie, że robię coś, czego by nie zaaprobował. Irytowała mnie myśl, że byle telefon musiał się wiązać z takimi podchodami.

- Halo?

- Tak?

- Luke jest teraz na wykładzie. Kolega z pokoju przekaże mu, że dzwoniłaś.

- Dobrze, ale... niech przekaże mu coś jeszcze. Bardzo mi na tym zależy - dodałam błagalnym tonem.

- Tak, oczywiście. Co przekazać?

- Powiedzcie mu, że... bardzo go potrzebuję i bez względu na to, co mu będą mówili, musi natychmiast przyjechać do Farthy.

- Farthy?

- Tak, Luke będzie wiedział, o co chodzi. Ważne, żeby podkreślić, że ma przybyć natychmiast. To bardzo, bardzo ważne.

- A wiadomość jest od Annie, tak?

- Tak.

- Okay. Przekażę wszystko jego koledze z pokoju, a on na pewno zawiadomi Luke'a, jak tylko się pojawi.

- Serdeczne dzięki.

- Nie ma za co.

Odłożyłam słuchawkę. Serce znów zaczęło mi łomotać tak gwałtownie, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Aż mi się zrobiło gorąco, czułam strużki potu spływające po karku.

Wyprostowałam się na wózku i głęboko nabrałam powietrza, próbując się uspokoić. Gdzie jest Tony? Powiedział mi, że będzie pracował w gabinecie. Może pojechał po nową pielęgniarkę? Wytoczyłam się na korytarz i zaczęłam nasłuchiwać. Dom był nienormalnie cichy.

Podjechałam do frontowych drzwi i otworzyłam je. Blask słońca zalał mnie jak fala ciepłej wody. Odchyliłam głowę na oparcie wózka i przymknęłam oczy, jakbym była na plaży. Jak cudownie jest czuć świeże powietrze i słoneczne ciepło po takim długim zamknięciu! Krew zaczęła mi krążyć szybciej; znów czułam się sprawna i żywa.

Otworzyłam oczy i podjechałam do krawędzi ganku. Tak jak obiecał Tony, do schodów dorobiono drewnianą rampę. Tylko że była stroma! Czy odważę się po niej zjechać? A jeśli spadnę, jeśli się przewrócę?

Strach wziął mnie we władanie. Lepiej się wycofać. I wtedy pomyślałam o Luke'u. On by powiedział: „Mierz wysoko”. Co mam zrobić? Zawrócić do pokoju, do mojego więzienia, przeniknięta poczuciem klęski?

Dasz radę, jesteś teraz silna, przekonywałam siebie. Powoli podtoczyłam się do rampy.

Ależ łomotało mi serce! Jednak nie zamierzałam się poddać. Uda mi się!

Zakręciłam kołami i wjechałam na rampę. Wózek przechylił się w dół i zaczął zjeżdżać. Musiałam natężyć mięśnie ramion, aby hamować koła. Wymagało to dużo wysiłku. Odetchnęłam z ulgą, kiedy wózek stoczył się z rampy na alejkę. Dałam radę!

Nie dość, że dałam radę, to jeszcze miałam siłę, żeby pojechać dalej!

Z prawej strony usłyszałam głosy, więc szybko skręciłam w lewo. Pewnie Tony nadzoruje jakieś prace, pomyślałam, energicznie tocząc się przed siebie po żwirowej alejce. Czasami przeszkadzały mi większe kamyki, ale szybko złapałam rytm i zdążyłam oddalić się dobre dwieście metrów od budynku, zanim przystanęłam, żeby odpocząć chwilę.

Z daleka zobaczyłam robotnika pracującego przy basenie. Akurat wnosił leżak do magazynu. Poza nim wokół nie było nikogo. Zatrzymałam wzrok na dużej altanie i znów pomyślałam o Luke'u. Teraz przynajmniej byłam pewna, że otrzyma wiadomość ode mnie. Zrozumię, jak bardzo mi zależy na jego przyjeździe. Może będzie miał poczucie, że go opuściłam, skoro odezwałam się dopiero teraz. Myliłam się, popełniłam fatalny błąd, potępiając go i ulegając sugestiom Drake'a, że Luke się zmienił, gdyż trafił w nowe towarzystwo - zwłaszcza pięknych dziewczyn - i zanegował całą swoją przeszłość, w tym i mnie. Nie, on zaraz się tu zjawi. Wiedziałam, że tak się stanie.

Strasznie żałowałam, że nie mogę teraz widzieć mojej ukochanej altany w Winnerrow. Czy Luke czekałby tam na mnie?

W dali za altaną wyrastały zielone ściany labiryntu. Przypomniałam sobie, jak Drake powiedział, że na pierwszy rzut oka labirynt wydaje się większy niż w rzeczywistości, tak imponujące są jego zielone ściany, wręcz przytłaczają człowieka. Rzeczywiście sprawiał wrażenie wielkiego, wspaniałego i tajemniczego. I przyciągał mnie z jakąś tajemniczą siłą; sprawiał, że miałam ochotę wejść i błądzić w nim, tak jak wcześniej moja matka i jej matka.

- Chcesz tu wejść? - zapytał jakiś głos. Omal nie podskoczyłam w swoim inwalidzkim fotelu. Usiłowałam szybko obrócić się w prawo, żeby zobaczyć, kto nagle zjawił się za mną. Zajęło mi to chwilę, w końcu jednak opanowałam obrót wózka. Ale w miejscu, gdzie powinien stać nieznajomy, nie zobaczyłam nikogo, choć wytężyłam wzrok.

Nagle wyłonił się zza żywopłotu.

Jego twarz ciągle była w cieniu, a mimo to odgadłam, że mam przed sobą tego samego człowieka, który klęczał samotnie przed grobem moich rodziców. Zupełnie jak gdyby wyłonił się z mojego obrazu, z mojej wyobraźni i teraz zmaterializował się w realnym świecie.

Rozdział dziewiętnasty

PO DRUGIEJ STRONIE LABIRYNTU

- Kim jesteś? - spytałam, wpatrując się w niego z fascynacją.

Wyszedł z cienia i stanął przede mną z rękami w kieszeniach spodni. Choć był wysoki i szczupły, miał szerokie, silne ramiona. Niesforna grzywa miedzianobrazowych gęstych kędziorów, siwiejących na skroniach, sięgała do białego kołnierzyka artystowskiego, luźnego blezera o długich, szerokich rękawach.

Miał bardzo subtelne, regularne rysy przypominające greckie rzeźby. Lekko przechylił głowę i uniósł brew. Wpatrywał się we mnie tak intensywnie, że obudziła się moja samoświadomość. Coś, co we mnie dostrzegł, poruszyło go i podziało na niego. Zmrużył powieki jak Tony, kiedy przybierał to swoje nieobecne spojrzenie i zaraz potem zaczynał bredzić, mieszając przeszłość i teraźniejszość. Dlaczego ten człowiek milczał? Zaczęłam drżeć z niepokoju. Byłam sam na sam z dziwnym nieznanym. Zerknęłam w stronę domu, ale nikt nie wiedział, gdzie jestem.

Nagle nieznanomy się uśmiechnął. W tym uśmiechu i w spojrzeniu ciemnobrazowych oczu było coś, co napełniało mnie ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa.

- Nie musisz mi się przedstawiać - odezwał się łagodnym, kojącym głosem. - Jesteś córką Heaven, choć w tym kolorze włosów bardziej przypominasz Leigh. To twój naturalny kolor, czy ufarbowałaś je, jak niegdyś twoja matka?

- Kim jesteś? - powtórzyłam pytanie.

Namyślał się, pewnie rozważał, czy kontynuować tę rozmowę, czy odejść. A jednak coś zmusiło go do pozostania.

- Kim jestem? Jestem... Brothers... Timothy Brothers.

- Skąd znasz moją matkę i jej matkę? I skąd wiesz, że Heaven kiedyś ufarbowała włosy?

- Pracowałem dla pana Tattertona.

Kolejne zdumienie. Z całą pewnością nie wyglądał na pospolitego pracownika; poza tym Rye mówił mi, że nie ma w załodze Farthy nikogo, kto by odpowiadał mojemu opisowi postaci widzianej z daleka. Oczywiście Rye, ten stary opój, mógł się mylić. Jednak sama widziałam, że ten człowiek nie mógł się parać ciężką pracą w ogrodzie. Było w nim coś miękkiego, subtelnego, co świadczyło o naturze wyrafinowanej, kontemplacyjnej.

- Ach, tak? A co robisz dla pana Tattertona?

- Robię... zabawki.
- Zabawki?
- Nie miej takiej zaskoczonej miny, Annie. Ktoś musi je wymyślać i wytwarzać.
- Skąd wiesz, jak mam na imię? - zdumiałam się znów.
- Och, wszyscy tu znają twoje imię. Pan Tatterton ciągle o tobie mówi.

Dalej patrzyłam mu w oczy. Wyczuwałam, że kryją się za nimi tajemnice, których nie chciał zdradzić.

- A co robiłeś w tym żywopłocie? Bo chyba nie zabawki?

Zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

- Wyszedłem sobie na spacer i zobaczyłem, że zjeżdżasz z rampy.
- Gdzie mieszkasz? Też w Farthy?
- Nie. Mieszkam po drugiej stronie labiryntu. Tam wytwarzam zabawki.
- Po drugiej stronie labiryntu? Czy nie tam, gdzie... gdzie jest domek ogrodnika? -

upewniłam się szybko.

- Ach, więc wiesz o domku. Mama ci o nim opowiadała?
- Nie. Mało opowiadała mi o Farthy; nie lubiła o tym mówić.

Posmutniał. Odbiegł spojrzeniem w bok, ku rodzinnemu cmentarzowi. Było coś w sposobie, w jaki garbił ramiona, co przypomniało mi mnie w chwilach rezygnacji i melancholii. Wysunął prawą rękę z kieszeni i przeczesał palcami włosy. Miał długie, silne, subtelne palce jak artysta, całkiem podobne do moich. Może niektórzy ludzie rodzą się, aby być artystami, pomyślałam.

- Bardzo mi przykro z powodu śmierci twoich rodziców - powiedział cicho, niemal niesłyszalnie. Nie patrzył na mnie, kiedy to mówił.

- Dziękuję.
- I co? - Ożywił się. - Rozumiem, że wiesz także o labiryncie. Ciekaw jestem, co o nim sądzisz.

- Wygląda bardzo tajemniczo.
- Tylko dla tych, którzy go nie znają. Chciałabyś przejechać przez niego?
- Przejechać? Chcesz powiedzieć... na drugą stronę?
- A czemu nie? - Zerknął na błękitne niebo poznaczone smugami długich chmur. -

Ładny dzień na spacer. Chętnie cię powiozę.

Wahałam się, choć miałam wielką ochotę poznać labirynt i zobaczyć domek ogrodnika. Brothers był miły i przyjazny, ale jednak obcy. Co powiedziałby Tony, gdyby wiedział, że z nim poszłam? Z drugiej strony ten człowiek pracował dla niego. A Tony będzie i tak zły, że

opuściłam dom bez jego zgody, więc ta wycieczka niewiele zmieni.

- Dobrze, pojedę tam - zgodziłam się.

Timothy zauważył, że nerwowo zerknęłam w stronę domu.

- Pan Tatterton nie wie, że tu jesteś?

- Nie, ale nie obchodzi mnie to - odpowiedziałam buntowniczo.

- Widzę, że odziedziczyłaś charakter po mamie.

- Chwycił rączki wózka. Ruszyliśmy.

- Dobrze ją znałeś?

- Tak. Była mniej więcej w twoim wieku, kiedy ją poznałem.

- I cały czas pracujesz dla Tony'ego? Robisz zabawki?

- Tak. - Znajdował się teraz z tyłu, więc nie mogłam zobaczyć jego twarzy, ale usłyszałam, jak złagodniał jego głos.

- Myślałam, że jego brat Troy projektował wszystkie zabawki. Tak mówił Tony.

- Och, owszem. Ja tylko powielam jego projekty. Troy nauczył mnie wszystkiego.

- Rozumiem. - Wyczułam, że nie powiedział całej prawdy. - I ty też pracujesz w domku? Czy w fabryce?

- I tu, i tu.

- Jak poznałeś moją mamę? - Byliśmy coraz bliżej wejścia do labiryntu i rosła we mnie potrzeba mówienia, zagadania strachu.

- No, jesteście - powiedział Timothy, zatrzymując wózek. Musiał wyczuć mój niepokój, bo zapytał: - Na pewno chcesz tam wejść?

Nie odpowiedziałam od razu. Żywopłoty były wysokie i gęste, tworzyły korytarze mroczne, tajemnicze. Może on tylko udaje, że zna drogę, i zabłądzimy w tym gąszczu?

- Na pewno orientujesz się w labiryncie?

Roześmiał się.

- Mógłbym go przejść z zawiązanymi oczami. Może pewnego dnia to zrobię, żeby ci udowodnić. Ale jeśli się obawiasz...

- Nie, nie, jedźmy! - Usiłowałam być dzielna.

- Świetnie, w takim razie ruszamy.

Wjechaliśmy do wielkiego labiryntu. Wreszcie się tam znalazłam! Coś, o czym fantazjowałam przez całe moje życie, w końcu stało się faktem! Kolejny raz żałowałam, że nie ma ze mną Luke'a. Siedziałam w napięciu, wstrzymując oddech. Moment później całkowicie otoczyły nas zielone ściany.

W labiryncie było pięknie. Żywopłoty miały trzy metry wysokości i skręcały dokładnie

pod kątem prostym. Oczywiście nie były zadbane, wymagały pielęgnacji i strzyżenia. Ale było tam zielono i cicho. Poczułam, że wszystkie napięcia tego dnia, wszystkie zmartwienia i smutki odpływają ode mnie.

- No i jak ci się podoba? - zagadnął, kiedy skręciliśmy po raz pierwszy.

- Tak tu spokojnie. Ledwie słyszę głosy ptaków z ogrodu.

- O tak, właśnie tę kojącą ciszę i spokój najbardziej kocham w labiryncie.

Spojrzałam w górę. Nawet ostre krzyki mew przelatujących nad nami wydawały się stłumione i odległe. Skręciwszy w kolejny korytarz, zatrzymaliśmy się.

- Widzisz dach Farthy? - zapytał Timothy.

- Tak, sam jego szczyt. Wydaje się taki odległy.

- W labiryncie możesz wyobrazić sobie, że jesteś w innym świecie. Często tak robię - wyznał. - Lubisz coś sobie wyobrażać, fantazjować czasem?

- Uwielbiam. Często robiliśmy to z Lukiem i gdybyśmy byli w Winnerrow, pewnie nadal byśmy się tak bawili, choć już nie jesteśmy dziećmi.

- Kto to jest Luke?

- Mój... kuzyn. Luke junior, syn mojej ciotki Fanny.

- A tak... twoja ciotka Fanny. Zapomniałem o niej.

- Ją też znałeś?

- Ze słyszenia.

Wiedział więcej, niż mi mówił, to było już dla mnie jasne. Kim jest ten człowiek? Może jednak przyjęcie jego zaproszenia było zbytnim ryzykiem? Zagłębialiśmy się coraz bardziej w wielki labirynt. Obronnym gestem założyłam ramiona na piersi. Pragnęłam wrócić do domu, a zarazem bardzo chciałam zobaczyć domek ogrodnika i dowiedzieć się czegoś więcej o tym tajemniczym, fascynującym nieznanym.

- Zimno ci? - zaniepokoił się. - Dziwne, tu jest raczej ciepło.

- Nie, wszystko w porządku. Daleko jeszcze?

- Tylko parę minut. Jeszcze ten zakręt, potem drugi, kawałek prosto, ostatni zakręt... i będziemy po drugiej stronie.

- Widzę, że łatwo jest się tu zgubić.

- Zdarza się. Twoja mama raz się zgubiła.

- Naprawdę? Nie opowiadała mi o tym.

Roześmiał się.

- Tak właśnie ją poznałem. Nie mogła znaleźć drogi powrotnej.

- Opowiedz mi o tym - poprosiłam.

- To było wtedy, kiedy po raz pierwszy weszła do labiryntu. Pracowałem akurat w domku, robiłem zbroje dla miniaturowych rycerzy, kiedy nagle pojawiła się w drzwiach. Wyglądała na zagubioną i była tak... niewinna, czysta i piękna jak anioł. Tego dnia było bardzo mgliście i już zapadał wieczór. Twoja mama bała się, że nie odnajdzie drogi powrotnej.

- Troy też tam był?

- Tak, był.

- I co się działo dalej? - dopytywałam się, zniecierpliwiona jego dramatycznymi pauzami.

- Och, uspokoiliśmy ją. Daliśmy jej pić i jeść, a potem przeprowadziliśmy ją przez labirynt.

- Zabawne jest myśleć o mojej mamie jako młodej dziewczynie.

- Była bardzo piękną młodą damą, tak jak i ty.

- Ostatnio raczej nie czuję się piękna.

- To się szybko zmieni, jestem pewien. No, jeszcze ten ostatni zakręt i wychodzimy.

Skręciliśmy za róg i wyłoniliśmy się z labiryntu. Przed nami ciągnęła się aleja wybrukowana płaskimi, jasnymi kamieniami. Po obu stronach rosły wysokie sosny. Spojrzałam w jej perspektywę i mimo woli wydałam cichy okrzyk.

Zobaczyłam oryginał miniaturowego domku mamy - tego domku z pozytywką, który podarowała mi na osiemnaste urodziny. Replika Tattertonów była bardzo wierna. Niesamowite, pomyślałam. Zupełnie jakbym weszła w świat własnych fantazji, świat zabawek z mojej wyobraźni. Och, dlaczego nie ma tu Luke'a? Szkoda, że nie może zobaczyć na własne oczy, jak nasze marzenia stają się prawdą.

Domek ogrodnika otaczał niski drewniany płotek. Nie miał bronić dostępu do wejścia, tylko stanowił oparcie dla pnących róż - tak jak na makiecie.

W przeciwieństwie do reszty Farthy, domek i teren wokół niego były bardzo zadbane, wręcz wypieszczone. Trawniki były równe i gęste, płot pobielony, ścieżki wymiecione, okna czyste.

- Och, to domek jak z bajki! - wykrzyknęłam. - Chciałabym tu kiedyś przyjść i go namalować!

- Malujesz?

- To moja pasja. Nawet teraz maluję, żeby szybciej dojść do zdrowia. Chciałabym studiować sztukę i zostać malarką.

- Tak, tak - rzekł z roztargnieniem, jakby pochłonęły go wspomnienia. - Cóż, któregoś dnia go namalujesz. Nic nie stoi na przeszkodzie.

- Możemy wejść do środka?
- Naturalnie, ale czy nie będą cię szukać w Farthy?
- Nie obchodzi mnie to. Czuję się tam jak więzień. Proszę, zabierz mnie do domku.

Poprowadził wózek aleją, otworzył frontowe drzwi i wjechałam do środka. Wszędzie było widać zabawki Tattertonów - stały na półkach i na gzymsie kominka. Było tam też kilka starych zegarów. W tym właśnie momencie wielki szafkowy zegar w rogu pokoju wybił godzinę i jasnoniebieski zegar w kształcie malutkiego domku otworzył frontowe drzwi. Małeńka rodzinka pokazała się na ganku. Usłyszałam słodką, a zarazem niepokojącą melodię, którą znałam tak dobrze.

Ta sama melodia rozlegała się, kiedy uniosło się dach miniaturowego domku w Winnerrow.

- Mama miała domek z pozytywką, który wyglądał dokładnie jak ten - powiedziałam, gdy skończył się nokturn Chopina. - Grał nawet tę samą melodię. Podarowała mi go na moje osiemnaste urodziny. Ma tyle lat co ja i nadal działa. Ktoś przysłał go jej niedługo po tym, jak się urodziłam.

- Tak - rzekł ledwie słyszalnie. Sprawiał wrażenie wystraszonego; oczy lekko mu się rozszerzyły. Był straszliwie smutny. W pewnej chwili zorientował się, że na niego patrzę, i uśmiechnął się do mnie.

Szybko odwróciłam wzrok i dalej oglądałam wewnątrz. Było oryginalne, przytulne i ciepłe. Tak właśnie wyobrażałam sobie domek ogrodnika. Meble, choć stare, były w świetnym stanie. Półki, podłogi, zasłony - wszystko wyglądało czysto i porządnie, jakby mieszkał tu ktoś pedantycznie dbający o czystość. Dom miał tylko dwa pokoje, a w salonie, koło kominka, stał długi stół zawalony małymi kawałkami blachy, narzędziami i fragmentami makiety średniowiecznego miasteczka. Kościół ze strzelistym dachem i witrażami był już gotowy. W drzwiach stał nawet kapłan pozdrawiający parafian szerokim gestem. Były też kramy, kamieniczki, domki biedaków i małeńkie furgony ciągnięte przez konie.

- Mam mrożoną herbatę. Napijesz się?
- Tak, poproszę. - Wjechałam głębiej do salonu, żeby obejrzeć zabawkowe miasteczko.
- Robię to już bardzo długo, bo ciągle coś zmieniam i dodaję - wyjaśnił.
- Jest piękne, wygląda jak prawdziwe! Bardzo mi się podoba. Jak świetnie oddałeś rysy i miny tych ludzi. Nie ma dwóch takich samych twarzy. - Uniosłam spojrzenie i zobaczyłam, że wpatruje się we mnie intensywnie, z łagodnym, cudownym uśmiechem. Drgnął.

- Och, herbata. Momencik.

Wyszedł do kuchni. Zaraz wrócił i podał mi szklanekę. Wzięłam ją, ale nie piłam.

Usiłował unikać mojego wzroku, zajął się układaniem narzędzi na półkach.

- To ciebie widziałam z okna pokoju - powiedziałam.
- Słucham?
- Przy grobowcu moich rodziców. Byłeś tam, prawda?
- Owszem, raz.
- Więcej niż raz.
- Możliwe.

Skończył porządkować narzędzia i usiadł w bujanym fotelu przed kominkiem. Założył ręce za głowę, wyciągnął przed siebie długie nogi i patrzył w sufit. Obserwując jego profil, zauważyłam, że jest bardzo przystojny. Emanował wrażliwością i tym przypominał mi Luke'a.

- Chodzę na długie spacery, dla zdrowia, po całej okolicy - powiedział.
- Widziałam cię też w czasie nabożeństwa - dodałam z naciskiem. - Dlaczego nie wyszedłeś z lasu, tylko słuchałeś z daleka?

- Och... po prostu jestem nieśmiały. - Wyraźnie pragnął zmienić temat. - Jak postępuje twoja rehabilitacja?

- Zaraz... Nie chciałeś, żeby cię tam widziano? Czemu? Boisz się Tony'ego?
- Nie. - Uśmiechnął się.
- Nie mogę zrozumieć, dlaczego żyjesz w ukryciu.
- Taki już jestem. Należę do tych samotniczych typów, które najbardziej lubią własne towarzystwo.

- Ale dlaczego? - naciskałam.
- Dlaczego? - Zaczął się śmiać. - Jak się na coś uprzesz, to już nie popuścisz, prawda? Zupełnie jak twoja matka.

- Nie rozumiem, skąd wiesz tyle o niej, skoro cały czas trzymałeś się z boku.

- Owszem, nie jestem towarzyski, ale to nie znaczy, że nie wiem, co się wokół dzieje. Bardzo lubiłem rozmawiać z twoją mamą i dość często rozmawiam z ludźmi, jak teraz z tobą. Powiedz mi wreszcie, jak się czujesz.

- Wczoraj udało mi się po raz pierwszy od czasu wypadku stanąć samodzielnie.
- Wspaniale!
- Ale doktor i Tony uważają, że nie mogę się spieszyć. Nikt nie ćwiczył dzisiaj ze mną wstawania, a przecież powinnam już używać chodzika. Mówią, że powinnam jak najwięcej spać, codziennie brać proszki na sen i nie wychodzić z pokoju. Dzisiaj po raz pierwszy wyszłam z domu, nie licząc tamtego nabożeństwa przy grobie, a jestem tu już prawie tydzień!

Nie mogę nawet zadzwonić do kogoś i sobie pogadać. Nie mam telefonu! - wykrzyknęłam.

- Naprawdę?

- Nie widziałam Luke'a od czasu wyjścia ze szpitala, czyli od sześciu dni. Przekazywałam mu wiadomości przez Tony'ego i Drake'a.

- Kto to jest Drake?

- Przyrodni brat mamy

- A tak, syn Luke'a seniora.

- Dziwnie dużo wiesz o mojej rodzinie jak na pracownika fabryki... czy asystenta - zauważyłam podejrzliwie.

- Umiem słuchać tego, co wokół mnie mówią ludzie.

- I masz przy tym imponującą pamięć do szczegółów - dodałam i popatrzyłam na niego spod zmrużonych powiek, aby zobaczył, że mu nie wierzę.

Uśmiechnął się jak psotny chłopiec.

- I co się dzieje z Lukiem? - zapytał.

- Nie zadzwonił ani nie przyszedł. Dzisiaj sama zjechałam do gabinetu Tony'ego i zatelefonowałam do dormitorium Luke'a na Harvardzie. Koledzy mają mu przekazać, żeby natychmiast do mnie przyjechał.

- Rozumiem. W takim razie należy się go wkrótce spodziewać.

- Sama nie wiem. Wszyscy są jacyś inni... Drake'owi kompletnie odbiło. Uważa się za wielkiego biznesmena, pracuje dla Tony'ego i patrzy w niego jak w obraz. Z kolei Luke nigdy dotąd mnie nie ignorował. Razem dorastaliśmy i zawsze byliśmy sobie bliscy. Zwierzałam mu się z tajemnic, jakich dziewczyna nie ośmieliłaby wyjawiać chłopakowi, a on był tak samo szczery wobec mnie. Jesteśmy po prostu dla siebie stworzeni - podkreśliłam z żarem. Kiwnął głową w zamyśleniu. - Jesteśmy kimś więcej niż kuzynami... - Urwałam. Dziwne, ale nie miałam oporów przed ujawnianiem mu rodzinnych spraw. Wyczuwałam, że jest dobrym człowiekiem, i świetnie się czułam w jego towarzystwie. Zupełnie jakbyśmy znali się od dawna. Obcy ludzie w Winnerrow wiedzieli o Luke'u. Czemu on miałby nie wiedzieć? - Luke i ja mamy tego samego ojca - wyrzuciłam z siebie w końcu.

- Rozumiem. - Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Nic nie rozumiesz - zirytowałam się. - Tylko my wiemy, jak nam jest ciężko. Zwłaszcza Luke'owi. Musiał pokonać wiele przeszkód. Ludzie potrafią być okrutni, zwłaszcza w takiej dziurze jak Winnerrow. Nie pozwalają nam zapomnieć o grzechach naszych...

- Ojców? - dokończył.

- Właśnie.

- Mimo tylu przeciwności Luke musiał wyrosnąć na niezwykłego młodego człowieka, skoro tak ci na nim zależy.

- O tak. Jest bardzo inteligentny! Wygłaszał mowę na zakończenie szkoły! Jest mądry, wrażliwy i ma dobre serce. Każdy uczciwy człowiek kocha Luke'a i szanuje! Mama go kochała, dbała o niego jak o własnego syna, choć nie było jej łatwo.

- Powiedz mi jeszcze o swoich włosach. Kiedy je ufarbowałaś? Bo przecież to nie twój naturalny kolor, prawda?

- Tak.

- Kiedy to było?

- Parę dni temu. Tony sprowadził fryzjera do Farthy i namówił mnie, żebym rozjaśniła włosy. Przekonywał, że nie będę wyglądała tak smutno i lepiej się poczuję sama z sobą.

- Tony cię namówił? - Dostrzegłam zatroskanie w jego twarzy

- Tak. Czemu pytasz?

- A jak się ma Tony... pan Tatterton ostatnio? Dawno go nie widziałem.

- Jest dziwny. Często zapomina albo mylą mu się różne fakty.

- Na przykład?

- Mylił mnie z moją mamą, moją babcią... nawet z prababcią Jillian.

- Naprawdę? - Wychylił się w fotelu i oparł łokcie na kolanach, splatając smukłe palce.

- Mówi do mnie, jak gdyby mówił do którejś z nich, wspominając o sprawach, o których nie mogę nic wiedzieć.

Teraz patrzył na mnie z jawnie zatroskaną miną.

- Jak długo masz zostać w Farthy?

- Miałam zostać do czasu pełnego wyzdrowienia, ale powiedziałam dzisiaj Drake'owi, że już chcę wrócić do domu i tam dochodzić do siebie. - Poczucie uwięzienia, pamięć o niedawnych torturach zadawanych przez okrutną pielęgniarkę i koszmar życia w domu Tony'ego, który co chwila gubił się w przeszłości... emocje, tyle czasu tłumione, zalały mnie, jakby pękła wewnętrzna tama. - I tak będzie! - oświadczyłam z mocą.

- W tej sytuacji rzeczywiście powinnaś wrócić do domu. Jeśli czujesz się tu nieszczęśliwa, jeśli jest ci źle, jedź tam jak najszybciej. - Mówił z takim przejęciem, że nagle ogarnął mnie lęk.

- Kim ty naprawdę jesteś? Zbyt dużo wiesz o naszej rodzinie jak na zwykłego pracownika.

Znów odchylił się na oparcie fotela i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Serce mi

łomotało, bo byłam pewna, że nie jest tym, za kogo się podaje.

- Jeśli ci powiem, czy zatrzymasz tę wiedzę dla siebie? To dla mnie bardzo ważne, gdyż chciałbym, aby wiedziała o mnie tylko garstka wybranych ludzi. Jestem szczęśliwy, prowadząc tutaj swój anonimowy żywot, chroniony przez labirynt. Moja samotność jest dla mnie bardzo ważna i cenna. Lubię żyć wspomnieniami i pracą, która, jak widzisz, zajmuje mi wiele czasu. - Urwał na moment i dodał z ogromnym smutkiem: - Takie życie sobie wybrałem. Nie przypuszczałem, że będę żył tak długo.

- Dlaczego miałbyś nie pożyć długo? Nie jesteś stary.

- W dzieciństwie ciągle chorowałem i śniłem, że umrę bardzo młodo... Byłem przekonany, że nie dożyję trzydziestki. Ale dożyłem. Śmierć mnie nie chciała. Nie zastanawiam się dlaczego; po prostu trwam, robię to, co robię, i prowadzę spokojne życie, zadowolony z tego, co mam. W jakiś sposób pogodziłem się z sobą, z moimi lękami i smutkami. Moja przeszłość jest jak stara rana, która wreszcie się goi; nie chcę, żeby otworzyła się na nowo. A zatem czy zachowasz dla siebie ten ważny sekret?

- Nikomu go nie wyjawię - obiecałam.

- Nie wiem czemu, ale ufam ci... tak jak ufałbym... mojej córce... gdybym oczywiście ją miał.

- Mama uczyła mnie, że trzeba szanować to, co jest ważne dla drugiego człowieka, nawet gdyby nie było ważne dla nas.

- Twoja mama była bardzo mądra.

- No właśnie. Za dobrze ją znasz jak na zwykłego pracownika Tattertonów.

Uśmiechnął się.

- Powiniennem pozostać w cieniu, Annie. Powiniennem przewidzieć, że domyślisz się prawdy.

- Jaka to prawda? - spytałam, wstrzymując oddech.

- Nie jestem asystentem Troya Tattertona. Jestem Troyem Tattertonem.

Dziwne, ale ta rewelacja Troya mną nie wstrząsnęła, choć wszyscy uważali Troya za zmarłego i mówili o nim w czasie przeszłym. Widocznie podświadomie musiałam czuć, że jest inaczej.

- Kiedy Rye Whiskey cię widzi, pewnie myśli, że jesteś duchem - powiedziałam.

- Ach, stary Rye... - Troy się uśmiechnął. - Nie wiem, co myśli, ale możesz mieć rację.

- Skoro już zdradziłeś, kim jesteś, wyjaśnij mi jeszcze, dlaczego pozwalasz, żeby uważano cię za zmarłego - poprosiłam.

- Czy ktoś opowiadał ci, jak wyglądały okoliczności mojej domniemanej śmierci?

- Coś słyszałam, głównie od Rye'a, ale nie wiem, na ile mówił prawdę, a na ile była to kwestia jego bujnej wyobraźni. Wiem, że wzięłaś konia... konia Jillian i popędziłaś na nim prosto w ocean. Od tej pory nikt cię już nie widział.

- Tak, zgadza się.

- Jak mogło do tego dojść?

Znow się uśmiechnął, samymi oczami.

- Kiedy pytasz z takim zaangażowaniem, bardzo przypominasz mi twoją mamę. Myślę, że potrafisz słuchać tak samo uważnie jak ona. Wysłuchasz mnie.

Kiwnęłam głową, zaniepokojona poważnym tonem jego głosu.

- Częściowo powiedziałem ci prawdę. Byłem chorowitym, melancholijnym dzieckiem i takim samym nastolatkiem. Przez całe moje młode życie dręczyły mnie smutne myśli. Tony, który był dla mnie bardziej jak ojciec niż brat, robił, co mógł, żebym zaczął patrzeć na świat z nadzieją i optymizmem. Na próżno. To było tak, jakby w momencie, kiedy się urodziłem, zawisła nad moją głową czarna chmura i rosła, rosła, rosła, aż w końcu widziałem tylko mroczne niebo, choćby dzień mógł być słoneczny. Jesteś to w stanie zrozumieć?

Nie, nie potrafiłam zrozumieć, jak można ciągle żyć pod niebem ciężkim i szarym jak ołów. Światło słoneczne jest ważne dla kwiatów, trawy, drzew i ptaków; a zwłaszcza ważne dla małych dzieci, które potrzebują jego ciepła. Jak wszystko by rosło bez słońca? Troy uprzedził moją myśl.

- Nie mogłem wyrosnąć na zdrowego młodego mężczyznę, gdy straszne myśli o śmierci nachodziły mnie bezustannie. Im gorzej było ze mną, tym bardziej martwił się Tony i tym więcej poświęcał mi czasu i energii. Jego żona Jillian była egocentryczką, kochała wyłącznie siebie i własne odbicie w lustrze. Oczekiwała, że wszyscy wokół będą podzielali jej zachwyty. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka potrafiła być zazdrosna o wszystko, co choćby na moment odciągało uwagę Tony'ego od niej.

W końcu przeprowadziłem się do tego domku. Pracowałem dla Wytwórni Zabawek Tattertonów i prowadziłem życie samotnika; większość ludzi zwariowałaby na moim miejscu, ale ja nie byłem aż tak samotny, jak myślisz. Zabawki, które robiłem, stały się całym moim światem; maleńcy ludzie byli moimi towarzyszami i wymyślałem im całe życiorysy. Może byłem szalony. Kto wie? Ale jeśli nawet, było to twórcze szaleństwo. Nadal prześladowały mnie myśli i sny o własnej śmierci. Zimy były dla mnie szczególnie trudne, gdyż w długie noce ma się aż za dużo czasu na śnienie. Próbowałem nie zasnąć aż do świtu i czasami mi się udawało. Wychodziłem z domu i spacerowałem, wydeptywałem ścieżki wśród sosen, aż chłodne nocne powietrze wywiewało mi z głowy ponure myśli. Dopiero wtedy wracałem do

domu i kładłem się spać.

- Czemu zostawałeś tutaj na zimę? Byłeś chyba na tyle zamożny, że mogłeś wyjechać, dokąd zechcesz, prawda?

- Tak. Uciekałem na Florydę, do Neapolu, na Riwierę i w wiele innych miejsc na świecie. Podróżowałem i podróżowałem, ale moje zimowe myśli były jak dodatkowy bagaż, z którym nie mogłem się rozstać. Wracałem z tych podróży załamany, nie widząc innego wyjścia, jak tylko zaakceptować swój ponury los.

Pewnego dnia pojawiła się twoja mama. Była jak kwiat na pustyni... jasna, radosna i piękna. Wiedziałem, że bardzo wiele przeszła w swoim młodym życiu, ale jakimś cudem potrafiła ocalić ten optymizm i niewinność, które charakteryzują młodych ludzi. Masz takie samo cudowne światło w oczach, Annie. Widzę to. Pomimo twoich tragicznych przeżyć nadal jest w nich blask, płonie jak jasna świeca w ciemnym tunelu. Znajdzie się szczęściarz, który, prowadzony przez twoje światło, wyjdzie z mrocznego tunelu własnych smutnych myśli i będzie żył szczęśliwie w twoim ciepłym blasku.

Zarumieniłam się. Nikt do mnie tak nie mówił.

- Ale nie opowiedziałeś mi, co kazało ci wjechać na koniu do oceanu.

Troy splótł ręce za głowę. Długo się zastanawiał, błędząc spojrzeniem po suficie. Czekałam spokojnie, gdyż domyślałam się, jak trudno jest wytłumaczyć, dlaczego chciało się targnąć na własne życie. Wreszcie opuścił ręce i wychylił się ku mnie.

- Wewnętrzne światło i żywotność twojej matki przegnały smutki i dawały mi nadzieję. Przez chwilę byłem innym człowiekiem. Myślałem nawet... wierzyłem, że i ja mogę spotkać kogoś takiego jak ona, ożenić się i mieć dzieci... może córkę, taką jak ty. Lecz moja melancholia wróciła, gdyż nie mogłem znaleźć kobiety podobnej do niej. Dla większości kobiet byłem zbyt depresyjny; nie miały ochoty ani cierpliwości wglębiać się w moje stany. Pewnego dnia, w czasie przyjęcia, które Tony urządził, żeby mnie rozweselić, postanowiłem rzucić wyzwanie śmierci... Śmierci, która prześladowała mnie całe życie. Śmierci, z uśmiechem przyczajonej w ciemnościach, wodzącej za mną spojrzeniem mrocznych oczu, czekającej spokojnie. Postanowiłem, że nie będę kazał jej dłużej czekać. Zamiast pędzić życie w nieustannej ucieczce przed tym, co wydawało mi się nieuniknione, zaszarżowałem. Wjechałem do oceanu na szalonym koniu Jillian, przekonany, że wreszcie zakończę mój żaloszny żywot. Śmierć nie wiedziała, jak zareagować. Nie chciała mnie wziąć, zbyt ją zaskoczyłem. Fale wyrzuciły mnie na brzeg żywego. Nawet to mi nie wyszło.

Jednocześnie pojąłem, że w ten sposób stworzyłem sobie możliwość innego rodzaju ucieczki. Pozwoliłem, aby wszyscy uwierzyli w moją śmierć. Dzięki temu mogłem stać się

kimś innym, żyć jak nieuchwytny cień, jak umarły dla tych, którzy koniecznie chcieli mnie pocieszać. Zwłaszcza że przeze mnie sami wpędzali się w depresję, bo ciągle im się to nie udawało.

Ginąc w ten sposób dla świata, mogłem sobie żyć, jak chciałem. Nikt mnie nie niepokoił i ja nie niepokoiłem nikogo. Jednak pewnego dnia brat odkrył moje istnienie. Tak przeżył moją śmierć i opłakał mnie tak szczerze, że nie potrafiłem uciec od niego. W rezultacie zawarliśmy układ - ja miałem tu mieszkać, w ukryciu, anonimowo, a jego zadaniem było utrzymanie fikcji mojej śmierci. Mijały lata. Zaczęliśmy mówić ludziom, że jestem nowym twórcą i projektantem zabawek; uczniem Troya, kontynuującym jego styl. I odtąd żyję spokojnie, pracując i snując wspomnienia, pogodzony z sobą, ciesząc się swoim odosobnieniem. Teraz już znasz prawdę i muszę liczyć, że zatrzymasz ją w sercu, tak jak obiecałaś.

- Nie powiem nikomu, ale chciałabym, żebyś wrócił do świata po drugiej stronie labiryntu. Czuję, że mogę ci w tym pomóc, choć jeszcze nie wiem jak.

- Jak pięknie z twojej strony, że siedząc na wózku inwalidzkim, zastanawiasz się, jak pomóc komuś innemu.

Dostrzegłam łzy w kącikach jego oczu, ale nie pozwolił im spłynąć.

- Mam pomysł - powiedział i energicznie klasnął w dłoń. - Mówiłaś, że wczoraj stałaś na własnych nogach?

- Tak.

- Powinnaś się starać, żeby stać coraz dłużej każdego dnia, i próbować robić kroki.

- Tak sądziłam, ale doktor Malisoff powiedział...

- Lekarze wiedzą dużo o ludzkim ciele, ale często bardzo mało wiedzą o ludzkim sercu.

- Wstał i zatrzymał się niecały metr przede mną, wyciągając ku mnie ramiona.

- Chcę, żebyś znów wstała, ale tym razem musisz zrobić krok w moją stronę.

- Och, nie wiem, czy...

- Nonsens, Annie. Wstaniesz i pójdiesz. Jesteś córką Heaven, a twoja matka na pewno nie litowałaby się nad sobą. Ani też nie chciałaby być dłużej na łasce innych.

Wypowiedział magiczne słowa. Przygryzłam wargę. Z determinacją zacisnęłam dłoń na poręczach wózka i zmusiłam stopy, żeby zsunęły się z podpórek na podłogę. Uczyniły to, choć powoli i niezgrabnie. Troy kiwnął głową, dodając mi odwagi. Zacisnęłam powieki i sprężyłam się, wydając rozkaz swoim drętwym kończynom.

- Niech twoje stopy zleją się w jedno z podłogą tego domu - szepnął. - Podeszwy twoich stóp są przyklejone do podłogi. Trzymają się jak przylepione...

Mocniej zacisnęłam dłonie na poręczach. Moje nogi napięły się, mięśnie się naprężyły i pomogłam im, zapierając się o poręcze. Powoli, ale sprawniej niż wczoraj, moje ciało wyprostowało się do pozycji stojącej. Otworzyłam oczy i zobaczyłam uśmiech Troya.

- Bardzo dobrze. A teraz dalej, tylko się nie bój. Przesuń nogę do przodu. Puść się poręczy.

- Chciałabym się nie bać, ale nie potrafię. Jeśli upadnę...

- Nie upadniesz, nie pozwolę na to. Chodź do mnie, chodź do mnie... - zanucił, wyciągając ku mnie ręce.

- Chodź do mnie... chodź, Annie.

Może sprawiła to prośba i coś w brzmieniu jego głosu, co przypominało mi głos z moich snów, wyprowadzający mnie z ciemności w światło - w każdym razie dodał mi siły, abym zrobiła ten krok. Poczułam, że moja trzęsąca się prawa noga przesuwa się odrobinę w przód ze stopą niemal dotykającą podłogi. Moment później lewa noga dołączyła do niej.

Zrobiłam krok!

Zrobiłam jeszcze jeden i ciało nagle mnie zawiodło. Zwiotczało z wysiłku i poczułam, że upadam, ale Troy mnie podtrzymał.

- Udało ci się! Zrobiłaś to, Annie! Jesteś na najlepszej drodze do zdrowia i nic cię z niej nie zawróci!

Nie mogłam powstrzymać łez. Wypłakiwałam tęczowe łzy szczęścia, w kolorach nieba i słońca, i szarą mgiełkę smutku. Płakałam z powodu zwycięstwa nad własną słabością i dlatego, że znalazłam się w bezpiecznych objęciach kogoś, kto okazał się czuły, ciepły i wrażliwy, choć tkwił w pułapce dawnych, mrocznych dni.

Pomógł mi wrócić na wózek, a potem stanął obok i patrzył na mnie z dumą jak ojciec, którego dziecko postawiło pierwsze kroki.

- Dziękuję, Troy.

- Powinnaś sobie podziękować. Sprawiałaś, że w ciemnych chmurach powstała szczelina, przez którą do mojego świata wpadł jasny promień. Ale - dodał, zerkając na stary zegar - już cię odwiozę. Jeśli, jak mówisz, w domu nie wiedzą, gdzie jesteś, muszą teraz szaleć z niepokoju.

Kiwnęłam tylko głową, niezdolna wypowiedzieć słowa. Czulałam się wyczerpana i myśl o wielkim, wygodnym łóżu czekającym w Farthy wydała mi się nagle niezwykle kusząca.

- Przyjdiesz mnie odwiedzić? - zapytałam.

- Nie, Annie. Ty przyjdiesz do mnie... na własnych nogach, i to niedługo. Jestem pewien, że tak będzie.

- A kiedy wyjadę z Farthy i wrócę do Winnerrow, odwiedzisz mnie tam?

- Nie wiem. Rzadko opuszczam mój domek.

Popchnął mnie do wyjścia. Słońce zniżyło się już znacznie od chwili, kiedy wychynęliśmy z labiryntu i weszliśmy do domku. Teraz długie cienie kładły się na trawnikach, a labirynt wyglądał bardziej mrocznie i ponuro.

- Jest ci zimno - zauważył Troy. - Zaczekaj. - Zawrócił do domku i przyniósł mi jasny, rozpinany sweterek. Włożyłam go szybko. - Lepiej?

- O tak, dzięki.

Kiedy tym razem weszliśmy do labiryntu, miałam wrażenie, że przekroczyłam jakąś mroczną granicę oddzielającą dwa światy - szczęścia i smutku. Zapragnęłam nagle wrócić do chaty Troya. Jak szybko mu zaufałam i od razu poczułam się dobrze w jego towarzystwie!

- Może któregoś dnia pozwolisz, żebym pomogła tobie zrobić twój pierwszy krok - powiedziałam.

- Mój pierwszy krok? Co przez to rozumiesz?

- Twój pierwszy krok w jasny, ciepły i pogodny świat, w którym powinieneś żyć, na który zasługujesz.

- Och... Może już mi pomogłaś. Oboje jesteśmy w tej chwili kalekami, choć każde innego rodzaju.

- Na drodze do wyzdrowienia - dodałam z uśmiechem.

- Tak, na drodze do wyzdrowienia - zgodził się.

- Oboje? - upewniłam się, unosząc brwi.

- Tak, oboje. - Roześmiał się. - Nie mam depresji, kiedy ty tu jesteś. Ale nie mogłabyś tego długo tolerować. Twoja mama była taka sama.

- Musisz opowiedzieć mi o niej wszystko, co pamiętasz... kiedy była młoda... i wspominać ją przy każdej naszej rozmowie, dobrze?

- Dobrze.

- W takim razie musimy częściej się spotykać.

- Zrobię, co będę mógł.

Nikogo nie było przed domem, kiedy wyszliśmy z labiryntu. Musieli mnie już od dawna szukać, ale nie przyszło im pewnie do głowy, że jestem na zewnątrz. Wózek zostawiony u góry schodów i brak wózka u dołu mogły co najwyżej sugerować, że zagubiłam się gdzieś na parterze.

Troy wwiózł mnie po rampie. Zatrzymał się pod frontowymi drzwiami, obszedł wózek i stanął przede mną.

- Dobranoc, Annie, i jeszcze raz wielkie dzięki. Dzisiaj nie będę miał koszmarnych snów - dodał z ciepłym uśmiechem.

- Ani ja.

- Mogę cię pocałować na do widzenia?

- Tak, oczywiście.

Pocałował mnie delikatnie w policzek i już go nie było. Zniknął, jakby cienie go wchłonęły; jak gdyby on też był tylko ulotnym marzeniem, które snułam, żeby osłodzić sobie długie, samotne godziny w Farthinggale Manor.

Z wysiłkiem otworzyłam wielkie drzwi i wjechałam do holu. Byłam w połowie drogi do schodów, kiedy pojawił się Tony w towarzystwie Parsona i drugiego pracownika.

- O, jest! A niech mnie! - krzyknął Parson, który zauważył mnie pierwszy.

- Gdzie byłaś? - warknął Tony. Ubranie i włosy miał w nieładzie, a spojrzenie szalone.

- W ogrodach. - Staralam się nadać głosowi niedbały ton. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Tony'ego. Oczy zapłonęły mu furją.

- Zdajesz sobie sprawę, jak żeśmy się denerwowali, szukali, odchodzili od zmysłów? Przewróciliśmy cały dom do góry nogami. Nie raczyłaś nikogo powiadomić, że wychodzisz z domu i dokąd się wybierasz! A przecież mówiłem, że niedługo zabiorę cię na spacer. Jak mogłaś? Mało mamy kłopotów?!

- Nie zrobiłabym tego, gdybym nie czuła się na siłach. Na szczęście wszystko się udało i kiedy opowiem ci resztę, zrozumiesz, jak ważna była dla mnie ta wycieczka - wyjaśniłam, niemile zaskoczona jego wybuchem. To był zupełnie mi nieznan, dotąd ukrywany aspekt osobowości Tony'ego Tattertona. Surowy pan, przed którym drżała służba, i bezwzględny szef korporacji, nietolerujący niesubordynacji podwładnych.

- Zabierzcie ją na górę! - huknął. - Nie używajcie podnośnika, wnieście ją. Tak będzie szybciej! Wygląda na kompletnie wyczerpaną.

Parson i drugi sługa posłusznie chwycili wózek, żeby wnieść mnie po schodach.

- Zaczekaj, Tony. Nie mam jeszcze ochoty wracać na górę. W tym pokoju czuję się jak w więzieniu. Chciałabym zjeść na dole, a potem pokręcić się jeszcze trochę po domu. Dzisiaj zrobiłam swój pierwszy krok, a nawet dwa - pochwaliłam się.

- Pierwszy krok? Gdzie? Jakim prawem? Potrzebujesz teraz dużo odpoczynku, gorących kąpiel, masaż. Doktor będzie zły. Jeśli tak dalej będzie, cały twój postęp się cofnie.

- Ależ Tony...

- Wnosić! - rozkazał. - Szybko!

- Nie, zostawcie mnie - zażądałam. Parson i jego pomocnik zatrzymali się i spojrzeli na Tony'ego, ale coś w jego twarzy kazało im wypełnić rozkaz.

- Przykro mi, panienko, lecz musimy słuchać pana Tattertona.

- Dobrze, róbcie, co każe - uległam, nie chcąc stawiać ich w trudnej sytuacji.

- Dziękujemy, panienko. - Unieśli mnie bez wysiłku i weszli na schody.

- Postawcie wózek - poprosiłam, kiedy dotarliśmy na górę. - Dalej pojedę już sama.

Przejechawszy przez drzwi, zamknęłam je za sobą. Po powrocie z dworu, ze słońca i przestrzeni, ten pokój wydał mi się przygnębiający. Postanowiłam natychmiast skończyć z moim więzieniem. Luke na pewno otrzymał moją wiadomość i wkrótce się tu zjawi.

A kiedy się zjawi, poproszę, żeby zabrał mnie do domu.

Opuszczę ten dom pełen duchów i bolesnych wspomnień o koszmarnych chwilach.

W ten sposób Luke i ja stracimy swój świat fantazji, ale odzyskamy siebie. Ta myśl, ta najważniejsza myśl umacniała we mnie niezłomne postanowienie.

Rozdział dwudziesty

UCIECZKA

Wyczerpana przeżyciami - swoim pierwszym samodzielnym wyjściem, wysiłkiem przy próbach chodzenia i wreszcie awanturą Tony'ego - podjechałam do łóżka, pragnąc położyć się i odpocząć. Wtedy wszedł Tony.

- Annie, nigdy, przenigdy nie zamykaj tych drzwi! - krzyknął. - Skąd mam wiedzieć, czy czegoś nie potrzebujesz? I popatrz, z jakim wysiłkiem gramolisz się na to łóżko. A przecież wiesz, że zawsze jestem w pobliżu, by ci pomóc, gotów na każde zawołanie. - Odsunął wózek i położył mi nogi na łóżku.

- Sama sobie poradzę - zaprotestowałam.

- Och, Annie, jesteś uparta jak Heaven. Wy dwie potraficie wykończyć człowieka.

- My dwie? - Obróciłam się ku niemu gwałtownie. - Co ty wygadujesz? Mama nie żyje... nie żyje! - wrzasnęłam. Byłam tak wykończona fizycznie i psychicznie, że straciłam cierpliwość do jego pomyłek.

- Wiem - powiedział miękko. - Przepraszam, bardzo przepraszam, że byłem dla ciebie niemiły, ale postąpiłaś bardzo źle i puściły mi nerwy.

- W porządku, Tony. Nic się nie stało. - Nie chciałam przedłużać tej rozmowy. Marzyłam tylko, żeby zasnąć, a potem zjeść kolację, znów zasnąć i obudzić się, kiedy już będzie Luke.

- Nieprawda, nie jest w porządku, ale zrekompensuję ci to, Annie, obiecuję. Tyle chcę zrobić dla ciebie... i zrobiłbym dla Heaven, gdyby mi pozwoliła.

Z rezygnacją zamknęłam oczy. Poczułam jego dłoń na głowie.

- Biedna Annie... - Czule gładził mnie po włosach, a kiedy spojrzałam mu w oczy, znów zobaczyłam w nich ciepło i troskę. Ten człowiek był nieprzewidywalny. Nie miałam siły ani chęci, żeby dalej z nim przestawać.

Nagle światło w jego oczach zaślniło złym blaskiem.

- Skąd masz ten sweter?

Nie chciałam napytać Troyowi kłopotów, ale też nie mogłam kłamać. Tony przejrzał całą moją garderobę przywiezioną przez Drake'a z Winnerrow i znał ubrania, które zostały po mamie, więc wiedział, że nie było takiego swetra.

- Dostałam.

- Kto ci go dał?

- Bardzo miły człowiek, który mieszka w domku po drugiej stronie labiryntu - wyjaśniłam, udając, że nie wiem nic o Troyu.

- Po drugiej stronie labiryntu? Przejechałaś przez labirynt?

- Jestem wyczerpana, Tony Proszę, nie męcz mnie już. Chcę spać.

- Jasne, jasne. Pomogę ci się rozebrać. - Sięgnął do swetra.

- Nie! Sama się rozbiorę. Potrzebuję prywatności, Tony. Zostaw mnie! - zażądałam.

Odskoczył do tyłu, jakby dostał w twarz.

- Naturalnie - wymamrotał. - Naturalnie. Pozwolę ci odpocząć, a sam zajmę się twoją kolacją.

- Dziękuję.

Nie poruszyłam się, aby zrozumiał, że nic nie zrobię, dopóki nie wyjdzie. Z ociąganiem skinał głową, odwrócił się i wyszedł.

Byłam naprawdę bardzo zmęczona. Przebranie się w nocną koszulę trwało całą wieczność. Kiedy wreszcie przykryłam się kołdrą i złożyłam głowę na poduszce, zasnęłam w ułamku sekundy.

Obudziłam się i przez długą chwilę wracałam do rzeczywistości. Zerknęłam na zegarek stojący przy łóżku i zobaczyłam, że jest środek nocy. Dom był cichy jak krypta; wrażenie pogłębiały szczelnie zaciągnięte zasłony. Świeciła tylko mała lampka w salonie. W jej mdłym blasku na ścianach kładły się blade cienie.

Zaburczało mi w brzuchu; przespałam porę kolacji. Usiadłam na łóżku. Dlaczego Tony nie obudził mnie na posiłek? I czemu Rye nie przyszedł z tacą?

- Tony! - zawołałam. Odpowiedziała mi cisza. Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. - Tony! - zawołałam głośniejszym głosem i czekałam. Cisza dzwoniła mi w uszach.

- Tony!!! - wrzasnęłam.

Spodziewałam się, że przybiegnie z pretensją, bo za mocno spałam, do czego z pewnością przyczyniła się samowolna wycieczka. Jednak się nie pojawił. Nadal było cicho.

Zapaliłam lampę. Postanowiłam, że wstanę z łóżka i wyjadę na korytarz, by sprawdzić, co się dzieje. Ale kiedy światło zalało pokój, z przerażeniem zobaczyłam, że wózek zniknął. I chodzik też. Byłam uwięziona w łóżku!

- Nie możesz tego zrobić, Tony - mruknęłam. - Nie możesz mnie tu dłużej więzić. Wyjeżdżam stąd. Wyjeżdżam jutro rano!

Opadłam na poduszkę i musiałam zapaść w drzemkę, gdyż nagle wyczułam jakiś ruch w nogach łóżka. Otworzyłam oczy i serce zabiło mi gwałtownie. Lampa na nocnym stoliku była zgaszona, światło z salonu wydawało się bardziej przyćmione. Postać stojąca w nogach

mojego łóżka ledwie majaczyła w mroku, ale rozpoznałam Tony'ego.

- Tony? Co ty tu robisz? Dlaczego stoisz tu po ciemku? Czemu zabrałeś mi wózek i chodzik? - pytałam z irytacją. W milczeniu wpatrywał się we mnie. - Tony! - Mój głos nabrał histerycznych tonów. - Czemu nie odpowiadasz? Przerażasz mnie!

Jeszcze przez chwilę trwała cisza, zanim wreszcie się odezwał.

- Nie bój się, Leigh.

- Co?!

- Niepotrzebnie się boisz. Nie chcę cię skrzywdzić. - Mówił do mnie jak do przerażonej małej dziewczynki. - Kocham cię i pragnę, Leigh. - Jego głos zmienił się w chrapliwy, namiętny szept.

- Nie jestem Leigh. Jestem Annie. Tony, co się z tobą dzieje? Proszę... przyślij tu Rye'a. Chcę rozmawiać z Rye'em. Jestem głodna! - Nerwowo, z rosnącym przerażeniem wyrzucałam z siebie słowa. - Przespałam kolację i teraz chce mi się jeść. Rye z chęcią coś dla mnie przygotuje i nie będzie miał żalu, że się go budzi - paplałam w płonnej nadziei, że to tylko sen, z którego zaraz się wybudzę. Tony wyglądał jak lunatyk. - Zejdź na dół i obudź go, proszę.

- Ona śpi. Nic nie wie - powiedział, stając z boku łóżka.

- Ona? O kim mówisz? - Serce łomotało mi coraz gwałtowniej, nie mogłam złapać oddechu. Twarz i szyja mnie paliły, w gardle miałam pustynię.

- Nie ma się co przejmować - ciągnął, jakby mnie nie słyszał. - Ona nie wie, co robię w nocy i dokąd chodzę. Zresztą już jej to nie obchodzi. Ma swoje sprawy, swoich przyjaciół. - Zaśmiał się gardłowo. - Ma siebie. Zawsze miała siebie i to jej wystarczyło, ale mnie nie wystarczyło, Leigh. Miałaś rację. - Sięgnął po moją rękę, ale cofnęłam ją, usiłując odsunąć się od niego na drugą stronę łóżka. Niestety, po nowej energii w dolnej połowie ciała nie pozostał nawet ślad. Miałam wrażenie, że tracę czucie w całym ciele, nie tylko w nogach. Ale wiedziałam, że muszę przywrócić tego szaleńca do rzeczywistości. Muszę!

- Tony, nie jestem Leigh. Jestem Annie!

Przez długą chwilę nie poruszył się ani nie odezwał i już myślałam, że zrozumiał, kiedy nagle odwiązał pasek i zsunął z siebie szlafrok, który spadł na podłogę. W przyćmionym świetle sączącym się z salonu dostrzegłam, że jest nagi.

O nie, jęknęłam w duchu. Tony jest w transie, w świecie swoich urojeń, a tu nie ma nikogo, kto mógłby mi pomóc, nawet tej okrutnej pielęgniarki! Chciałam wołać Rye'a, ale bałam się, że to tylko rozdrażni Tony'ego, a poza tym Whiskey mieszkał w kwaterach dla służby w dalekim skrzydle, pewnie i tak by nie usłyszał moich krzyków. Jedyłą nadzieją były

dalsze perswazje.

- Tony, to nie Leigh ani Heaven, tylko Annie. Annie, słyszysz? Popelniasz błąd, okropny błąd.

- Kocham cię od chwili, kiedy cię zobaczyłem - odpowiedział. - Jillian jest piękna. Zawsze będzie piękna, ale urodą motyla. Jeśli jej dotkniesz, już nie będzie mogła latać i szybko zmarnieje, zginie. Taka urodziwa istota powinna być zamknięta w szklanej gablocie, aby ją oglądano i podziwiano, a ty, Leigh, jesteś kobietą z krwi i kości - dodał głosem wibrującym zmysłowo.

Usiadł na brzegu łóżka i wyciągnął ku mnie ramiona. Skuliłam się i cofnęłam.

- Tony! Byłeś mężem mojej zmarłej prababci, a ja jestem Annie. Annie, córka Heaven. Nie zdajesz sobie sprawy, co robisz. Proszę, idź sobie...

Moje błagania nie trafiały do jego głuchych uszu.

- Och, Leigh, moja kochana Leigh. - Jego dłoń popelzła po kołdrze, aż namacała mój lewy przegub i zaczęła mnie przyciągać. Próbowałam się opierać, ale byłam słaba, niemal bezwolna. On pewnie usiłował mnie w ten sposób zachęcić. - Będziemy się kochali przez całą noc, tak jak poprzednio, i jeśli chcesz, możesz nazywać mnie tatusiem.

Nazywać go tatusiem? Co sugerował?

Przybliżał ku mnie twarz, zmierzając ustami ku moim ustom. Cofnęłam głowę, ale Tony mocno objął mnie w talii. Nie mając siły i oparcia w nogach, nie potrafiłam mu się wyrwać.

- Tony! Przestań!

Przesunął dłoń wyżej, ku moim piersiom, i jęknął z rozkoszy.

- Och, Leigh, moja Leigh...

Nadludzkim wysiłkiem szarpnęłam się i z furią oderwałam jego pożądliwą dłoń od swojego łona. Ten atak go zaskoczył.

- Przestań natychmiast! Jestem Annie! Co robisz?! Całe życie będziesz tego żałował!

Moje słowa wreszcie do niego dotarły. Znieruchomiał. Korzystając z chwilowej przewagi, obiema rękami pchnęłam go w pierś, zmuszając, żeby się odsunął. Ten wysiłek tak mnie wyczerpał, że bezwładnie upadłam na poduszkę.

- Co? - zapytał, jakby słyszał głosy, których słyszeć nie mógł. - Co? - powtórzył.

- Idź stąd! Wynoś się! Zostaw mnie samą.

- Co? - Odwrócił się i zapatrzył w najdalszy, najciemniejszy koniec pokoju. Czy widział tam kogoś w swojej wyobraźni? Czy zawołał do niego jeden z duchów Rye'a? A może to był duch mojej prababci, czy nawet babci, żądający, żeby dał mi spokój? - O Boże - powiedział

do siebie. - O mój Boże!

Wstał. Czekałam z bijącym sercem. Co się działo w tym udręczonym umyśle? Czy Tony wracał do rzeczywistości, czy przeciwnie, zagłębiał się w inny korytarz labiryntu swojego szaleństwa, który znów doprowadzi go do mojego łóżka?

- Przepraszam - szepnął. - Wybacz mi, proszę... - Schylił się po szlafrok, włożył go szybko i starannie zawiązał pasek. - Muszę... muszę iść. Dobranoc.

Wstrzymałam oddech, starając się patrzeć bez odwracania głowy, jak odchodzi od łóżka i zawraca do drzwi. Za moment już go nie było, ale moje serce nie zwolniło rytmu. Bałam się, że wróci. Gdybym nie była słaba i wyczerpana, wyczołgałabym się na korytarz, by wołać o pomoc.

Spociłam się tak, że koszula lepiała mi się do ciała. Muszę stąd uciekać! Muszę przekonać Drake'a, Luke'a albo kogoś jeszcze innego, żeby natychmiast mnie stąd zabrał. Ale Drake był w Nowym Jorku. I co będzie, jeśli Luke nie przyjdzie? Mój zdesperowany, spanikowany umysł zaczął się miotać jak ptak w klatce. Rye Whiskey! Muszę go wezwać, niech on mi pomoże! Albo Troy! Czy Parson! Ktokolwiek! Błagam, niech ktoś uratuje mnie przed tym szaleńcem! Co zrobił mojej babci, że od niego uciekła? Wolałam już o tym nie myśleć. Jedynym pocieszeniem była świadomość, że wkrótce zacznie się nowy dzień. Skuliłam się i oplotłam ramionami, utulając samą siebie i wspominając, że tak tuliła mnie mama, kiedy przychodziła do mnie w nocy, gdy miałam złe sny. Ale to, co przeżywałam, było gorsze niż senny koszmar. To był koszmar na jawie. Bałam się znów zasnąć. Drżałam z lęku, że obudzę się, mając nagiego szaleńca u boku, ale powieki ciążyły mi jak ołów i w końcu zapadłam w sen jak w czarną studnię.

- Dzień dobry! - powitał mnie Tony pogodnie.

Z wysiłkiem uniosłam powieki i zobaczyłam, że rozsuwa zasłony. Jasny blask słońca wygnał nocne cienie. Tony uniół okna, aby wpuścić świeże powietrze, i zasłony zafalowały wesoło w przeciagu. Miał na sobie czysty jasnoniebieski jedwabny szlafrok i był radosny jak skowronek. Czy udawał, abym pomyślała, że wszystko to mi się przyśniło?

- Zaraz przyniosę ci śniadanie - oznajmił.

- Nie wysilaj się, żeby być dla mnie miły, Tony. I tak ci to nie pomoże. Nie zapomniałam, co było wczoraj - stwierdziłam lodowatym tonem.

- Wczoraj? - Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Och, pewnie masz żal, że trochę na ciebie nakrzyczałem za ten spacer. Ale przecież wszystko wytłumaczyłem i przeprosiłem cię, Annie. Nie powinnaś żywić do mnie urazy.

Każdy czasami popełnia błędy.

- Nie o tym mówię, dobrze wiesz. Nie pamiętasz, jak przyszedłeś do mojej sypialni w środku nocy? - warknęłam. Już mu nie współczułam i nie zamierzałam więcej go usprawiedliwiać. Ponoślił odpowiedzialność za swoje postępowanie, a ja tak czy owak postanowiłam dzisiaj opuścić ten dom.

- Co? Znow coś ci się śniło. Biedne dziecko! Tyle musiałaś przejść. - Pokręcił głową, zaciskając usta jak zatroskany dziadunio. - Zaraz przyniosę ci śniadanko, które poprawi ci humor i...

- Oddaj mi wózek. Muszę zjechać na dół, do telefonu.

- Wózek? O nie, Annie, nie dzisiaj. Musisz co najmniej przez jeden dzień odpocząć po tym twoim wyczynie. Dzisiaj przyniosę ci śniadanie do łóżka. Zobaczysz, będzie ci miło!

- Oddaj wózek! - krzyknęłam rozkazująco

Patrzył na mnie przez chwilę, a potem ruszył do drzwi, jakby tego nie słyszał.

- Tony!!!

Nie odwrócił się i tym razem wychodząc, zamknął drzwi.

- Nie możesz mnie tu trzymać jak więźnia! - Usiadłam i powoli spuściłam nogi z łóżka, byłam zmęczona i słaba, ale zdeterminowana. Postanowiłam, że natychmiast opuszczę ten pokój, choćbym miała pełzać. Musiałam poszukać pomocy, dotrzeć do Rye'a. Byłam pewna, że on mi pomoże.

Dotknęłam stopami podłogi i już miałam wstać, kiedy do pokoju wpadł Tony, niosąc tacę ze śniadaniem.

- O nie, Annie, nie wstawaj. Oprzesz się plecami o wezglowie, a ja podstawię ci stolik.

Odłożył tacę na szafkę nocną, podciągnął mnie do pozycji siedzącej, przyniósł stolik i umieścił na nim tacę, po czym odsunął się o parę kroków od łóżka. Stał i przyglądał mi się z dziwnym, szerokim uśmiechem klauna.

Oszalał do reszty, pomyślałam. Zeszłej nocy najwyraźniej przekroczył jakąś granicę. Nie sposób było przemówić mu do rozumu.

Na tacy była szklanka soku pomarańczowego i gorąca owsianka polana miodem. Jak zwykle był też suchy tost i szklanka chudego mleka. Rye nie przygotował tego śniadania. Tony musiał wstać wcześniej i zrobić je sam. Stał nade mną jak kat nad dobrą duszą i odechciało mi się jeść, ale pomyślałam, że powinnam się zmusić, aby dostarczyć organizmowi energii. Wypiłam sok i zjadłam parę łyżek owsianki. Tost smakował jak tektura, lecz jakoś go przełknęłam, popijając mlekiem. Tony kiwał głową z aprobatą, obłąkany uśmiech miał jak przylepiony do twarzy.

Kiedy skończyłam, zabrał tacę i zdjął z łóżka stolik.

- Teraz powinnaś się poczuć o wiele lepiej. Jedzenie sprawia cuda, prawda? Chcesz, żebym wymasował cię i natarł olejkami?

- Nie - odpowiedziałam stanowczo.

- Nie? Nie potrzebujesz, bo czujesz się lepiej?

- Tak. - Miałam łzy w oczach. - Proszę, daj mi wózek.

- Zobaczymy, może po porannej drzemce - stwierdził. Podszedł do szafy i wyjął z niej nową, czerwoną koszulę nocną, jedną z tych, które przyniósł mi do szpitala w Bostonie. - Powinnaś zmienić koszulę. Ta będzie ci pasować, nie uważasz? Zawsze lubiłem cię w szkarłacie. - Położył koszulę na łóżku, gdzie siedziałam z kołdrą podciągniętą pod brodę. - Przebierz się. W świeżym ubraniu poczujesz się jeszcze lepiej.

Pomyślałam, że nie odejdzie stąd, dopóki nie włożę tej przeklętej koszuli, więc sięgnęłam po nią niechętnie. Odsunął się o parę kroków, żeby obserwować, jak zdejmuję starą i wkładam nową. Zrobiłam to najszybciej, jak mogłam.

- I co, lepiej?

- Tak - odpowiedziałam, żeby go zadowolić. Byłam jeszcze bardziej przerażona i dezorientowana, bo zamiast poczuć się świeża i pełna energii po śniadaniu, znów walczyłam z sennością i ogarniało mnie znużenie. Głos Tony'ego brzmiał, jakby dochodził z daleka. - Chcę... chcę...

- Chcesz spać, wiem. Tego się spodziewałem. I dobrze, bo sen to zdrowie. - Troskliwie opatulił mnie kołdrą ciasno jak kokonem.

- Nie... chcę...

- Śpij, Annie. Prześpij się i poczujesz się o wiele lepiej, kiedy wrócę. Już nie będą ci się śniły koszmary.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam znaleźć słów. Miałam wrażenie, jakby ktoś zaszył mi usta. Na ułamek sekundy, zanim zapadłam w sen, moją ostatnią świadomą myślą było podejrzenie, że Tony dodał mi środek nasenny do owsianki.

Kiedy się obudziłam, byłam zupełnie dezorientowana. Nie miałam pojęcia, która godzina. Powoli udało mi się wyłuskać z okrycia i usiąść, opierając się o poduszkę. Z trudem uspokoiłam oddech i odczekałam, aż serce przestanie łomotać.

Na zegarze dochodziła dwunasta w południe. Drzwi sypialni były nadal zamknięte, ale przez otwarte okna wpadały chłodne, rześkie powiewy bryzy znad oceanu. Zwróciłam ku nim twarz, pragnąc znów znaleźć się na powietrzu, wśród zieleni. Nagle usłyszałam jakiś głos, zrazu cichy, a potem coraz wyraźniejszy, w miarę jak skupiałam się na nim, bo wydał mi się

znajomy. Dobiegał z dołu...

Luke!

Ale słyszałam też głos Tony'ego.

Skupiłam się i spróbowałam całą siłą woli pobudzić energię w nogach. Opuściłam je na podłogę, ale nie dały mi żadnego oparcia. Były znowu jak martwe. Otumaniacze, które dał mi Tony, cofnęły proces zdrowienia.

- Luke! - Krzyk odbijał się echem w moim więzieniu. Osunęłam się na podłogę; upadłam jak sukienka, która zsunęła się z wieszaka. Zaczęłam się czołgać ku oknu, ponaglana przez dochodzący z zewnątrz głos Luke'a. Teraz zaczęłam rozróżniać słowa.

- Annie nalegała, żebym przyjechał - tłumaczył Luke.

- Nie jest jeszcze gotowa na przyjmowanie wizyt.

- Więc dlaczego dzwoniła?

- Nie mogła dzwonić, to niemożliwe. Musiało ci się coś pomylić.

- Specjalnie tu przyjechałem. Czy mogę zobaczyć się z nią chociaż na chwilę?

- Lekarze nie zalecają wizyt, nawet najkrótszych.

- Dlaczego?

- Młody człowieku, nie mam czasu, żeby godzinami tłumaczyć ci medyczne procedury i diagnozę. Poza tym Annie zaraz będzie miała fizjoterapię i jest chyba zrozumiałe, że na razie nie może przyjmować gości.

- Dobrze, więc zaczekam.

- Uparty jesteś.

Byłam już o parę kroków od okna. Podpełzłam jeszcze trochę bliżej i wyrzuciłam rękę w górę, żeby dosięgnąć parapetu, ale nie udało mi się i upadłam, uderzając głową w ścianę. Przez moment byłam tak oszołomiona, że nie mogłam się ruszyć.

- Dobrze, odejdę, ale proszę jej przekazać, że byłem tu. Zrobi to pan? - W głosie Luke'a brzmiała rezygnacja.

- Oczywiście, przekażę.

- Nie - wymamrotałam. - Nie... o nie...

Znów sięgnęłam i tym razem udało mi się uchwycić parapetu. Z ogromnym wysiłkiem podciągnęłam się do otwartego okna.

Usłyszałam szcęk zamykanych frontowych drzwi. Luke odchodził! Tony odprawił go z kwitkiem. Moje nadzieje prysły. Luke... Klęcząc, podciągnęłam się jeszcze wyżej, aż wyrzłam zza parapetu.

- Luke!!! - krzyknęłam ile sił w płucach. - Nie idź! Luke, przyjdź na górę i zabierz mnie

stąd! - Darłam się i darłam, aż twarz poczerwieniała mi z wysiłku. Osłabłe ręce w końcu puściły brzeg parapetu. Zanim osunęłam się na podłogę, miałam wrażenie, że z oddali mignął mi Troy stojący przy wejściu do labiryntu i patrzący w górę. A może tylko chciałam go zobaczyć...

Leżałam z policzkiem na dywanie, bezwładnie jak szmaciana lalka i rozdzierająco płakałam. Tak znalazł mnie Tony.

- Och, biedna Annie - powiedział z troską. - Wypadłaś z łóżka. Obawiałem się, że coś takiego może się stać. To moja wina. Powiniennem zamykać boki łóżka.

- Ty potworze! - zawylałam. - Jak mogłeś go odprawić?! Przecież wiesz, że czekałam na jego wizytę! Jak mogłeś być tak okrutny?! Już mnie nie obchodzi, co jest z tobą nie tak, jak smutne i tragiczne miałeś życie. To było podłe, podłe i ohydne! Nienawidzę cię za to! Jedź za nim! Sprowadź go z powrotem! Niech tu wróci!

Zignorował mój wybuch, jak gdybym to ja była obłąkana, a on normalny.

Moim ciałem wstrząsały łkania, kiedy Tony wsunął mi ręce pod pachy i podniósł mnie z podłogi. Na łóżku znów dokładnie otulił mnie kołdrą.

- Nie powinnaś opuszczać łóżka, Annie. Przez to robisz się coraz bardziej chora. Teraz porządnie odpocznij. Wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej; gotów jestem zrobić wszystko dla mojej małej Annie.

- Nie jestem twoją małą Annie. Chcę, żeby wrócił Luke - wymamrotałam. - Luke wróci... on tu wróci.

- Oczywiście, wydobrejesz i wróci. Jeśli tylko będziesz mnie słuchać, błyskawicznie postawię cię na nogi. Dobrze, co to ja jeszcze miałem zrobić? Aha...

Odszedł na chwilę i wrócił z bocznymi poręczami doczepianymi do łóżka. Zainstalował je szybko i podciągnął do góry, zamykając mnie jak zwierzę w klatce.

- No, teraz nie będę musiał się martwić, że spadniesz. Czujesz się bezpieczniej?

Odwróciłam głowę, przymknęłam oczy. Kiedy usłyszałam, że wyszedł, wyobraziłam sobie, że siedzę w altanie w Winnerrow. Marzyłam, marzyłam i marzyłam, zaklinając los. Och, Luke, wróć tu do mnie. Usłysz mnie z daleka, usłysz moje wołanie i zrozum, jak bardzo jest mi tu źle. Zabierz mnie stąd, zabierz jak najszybciej!

Farthy nie jest rajem ani magicznym zamkiem, jak sobie wyobrażaliśmy. Jest straszliwym więzieniem, mrocznym i niebezpiecznym, przenikniętym chorą rozpaczą. Powinnam była posłuchać mamy... ona wiedziała... wiedziała...

Początkowo myślałam, że ciągle śnię, bo kiedy otworzyłam oczy, usłyszałam głosy

Zerknęłam na zegar i zobaczyłam, że jest już prawie siódma wieczorem. Znów przespałam prawie cały dzień. Głosy zbliżały się korytarzem w stronę moich pokoiów.

Za chwilę ktoś energicznie otworzył drzwi sypialni i w progu stanęła ciotka Fanny, a za nią... Luke!

- Jezu, wygląda jak dziecina w kołysce - powiedziała Fanny swoim wysokim, świdrującym głosem. - I spojrzysz tylko na nią... przebarbiowała sobie włosy. Teraz ma ten sam kolor co kiedyś Heaven.

Wyciągnęłam rękę, a Luke jednym skokiem przypadł do łóżka i sięgnął do niej przez poręcz. Kiedy nasze palce się zetknęły, rozplakałam się.

- Nie płacz, Annie. Jesteśmy z tobą.

Naprawdę byli tu ze mną? Wpatrywałam się zachłannie w nich oboje jak rozbitek na bezludnej wyspie, który nie może się nacieszyć widokiem swoich wybawców. W moim umyśle niedowierzenie walczyło o lepsze z wszechogarniającą radością. Zupełnie jakby cudowny blask zajaśniał w tym ponurym więzieniu; jakby zdjęto kraty z okien i odryglowano zamki. Mój świat z Winnerrow wdarł się tutaj, porywając mnie wartkim nurtem cudownych wspomnień i emocji. Nocne koszmary przysły. Już nie musiałam bać się szaleńca. Serce rozpierała mi radość. Luke nie zapomniał o mnie, nie opuścił mnie. Usłyszał mój krzyk. Nasza miłość była tak silna, że pokonała wszystkie przeszkody. Momentalnie poczułam, że wracają mi siły. Byłam niczym kwiat wstawiony w ciemny kąt i niepodlewany. Kiedy już zwiądł, nagle dopuszczono do niego światło i zrosił go błogosławiony deszcz, aż odżył i rozkwitł. Ja też kwitłam. Znów byliśmy razem.

- Och, Luke, błagam... zabierzcie mnie do domu.

- Po to tu jesteśmy, Annie.

Zza pleców ciotki Fanny wyłonił się nagle Tony.

- I co, wystarczy wam? Widzicie, jaka jest chora? - warknął.

- Luke, nie jestem chora... on wpędza mnie w chorobę. Dodaje mi do jedzenia jakieś prochy, po których słabnę. Nie wiercie mu.

- Tak myślałam... tak jak powiedział ten gość. - Ciotka Fanny przysunęła się bliżej do łóżka i przyjrzała mi się z zatroskaną miną.

- Luke, o kim mówi twoja mama?

- Nie wiem, nie przedstawił się. Zadzwoił do niej, kazał jak najszybciej przyjechać tu ze mną i zabrać cię do domu.

- Troy! - zawołałam. Któż by, jeśli nie on?

- Znasz go? - zapytał.

- Nieważne... dzięki Bogu, że wróciłeś.

- Annie, dziecinko, zaraz cię stąd zabierzemy - powiedziała Fanny.

- Nie możecie jej stąd zabrać bez porozumienia z lekarzem. Ona jest kaleką i potrzebuje specjalnej opieki, sprzętu i lekarstw. - Tony był czerwony jak burak, roztrzęsiony. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie doznał wstrząsu elektrycznego.

- Nie słuchaj go, ciociu Fanny - powiedziałam błagalnie.

- Możecie spowodować fatalne pogorszenie jej stanu... może nawet doprowadzić do śmierci - ostrzegł Tony.

Ciotka Fanny obróciła się ku niemu niespiesznie i bojowo ujęła się pod boki, prostując się na całą swoją skromną wysokość. Wyglądała jak jastrząb szykujący się do ataku na mysz.

- A mnie się widzi, że to przez ciebie dzieciakowi fatalnie się pogorszyło. Popatrz no na nią. Błada, słaba, a do tego zamknięta w tej pałacowej norze śmierdzącej stęchlizną. - Demonstracyjnie pociągnęła nosem.

- Zaraz dzwonię do lekarza!

- A dzwoń se! Co z niego za doktor, jeśli pozwala na coś takiego? Co, on jest ślepy, że nie widzi, w jakim syfie leży moja siostrzenica? W takiej zagrzybionej norze? A może nie chce widzieć, cwaniaczek, bo za to mu płacisz?

- Absolutnie sobie wypraszam, żeby mnie w ten sposób obrażano - oświadczył Tony, przywołując całą dumę i arogancję Tattertonów. Sztywno wyszedł z pokoju, ale nie sądziłam, żeby zbytnio się oddalił.

- Nic się nie bój, Annie - powiedziała ciotka Fanny. - Jedziesz z nami. Luke, obniż tę barierkę, żeby mogła wyjść z łóżka, a ja spakuję walizki.

- Mam niedużo rzeczy i są w prawej części garderoby, ciociu. Walizki stoją w kącie.

Luke ścisnął mi dłoń.

- Tak się cieszę, że cię widzę.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja się cieszę, że cię widzę, Luke! Dlaczego nie pojawiłeś się wcześniej?

- Próbowałem. Wydzwaniałem do Tony'ego Tattertona, a on ciągle mi powtarzał, że lekarze na razie zabraniają wizyt.

- A Drake?

- Drake mówił to samo. Po prostu mnie zbywali.

- Nawet po moim liście?

- List? Nie dostałem żadnego listu.

- Czyli go nie wysłał. Powinnaś się domyślić. Całe to gadanie o twoich kolokwiach,

piknikach i... o dziewczynach było kłamstwem. - Poczułam się okropnie. Jak mogłam podejrzewać Luke'a, że stał się bezdusznym egoistą i podrywaczem? Jak mogłam w niego zwątpić? Jak mogłam dać się oszukać? Od samego początku byłam więźniem tego domu i od początku Tony mnie zwodził. Zrobiło mi się słabo na myśl o jego podłych kłamstwach i fortelach.

- Jakie znowu dziewczyny? - zdziwił się Luke.

- Będziecie dalej ćwierkać, czy jedziemy do Winnerrow? - wtrąciła się ciotka Fanny.

- Już ruszamy, mammo.

- No to do roboty. Opuść barierkę i pomóż Annie usiąść.

Luke zrobił, co kazała, a Fanny szybko dokończyła pakowanie, zostawiając mi tylko ubranie na podróż.

- Znieś na dół walizki, Luke, a ja ubiorę Annie.

- I przyprowadź wózek - dodałam. - Jeden powinien gdzieś tu być. Jeśli nie, drugi stoi na dole.

- Tylko zwijaj się migiem i z nikim nie gadaj - ostrzegła Fanny.

- Tak jest, pani kapitan. - Luke zasalutował jej z uśmiechem. Jak dobrze było znów żartować i śmiać się z nimi!

- No już, pędź, chłoptasiu... o, przepraszam, jeśli uraziłam młodego dżentelmena - odparowała ciotka Fanny.

- Luke jest cudowny. Och, ciociu... jak fajnie, że jesteś! Jeszcze nigdy tak się nie ucieszyłam na twój widok!

- Ja też, kochana, ale szkoda czasu na gadanie. Trza jak najszybciej stąd spadać. Mam ci pomóc?

- Jeszcze wczoraj ubrałabym się sama, ale teraz czuję się taka słaba, że nie dam rady. Pomóż mi włożyć bieliznę, dobrze? Ale obiecuję, że postaram się nie być dla ciebie ciężarem w Winnerrow.

- Oj, ty moja bido - westchnęła i oczy zaszkliły się jej łzami. Nie przypuszczałam, że potrafi być tak ciepła i czuła. - Jaki tam z ciebie ciężar? Żeby tylko takie mieć w życiu! Będziemy chodzić koło ciebie, ile tylko będzie potrzeba, i nic się nie przejmuj. W końcu jesteśmy rodziną, obojętnie, co by kto na ten temat mówił.

- Co masz na myśli, ciociu Fanny?

- Nic, a niby co? Dawaj, ubieramy się.

Pomogła mi, a Luke wrócił z fotelem inwalidzkim. Wyjął mnie z łóżka delikatnie, jakbym była małym dzieckiem, i powoli opuścił na wózek. Jak dobrze i bezpiecznie czułam

się w jego ramionach!

Ruszyliśmy do wyjścia. Obejrzałam się na łożę z baldachimem, toaletkę, lustro, blaty i garderobę. Ta sypialnia powinna być cudownym, uroczym pokojem; przecież należała do mojej mamy. Jaka szkoda, że stała się dla mnie sceną najgorszych koszmarów. Łóżko zmieniło się w klatkę, łazienka i wanna z gorącą wodą - w izbę tortur. Naprawdę czułam się, jakbym uciekała z więzienia. Cała magia i urok Farthy okazały się tylko grą wyobraźni, moim i Luke'a dziecięcym marzeniem. Rzeczywistość była twarda i okrutna.

Kiedy jechaliśmy korytarzem, obejrzałam się na Luke'a i zobaczyłam na jego twarzy niechęć i rozczarowanie. Widział pajęczyny, przepalone żarówki, wydeptany chodnik, spękane, brudne ściany i stare, zblakłe zasłony na wielkich oknach, utrzymujące korytarze w wiecznym półmroku.

Powiedziałam mu, żeby podjechał do podnośnika.

- Tak będzie łatwiej.

- Annie, na pewno wiesz, jak obsługiwać tę maszynę? Jeszcze tego brakowało, żeby był jakiś wypadek! Tony Tatterton od razu wsiadłby nam na głowę.

- Spokojnie, ciociu Fanny, to jest bezpieczne.

- Wracasz do domu, panienko Annie? - usłyszałam nagle i zobaczyłam starego kucharza wyłaniającego się z mroku.

- Tak, Rye. To moja ciocia Fanny i kuzyn Luke. Przyjechali po mnie.

- I bardzo dobrze, panienko Annie - powiedział bez wahania. Ciotka Fanny kiwnęła głową, zadowolona, że ktoś jeszcze potwierdził jej podejrzenia i decyzje. - Szkoda tylko, że nie mogłem przygotować dla ciebie żadnego specjału, z tą pielęgniarką, co wiecznie mnie pilnowała, ani potem...

- Wiem, Rye. Też bardzo żałuję.

- No nic, panienko. Jak wyzdrowiejesz, wpadniesz tu, a stary Rye przygotuje ci same delicje.

- Trzymam za słowo, Rye.

Znów spowaźniał.

- Duchy nie odpuściły, co, panienko?

- Niestety, nie.

- Czego on sobie gołnął? - mruknęła ciotka Fanny. - Kurde, co za dom!

- Parę drinków na odtrutkę, na węzowy jad, proszę pani - odpowiedział Rye.

- Są tu węże?

Oczy mu zabłysły.

- Tak, proszę pani, i to działa, bo żaden mnie nie ukąsił.

Luke otworzył drzwi frontowe, a kiedy wrócił, żeby mnie wypchnąć przez próg, usłyszeliśmy krzyk Tony'ego. Odwróciliśmy się jak na komendę. Stał u szczytu schodów i wygrażał nam pięścią.

- Jeśli zabierzecie tę dziewczynę z mojego domu, odpowiecie za wszystko, jeśli coś się jej stanie. Już dzwoniłem do jej lekarza. Jest oburzony.

- Powiedz mu, żebym sam poszedł do lekarza, najlepiej takiego od czubków - odparowała Fanny i zaśmiała się z własnego dowcipu.

Luke popchnął wózek do drzwi.

- Stać! - wrzasnął Tony i pędem zbiegł na dół.

- Ten gość faktycznie jest świrnięty - stwierdziła z niesmakiem ciotka.

- Stać! - powtórzył, podchodząc do nas. - Nie możecie jej stąd zabrać. Ona jest moja.

- Twoja? - Ciotka Fanny zaśmiała się szyderczo.

- Annie jest moja! Moja! - Tony wziął głęboki oddech i uczynił desperackie wyznanie: - Jest moją prawdziwą wnuczką, a nie przybraną. Dlatego Heaven stąd uciekła... kiedy odkryła prawdę.

- Jaką prawdę, Tony? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Odkryła, że Leigh i ja... że jej matka i ja... po prostu Heaven była moją córką, a nie Luke'a.

- Jezu Chryste! - wykrztusiła Fanny, cofając się o krok.

- Taka jest prawda. Wstyd mi za to, co zrobiłem, ale nie wstydzę się, że mam prawdziwą wnuczkę. Annie, twoje miejsce jest tutaj, u twojego rodzzonego dziadka - zakończył błagalnym tonem.

Teraz zrozumiałam. To dlatego w nocy nazywał mnie Leigh i pchał się do mojego łóżka. Ponownie przeżywał romans sprzed lat, kiedy babcia była jeszcze młodziutką dziewczyną!

- To, co zdarzyło się ostatniej nocy, zdarzyło się już wcześniej - podsumowałam głośno.

- Co się zdarzyło w nocy? - zapytała ciotka Fanny, przysuwając się do mnie.

- Przepraszam cię za to, Annie. Pomieszało mi się.

- Pomieszało? - Te wszystkie razy, kiedy mnie całował, dotykał; wczoraj, kiedy mnie kąpał i już prawie miałam jego usta na swojej szyi... Na samo wspomnienie zrobiło mi się niedobrze, takie to było plugawe i lubieżne. Poczułam się zbrukana i upokorzona, a w głowie brzmiały mi własne krzyki. „Jesteś żaloszny! - krzyczałam. - Nic dziwnego, że mama uciekła z tego domu i nie chciała mieć nic wspólnego z tobą!”. Wtem tknęła mnie okropna myśl. Tony

zdawał się przewidywać, co zaraz powiem. Widziałam to w jego oczach. - Czy pomieszało ci się także w przypadku mojej mamy? Czy taka była prawdziwa przyczyna jej ucieczki z Farthy? - zaatakowałam.

- Nie, ja... to nie była moja wina. - Spojrzał na Luke'a i Fanny, szukając u nich zrozumienia, ale oboje wpatrywali się w niego z obrzydzeniem i zgrozą. - Nie możecie mnie znienawidzić. Nie przeżyję tego jeszcze raz. Annie, proszę, wybac mi. Nie chciałem...

- Nie chciałeś? Czego nie chciałeś? Zrobić dziecka mojej babci? Dlatego uciekła z Farthy i od swojej matki. Wygnałeś ją, tak samo jak moją mamę i teraz mnie. - Moje słowa odbijały się echem w holu, jak odgłos wbijania gwoździ w trumnę. - Chciałeś mnie mieć wyłącznie dla siebie jak... jak... żywy portret mamy. Dlatego kłamałeś, kiedy mówiłeś mi, że dzwoniłeś do Luke'a. Nigdy do niego nie zadzwoniłeś ani nie wysłałeś listu. Chciałeś mnie tutaj uwięzić na zawsze!

- Zrobiłem to tylko dlatego, że cię kocham i potrzebuję ciebie. Jesteś prawą dziedziczką Farthingale Manor i wszystkiego, co się tu znajduje. Nie pozwolę ci stąd odejść! - zakończył z krzykiem.

- Owszem, pozwolisz - rzekł spokojnie Luke, stając pomiędzy nami. Mój Luke, mój dzielny książę, który ruszył mi na ratunek, gotów walczyć ze złym czarnoksiężnikiem z naszej bajki. Tego nie wymyśliliśmy w naszych najśmielszych fantazjach!

Tony zatrzymał się w pół kroku, przygwożdżony spojrzeniem Luke'a.

- Luke, kochanie, chodźmy już stąd - powiedziała ciotka Fanny i Luke obrócił mnie ku drzwiom.

- Annie! - zawołał Tony. - Proszę...

Ciotka otworzyła drzwi szeroko i Luke przejechał przez próg.

- Annie! - zawył Tony. - Annie! Heaven! Och, Heaven, nieee!...

Fanny z hukiem zatrasnęła drzwi, odcinając nas od tego okropnego wycia. Zatkałam uszy dłońmi. Luke szybko sprowadził wózek po rampie do samochodu.

- Możesz usiąść z przodu, jeśli chcesz, Annie - zaproponowała ciocia.

- Chcę.

Luke otworzył drzwi i wyjął mnie z wózka. Na moment, kiedy ostrożnie przenosił mnie na fotel, oparłam mu głowę na piersi. - Zabierzmy ten wózek, Luke - powiedziała Fanny. - Po co ma tu gnąć jak wszystko inne, kiedy może jeszcze się przydać.

Luke złożył wózek i schował do bagażnika. Ciotka usiadła z tyłu. Luke usadowił się za kierownicą i ruszyliśmy.

- Zanim stąd wyjedziemy, zatrzymajmy się na moment przy grobie rodziców, dobrze? -

poprosiłam.

Skręciliśmy na cmentarz Tattertonów i Luke zatrzymał samochód jak najbliżej grobu. Opuściłam szybę. Zapadł już wieczór, blask księżyca oświetlał grobowce.

- Spoczywajcie w pokoju, mamó i tato. Któregoś dnia wrócę i sama podejść do waszego grobu.

- Na pewno, Annie. - Ciotka Fanny poklepała mnie po ramieniu.

Luke uściskał mi dłoń. Utonęłam w ciepłe i miłości jego uśmiechu.

- Jedźmy do domu - powiedziałam.

Kiedy odjeżdżaliśmy z cmentarza, obejrzałam się po raz ostatni i zobaczyłam, jak Troy Tatterton wychodzi z lasu. Uniósł rękę i pomachał mi. Odpowiedziałam tym samym gestem.

- Komu machasz, Annie?

- Nikomu, ciociu Fanny... nikomu.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział dwudziesty pierwszy

POWRÓT DO DOMU

Byłam zbyt podekscytowana, żeby spać w samolocie. Usiedliśmy z Lukiem obok siebie, a ciotka Fanny naprzeciw nas. Nie mogłam się nacieszyć widokiem Luke'a. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, domyślałam się, że musi czuć to samo.

- Uszczypnij mnie i powiedz, że to nie jest sen, Luke. Naprawdę znów jesteś przy mnie?

- To nie sen, Annie - odpowiedział z uśmiechem.

- Tak często marzyłam i śniłam o tej chwili, że ciągle wydaje mi się nierealna - wyznałam. Po raz pierwszy odkąd pamiętałam, nie zaczerwienił się ani nie odwrócił wzroku, kiedy jawnie dałam mu do zrozumienia, że go kocham. Lekko ścisnął mi dłoń. Wszystko we mnie pragnęło, żeby mnie objął, tulił i całował.

- Annie, martwiłem się o ciebie dniami i nocami. Nie mogłem skupić się na nauce, nic mnie nie interesowało. Ludzie próbowali wyciągać mnie na imprezy, na różne spotkania, ale miałem taki ciężar na sercu, że nic mnie nie cieszyło. Cały czas siedziałem w dormitorium, pisząc listy do ciebie.

- Listy, których nigdy nie dostałam! - zawołałam z gniewem. Och, gdybym miała te listy, moje dni w Farthy nie byłyby takie mroczne i smutne.

- Teraz to wiem, ale wtedy nie rozumiałem, dlaczego nie chcesz się ze mną skontaktować, nie zadzwonisz ani nie przekażesz żadnej wiadomości. Myślałem... - Opuścił wzrok.

- Co myślałeś? Powiedz mi - nalegałam.

- Uznałem, że kiedy weszłaś do bogatego świata Farthy, zapomniałaś o mnie. Sądziłem, że Tony otoczył cię zbytkiem, że poznałaś nowe, olśniewające towarzystwo i już przestałem być dla ciebie ważny. Przepraszam, Annie. Wybacz, że mogłem tak pomyśleć.

Serce mi się ścisnęło na myśl, że czuł dokładnie to samo co ja.

- Doskonale rozumiem, dlaczego tak myślałeś, bo ja wyobrażałam sobie to samo - przyznałam.

- Serio? - Zdziwił się. - Więc tęskniłaś, naprawdę tęskniłaś?

- Och, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mi cię brakowało. Samo myślenie o tobie i o twojej zasadzie, że w życiu trzeba się mierzyć z najwyższymi górami, dawało mi nadzieję i siłę do przetrwania. - Uśmiechnęłam się. - Zmierzyłam się z nimi.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc, choć nie było mnie przy tobie.

- Ależ byłeś i wiele razy sobie wyobrażałam, że siedzimy razem w altanie.

- Ja też - przyznał i zarumienił się lekko. Choć inni mężczyźni uznawali go czasem za miękkiego, nawet niedojrzałego, wiedziałam, że jemu trudniej jest czynić takie wyznania niż mnie. - Kiedy przesiadywałam samotnie w swoim pokoju w dormitorium, wyobrażałam sobie nas razem w nasze osiemnaste urodziny. Żałowałam, że nie mogę zatrzymać tego dnia na zawsze, jakby był zamrożony w lodowej bryle. Och, Annie, jeśli znowu zdarzy się nam rozłąka, nie wiem, jak to zniosę.

Byliśmy tak blisko siebie, że nasze wargi prawie się dotykały. Ciotka Fanny zaśmiała się, rozbawiona czymś, co przeczytała w magazynie, i wyprostowaliśmy się na fotelach. Luke patrzył przez okno, a ja opuściłam oparcie i zamknęłam oczy. On przez cały czas trzymał mnie za rękę. Czulałam się bezpieczna.

Samolot wylądował. W samochodzie ciotki Fanny usnęłam i przespałam całą jazdę przez Wirginię. Kiedy otworzyłam oczy, wjechaliśmy już w nasze góry. Nie było autostrady bezpośrednio do Wzgórz Strachu. Stacje benzynowe i motele zdarzały się coraz rzadziej. Droga prowadziła przez gęste lasy. Czasem mijaliśmy małe miasteczka.

Ciotka Fanny spała na tylnym siedzeniu. Radio grało cicho. Luke prowadził. Wydawał mi się taki dorosły, dojrzały. Niedawna tragedia odmieniła nas oboje, pomyślałam. Jeszcze nie ze wszystkich zmian zdajemy sobie sprawę.

Widok znajomych krajobrazów nappełnił mnie ciepłem, spokojem i poczuciem bezpieczeństwa. Zastanawiałam się, czy mama czuła to samo, kiedy uciekła z Farthy z małym Drakiem, nie mogąc znieść postępowania Tony'ego Tattertona. Świat poza Wzgórzami Strachu i Winnerrow musiał się jej wydawać równie twardy, zimny i okrutny, jak mnie teraz.

- Już prawie jesteśmy - powiedział łagodnie Luke.

- Zaraz będziemy w naszym świecie, Annie.

- Och, Luke, a przecież chcieliśmy z niego uciec, znaleźć się w krainie fantazji, w świecie o wiele wspanialszym. Już wiemy, że nie ma nic wspanialszego niż rodzinny dom, prawda?

- Tylko wtedy, kiedy ty tam jesteś - powiedział i sięgnął po moją rękę. Serce biło mi mocno i radośnie.

Luke spoważniał. Zrozumiał, jak głębokie są moje uczucia. I jego uczucia. Wiedziałam, że go to martwi, gdyż oboje chętnie słuchaliśmy porywów serca, nie bacząc na konsekwencje.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Hasbrouck House - szepnęłam.

- Niedługo, już niedługo.

Narastało we mnie podekscytowanie, niecierpliwiłam się coraz bardziej. Wreszcie

wjechaliśmy na rozległą zieloną równinę na obrzeżach Winnerrow. Za oknem migwały schludne farmy i ciągnęły się pola dojrzałej kukurydzy, czekające na żniwa. W oknach małych domków paliły się światła i widać było całe rodziny siedzące przy stołach w ciepłym blasku lamp. Omal nie zapiszczałam z zachwytu na widok światełek chat górniczych rozrzuconych na odległych zboczach. Wyglądały jak gwiazdy, które choć spadły, lśniły dalej.

Wreszcie wjechaliśmy do Winnerrow i sunęliśmy przez Główną aż do samego końca ulicy, mijając siedziby bogaczy i trzymające się z tyłu, skromniejsze domy klasy średniej - przeważnie urzędników z kopalń.

Zamknęłam oczy, kiedy skręciliśmy w ulicę prowadzącą do Hasbrouck House. Za moment będę w domu, ale to już będzie inny dom. Mama i tata nie wyjdą, żeby nas powitać... nie będzie śmiechów, czułych całusów, uścisków i słów miłości. Rzeczywistość zwała mi się na głowę jak potężna oceaniczna fala. Nie mogłam od niej uciec ani jej powstrzymać. Rodzice leżeli w grobie w Farthy. A ja byłam kaleką. To nie sen.

- No, dzięki Bogu, jesteśmy na miejscu. - Ciotka Fanny przeciągnęła się i ziewnęła. - Zatrąb, Luke, niech służba wie.

- Annie nie potrzebuje tłumy, mamo.

- Zatrąb, nie gadaj.

Patrzyłam na dom, na jego wysokie białe kolumny i duże okna. Wdychałam zapach magnolii i przez moment znów czułam się jak mała dziewczynka wracająca do domu po rodzinnych wakacjach nad oceanem - i tak jak wtedy służba gromadziła się na ganku, żeby nas powitać.

Pani Avery tonęła we łzach, mnąc w dłoni jedwabną, obszytą koronką chusteczkę, którą kupiłam jej kiedyś na urodziny. Pomachała nią do mnie jak mokrą flagą i zaczęła schodzić z tarasu tak szybko, jak pozwalały jej zreumatyzowane nogi.

- Witaj w domu, kochana! - wołała.

Ciotka Fanny odsunęła się dyskretnie, żeby gospodyni mogła mnie ucałować.

- Witam, pani Avery.

- Twój pokój już czeka wypucowany i wywietrzony.

- Dziękuję.

George, zwykle sztywny i wyprostowany jak tyczka, zbiegał po stopniach niczym młodzieniaszek; jeszcze nie widziałam, żeby poruszał się tak szybko i uśmiechał tak radośnie.

- Witaj w domu, Annie. - Sztywnym gestem wyciągnął do mnie rękę, ale jego długie, smukłe palce tkliwie oplotły mi dłoń.

- George, jak dobrze cię widzieć.

W kolejce czekał już Roland w nienagannie białym, wykrochmalonym fartuchu. W rękach niósł tacę z tortem waniliowym z napisem: WITAJ W DOMU ANNIE I NIECH BÓG CIEŻ BŁOGOSŁAWI.

- Och, Roland, dzięki!

Luke wyjął mój wózek, rozłożył go i czekał. Służba cofnęła się o parę kroków i patrzyła, jak wyjmuję mnie z samochodu. Był niezwykle skupiony i poważny, ale kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się. Cudownie było znów znaleźć się w jego ramionach. Nadal był moim księciem, a ja jego księżniczką.

- Wyrabiasz się w noszeniu mnie. - Zachichotałam.

- Naturalny talent - odpowiedział z uśmiechem. W jego szafirowych oczach mignął łobuzerski błysk, jak u taty.

- Wezmę bagaże - zaoferował się George.

Roland przekazał tort pani Avery i pomógł Luke'owi wnieść mnie z wózkiem na schody.

- Może też trzeba będzie zrobić rampę - zastanawiała się głośno ciotka Fanny.

- Nie, ciociu. Zanim zdążysz ją zbudować, ja już będę chodzić o własnych siłach - zapewniłam.

- Dobrze myślisz, panienko. Trzeba wierzyć - pochwalił Roland.

Wnieśli mnie od razu do mojego pokoju. Jeszcze nigdy nie wydawał mi się tak przytulny. Łzy szczęścia pociekły mi po policzkach. To był dom, prawdziwy dom! Będę spała we własnym łóżku, wśród swoich mebli. Przez moment wspomnienie Farthy wydało mi się tylko snem, taka była moc mojego pokoju.

Zatrzymałam spojrzenie na domku z pozytywką i pomyślałam o Troyu. Poczułam się jak olbrzymka, która ogląda się za siebie, na miejsce, skąd przybyła. Tyle mu zawdzięczałam! On też przyczynił się do uratowania mnie.

- Och, Luke, jak cudowny jest mój pokój. Wcześniej tego nie doceniałam!

Były tu moje obrazy, szkice i materiały malarskie, starannie poukładane, tak jak je zostawiłam. Niedokończony obraz Farthy, który zaczęłam na krótko przed wypadkiem, nadal znajdował się na sztaludze. Jak mylnie to sobie wyobrażałam, pomyślałam gorzko. Kolory były wesołe, a dom i cały krajobraz miłe, zapraszające. Malowałam fantazję, nie rzeczywistość. Nic dziwnego, że mama namawiała mnie na inne tematy. Wiedziała, że żyję w wyobrażonym, wymarzonej świecie, co może mi bardzo zaszkodzić.

- Całkowicie się myliłam co do Farthy, Luke - powiedziałam. - Moje obrazy były czystą fantazją.

- Wyobrażałaś sobie tę posiadłość lepszą i piękniejszą, ale nie miej do siebie pretensji. Jeżeli zabronimy sobie marzeń, świat będzie potwornie ponury. A może teraz będziemy bardziej cieszyć się z tego, co mamy.

W pokoju zrobił się ruch. George przyniósł moje walizki, a pani Avery przygotowała łóżko. Gadali wszyscy naraz. Ich radość i podekscytowanie były zaraźliwe.

- Dziękuję wam - oznajmiła ciotka Fanny. - Teraz ja pomogę Annie.

Służba wycofała się posłusznie. Ze sposobu, w jaki reagowali na jej słowa, widać było, że już przejęła tu rządy.

- Wpadnę później, Annie. Coś ci przynieść? - zapytał Luke.

- Na razie nic. Tylko siebie.

- Nie ma sprawy, choć może lepiej, żebyś nie widywała mnie tak często, bo znudzę ci się jak stara tapeta.

- Nie ma takiej możliwości. - Znacząco ścisnęłam jego rękę. Miał twarz tuż przy mojej twarzy i pomyślałam, że zaraz pocałuje mnie w policzek, ale przeszkodził mu głos ciotki Fanny.

- Luke, jak masz iść, to idź! Mamy tu trochę roboty.

- Przepraszam. Cześć, Annie. Zadzwońię do doktora Williamsa, poproszę, żeby wpadł do nas jak najszybciej i cię zbadał, a potem powiedział nam, jak mamy o ciebie dbać.

Gdy wyszedł, poprosiłam ciotkę:

- Czy mogłabyś sprowadzić tu jutro fryzjera? Muszę jak najszybciej przywrócić włosy do poprzedniego stanu.

- Właśnie, Annie, skąd w ogóle wziął się ten pomysł z farbowaniem?

- Tony mnie namówił. Przekonywał, że dzięki temu pocuję się znów jak ładna, młoda kobieta. Ciągle wspominał, że mama ufarbowała włosy, i pokazywał mi zdjęcia. Przypuszczam, że zgodziłam się tak wyglądać z tęsknoty za nią. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, z jakich chorych powodów Tony chciał, żebym przefarbowała włosy. Za wszelką cenę próbował sprawić, bym wyglądała jak Heaven i jak moja babcia Leigh. Słyszałaś, co mówił w Farthy, więc już wiesz dlaczego.

Ciotka Fanny w zamyśleniu zmrużyła powieki.

- Swojego czasu nienawidziłam Heaven za to, że nie chciała, abym zamieszkała z nią w Farthy. Myślałam, że się sadzi na wielką damę, bo weszła na salony starego piernika i w to całe bogate towarzystwo, ale teraz rozumiem, przez co musiała przejść. W jakiś sposób musiało jej być ciężiej niż na Wzgórzach Strachu. I nigdy nie rozumiałam, czemu tak uparcie starała się zebrać do kupy całą naszą pokręconą rodzinę. Ona potrzebowała rodziny sto razy

bardziej niż ja, choć żyła w zbytku. Ale też otaczały ją kompletne świry. Pomyśl tylko, obłąkana babka i Tony Tatterton... kto wie, co tam jeszcze się działo? A myśmy zostawili ciebie w jego rękach... - Pokręciła głową.

- Nie możesz się za to obwiniać, ciociu Fanny. Skąd miałaś wiedzieć? Tony załatwił mi najlepszych lekarzy; miałam wszystko, czego potrzebowałam, łącznie z prywatną pielęgniarką, choć niestety, okazała się sadystką.

Opowiedziałam jej, co się działo. Ciotka Fanny słuchała, co chwila zagryzając usta.

- Szkoda, że jej tu nie ma - syknęła. - Rozjechałabym tę babę!

- Ciociu Fanny, nie wydawałaś się zdziwiona, kiedy Tony oznajmił, że jest prawdziwym ojcem mojej mamy. Wiedziałaś wcześniej?

- Na krótko przedtem, jak mojego brata zagryzł tygrys w cyrku, Tom przysłał mi list, w którym opisał rozmowę z Lukiem, naszym papą. Był cały wzburzony i przejęty, bo dowiedział się, że Heaven nie jest tak naprawdę córką Luke'a. A on z Heaven od dzieciństwa byli bardzo blisko i żyć bez siebie nie mogli. Dlatego tak go to trzepnęło i musiał się z kimś podzielić. W każdym razie wydaje się, że kiedy mój ojciec ożenił się z twoją babcią Leigh, ona była już w ciąży z Tonym Tattertonem. Ponoć Leigh wyznała Luke'owi, że Tony ją zgwałcił... zdaje się, że więcej niż raz. Dlatego uciekła z tego pieprzonego pałacu, od tej całej fortuny i skończyła na Wzgórzach Strachu, w nędznej chałupie, z naszym papą. Umarła w czasie porodu, więc żadne z nas nie mogło jej znać. Heaven zawsze uważała, że Luke jej nienawidzi, bo jego ukochany anioł oddał swoje życie, by ją wydać na świat. Pewnie tak, ale musiało być coś więcej. Można sobie wyobrazić, jak musiał się czuć Luke, wiedząc, że Heaven nie jest jego dzieckiem.

- Zatem Tony jest moim prawdziwym dziadkiem, bo chyba nie wymyślił tego po to, żeby skłonić mnie do pozostania z nim - podsumowałam, dopiero teraz w pełni zdając sobie sprawę z wagi tych słów

- Na to wygląda - powiedziała ciotka i dodała, mylnie interpretując moją zmartwioną minę: - Ale to, że on ma nie po kolei w głowie, nie znaczy jeszcze, że ty masz dać się zwariować, Annie. Nim się już nie martw.

- Myślałam o czymś innym, ciociu Fanny. O mamie i o tym, jak musiało jej być ciężko, kiedy sama poznała tę prawdę. Nie zdradziła jej nikomu, prawda? Podobnie jak ty.

- Tak. Nigdy nie powiedziałam nikomu, tylko adwokatowi, bo jedynie tak mogliśmy podważyć wyrok w sprawie opieki nad Drake'em. Ale wiadomość nie wyszła dalej, bośmy z Heaven zawarły cichy układ. Zaproponowała, że kupi Drake'a, a ja go jej sprzedałam. Kupczyłyśmy dzieciakiem tak samo, jak kiedyś kupczono nami. - Ze wstydem spuściła oczy.

- To przeszłość, ciociu Fanny, sprawa zamknięta. Jeśli popełniłaś jakieś grzechy, odkupiłaś je z nawiązką.

- Naprawdę tak uważasz, kochanie? Wybaczasz mi nawet, że miałam Luke'a juniora z twoim ojcem?

- Zawsze trzeba szukać lepszych stron życia i nie oglądać się wstecz.

- Och, jaka z ciebie cudowna i dobra młoda dama. - Fanny posmutniała. - Ale teraz już wiesz, że nie jestem twoją prawdziwą ciotką.

- Nie mów tak, zawsze będziesz moją ciotką, nieważne, czy łączą nas więzy krwi.

- A ja będę cię dalej kochać jak siostrzenicę... co ja mówię, jak własną córkę. Poza tym ty i Luke dalej jesteście przyrodnim rodzeństwem.

Bez przerwy zastanawiałam się, jak wiele zmieniło się po tym wypadku. Nagle się okazało, że moja mama nie miała w sobie krwi Casteelów, choć została wychowana w tej rodzinie, mieszkała w chałupie na Wzgórzach Strachu i uważała Toby'ego i Annie Casteel za ukochanych dziadków. Dla mnie te rewelacje były bolesne i burzyły porządek rzeczy, do którego przywykłam, więc mogłam sobie tylko wyobrazić, co czuła mama, kiedy dowiedziała się prawdy. Zupełnie jakby nagle straciła całą rodzinę i została adoptowana przez obcych!

Niespodziewanie stała się jedną z Tattertonów i musiała zamieszkać w domu pełnym duchów i wspomnień, z chorobliwie zaborczym ojcem. Nic dziwnego, że uciekła stamtąd z małym Drake'iem w ramionach. Drake! Okazało się, że nie jest moim wujkiem i pewnie jeszcze o tym nie wie - chyba że Tony w napadzie szaleństwa wybełkocze mu coś na ten temat. Ja nie paliłam się, żeby o tym rozmawiać. Uznałam, że ból powinnam na zawsze zachować w swoim sercu.

Uświadomiłam sobie, że straciłam nie tylko rodziców, ale także dziedzictwo krwi. Już mnie z Lukiem nie łączy przeszłość, historie z życia Wzgórz Strachu opowiadające o naszych pradziadkach. Nie miałam już rodzinnej przeszłości, bo nie chciałam pamiętać niczego, co Tony Tatterton mówił mi o swoim ojcu i dziadku.

Zaiste, znalazłam się w momencie, w którym muszę zacząć nowe życie i stać się kimś innym, niż byłam. Jaka będę? Jak zmienią się moje relacje z Lukiem? Przyszłość rysowała się niejasno i przerażająco. Znalazłam się w życiowym labiryncie i nie miałam pojęcia, jak długo będę się w nim błąkać. Tęskniłam za kimś takim jak Troy, kto wziąłby mnie za rękę i wyprowadził z matni. Ciocia Fanny okazała się cudowna i nawet sobie nie wyobrażałam, że potrafi być tak czuła i troskliwa, lecz ona też była wstrząśnięta i nie potrafiła mi pomóc.

Nie mogłam zawołać taty ani iść do mamy. A Drake był tak zuroczony Tonym Tattertonem i swoją pozycją w jego firmie, że nie mogłam już na nim polegać. Straciłam

wujka, który był dla mnie jak starszy brat; odebrały mi go blichtr, bogactwo i władza. Tony objawił mi się nagle jako diabeł, któremu Drake zaprzedał duszę.

Mój ponury świat stawał się pogodny i pełen nadziei tylko wtedy, kiedy myślałam o Luke'u. Jemu mogłam powiedzieć, jak się czuję i czego się lękam. Ale czy powinnam obarczać go swoimi problemami? Czy rola jedyne go powiernika i pocieszyciela dla kogoś tak zdesperowanego i samotnego jak ja nie okaże się dla niego zbyt przygniatającym brzemieniem?

Ciocia Fanny pomogła mi przebrać się w nocną koszulę i położyć do łóżka... mojego własnego, mięciutkiego łóżka z pościelą pachnącą bzem. Wróciła pani Avery, żeby poukładać moje ubrania, a potem zwlekała jeszcze, poprawiając to i tamto albo ścierając niewidzialne pyłki, aż ciocia Fanny powiedziała jej, że muszę odpocząć w spokoju.

- Teraz pojedę z Lukiem na zakupy i przywieziemy parę rzeczy, które mogą ci się przydać, na przykład taki sprytny stolik na łóżko.

- I chodzik. Jutro rano zacznę trenować.

- Dobrze. A teraz odpocznij, kochanie, we własnym domu rodzinnym. - Pocałowała mnie w czoło i odwróciła się do wyjścia.

- Ciociu Fanny?

- Tak?

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś.

Pokręciła głową z oczami błyszczącymi od łez i szybko wyszła z pokoju.

Leżałam, wpatrując się w drzwi swojej sypialni z próżną nadzieją i zarazem z oczekiwaniem. Och, gdyby mama mogła przyjść do mnie jeszcze raz! Gdybyśmy mogły sobie pogadać tak jak zawsze... Bardzo potrzebowałam jej mądrości i pocieszenia. Może jeśli zamknę oczy i zasnę, obudzę się rano i usłyszę jej kroki w korytarzu, jej cichy, ciepły śmiech, a moment później zobaczę, jak pojawia się w drzwiach.

Rozsunęłyby zasłony i otworzyła szeroko okna, żeby wpuścić świeże powietrze i słońce.

„Wstawaj. Taki piękny dzień! Nie trać czasu, bo każda chwila jest bezcenna, Annie. Każda chwila jest darem, a chyba nie chcesz tych darów zmarnować, nie jesteś niewdzięcznicą, prawda?”

„Och, mamó, jestem kaleką. Moje nogi są jak stare, nasiąknięte wodą kłody”.

„Nonsens - odpowiedziałyby. - Życie jest takie, jak je sobie ułożysz. Powiedz zaraz tym nogom, że miały długi urlop, ale teraz trzeba się wziąć do pracy”.

Czy usłyszałam śmiech? Czulałam dłonie mamy przesuwające się po moich nogach i

magicznym sposobem przywracające im siłę.

„Już dobrze” - oznajmiła, prostując się nad moim łóżkiem, a potem się rozplynęła w powietrzu.

- Mamo... Mamusiu! - Słońce znikło za wielką czarną chmurą. Mój pokój zrobił się szary i ponury; w kątach czaiły się cienie. - Mamo!

- Annie?

- Co to... kto... Luke?

Stał przy moim łóżku.

- Wszystko w porządku? Usłyszałem twoje krzyki.

- Och, Luke... proszę, przytul mnie mocno... - jęknęłam.

Usiadł na brzegu łóżka i objął mnie. Wtuliłam twarz w jego pierś i płakałam, a on delikatnie głaskał mnie po włosach.

- Już dobrze, Annie - szeptał. - Jestem z tobą. Już dobrze.

Wtem poczułam jego wargi na swoim czole. Pocałunek, mający dodać otuchy, przeniknął drzeniem moje piersi, kiedy poczułam ciepły oddech na policzkach. Nasze serca były zgodnym rytmem.

- Chyba miałam zły sen - wyjaśniłam nieco zmieszana. - A kiedy się obudziłam, myślałam, że koło łóżka stoi pani Broadfield. Była dla mnie okropna, Luke. Zmuszała mnie do kąpieli w bardzo gorącej wodzie. Skórę miałam czerwoną jak rak i potem długo jeszcze mnie piekła.

Dotknął palcami mojego policzka.

- Moja biedna Annie. Tak cierpiałaś, a ja nie mogłem ci pomóc. Czemu byłem taki głupi?

- To nie twoja wina, Luke. Nie mogłeś wiedzieć.

Ciągle tuliliśmy się do siebie. W końcu Luke powoli opuścił mnie na poduszkę i siedząc na brzegu łóżka, patrzył na mnie.

- Annie...

Położyłam mu palce na ustach i pocałował je. To sprawiło, że moje ciało z radosnym dreszczem obudziło się do życia.

- Lepiej wróć do siebie - powiedział.

- Jeszcze nie idź. Zostań ze mną chwilę, aż zasnę. Proszę.

- Dobrze. Zamknij oczy.

Posłuchałam. Luke okrył mnie starannie, podciągając mi kołdrę pod brodę. Czułam, jak palcami muska moją twarz i włosy.

- Luke...

- Śpij, Annie. Jestem przy tobie.

Sen wreszcie przyszedł, tym razem krzepiący. Kiedy się obudziłam, słońce zaglądało przez okna i zobaczyłam, że Luke śpi skulony w nogach mojego łóżka jak mały chłopiec. W pierwszym momencie nie pamiętałam, skąd mógł się tu wziąć. Kiedy się poruszyłam, jego powieki zadrgały. Otworzył oczy i spojrzał na mnie. Świadomość, że spał w moim łóżku, otrzęźwiła go jak kubel lodowatej wody. Usiadł wyprostowany, rozejrzał się nieprzytomnie.

- Masz fajną piżamę, Luke.

- Co? Och... Musiałem zasnąć. Wybacz. - Zerwał się z łóżka.

- Nic się nie stało, Luke. - Chciało mi się śmiać. Spodnie od piżamy miał z przodu uroczo wybrzuszone.

- Ja... zaraz wrócę, tylko się ubiorę - powiedział i wybiegł z pokoju.

Wkrótce pojawił się stary, kochany doktor Williams. Odkąd pamiętam, leczył naszą rodzinę. Był krępy, zażywnym mężczyzną o kędzierzawych jasnych włosach, teraz mocno posiwiałych. Już od progu powitał mnie szerokim, serdecznym uśmiechem i od razu poczułam się rażniej. Nie miałam wrażenia, że naciska mnie i nakłuwa jak zwierzę laboratoryjne i co najważniejsze, nie stała za nim antypatyczna pielęgniarka, która krzywiła się na każde pytanie, jakie zadawałam lekarzowi.

- Masz dobre ciśnienie i twoje serce pracuje prawidłowo, Annie. Oczywiście będę chciał dostać twoje prześwietlenia i kartę choroby ze szpitala w Bostonie. Zaraz się tym zajmę, ale już po tym badaniu widzę, że nie ma żadnych powodów, abyś nie mogła chodzić.

- Udało mi się już ustać samodzielnie i nawet zrobić dwa kroki, doktorze - pochwaliłam się. - Ale nie chcieli, żebym ćwiczyła dalej.

- Naprawdę? - Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek, gładząc podbródek palcami. - Dziwne, bo masz czucie w nogach i całkiem silne odruchy. W gruncie rzeczy twój problem ma obecnie naturę bardziej emocjonalną niż fizyczną. Po co skazywać cię na wózek i niepotrzebnie przedłużać stan niepełnosprawności?

- Więc mogę ćwiczyć chodzenie?

- Według mnie tak. Tylko nie ćwicz za dużo naraz, żeby się nie przemęczyć. Twoje ciało samo da ci znak, kiedy będzie miało dosyć. Przyjadę do ciebie, jak tylko otrzymam dokumentację z bostońskiego szpitala. Cieszę się, że wróciłaś do domu. Jestem pewien, że szybko dojdiesz do siebie.

- Dziękuję, doktorze.

Dostrzegł łzy w moich oczach i przybrał minę dobrego ojczulka. Jego uśmiech pogłębił się, a oczy błyszczały życzliwością.

- Wiesz, jak lubiłem twoich rodziców i jak bardzo lubię ciebie, Annie. Musisz być teraz silna, żeby podolać wielu wyzwaniom. - Delikatnie uszczypnął mnie w policzek, jak robił zawsze, i wyszedł.

Zaraz po nim zjawił się Luke.

- Och, przepraszam - bąknął i zawrócił, widząc mnie nadal w pościeli. - Myślałem, że już wstałaś i szykujesz się do śniadania.

- Hej, panie Casteel, wracaj mi tu zaraz, przysuń sobie krzesło i opowiedz mi dokładnie, co robiłeś w czasie, kiedy ja byłam w Farthy. Chcę usłyszeć wszystko o uczelni... a zwłaszcza o dziewczynach. - Pamiętałam, co mówił mi w samolocie, jak martwił się o mnie i siedział samotnie w pokoju, ale pamiętałam też opowieści Drake'a i chciałam wiedzieć, jak było naprawdę.

- Dziewczyny? - Luke podszedł do łóżka. - O co ci chodzi? Już wcześniej wspomniałaś coś o nich. Czemu?

- Nie spotkałaś tam nikogo fajnego? - drążyłam.

- Niespecjalnie. Zresztą nie miałem czasu na życie towarzyskie, byłem zajęty wdrażaniem się do zajęć, kompletowaniem książek i materiałów... i próbami kontaktu z tobą.

- A ja myślałam... Drake kiedyś cię tam odwiedził, prawda? - Serce zabiło mi mocniej. Czy Luke kłamał, żeby mnie nie martwić? Czy mam naciskać, żeby powiedział mi prawdę?

- Tak, wpadł do mojego pokoju chyba na dziesięć minut. Akurat leżałem na łóżku i czytałem - rzekł obojętnym tonem.

- Sam? - Nie dawałam za wygraną; musiałam wyciągnąć od niego prawdę, choćby miała złamać mi serce.

- Mieszka tam mnóstwo ludzi, ale wszyscy są zabiegani i słabo się znają. Do tego tak bardzo martwiłem się o ciebie, że...

- Drake miał wrażenie, że jesteś zajęty kimś zupełnie innym. - Wyrzuciłam to w końcu z siebie.

Luke był coraz bardziej zdezorientowany.

- Serio? Nie sądziłem, że coś takiego sobie pomyślał. Rozwodził się na temat twojego zdrowia, potrzeby zostawienia cię w ciszy i spokoju, bez żadnych wizyt, a potem zerknął na zegarek i zmył się szybko, tłumacząc się pilnymi interesami. Na odchodnym rzucił, że będziemy w kontakcie. Potem dzwoniłem do niego parę razy i za każdym razem sekretarka w biurze informowała mnie, że jest na spotkaniu albo na zebraniu. Wobec tego prosiłem

Tony'ego i słyszałem tę samą odpowiedź.

W końcu zadzwoniłem do Farthy i rozmawiałem z panią Broadfield. A jak wiesz, nie była sympatyczna. Dlatego bardzo się ucieszyłem, kiedy kolega mi przekazał, że dzwoniłaś. Od razu pognąłem do Farthy Kiedy... kiedy Tony nie chciał mnie wpuścić, mało brakowało, żebym odepchnął go i wdarł się do ciebie na siłę. Nie zrobiłem tego, bo bałem się, że jeszcze bardziej ci zaszkodzię. Dzięki Bogu moja mama odebrała telefon od tamtego człowieka i od razu ruszyła do akcji. Dalej już wiesz. A teraz opowiedz mi, o czym rozmawialiście z Tonym, kiedy wyjeżdżaliśmy z Farthy. Co mu się pomieszało?

- Och, Luke, to było koszarne, bolesne i obrzydliwe zarazem. Czułam się bezsilną ofiarą, uzależnioną od jego obłędu. Dodatkowym cierpieniem była świadomość, że tak nie powinno być; że to, co ufnie uważałam za konieczne leczenie i najlepszą opiekę, było efektem szaleństwa. Do końca życia będą mnie dręczyć koszmary!

- Nie, Annie, nie będą, bo kiedy złe wspomnienia wrócą, ja je odpędzę. Ale, proszę, opowiedz mi o wszystkim. Będzie ci lżej.

- To było żenujące i teraz, kiedy już wiem, że miałam do czynienia z szaleńcem, czuję brudna, zbrukana. - Wzdrygnęłam się, jakbym chciała strząsnąć z siebie złe wspomnienia.

Luke ujął moją dłoń.

- Powiedz, Annie, co on ci robił?

- Musiałam się przebierać przy nim i uparł się, że pomoże mi przy kąpieli.

Twarz Luke'a zmartwiała.

- Nie potrafiłam mu się przeciwstawić - mówiłam dalej. - Nie mogłam do nikogo zadzwonić, nikt nie mógł mnie odwiedzać, a Tony... początkowo wydawał się taki... ojcowski. Pozwoliłam, żeby umył mi plecy, pozwoliłam... Ach, Luke, samo myślenie o tym mnie brzydzi.

Zakryłam twarz rękami. Luke usiadł koło mnie na łóżku i przygarnął mnie mocno, gładząc po włosach.

- Jestem na siebie wściekły, że wcześniej nie przybyłem ci na ratunek.

- Przecież nie mogłeś wiedzieć, co się dzieje. Ale byłeś przy mnie i pomagałeś mi. W najgorszych, najbardziej bolesnych i samotnych chwilach myślałam o tobie. Och, Luke, tak bezpiecznie się przy tobie czuję, zupełnie jak dawniej. - Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. - Wiem, że to nie fair. Nie powinnam od ciebie tyle wymagać i zajmować ci czas, bo pewnie chcesz znaleźć sobie dziewczynę, ale...

Przyłożył mi palec do ust.

- Nie mów tak, Annie. Najbardziej lubię być... być z tobą.

Pocałował mnie w policzek. Zamknęłam oczy w pełnym nadziei oczekiwaniu, spodziewając się dotyku jego warg na moich wargach, ale nie zrobił tego. W głębi mego ciała budził się dreszcz, policzki płonęły.

- Och, Luke, nic nie poradzę, że tak się czuję przy tobie - szepnęłam.

- Ja też, Annie. - Przyciągnął mnie do siebie. - Na szczęście ten koszmar już się skończył. Powiedz mi, kto zadzwonił do mojej matki? Ktoś ze służby?

Zawahałam się, niepewna, czy mogę zdradzić Luke'owi sekret Troya. Ale dzieliliśmy już wiele tajemnic i wiedziałam, że mogę na nim polegać.

- Powiem ci, tylko zachowaj tę wiadomość dla siebie i nie zdradź jej nikomu, dobrze?

- Oczywiście. Tyle mam w sercu naszych tajemnic zamkniętych na klucz, że jedna więcej nie zrobi różnicy.

- To był Troy Tatterton.

- Troy Tatterton? Myślałem, że...

- On nie umarł, Luke, ale chce, żeby ludzie mieli go za zmarłego.

- Czemu?

- Miał trudne, smutne życie i pragnie, żeby zostawiono go w spokoju.

- I właśnie on zadzwonił do mamy? Co za szczęśliwy traf!

- To nie był przypadek. Myślę, że Troy od początku czuwał nade mną. Pokazał mi swój domek i wiesz co? Ta miniaturka, ten domek z pozytywką przedstawia właśnie dom Troya!

- Serio?

- Troy pomógł mi wstać i zachęcił, żebym spróbowała chodzić. Czułam się jak dziecko, które stawia pierwsze kroczki, ale przekonał mnie, że muszę bardziej się starać i codziennie trenować, przyzwyczajając nogi do utrzymywania ciężaru ciała.

- Bardzo słusznie. Od dzisiaj zaczniesz ćwiczyć z chodzikiem. Pomogę ci.

- Na razie pomóż mi przesiąść się na wózek.

Popatrzył na mnie niepewnie.

- Może jeszcze odpoczniesz. Nie wiem...

- Ale ja wiem. Nie jestem taka słaba, jak myślisz.

Podprowadził wózek do łóżka i delikatnie zsunął mi z nóg okrycie. Następnie wsunął lewą rękę pod moje uda, drugą objął mnie w pasie i uniósł.

- Nie jestem za ciężka?

- Ależ skąd! Jesteś lekka jak piękne, ulotne marzenie.

Przez moment trzymał mnie w ramionach. Nasze twarze były tak blisko, że kiedy odwróciłam się ku niemu, nasze usta omal się nie zetknęły. Popatrzyliśmy sobie w oczy.

Czułam, jak cudowny żar rozplywa się po moim ciele, magiczny, miękki i jedwabisty.

- Mógłbym cię tak trzymać przez wieczność - szepnął Luke.

- A gdybym poprosiła, żebyś już mnie nie puścił? I trzymał tak zawsze?

Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło.

- Nie puszczę cię, jeśli mi nie każesz.

- Pobawmy się trochę - zaproponowałam. - Udawaj, że właśnie znalazłeś mnie w Farthy, leżącą w tym koszmarnym pokoju, uśpioną zaklęciem złego czarnoksiężnika. Odłóż mnie z powrotem na łóżko - zażądałam.

Uśmiechnął się i wykonał mój rozkaz. Położyłam się z rękami wzdłuż boków i zamknęłam oczy.

- Forsuję drzwi i wpadam do komnaty! - zawołał.

- Tak - powiedziała, zachwycona, że podjął wyzwanie. - Widzisz mnie i serce ci pęka - dodałam, nie otwierając oczu.

- Cierpię okropnie, bo pomyślałam, że już się nie obudzisz i straciłem cię na zawsze.

- I wtedy przypominasz sobie o zaklęciu. Dawno temu powiedziano ci, że coś takiego się stanie i że musisz pocałować śpiącą księżniczkę, by ją obudzić. Ale to musi być szczery pocałunek.

Nie odpowiedział i przez moment myślałam, że się spłoszył, lecz nie otworzyłam oczu. Najpierw zorientowałam się, że Luke pochyla się nade mną, a potem wyczułam, że jego twarz jest coraz bliżej, bliżej... aż jego wargi dotknęły moich. Leciutko, delikatnie całował moje spragnione usta.

- Pocałunek miał być szczery - szepnęłam i otworzyłam oczy. Miałam ochotę objąć go za szyję i przyciągnąć do siebie, ale byłam jak ubezwłasnowolniona przez własne uczucia i jego hipnotyczne spojrzenie. Nie mogłam się ruszyć.

- Działa! Obudziłaś się! - Luke znowu chwycił mnie w objęcia.

- Mój książę - powiedziała z czułością.

- A teraz zabieram cię z tego straszego łoża. - Trzymał mnie jeszcze przez długą chwilę. Jeśli musiał walczyć z sobą, nie okazał tego. W końcu zaczęłam się śmiać.

- Dobra, mój księciu, posadź mnie na wózek. Wierzę ci - powiedziała, myśląc, że powinniśmy uważać, gdyż w każdej chwili ktoś może wejść do pokoju.

Luke posadził mnie bardzo ostrożnie i cofnął się o krok.

- Jak wyglądam? - zapytałam. - Tylko mów prawdę - dodałam szybko, z obawy że zmieniałam się i zbrzydłam.

- Cóż... schudłaś trochę. I niestety, jakoś nie mogę się przyzwyczaić do twojego nowego

koloru włosów.

- Jutro wracam do naturalnego koloru.

- Ale poza tym... nie zmieniłaś się. Jesteś piękna jak dawniej.

- Ach, ty prawilbyś mi komplementy nawet wtedy, gdybym była cała w krostach. - Nie dałam po sobie poznać, jakim jego słowa przejęły mnie dreszczem.

- Ale nie masz krost, a ja wiem, co mówię. Jesteś i byłaś piękna. Mam cię gdzieś zawieźć?

- Nie, zostań ze mną jeszcze trochę.

Kiwnął głową, świdrując mnie tym swoim niebieskim spojrzeniem.

- Kiedy tak patrzyłem na ciebie... leżącą z zamkniętymi oczami, nie chciałem... nie chciałem udawać. Chciałem naprawdę cię pocałować, Annie - wyznał.

- Przecież pocałowałaś mnie naprawdę. I było cudownie.

Kiwnął głową i umknął spojrzeniem w bok, jakby bał się powiedzieć za dużo.

- Och, Luke, tak za tobą tęskniłam!

Przygryzł dolną wargę i niedostrzegalnie przytaknął. Dostrzegłam, że tłumi łzy.

- O, widzę, że już wstałaś. To dobrze - powiedziała Fanny, nagle pojawiając się w drzwiach. - To jak, pomogę ci się ogarnąć i zjemy śniadanie, co?

- Tak, ciociu Fanny.

- No to do roboty. Zmyj się na razie, Luke, bo Annie będzie się ubierać.

- W takim razie przyniosę śniadanie - zaoferował i ruszył do drzwi.

- Luke! - zawołałam za nim. - Dzięki, ale nie trzeba. Koniec jedzenia w łóżku. Nie jestem inwalidką.

Uśmiechnął się.

- Świetnie. Będę ćwiczył z tobą chodzenie tyle razy, ile zechcesz.

- Ile czasu mam jeszcze słuchać waszej gadki? - prychnęła ciotka.

- Już idę. - Roześmiał się i wyszedł.

- Co za gaduła z tego chłopaka! Ma to po moim dziadku Tobym, słowo daję. Dziadek potrafił godzinami siedzieć na ganku chaty, rzezając te swoje króliki i nawijając bez przerwy, aż do zachodu słońca. Jak umarła babcia Annie, jeszcze długo potem gadał do niej, jakby siedziała przy nim.

- Powiem ci, ciociu, że teraz to rozumiem. Trudno rozstać się z ludźmi, których się kocha, i człowiek nie chce tego robić bez względu na to, co podpowiada mu zdrowy rozsądek.

Ciotka Fanny cofnęła się o krok i otaksowała mnie wzrokiem.

- Bardzo żeś się zmieniła, Annie. Przez tę tragedię zrobiłaś się bardziej dorosła. Babunia

często powtarzała, że ciężkie przejścia dają mądrość. Tak było z Heaven. Była o niebo mądrzejsza ode mnie. Och, ja też nie miałam łatwego życia, ale głównie rozczulałam się nad sobą, więc nie miałam się kiedy nauczyć. No, dość już tego, bo zaczynam paplać jak Luke, a robota czeka. Załatw się w łazience, a potem pomogę ci się umyć i ubrać.

Zjawiała się też pani Avery i obie zajęły się mną sprawnie i delikatnie. Jak wielka była różnica pomiędzy ich czułymi dłońmi i serdecznymi słowami a chłodnym, mechanicznym podejściem pani Broadfield! Żadne pieniądze i żadna profesjonalna medyczna opieka nie są w stanie zastąpić ludzkiej troski. Powinnam to wiedzieć od początku, od kiedy Tony z dumą oferował mi najlepszych lekarzy i najlepszą opiekę, jakie można kupić za pieniądze. Już wtedy powinnam zażądać, żeby odwieziono mnie do domu.

Szybko zostałam umyta i przebrana. Wrócił Luke.

- Gotowa? - zapytał.

Czy mam się wycofać i poprosić o śniadanie do pokoju, czy odważyć się stawić czoło światu bez mamy i taty? Luke spojrzeniem dodawał mi odwagi.

- Tak - odpowiedziałam. - Jestem gotowa.

W paru krokach stanął za wózkiem.

- Będzie dobrze - szepnął, a kiedy ciotka Fanny i pani Avery odwróciły się do nas plecami, szybko cmoknął mnie w policzek.

Rozdział dwudziesty drugi

MIŁOŚĆ BŁOGOSŁAWIONA, MIŁOŚĆ PRZEKŁĘTA

Wjechałam do jadalni i spojrzałam na puste krzesła przy stole, gdzie siadywali rodzice. Serce skurczyło mi się i zatrzasnęło jak muszla przerażonego małża. Przez moment wszyscy milczeli i każdy spoglądał na mnie ze współczuciem.

A potem zagadali wszyscy naraz... ciotka Fanny zaczęła wydawać polecenia, pani Avery narzekała na to czy tamto, a Roland zapowiedział najbardziej wyborne śniadanie w całym Winnerrow. Nawet George, zwykle bardziej nieporuszony niż indiański wódz z reklamy, zadawał dziesiątki niepotrzebnych pytań. Czy przynieść jeszcze jeden stojak do serwetek? Czy dzbanek do soku jest odpowiedni?

- Kochani, błagam was - powiedziałam w końcu - po prostu cieszymy się śniadaniem. To nie jest królewska uczta, gdzie wszystko musi być idealne. Cudownie jest znów być z wami. Kocham was i strasznie się za wami stęskniłam.

Tym razem popatrzyli na mnie z czułością.

- Bierzmy się do jedzenia - nakazała ciotka - bo zaraz wszystko będzie zimne jak łożo starej panny.

- Oj, nie mogę! - Pani Avery zakrztusiła się śmiechem i po chwili wszyscyśmy jej zawtórowali.

- Umówiłam cię dzisiaj po śniadaniu do salonu piękności - powiedziała do mnie Fanny.

- Jest piękna pogoda i mogę cię tam zawieźć wózkiem - zaproponował Luke.

Śniadanie było przepyszne. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się najadłam, a Roland ciągle przynosił mi z kuchni nowe smakołyki do spróbowania.

Po śniadaniu Luke powiózł mnie niespiesznie do centrum Winnerrow trasą, którą najbardziej lubiliśmy, pod magnoliami rosnącymi przy ulicy i wzdłuż rzędu domów, które tak dobrze znałam. Dzień był rzeczywiście piękny - jeden z tych rzadkich dni późnego lata, kiedy słońce świeci jasno na błękitnym niebie, ale nie ma upału, gdyż powietrze chłodzi rześki wiaterek z gór. Ludzie siedzieli na ławkach; wielu pozdrowiało mnie albo składało mi wyrazy współczucia z powodu śmierci rodziców.

- Czuję się jak stulatka - poskarżyłam się Luke'owi.

- A mnie to miasto wydaje się teraz inne - stwierdził. - Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jaka skromna i krótka jest nasza Główna. Kiedy byłem mały, wydawała mi się wielka i jasna jak Times Square w Nowym Jorku.

- Rozczarowany?

- Nie, raczej rozczulony. Chciałbym tu kiedyś osiąść. A ty?

- Chyba tak. Ale najpierw chciałabym zwiedzić świat.

- Och, jasne, pod tym warunkiem.

- Nie wiadomo, czy twoja przyszła żona będzie chciała zamieszkać na prowincji - rzuciłam, badając jego nastawienie do przyszłości, której tak się obawiałam. Niestety, byliśmy rodzeństwem przyrodnim i któregoś dnia będziemy musieli znaleźć sobie partnerów. Kiedy Luke wróci na uczelnię, będę musiała kolejny raz zderzyć się ze świadomością, że nie zawsze będzie tu ze mną.

Zacisnął usta.

- Musi tego chcieć, bo inaczej nie zostanie moją żoną. - Był poirytowany samą myślą o partnerce, która nie będzie mną. Gniew zawsze mu dodawał niebezpiecznego uroku. - Pamiętaj, że twoja mama wróciła tu ze świata ludzi możnych i wpływowych. Jeśli ona mogła to zrobić...

Nie chciałam mu wyjaśniać, jakie były prawdziwe przyczyny porzucenia przez moją mamę wielkiego świata. On nie słyszał ostatnich wyznań Tony'ego Tattertona.

- Wychowała się tutaj i kiedy wróciła, zamieszkała w cudownym, starym domu i zajęła się interesami. Ty na Harvardzie spotkasz dziewczyny z miast dużo większych niż Winnerrow. Pewnie sobie nie wyobrażają, że mogłyby się obyć bez wielkich galerii, ekskluzywnych butików, bez modnych lokali, teatrów, opery i innych atrakcji. - Mówiłam to z bólem, ale chciałam go przygotować na nieuniknione.

- Nie interesują mnie takie dziewczyny - uciął. - Zresztą to samo może spotkać ciebie. Poznasz wielu facetów, którzy zapragną wyciągnąć cię z tej prowincjonalnej dziury, gdzie życie jest proste i nudne.

Przykro było o tym myśleć, jeszcze bardziej przykro wypowiadać te myśli na głos, ale najgorszy był przymus ukrywania ich we własnych sercach. Udawanie i fantazjowanie nie powinno zamienić się w okłamywanie siebie. Krótki, ale koszmarny pobyt w Farthy boleśnie mnie tego nauczył.

- Czekał, mam pomysł. - Luke ożywił się nagle. - Niech moja dziewczyna myśli, że się z nią ożeni, i niech twój facet myśli, że za niego wyjdiesz. A potem dzięki nam się poznają, stworzą parę i będą szczęśliwi.

Pokręciłam głową ze śmiechem. Luke nie był gotów na przyjęcie prawdy. Być może miał poczucie, że musi mnie chronić, że ciągle jestem zbyt słaba i krucha.

- No dobrze, Luke, ale co będzie z nami?

- My? Ty... ty zostaniesz starą panną, a ja kawalerem i zestarzejemy się razem w Hasbrouck House.

- Tylko czy będziemy szczęśliwi? - zapytałam z powagą.

- Dopóki jestem z tobą, Annie, jestem szczęśliwy.

- Jednak czuję, że zabieram ci normalne życie.

- Nie mów tak - zachnął się, zatrzymując wózek. Obejrzałam się i zobaczyłam ból w jego oczach. Sprawiał wrażenie małego chłopca, ciągle zaczepianego i krzywdzonego przez starszych kolegów, w którym narasta rozpacz, gdyż nic nie może na to poradzić.

- Przepraszam - powiedziałam miękko, ale nadal wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

- Mówię serio, Annie. Nie mógłbym ożenić się z żadną, chyba że byłaby drugą tobą. Lecz Annie jest tylko jedna.

Puls zaczął mi przyspieszać. Nagle się zorientowałam, że ludzie na nas patrzą.

- Dobrze, jeśli znajdziesz podobną, przyślij ją do mnie, a udzielę jej paru lekcji. - Usiłowałam obrócić tę rozmowę w żart, jednak w głębi duszy byłam egoistką, która pragnęła, aby nasze losy ułożyły się tak, jak przewidział Luke - żadne z nas nie znajdzie sobie partnera i będziemy zawsze razem, wierni sobie i kochający, szczęśliwi, choć nie będziemy mogli się pobrać i mieć dzieci.

Zbliżyliśmy się do salonu piękności. Dziewczyny musiały nas wypatrywać, gdyż właścicielka, Dorothy Wilson, i jej dwie asystentki wybiegły, aby nas powitać.

- Porywamy ci ją, Luke - powiedziała ze śmiechem Dorothy, przejmując wózek.

Zajął się mną wszystkie trzy. Czesaly mnie, robiły mi pedikiur i manikiur, a przy tym bezustannie trajkotały, dostarczając mi zaległe i najświeższe plotki z miasta. Luke poszedł się spotkać z dawnymi kumplami i wrócił niedługo po tym, jak dziewczyny skończyły.

Nie tylko zmieniły mi kolor włosów, ale jeszcze namówiły mnie na francuski warkocz. Kiedy Luke wszedł, widziałam po jego minie, że jest zachwycony.

- Jak wyglądam?

- Przepięknie - wykrztusił. Zerknął na Dorothy i zarumienił się zakłopotany. - Wyglądasz dużo lepiej niż w tamtym kolorze. Myślę, że wszyscy tak sądzą. - Niepewnie przestąpił z nogi na nogę. - Musimy już iść, bo za chwilę mama przyśle tu Geralda, żeby sprawdził, czy coś się nam nie stało.

- Naprawdę podoba ci się moja fryzura? - upewniłam się, kiedy wyszliśmy z salonu i zmierzaliśmy w stronę Hasbrouck House.

- Bardzo. Znów jesteś sobą, Annie.

- Poczulałam się dużo bardziej sobą już w momencie, kiedy wróciłam do domu. Ciągle

mam wrażenie, że obudziłam się po długim śnie. Kiedy wrócimy, przyniesiesz mi chodzik i zobaczymy, czy naprawdę wracają mi siły, czy tylko tak sobie wyobrażam.

Luke zostawił mnie przed wejściem i poszedł po chodzik. Potem pojechaliśmy alejką okrążającą dom i zatrzymaliśmy się przy altanie. Luke wziął mnie za rękę.

- Wniosę cię do środka - zaproponował.

- Dobrze. - Z trudem zdołałam wypowiedzieć to jedno słowo; po prostu dławiło mnie szczęście.

Luke ostrożnie wyjął mnie z wózka. Otoczyłam ramieniem jego szyję i nasze policzki się zetknęły. Powoli wniósł mnie po schodkach i posadził na ławce. Usiadł przy mnie, trzymając mnie za rękę i patrząc mi w oczy. Rozejrzałam się.

- Miałaś rację z tymi powrotami. Wszystko wydaje mi się teraz mniejsze i bardziej zniszczone.

- Ale ważne, że znów jesteśmy tu razem. Zamknij oczy i przypomnij sobie, co ta altana dla nas znaczyła, a potem zażycz sobie, żeby nadal przynosiła nam szczęście. Wiem, że tak będzie. Przyszedłem tutaj w dniu, w którym odwiedziłem cię z mamą w szpitalu w Bostonie.

- Naprawdę? - Popatrzyłam mu głębiej w oczy, a on zatonął spojrzeniem w moich. Mieliśmy wrażenie, że zagłębiamy sobie nawzajem w dusze, wychodząc poza nasze ciała, a nawet umysły. Czuliśmy oboje, że dzielimy coś wyjątkowego, magicznego, dostępnego tylko nam.

- Tak, Annie, usiadłem w altanie i zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem, że siedzisz naprzeciwko mnie roześmiana i wiatr rozwiewa ci włosy. Mówiłaś do mnie.

- Co mówiłam? - zapytałam szeptem.

- Powiedziałaś: „Nie smuć się, Luke. Poczuję się lepiej, odzyskam siły i wrócę do Winnerrow”. Potem znikłaś, a ja znów zamknąłem oczy i ponownie je otworzyłem, w nadziei że cię zobaczę. I wtedy stało się coś magicznego, Annie.

- Co?

- Znalazłem to na podłodze altany - Wyjął z kieszeni satynową różową wstążkę, którą wówczas wiązałam włosy - Och, możliwe, że od dawna leżała gdzieś głębiej i wiatr wywiał ją na środek, ale ja swoje wiem. Jak więc widzisz, to miejsce jest trochę magiczne.

Magiczne, powtórzyłam w myśli. Tak, bo miłość jest magiczna. Oczywiście nie miałam prawa tak myśleć. Młody mężczyzna i młoda kobieta blisko spokrewnieni nie powinni patrzeć na siebie tak zachłannie jak my, nie mówiąc już o wzajemnym pożądaniu. A jednak nie mogliśmy się powstrzymać. Czy mamy otwarcie podjąć wyzwanie i wyznaczyć sobie wszystko

do końca? Czy dalej udawać, że jesteśmy tylko bliskimi przyjaciółmi albo kochającym się przyrodnim rodzeństwem?

Czy to sprawi, że przestanę go pragnąć? Czy uspokoi bicie mojego serca, które trzepocze za każdym razem, kiedy Luke jest blisko? Czy przestanę fantazjować i marzyć o nim? Jeśli miłość jest magią, możemy równie dobrze zostać przeklęci, jak i błogosławieni.

Błogosławieni, gdyż ile razy byłam z Lukiem, czułam, że żyję i jestem kobietą. Przeklęci, gdyż męką jest pragnąć kogoś, kogo nie można kochać bez opamiętania.

Może lepiej nie wierzyć w magię.

- Chcę być z tobą, Luke - szepnęłam - ale...

- Wiem, Annie. - Położył mi palec na ustach, aby powstrzymać słowa, których oboje się obawialiśmy. Cofnął palec i pochylił się ku mnie. Serce mi łomotało, z trudem łapałam oddech.

Nagle Luke powrócił do rzeczywistości. Odsunął się ode mnie i wstał, wyraźnie wytrącony z równowagi.

- Przyniosę chodzik. Na pewno ci się uda. Zrobisz to dla nas - powiedział.

- Nie spodziewaj się zbyt wiele - zastrzegłam. - Dopiero niedawno zaczęłam odzyskiwać czucie w nogach.

Uśmiechnął się, jak gdyby wiedział lepiej. Przycisnęłam do serca różową wstążkę i czekałam, aż rozłoży chodzik i ustawi go przede mną. Skończył, odstaąpił krok do tyłu.

Położyłam dłonie na poręczach chodzika, zacisnęłam je mocno i natężając mięśnie, dźwignęłam się z ławki. Z początku nogi mi się trzęsły, ale stopniowo wracały mi siły i stanęłam wyprostowana. Teraz drżały mi ręce. Luke zbliżył się i obserwował mnie uważnie.

- Nie, zostań tam - poprosiłam. - Muszę dać sobie radę sama.

Duża chmura zakryła słońce i cień spadł na altanę jak wielka czarna kurtyna odcinająca ją od świata. Choć było ciepło, lodowaty dreszcz przeszedł mi po krzyżu i spłynął do nóg. Wyprężyłam się, żeby stać wyprostowana, a potem skoncentrowałam się na wysunięciu prawej nogi do przodu. Grymas wykrzywił mi twarz.

- Idź, Annie, idź - dopingował mnie Luke.

Całym wysiłkiem woli dosunęłam drugą nogę. Serce łomotało mi z radości. Teraz wysunęłam lewą nogę, rozpoczynając następny krok, starając się, żeby był jak najdłuższy. Przypominało mi to dzieciństwo i sięganie po złoty mosiężny pierścień w czasie jazdy na karuzeli. Człowiek wychylał się z siodła swojego konika, sięgając jak najdalej i muskając pierścień czubkami palców, a potem wreszcie go chwycił. Lewa stopa przesunęła się w przód i zaraz dołączyła do niej prawa. Chmura odpłynęła i promienie słońca zdjęły zasłonę z altany.

Miałam poczucie, jakby spadł ze mnie wielki ciężar, zerwały się więzy krępujące mi kolana i kostki. Moje nogi wydawały się teraz takie mocne, tak bardzo żywe.

Uśmiechnęłam się i zrobiłam następny krok, tym razem dłuższy. Szło mi coraz lepiej. Jeszcze bardziej wyprostowałam plecy, aż poczułam, że naprawdę stoję na własnych nogach, a chodzik jest tylko asekuracją.

Udało się!

- Stoję sama, Luke! Stoję! Nie opieram się na chodziku!

- Wiedziałem, że dasz radę!

Spowaźniałam i ostrożnie oderwałam lewą rękę od chodzika.

- Annie, zaczekaj! - krzyknął Luke. - Nie za dużo naraz.

- Nie, Luke, dam radę. Muszę!

Zaczął iść ku mnie, ale powstrzymałam go gestem.

- Nie pomagaj mi.

- Jeśli upadniesz, mama mnie zabije.

- Nie upadnę.

Prawą ręką odsunęłam chodzik jak najdalej od siebie, a potem wyprostowałam się, stanęłam mocniej na nogach i puściłam chodzik.

Stałam pewnie i bez żadnej pomocy! Nogi znów mnie słuchały!

Luke wyciągnął ręce i zbliżył się, gotów chwycić mnie w każdej chwili.

Dopiero teraz zauważyłam, że w lewej dłoni ciągle ściskam różową wstążkę. Teraz już się nie wahałam. Uniosłam prawą stopę, zrobiłam krok, dołączyłam drugą. Na twarzy Luke'a pojawił się radosny, szeroki uśmiech. Zrobiłam kolejny krok i jeszcze jeden, aż w końcu zmęczone nogi nie wytrzymały i ugięły się pode mną. Zanim zdążyłam osunąć się na ziemię, Luke chwycił mnie, przygarnął do siebie i pocałował w policzek.

- Annie, ty chodzisz! Chodzisz!

Byłam nieludzko szczęśliwa i zasypywałam jego twarz pocałunkami.

Nagle nasze usta się spotkały. Zetknięcie było tak szybkie i niespodziewane, że nie zdążyliśmy się wycofać i połączył nas namiętny pocałunek. Luke pierwszy się opamiętał, odsunął twarz. Miał w oczach poczucie winy. Przebiliśmy się przez dzielący nas mur, przekroczyliśmy granicę, złamaliśmy zakaz.

- Nic się nie stało. Cudownie, że się całowaliśmy - zapewniłam go.

Ciągle mnie tulił.

Wtem rozległ się tupot nóg. Obróciliśmy się gwałtownie i zobaczyliśmy Drake'a. Był wściekły. Sięgnęłam do chodzika i wysunęłam się z objęć Luke'a.

- Annie! - wrzasnął Drake. Wbiegł do altany, gniewnie wymachując rękami przed Lukiem. - Kiedy usłyszałem, co się stało w Farthy, przerwałem ważną podróż służbową. I dobrze zrobiłem. Zjawiam się w samą porę!

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął Luke. Spoglądali na siebie wrogo, zaciskając pięści.

- Ty i ta twoja prostacka mamusia nie mieliście prawa zabierać Annie z Farthy, gdzie miała najlepszą opiekę medyczną, prywatną pielęgniarkę przez całą dobę, najlepszy sprzęt, gdzie...

- Drake, proszę, przestań - przerwałam mu. - Nie wiesz, co tam się działo. Próbowałam ci o tym powiedzieć, ale nie chciałeś słuchać. Może posłuchaj mnie teraz.

- Co takiego chcesz mi powiedzieć? - prychnął gniewnie. Jeszcze nie widziałam go w takiej furii. - Że wróciłaś tutaj, aby odgrywać z nim... odgrywać te wasze fantazje? Już dawno coś podejrzewałem, a teraz mam pewność. Nie winię ciebie o to, Annie - dodał, przenosząc spojrzenie na Luke'a. - Wykorzystano twój zły stan, twoją słabość.

- To nieprawda!

Zdawał się mnie nie słyszeć. Nienawistnie wpatrywał się w Luke'a, jego czarne oczy gorzały jak węgle w palenisku.

- Powinienem przetrząść ci kark i skończyć z tobą raz na zawsze - wycodził, ściągając wargi w wilczym grymasie nienawiści.

- Spróbuj - odpowiedział Luke. Twarz miał czerwoną, rysy mu stężały, usta zacisnęły się w wąską linię.

- Nie, Luke! Drake, posłuchaj! To ja zadzwoniłam do Luke'a i poprosiłam, żeby zabrał mnie z Farthy!

Zbliżyli się do siebie, głusi na moje krzyki.

- Wiedziałem, łajdaku, że wyjdzie z ciebie złe nasienie - burknął Drake. - Nic dziwnego, skoro wychowała cię matka dziwka. Od początku ukrywałeś swoją prawdziwą naturę. Ale ja domyślałem się jej po sposobie, w jaki patrzyłeś na Annie przez te wszystkie lata.

- Drake, przestań! - Bałam się, co jeszcze powie w tym gniewie.

- To się wreszcie musi skończyć. Bo inaczej...

- Drake! Luke! - błagałam bezsilnie.

Nagle altana zaczęła wirować wokół mnie jak karuzela, chodzik zakręcił w miejscu tak szybko, że nie mogłam utrzymać równowagi. Zachwiałam się i runęłam do tyłu. Zanim obaj zdążyli mnie złapać, upadłam na deski i ogarnęła mnie ciemność.

Obudziłam się we własnym łóżku z zimnym okładem na głowie. Ciotka Fanny i pani Avery pochylały się nade mną. Luke siedział w jednym rogu, Drake w drugim i obaj boczyli się na siebie.

- Posłałam już po doktora Williamsa - mówiła ciotka Fanny. - Zaraz tu przyjedzie. Sforsowałaś się, co? Wiedziałam, że tak będzie.

- Nic mi nie jest.

- Pozwól, że doktor o tym zadecyduje, Annie - powiedział miękko Luke.

Pani Avery zmieniła kompres na nowy, wilgotny i chłodny. Zjawił się doktor Williams i wszyscy oprócz ciotki Fanny wyszli z pokoju.

Zbadał mi puls, zmierzył ciśnienie krwi i posłuchał serca, a potem usiadł przy łóżku i pokręcił głową, spoglądając to na Fanny, to na mnie, z krzaczastymi brwiami wygiętymi jak dwa znaki zapytania.

- Co tu się działo?

- Na moje oko Annie miała dzisiaj za dużo dobrego, doktorze. Pozwoliliśmy, żeby wstała i zjadła z nami śniadanie. Potem Luke zawiózł ją do salonu piękności i tam długo siedziała, a potem wróciła i od razu zaczęła ćwiczyć z chodzikiem w altanie.

- Przesadziłaś, Annie. A ostrzegałem. - Pogroził mi żartobliwie krótkim, grubym palcem.

- Nie byłam zmęczona, doktorze Williams.

- Cóż, puls i praca serca są w normie. Ciśnienie trochę wysokie, lecz nie jest alarmujące. Musisz teraz porządnie wypocząć i więcej się nie forsować. W końcu dodzwoniłem się do Bostonu i tamtejszy lekarz obiecał jak najszybciej przysłać twoje papiery. Ale już z tego, co mi powiedział, wiem, że masz szansę całkowicie wyzdrowieć. To tylko kwestia czasu.

- Tak, doktorze. Sama to czuję.

- Bardzo dobrze, Annie. - Wstał i zwrócił się do ciotki Fanny. - Wszystko będzie dobrze. Tylko niech odpocznie przez parę dni.

- Słyszysz, co powiedział doktor?

- Tak, ciociu Fanny. Dziękuję, doktorze.

- Wpadnę do was niedługo. - Uśmiechnął się, dodając mi otuchy, i poklepał mnie po ręce.

Ciotka Fanny ruszyła za nim do drzwi.

- Ciociu, czy możesz poprosić tu Drake'a? Muszę z nim porozmawiać. Mogę, prawda, doktorze?

- Oczywiście. Bylebyś odpoczywała.

Zaraz pojawił się Drake z ponurą miną, pod którą ciągle tlił się tłumiony gniew.

- Drake, proszę, usiądź i wreszcie wysłuchaj mnie spokojnie. Doktor Williams powiedział, że nic mi się nie stało.

Nie skorzystał z zaproszenia. Długą chwilę stał, podpierając framugę, aż wreszcie zrobił parę kroków w moją stronę. Jednak nie zamierzał usiąść.

- Nie rozumiem, jak możesz słuchać tego prowincjonalnego doktora, Annie. Pozwól, że spakuję twoje rzeczy i zabiorę cię z powrotem do Farthy.

- Kiedy ostatnio mnie odwiedziłeś w Farthy, obiecałeś, że mnie stamtąd zabierzesz, jeśli zechcę!

- Och, powiedziałem tak, bo byłaś oszołomiona lekami i sama nie wiedziałaś, czego naprawdę chcesz.

- Nie chodziło o leki. Horror zaczął się od pani Broadfield, która okazała się okrutnym tyranem. Uważała mnie za zepsutą bogatą dziewczynę i okazało się, że nienawidzi bogatych ludzi. Traktowała mnie okropnie.

- Okay, ale Tony ją zwolnił, kiedy się poskarżyłaś, prawda? I szukał następnej pielęgniarki, więc chyba nie był to wielki problem.

- Tony jest jednym wielkim problemem. Od początku nie chciał, żebym wyzdrowiała.

- Jak to? Co za bzdury wygadujesz? Posłuchaj, Annie...

- Nie, to ty posłuchaj. Tony chciał, żebym została tam na zawsze. Pragnął uwięzić mnie w swoich wspomnieniach, w swoich pokrętnych wyobrażeniach. Rozmyślnie nie pozwalał, abym robiła to, co prowadzi do szybkiego wyzdrowienia. Świadomie przedłużał mój stan inwalidztwa, aby móc przetrzymać mnie w pokoju, w łóżku, całkowicie zależną od niego. Kiedy pokazałam mu, że potrafię już sama wstać z łóżka i usiąść na wózek, zabrał mi wózek i chodzik z pokoju, żebym nie mogła się ruszyć!

- A ja uważam, że po prostu nie chciał, abyś działała na własną rękę, niwecząc swoje szanse na szybkie wyzdrowienie. - Wreszcie usiadł i uśmiechnął się do mnie szeroko. - Rozumiesz, ludzie chorzy często nie mają cierpliwości do długiej rehabilitacji i...

- Nie, Drake, on nie myślał o moim zdrowiu. On myślał tylko o sobie.

- No nie, Annie. Teraz to już...

- Tony nie jest normalny! - krzyknęłam histerycznie, zaszokowana, że nie chce uwierzyć w coś, co wydawało mi się oczywiste. Zaskoczyła go gwałtowność mojego ataku. - Drake, na litość boską... on przychodził do mnie w nocy, myśląc, że jestem moją prababką Leigh, wyobrazasz sobie?!

- Co takiego?! - Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Tak, a do tego chciał... kochać się ze mną, myśląc, że jestem Leigh.

- Och, twoje leki powodują jakieś halucynacje. Tony, ten spokojny i mądry starszy dżentelmen? Właśnie dlatego tu przyjechałem - dodał, przyjmując rzeczowy, zatroskany ton. - Złamałaś mu serce, kiedy pozwoliłaś Fanny i Luke'owi, żeby uprowadzili cię z Farthy. Tony płakał mi w słuchawkę. Nie rozumiał, dlaczego opuściłaś go bez pożegnania po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił. „I zrobiłbym jeszcze więcej - powiedział. - Zrobiłbym wszystko, czego by sobie zażyczyła. Przebudowałbym dla niej całe Farthy”.

- Chryste, Drake, naprawdę jesteś ślepy? Nie widzisz, co się dzieje?

- Nie jestem ślepy, Annie. Widzę starszego pana o dobrym sercu, który bardzo nam pomógł i który dał mi wielką zawodową szansę... obiecując kierownictwo filii Fabryki Zabawek Tattertonów w Winnerrow i nadzór nad wieloma innymi projektami... a do tego zapewnił ci najlepszą możliwą opiekę lekarską, nie zważając na koszty. Czy to jeszcze mało? I widzę moją puszczalską starszą siostrę przyrodnią, która karmi cię kłamstwami, abyś wróciła tutaj, pod jej opiekę, i pragnie zawłaszczyć wszystko, czego Logan i Heaven dorobili się ciężką pracą. A mój perwersyjny siostrzeniec też nie zasypia gruszek w popiele i udając poświęcenie, omamia cię jakimiś fantomami... ściąga cię do altany, do twojego magicznego miejsca - dodał z sarkastycznym uśmiechem.

- On nie jest perwersyjny, Drake. I to ja chciałam iść do altany.

- Annie, jesteś teraz taka bezbronna... słaba, pełna emocji... łatwo cię zdominować... Fanny mówi ci bezczelne kłamstwa, a Luke cię uwodzi, kusi... i właśnie dlatego chcę, żebyś wróciła ze mną do Farthy, gdzie będziesz bezpieczna i...

- Bezpieczna? Czy ty mnie w ogóle słuchałeś, Drake?

Wpatrywał się we mnie przez chwilę płonącymi oczami.

- Luke podburzył cię przeciwko mnie... miesza ci w głowie tym teatrem fantazji, który ciągle odgrywacie. Dlatego...

- Przestań go oskarżać. Całkowicie się mylisz co do niego. Luke jest dobry i troskliwy. Zrezygnował nawet z letniego kursu, żeby się mną opiekować!

- Zawsze go bronisz. Cokolwiek bym o nim powiedział, od razu go usprawiedliwiasz - powiedział z pretensją.

- Drake... - Wyciągnęłam do niego rękę.

- Nie! - Cofnął się od łóżka. - Heaven na pewno stanęłaby po mojej stronie. Nie podobało się jej, kiedy ciągle widziała was razem.

- Mylisz się, Drake - zaprotestowałam, choć wiedziałam, że ma rację.

- Widziała, co się dzieje, i martwiła się tym. Ja w każdym razie nie zamierzam siedzieć beczynnie, udając, że to mi się podoba. Kiedy wreszcie dojdiesz do rozumu, zadzwoń do mnie, a rzucę wszystko i przyjadę, żeby zabrać cię do Farthy. Farthy jest twoje... i kiedyś będzie tylko nasze!

- Ale ja go nie chcę! Mam tutaj wszystko, czego potrzebuję. Farthy nie jest takie, jak myślisz. Heaven miała absolutną rację. Nie słuchałam jej, ale teraz już wiem i powinieneś mnie posłuchać. Farthy to przygnębiające cmentarzysko smutnych wspomnień. Nie wracaj tam. Zostań tutaj. Załatw sobie pracę w naszej fabryce i zapomnij o Farthy, proszę cię.

- Nie. Kiedyś to wszystko będzie moje. Tony mi obiecał. Obiecał! Pamiętaj, co ci powiedziałem. Zadzwoń do mnie, kiedy oprzytomniejesz.

Wyszedł.

Wcisnęłam twarz w poduszkę i załkałam. Drake był tak wściekły i bezwzględny! Znikły troska i czułość kochanego starszego brata. Znikł łagodny wyraz jego oczu. Pieniądze, władza i prestiż Tattertonów go odmieniły. Zupełnie jakby zaprzedał duszę diabłu.

Drake zostawił mnie w gniewie, Luke nie pojawił się i trwałam w niepewności, czy bardziej się nie pokłócili.

Pani Avery zajrzała do pokoju, pytając, czy chcę zjeść lunch w jadalni, ale byłam tak roztrzęsiona, że wolałam zjeść sama. Ciocia Fanny przyniosła mi jedzenie. Zapytałam, gdzie jest Luke.

- Powiedział, że musi się przejechać i przemyśleć sobie spokojnie różne sprawy. Nie było go co zatrzymywać. Kiedy mężczyzna Casteelów ma humory, lepiej jest przeczekać. Krew twojego taty rozrzedziła gorącą krew Casteelów, ale jak widzisz, czasami coś wybije na wierzch. Niech Luke ochłonie.

- Dobrze, ale jak wróci, powiedz mu, żeby do mnie przyszedł, ciociu Fanny.

Kiwnęła głową i wyszła. Dla zabicia czasu wróciłam do niedokończonego obrazu Farthy i zaczęłam go poprawiać, aby stał się bardziej realistyczny. Było dla mnie istotne, że robię to teraz, odcinając się od dziecięcych fantazji. Domalowałam postać mężczyzny wychodzącego z labiryntu. Kiedy skończyłam i odsunęłam się, żeby ocenić swoje dzieło, zobaczyłam, że udało mi się dokładnie oddać rysy Troya. Byłam z siebie dumna. Dawno nie miałam takiego przypływu natchnienia.

Ulubione zajęcie uspokoiło mnie i przywróciło mi siły, toteż postanowiłam zjeść kolację z domownikami. Ciocia Fanny przyszła po mnie z panią Avery. Byłam zawiedziona, że Luke jeszcze nie wrócił. Choć Roland zaserwował nam pieczoną kurę w sosie czereśniowym - jedno z moich ulubionych dań - a na deser było cudowne ciasto czekoladowe,

jadłam z dużo mniejszym apetytem niż poprzednio. Ciągle zerkałam na drzwi, lecz Luke się w nich nie pojawił.

Pooglądałam trochę telewizję z ciocią Fanny, mimo woli nasłuchując silnika samochodu zajeżdżającego pod dom, ale mijały godziny, a Luke nie wracał. Wreszcie, zniechęcona i zmęczona, poszłam do łóżka.

Spałam niespokojnie, budząc się co chwilę, nasłuchując znajomych odgłosów domu i pragnąc usłyszeć wreszcie kroki Luke'a. Było trochę po północy, kiedy ocknęłam się nagle, wyczuwając jego obecność. Rzeczywiście, stał przy moim łóżku w smudze księżycowego blasku.

- Luke, gdzie byłeś? Dlaczego wróciłeś tak późno? - zapytałam.

- Pojechałem do chaty na Wzgórzach Strachu, Annie, żeby pomyśleć w spokoju.

- Do chaty? - Nerwowo usiadłam na łóżku.

- Przyjeżdżałem tam, kiedy byłem młodszy - wyznał szybko, a potem zmarszczył czoło, kryjąc gniew, który ciągle w nim buzował. - Drake jeszcze tu jest?

- Nie, odjechał w pośpiechu. Jest wściekły, bo odmówiłam powrotu do Farthy.

- Jeszcze nigdy nie byłem tak wściekły na niego. Miałem nadzieję, że mnie uderzy, bo mógłbym mu oddać - powiedział Luke, a jego spojrzenie stało się zimne i zdeterminowane. Chyba jednak się zorientował, jaki twardy i nienawistny musiał mi się wydać, gdyż złagodniał, rozluźnił napięte ramiona. - Zdaje się, że mam agresję we krwi, podobnie jak on. Mama często mówi o krwi Casteelów. - Usiadł przy mnie. - Chciałbym być podobny do ciebie, Annie. Mamy tę samą krew, Stonewallów i Casteelów, ale ty jesteś tak inna - tolerancyjna, spokojna, wyrozumiała.

- Och, Luke... nie jesteśmy dokładnie tej samej krwi. Tony wcale nie bredził bez sensu, kiedy wyjeżdżałam z Farthy. Mama nie była z rodu Casteelów.

- Jesteś tego pewna? Sama mówiłaś, że Tony'emu wszystko się miesza.

Powiedziałam mu to, co przekazała mi ciocia Fanny. Chłonał moje słowa z napiętą uwagą, a potem przytaknął z wolna, jakby się spodziewał, że któregoś dnia usłyszy coś takiego.

- Nie zmienia to faktu, że nadal jesteśmy rodzeństwem przyrodnim - podsumowałam.

- Nasze losy są splecione i mroczne. - Z westchnieniem kręcił głową jak stary, zgnębiony człowiek. - Jakby pisane było nam cierpienie, niekończące się cierpienie.

- Mój stan się polepsza, Luke. Wszystko będzie dobrze.

Teraz sprawiał wrażenie przybitego, przytłoczonego rzeczywistością. Nie był już moim dawnym, gotowym na wszystko rycerzem, który nie bał się zmierzyć z najwyższymi górami.

Jeśli on straci nadzieję, co będzie ze mną?

- Nie miałem na myśli tego rodzaju cierpienia, Annie. - Popatrzył na swoje dłonie oparte na kolanach, a potem podniósł wzrok na mnie. Nawet w półmroku widziałam, że ma oczy wilgotne od łez. - Byłem wściekły na Drake'a, bo potraktował cię paskudnie, ale jeszcze bardziej za to, że powiedział prawdę. Annie... - Nakrył moje dłonie swoimi. - Kocham cię i nic na to nie poradzę. Nie kocham cię tak, jak brat przyrodni powinien kochać przyrodną siostrę. Kocham cię tak, jak mężczyzna kocha kobietę.

Dzielący nas mur runął! z hukiem. Serce rosnęło mi w piersi i szczęście zalało mnie niepowstrzymaną falą. Luke wypowiedział głośno magiczne słowa, ośmielił się rzucić miłosne zaklęcie. Złamał zakaz i uwolnił namiętność, która tylko czekała, żeby wessać nas w swój wir.

Luke wpatrywał się we mnie w skupieniu, z twardo zaciśniętą szczęką.

- Na Wzgórzach Strachu przemyślałem sobie wszystko i postanowiłem, że powiem ci to. Drake miał rację. Od dawna patrzę na ciebie z pożądaniem i tęsknotą. Na inne dziewczyny nie miałem nawet ochoty spojrzeć. Dlatego z żadną nigdy nie chodziłem. Cały czas myślę o tobie, marzę o tobie. Tylko o tobie, Annie. Wiem, tak nie powinno być, ale nic na to nie poradzę. Dlatego odjechałem. To jest bolesne, Annie. Bardzo bolesne.

- Rozumiem, Luke. - Usiadłam na łóżku.

- Rozumiesz?

- Miałam te same uczucia od zawsze. Nasiliły się od chwili, kiedy przyjechałeś po mnie do Farthy - wyznałam. Przez długą chwilę dzieląca nas przestrzeń zdawała się jak okno, przez które spoglądaliśmy na siebie, patrząc sobie w oczy i zbliżając wargi do szyby.

- Tak przypuszczałem - szepnął Luke. Położył dłonie na moich ramionach. - Byłem bliski wyznania ci tego w altanie.

- Ja też, Luke.

Byłam tylko w koszuli nocnej, ale nie czułam wstydu. Luke westchnął.

- Och, Annie, natura wycięła nam podły numer. Nienawidzę siebie, że tak cię kocham. Nie wiem, jak wyplenić z siebie to uczucie. I nie chcę!

- Luke, nie możesz nienawidzić siebie. Ja też jestem bezsilna, lecz nie czuję do siebie nienawiści.

Nie byliśmy w stanie dłużej nakazywać naszym ustom pocałunku. Zbliżyliśmy się do siebie w wyimaginowanym oknie i kiedy usta Luke'a dotknęły moich, koszula nocna zsunęła się, odsłaniając piersi. Błądził ku nim palcami. Z jękiem przywarłam do jego ust, lecz odsunął się gwałtownie.

- Nie, Annie... nie, nie. Drake miał rację. Nie możemy tego zrobić. Nie mogę tu zostać. Jeśli przyjmiemy, że w krwi Casteelów płynie ukryty nurt zła, to właśnie się u mnie zmanifestował. Jeśli zostanę z tobą w tym domu, nie będę w stanie się powstrzymać i jeszcze chwila, a zamienimy się w naszych przodków ze Wzgórz Strachu - kazirodczych, zwierzęcych, podłych.

- Luke, nie możemy być tak prymitywni. Nie wiem dlaczego, ale mam poczucie, że się mylisz.

- Jesteś za dobra dla kogoś takiego jak ja. Nie zasłużyłaś na te niesprawiedliwe, wściekłe pretensje, którymi cię obrzucono z mojego powodu - tylko dlatego, że nie potrafię powstrzymać zwierzęcej żądz Casteelów buzującej w moich żyłach. Jestem niewiele lepszy niż moja matka jeszcze niedawno. Muszę na jakiś czas odseparować się od ciebie, Annie, abyś mogła spokojnie dojść do siebie, fizycznie i emocjonalnie.

- Nie, Luke, potrzebuję ciebie. Proszę, nie odchodź. - Wyciągnęłam do niego rękę, ale cofnął się gwałtownie.

- Muszę. Niech cię Bóg błogosławi, Annie. Zdrowiej! Wybiegł z pokoju.

- Luke! - Usiłowałam wstać z łóżka. Nogi mi drżały, ale zmusiłam je do wysiłku. Utrzymały mnie na tyle, że podpierając się, obeszałam łóżko i dotarłam do chodzika. Z jego pomocą doszłam do drzwi sypialni. Usłyszałam, jak ktoś otwiera drzwi wejściowe i wybiega, zatrząskując je gwałtownie.

- Luke!

- Annie? Co się stało? - Ciotka Fanny biegła do mnie korytarzem.

- Och, ciociu, Luke ucieka, trzeba go zatrzymać! Obwinia siebie za to, co się stało pomiędzy mną a Drakiem... za wszystko!

Pokiwała głową. Widać było, że wie więcej, niż chce przyznać.

- Od dawna się na to zbierało, dziecko. Tak jak Heaven, ja też widziałam, co się święci, ale nie umiałam tego zatrzymać. - Pomogła mi wrócić do łóżka.

- Widziałaś? - Czyżby każdy wiedział o tym, co staraliśmy się tak skrzętnie ukrywać?

- Wystarczyło zobaczyć was razem. Widziałam, jak Luke na ciebie patrzył, i widziałam to światło w waszych oczach. Dawno się domyślałam, co się między wami kluje.

- Ciociu Fanny, nie robiłam tego specjalnie. Ja... - Usiadłam na łóżku, zaciskając dłonie.

- Wiem, kochanie. - Usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę. - Wiem, że nie dopuściłabyś do tego, gdybyś mogła to powstrzymać. Miłość wami rządzi - i tobą, i nim. Nie można was za to winić. Ciągnęło was do siebie już od dziecka; dorastaliście niby kwiaty w leśnym zakątku, gdzie nikt nie chodził i nikt was nie widział. Wasza miłość wyrastała wolna i

dzika, aż oplotła was całkiem. Ale taka miłość jest zakazana i wiecie, że musicie się z niej wyplątać. To będzie bolesne dla jednego i dla drugiego, ale nie ma innego wyjścia. Na szczęście masz mnie, Annie, pomogę ci przez to przejść.

- A Luke? - załkałam. - Nie ma nikogo, kto jemu by pomógł.

- Zostaw go, Annie, sam sobie poradzi. Już ci mówiłam, że on nie tylko jest Casteelem z nazwiska, ale i z krwi. Kochałam mojego papę, lecz on był jak wielu facetów - za tymi pięknymi oczami czarusia buzował wściekły żar niczym w piecu. I niszczył wszystko.

- Ciociu Fanny, czuję się chora, taka jestem samotna. Nie zniosę tego dłużej! - jęknęłam.

Wzięła mnie w objęcia, utuliła i pocałowała w czoło.

- Pomogę ci się ułożyć do snu, Annie. Teraz musisz myśleć o swoim zdrowiu.

Pozwoliłam, żeby się mną zajęła. Okryła mnie kołdrą i pogładziła po włosach, jak robiła mama.

- Spróbuj zasnąć. Zawsze będę obok i pomogę ci, dopóki znów nie staniesz na własnych nogach.

- Dzięki, ciociu Fanny.

- My, kobiety, powinnyśmy teraz trzymać się razem - dodała, uśmiechając się i prostując ramiona; chyba chciała mi pokazać, jakie będziemy dzielne i dziarskie.

Znów mnie pocałowała i wyszła. Zostałam sama w ciemności, ze wspomnieniem jego pocałunku na ustach.

Rozdział dwudziesty trzeci

TAJEMNICA DOMKU Z POZYTYWKĄ

Następne półtora tygodnia było dla mnie bardzo trudne. W pewien sposób trudniejsze niż pobyt w Farthy. Oczywiście nikt nie traktował mnie okrutnie - wprost przeciwnie, służba i ciotka Fanny przechodzili samych siebie w czulej trosce. Jednak po niedawnej stracie rodziców poniosłam kolejną stratę - utraciłam Luke'a, jedyną osobę w świecie, dla której chciało mi się walczyć i wracać do normalności. Luke odszedł, zupełnie jakby umarł, i rozpaczałam za nim prawie tak jak za mamą i tatą.

Dni były ponure i ciemne bez względu na to, jak jasno świeciło słońce. Było mi ciągle zimno i czułam się zmęczona. Godzinami leżałam na łóżku i otulona kocami gapiałam się w sufit. Czasami byłam otępiąła i obojętna, a czasami płakałam i płakałam, aż bolało mnie serce. Zasypiałam, zmęczona płaczem; kiedy się budziłam, powracała świadomość, że odeszli wszyscy bliscy mi ludzie. Nigdy dotąd nie czułam się tak samotna, nawet zamknięta w Farthy miałam jeszcze swoje fantazje, marzenia, złudzenia. Teraz nie miałam już nic. Marzenia uleciały. Tęczowa kraina fantazji prysła jak bańka mydlana. Co gorsza, nawet wspomnienia chwil spędzonych z Lukiem zaczynały blaknąć. Żyliśmy zakazaną miłością i wszystko, co jeszcze niedawno wydawało się piękne i cudowne, jawiło mi się teraz jako brzydkie i brudne. Takie myśli pogłębiały moją rozpacz.

Strasznie jest stracić kogoś, kogo się kocha, lecz jeszcze straszniejsze jest stracić pociechę i przyjemność ze wspomnień o kochanych osobach. Zły los splądrował moje serce, wdarł się do mojego ogrodu i zniszczył kwitnące kwiaty, zostawiając nagie łodygi, odarte z życia i piękna.

Miałam wiele telefonów z kondolencjami i wizyt starych przyjaciół rodziców. Ludzie odzywali się dopiero teraz, ponieważ wcześniej byłam dla nich nieosiągalna. Doceniałam ich troskę i współczucie, ale każda taka rozmowa boleśnie przypominała mi o stracie i kazała przeżywać ją na nowo. Niektóre z przyjaciółek mamy na mój widok wybuchały płaczem, a ich żal boleśnie otwierał rany, które zdążyły się już trochę zabiżnić. A jednak znajdowałam w sobie dość siły, żeby je pocieszać.

- Zupełnie jak Heaven - zauważyła ciotka Fanny po jednym z takich spotkań. - Mało kto był tak silny jak ona. Kiedy ja ciągle zawsze labidziłam i wyrzekałam, ona z Tomem tylko myśleli, jak wykombinować dla nas jedzenie, kiedyśmy umierali z głodu. I ona niańczyła Naszą Jane, a mała ciągle była chora.

Opowieści o mamie i trudach dawnego życia dawały mi siły do przetrwania i pracy nad swoją rehabilitacją; pomagały mi poradzić sobie z żalem, że Luke i Drake mnie porzucili. Ciotka Fanny mówiła, że Luke dzwonił często, pytał o mnie, ale za każdym razem, kiedy proponowała, że odda mi słuchawkę, mówił, że odezwie się do mnie później. Wiele razy próbowałam zacząć list do niego, lecz gdy przeczytałam, co napisałam, darłam kartkę na kawałki, gdyż moje słowa zupełnie nie oddawały tego, co naprawdę czułam.

Nogi miałam coraz silniejsze i bardziej sprawne. Doktor Williams wpadał często, żeby nadzorować moje postępy. Przysłał do mnie fizjoterapeutę i pod jego opieką szybko doszłam do momentu, że nie potrzebowałam już chodzika. Teraz wystarczała mi laska do utrzymania równowagi. Po paru dniach samodzielnie pokonywałam schody. Poszłam do altany. Siedziałam tam, rozmyślając o wszystkim, co się działo ze mną i z Lukiem. Po chwili zjawiała się ciotka Fanny z ciepłym swetrem.

- Jest już zimno, a ty ciągle jesteś za chuda i bardziej marzniesz.

Jesień czaiła się po kątach, przemykając się ku nam jak kot. Pewnego ranka zauważyłam, że liście są już prawie całe złote i czerwone.

Pamiętałam, że mama lubiła tę porę roku. Często powtarzała, że najpiękniejsza jest jesień na Wzgórzach Strachu. „Uwielbiałam włóczyć się wtedy po lesie. Drzewa, skąpane w słońcu, olśniewały kolorami, każde miało inny odcień żółci - bursztynowy, cytrynowy, szafranowy, oraz inny odcień brązu - kasztanowy, imbirowy i ciemny, mahoniowy. Pospaceruj sobie jesienią po lesie, Annie - namawiała mnie - a wzbogacisz swoją malarską paletę”.

Miała rację, ale teraz wspomnienie o spacerze w lesie od razu przywodziło mi na myśl Luke'a, bo wiele czasu spędziliśmy na wspólnych wędrówkach. Ogromnie żałowałam, że nie ma go już ze mną - teraz, kiedy wreszcie zaczęłam chodzić samodzielnie. Lecz on studiował i próbował o mnie zapomnieć.

Zaczęłam malować Luke'a. Naszkicowałam go stojącego w wejściu altany, patrzącego w zamyśleniu przed siebie. Malowanie łagodziło tęsknotę i poczucie straty, ale kiedy praca zbliżała się do końca, rozpacz powróciła ze zdwojoną siłą. Dlatego opóźniałam ukończenie obrazu, ciągle coś poprawiając albo dodając jakieś detale. Gdy wreszcie odłożyłam pędzel i odstąpiłam parę kroków do tyłu, jednocześnie zakochałam się w swoim dziele i zniecierpliwiłam je.

Malowałam z pamięci, ale udało mi się uchwycić sposób, w jaki Luke przechylał głowę, kiedy się głęboko zamyślił; namalować niesforne kosmyki, które zawsze opadały mu na czoło, i oddać jego spojrzenie, kiedy patrzył na mnie z miłością.

Obraz przyciągał mnie i dręczył. Kazał mi tęsknić za Lukiem, za brzmieniem jego głosu. To prawdziwa artystyczna udręka i ekstaza, myślałam. Zakochać się w postaci, którą się stworzyło, i jednocześnie nie móc z nią obcować.

Takie myśli wtrącały mnie w melancholię. Dawniej, kiedy miałam stany depresyjne albo popadałam w głębokie rozważania filozoficzne, które ciążyły mi na sercu i zabierały beztroską radość życia, szłam do mamy. Ona witała mnie ciepłym uśmiechem i od razu robiło mi się lekko na sercu. Wertowałyśmy kolorowe magazyny i plotkowałyśmy jak dwie nastolatki, chichocząc z każdej głupoty albo wzdychając z zachwytu na widok czegoś pięknego.

Od czasu powrotu do domu nie byłam jeszcze w sypialni rodziców. Nie miałam odwagi wejść tam, gdzie spali i dokąd jeszcze niedawno przybiegałam, kiedy miałam koszmarne sny albo smutne myśli. Zawsze mogłam liczyć na czułość i pocieszenie. Bałam się widoku ich pustego łóżka, szafy i ubrań, kapci ojca, biżuterii mamy, obrazów i w ogóle wszystkiego, co do nich należało.

Jednak wiedziałam, że jeśli pragnę wrócić do normalnego życia i naprawdę stawić czoło tragedii, która tak je zmieniła, nie mogę uciekać od pamiątek po tych, którzy odeszli. Muszę raz na zawsze pokonać udrękę i rozpacz. Tylko pod tym warunkiem stanę się silną kobietą, jaką chcieliby we mnie widzieć mama i tata. Być tą kobietą nie tylko ze względu na nich, ale i na siebie.

Z wolna wyszłam ze swojego pokoju, podpierając się laską. Ruszyłam ku sypialni rodziców. Przed drzwiami zatrzymałam się jeszcze, ale rozterka była krótka. Narastała we mnie determinacja.

Otworzyłam drzwi. Zastony były rozsunięte, a okna uniesione, żeby pokój się wietrzył. Wszystko było czyste i na swoim miejscu, jak tamtej nocy przed wypadkiem.

Przez chwilę stałam w drzwiach. Widziałam toaletkę mamy z kosmetykami i perfumami, leżącą na niej parę niebieskich kolczyków w kształcie muszelek, które zdjęła przed fatalnym przyjęciem u ciotki Fanny, oraz mahoniową kasetkę na biżuterię, którą dostała od taty na Gwiazdkę. Obok, ułożone starannie w jednym miejscu, leżały jej grzebienie i szczotki z macicy perłowej.

Ze ściśniętym sercem wodziłam spojrzeniem po pokoju, aż zatrzymałam wzrok na łóżku. Miękkie nocne pantofelki mamy z czerwonej satyny wystawały spod kapy. Byłam pewna, że tęsknię za jej drobnymi stopami. Książka, którą czytała, ciągle leżała na szafce przy łóżku. W połowie tkwiła zakładka.

Nad łóżkiem wisiał obraz przedstawiający Wzgórza Strachu. Patrząc na niego,

pomyślałam o Luke'u, który pojechał tam, by pomyśleć w spokoju, i uznał, że powinien wrócić na uczelnię, na jakiś czas odseparować się ode mnie. Może duchy dziadka Toby'ego oraz babci Annie tak mu doradziły i może miały rację.

Na szafce taty stało powiększone zdjęcie zrobione w czasie weselnego przyjęcia rodziców w Farthy. Teraz już wiedziałam, na jakim tle pozowali. Byli tacy młodzi... Kiedy podeszłam i przyjrzałam się bliżej fotografii, wydało mi się, że dostrzegam tęsknotę w twarzy mamy. Z miejsca, w którym stała, mogła spoglądać tylko na labirynt.

Myśl o labiryncie przywołała wspomnienie Troya i domku ogrodnika. Nagle, w przeblasku zrozumienia, pojęłam prawdę. Wróciłam do swojego pokoju i stanęłam nad domkiem z pozytywką, który mama podarowała mi na osiemnaste urodziny. Dotąd ten dar znaczył dla mnie wiele ze względu na nią; teraz, gdy miałam w pamięci realne obrazy Farthy i domku po drugiej stronie labiryntu, zrozumiałam, że mógł go wykonać jedynie Troy Tatterton i posłać mamie zaraz po moich narodzinach. Nigdy nie powiedziała mi, skąd ma ten domek. Kiedy pytałam, wyjaśniali mi z tatą, że prawdopodobnie zrobił go na zamówienie jeden z artystów pracujących dla Tattertonów.

Czy to znaczyło, iż mama nie wiedziała, że Troy żyje? Czy nie przyszło jej do głowy, że tylko on mógłby wykonać tę zabawkę? Czy przysyłając jej domek, nie obawiał się, że Heaven zacznie coś podejrzewać?

Myśli o Troyu przywołały inne wspomnienie - ten charakterystyczny sposób, w jaki siedział w fotelu... z wyciągniętymi nogami i z rękami za głową. Taką samą pozę przybrał człowieczek w domku z pozytywką. Czyżby przypadek? A malutka kobieta wyglądała jak moja mama - miała jej kolor włosów i sukienkę w jej stylu. Nie, Heaven musiała wiedzieć, kto jej to przysłał. Tylko Troy mógłby odtworzyć taką scenę! Ale czemu, skoro najprawdopodobniej wiedziała, że Troy żyje i zrobił dla niej miniaturkę domku, trzymała to w tajemnicy?

Usiadłam na taborecie przy swojej toalecie, odstawiłam laskę, a potem powoli, ostrożnie uniosłam dach domku. Pozytywka zagrała nokturn Chopina. Zupełnie jakby czekała, że ktoś ją ożywi. Zajrzałam do saloniku, gdzie były te dwie malutkie postacie, i potwierdziłam swoje przypuszczenia: mężczyzna wyglądał dokładnie jak Troy, a młoda kobieta jak mama.

Teraz, kiedy znałam już oryginał tej repliki, dostrzegłam szczegóły, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi - zabawki, filiżanki na stole w kuchni i uchylone, tylne kuchenne drzwi. Czy mogą się otwierać i zamykać?

Palce mi drżały, kiedy sięgnęłam w głąb domku i dotknęłam maleńkich drzwiczek.

Miały tycie zawiasy i otwały się, kiedy je pchnęłam. Zniżyłam głowę, żeby zajrzeć, co jest za nimi, i zobaczyłam schody prowadzące w dół, jak do piwnicy. Nagle coś przyciągnęło moje spojrzenie. U dołu tych tajemniczych schodów majaczył złożony biały papier. Moje palce były za duże, żeby sięgnąć po niego. Ale przecież ktoś go tam włożył. Na pewno za pomocą pęsety.

Wróciłam do pokoju mamy i znalazłam pęsetę w szufladzie toaletki. Wsunęłam chwytak przez drzwiczki, wyciągnęłam ciasno złożony papier, położyłam na blacie i opuściłam dach domku. Pozytywka przestała grać, zapadła cisza. Obejrzałam swoje znalezisko. Papier był pogięty i pożółkły. Wyglądał jak kopie historycznych dokumentów, celowo postarzone, żeby wyglądały na autentyczne. Rogi kruszyły mi się w palcach.

Wreszcie udało mi się rozwinąć kartkę i ostrożnie rozprostować ją na blacie. Był to list. W miejscach zagięć słowa się zatarły, ale tekst dało się odczytać.

Moja najdroższa, zakazana miłości!

Nasza ostatnia noc jawi mi się jako piękny sen. Tyle razy w ciągu ostatniego roku żyłem marzeniami i teraz, kiedy nagle się spełniły, nie potrafię w to uwierzyć.

Myślę o Tobie i przywołuję w pamięci nasze najpiękniejsze chwile - ciepło Twoich ramion, czule spojrzenia, pieszczoty. Aż musiałem wstać i poszukać w łóżku Twojego śladu. Dzięki Bogu znalazłem parę włosów. Zrobię medalion i włożę je tam. Będę zawsze nosił je na sercu. To jedyna pociecha, że choć cząstka Ciebie zostanie ze mną.

Chciałem zostać tu trochę dłużej, choć wiedziałem, jaką udręką będzie podglądanie Cię z daleka. Cieszyłbym się i cierpiał zarazem, widząc, jak spacerujesz po ogrodzie albo siedzisz i czytasz. Takie głupie chłopięce podchody, wiem.

Tego ranka, niedługo po Twoim odejściu, Tony przybiegł do mnie z wieścią, którą pewnie za chwilę przyniosłabyś mi Ty. I już wiedziałem, że mnie nie zastaniesz. Pomyślisz, że byłem okrutny, zostawiając go w takiej chwili, ale pocieszałem go i dość długo rozmawialiśmy.

Nie powiedziałem mu o nas, o Twojej wczorajszej wizycie, toteż nie ma pojęcia, że wiesz o moim istnieniu. Nie chciałem dokładać mu zmartwień. Być może kiedyś, kiedy uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila, powiesz mu to sama.

Zastanawiasz się pewnie, czemu postanowiłem odjechać tak szybko po śmierci Jillian.

Moja kochana Heaven, może trudno Ci będzie to zrozumieć, ale czuję się w jakiś sposób odpowiedzialny za jej śmierć. Czerpałem radość z dręczenia Jillian swoją obecnością. Jak Ci opowiadałem, widziała mnie kilka razy i przerażało ją to. Mogłem się przed nią ujawnić, ale

wolałem, by sądziła, że widzi ducha. Chciałem, żeby miała wyrzuty sumienia, choć przecież nie było jej winą, że urodziłaś się jako córka Tony'ego. Po prostu nie mogę jej wybaczyć, że powiedziała mi o tym, że odkryła przede mną okrutną prawdę o nas. Zawsze była zazdrosna i nie mogła znieść, że Tony tak mnie kochał, nawet kiedy byłem jeszcze małym chłopcem.

Teraz mam okropne wyrzuty sumienia z tego powodu. Nie miałem prawa jej karać. Powinienem wiedzieć, że przyczynię cierpień Tony'emu i nawet Tobie. Jakby moim przeznaczeniem było przysparzanie smutku i udręk wszystkim naokoło. Oczywiście Tony tak nie myśli. Bardzo chciał, żebym został, ale w końcu go przekonałem.

Proszę, bądź przy nim teraz, kiedy tak bardzo kogoś potrzebuje, i pocieszaj go, także w moim zastępstwie.

Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek mieli jeszcze szansę się spotkać. Ale pamięć o Tobie jest głęboko wyryta w moim sercu i zabiorę Cię z sobą wszędzie, dokądkolwiek bym się udał.

Na zawsze Twój

Troy

Zdumiona pokręciłam głową, prostując się na taborecie.

- Mamo, czy wiedziałaś, co zostawiasz mi w spadku, dając na osiemnaste urodziny ten domek, symbol twojej miłości? - szepnęłam.

Niesprawiedliwość losu, jego tragizm poraziły mnie i przeniknęły niczym lodowaty poryw wiatru. Straszne, jak upiorna historia lubi się powtarzać. Coś, co przeczuwałam sercem, choć nie potrafiłam ubrać tego w słowa, okazało się prawdą - moja mama i Troy Tatterton byli kochankami. Łączyła ich miłość kazirodcza, zakazana. Tak samo zakazana jak miłość, która połączyła mnie i Luke'a, gdyż Troy był bratem Tony'ego i stryjem mojej mamy. Pokrewieństwo sprawiło, że ich miłość stała się chora, podobnie jak nasza.

Jednym słowem, mama wiedziała, że Troy nie umarł, ale nigdy o nim nie mówiła, nie pisała do niego i ani razu go nie odwiedziła. Teraz zrozumiałam, dlaczego Troy Tatterton patrzył na mnie tak, jak gdyby nie po raz pierwszy mnie widział. Przypominałam mu mamę, zwłaszcza w tamtym kolorze włosów.

Ponieważ znałam Farthy, list był dla mnie zrozumiały. Wiedziałam, o co chodzi we wzmiankach o szaleństwie Jillian, o duchach wałęsających się po wielkim domu, o udrękach Tony'ego i powodach, dla których Troy postanowił wycofać się ze świata i udawać, że go nie ma. Nie rozumiałam natomiast - albo jeszcze tego nie rozumiałam - czemu mama tak bardzo cierpiała, skoro z listu Troya wynikało, że kocha ją tak samo jak ona jego.

Och, mama doskonale by rozumiała, co się dzieje pomiędzy mną a Lukiem,

pomyślałam. Teraz pojęłam, czemu niepokoiło ją, że tyle czasu spędzaliśmy razem. Ona wiedziała, czym to grozi, gdyż sama przeżyła coś podobnego.

- Mamo, strasznie żałuję, że nie możemy porozmawiać jeszcze raz - wyszeptałam. - Tak bardzo potrzebuję twoich rad i mądrości. Teraz widzę, że dręczył cię ten sam ból, więc twoje słowa byłyby dla mnie drogowskazem.

Dopóki pierwsza łza nie upadła na poźółkły list, nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę. Złożyłam go i jeszcze raz podniosłam dach domku, aby włożyć ciasno złożoną kartkę z powrotem do schowka, gdzie przeleżała wiele lat. Dźwięk pozytywki rozdzierał mi serce, tak jak musiał rozdzierać serce mamie w chwilach, kiedy słuchała go w samotności.

Nie chciała nigdy odwiedzić Farthy nie tylko z powodu gniewu na Tony'ego. Wspomnienie utraconej miłości było dużo bardziej bolesne. Gdy ja i Luke fantazjowaliśmy na temat Farthy, wzbudzaliśmy w niej ból, nie wiedząc o tym. Wybacz nam, mamo, pomyślałam z rozpaczą. Przez nas wracałaś do tego maleńkiego domku, aby opłakiwać uczucie, które pogrzebałaś na zawsze.

Wtem do drzwi zapukała pani Avery i zaprosiłam ją, by weszła.

- Mam na linii jakiegoś dżentelmena, który mówi, że dzwoni z Farthinggale Manor w bardzo pilnej sprawie.

Czy kiedykolwiek uwolnię się od Tony'ego Tattertona, od jego szalonych halucynacji i złudzeń? Poczułam, jak ogarnia mnie gniew.

- Proszę powiedzieć Tony'emu Tattertonowi, że...

- Nie, Annie, to nie jest pan Tony Tatterton. Tu chodzi o pana Tony'ego Tattertona. Ten ktoś powiedział, że na pewno będziesz wiedziała.

- Ja mam wiedzieć? O czym? - Serce mi zamarło.

- Nie powiedział. Chce koniecznie rozmawiać z tobą, więc przyszedł.

- Dobrze, powiedz mu, że idę. - Wzięłam głęboki oddech, tłumiąc zimny dreszcz, który przebiegł mi po plecach.

Ruszyłam za panią Avery najszybciej, jak mogłam. Po raz pierwszy zirytowało mnie własne powolne kuśtykanie.

Pokojówka podała mi słuchawkę. Usiadłam na taborecie przy telefonie.

- Halo - powiedziałam cichym, wystraszonego głosem. Bałam się, że głośny łomot mojego serca będzie słyszalny po drugiej stronie słuchawki.

- Annie - usłyszałam. Od razu poznałam ten głos, tak jak z pewnością poznałaby go mama, nawet po wielu latach. - Uznałem, że powinienem cię zawiadomić, bo może zechcesz przybyć na pogrzeb.

- Pogrzeb? - Wstrzymałam oddech.

- Tony odszedł dwie godziny temu. Byłem przy nim.

- Odszedł? - Nagle zrobiło mi się żal tego starca udręczonego samotnością w Farthy, obsesyjnie myślącego o kobiecie, która znów go opuściła. Ze mną odegrał swoją tragedię jeszcze raz. Mimo woli stałam się aktorką w jego dramacie. Jak dublerka przejęłam rolę, do której wcześniej została zmuszona mama. Aż wreszcie litościwy los pozwolił, aby kurtyna opadła, światła zgasły i aktorzy zeszli ze sceny. Udręka Tony'ego Tattertona dobiegła końca.

Jednak w głosie Troya brzmiał szczery żal, a nie ulga. Stracił brata, który kiedyś zastąpił mu ojca.

- Tak mi przykro, Troy. Nie wiedziałam, że coś mu dolega. Byłeś z nim do końca?

- Niedługo przed jego odejściem postanowiłem, że wyjdę z cienia i będę mu oparciem w tak trudnym momencie życia, kiedy rozpaczliwie potrzebował kogoś bliskiego. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zajmował się mną, kiedy chorowałem, prawda? Zresztą - dodał i głos mu zadrżał - Tony bardzo mnie kochał. Tak naprawdę mieliśmy tylko siebie.

Gardło mi się ścisnęło. Nietrudno było mi wyobrazić sobie Troya siedzącego przy łóżku Tony'ego, trzymającego go za rękę; Troya z pochyloną głową, z plecami wstrząsanymi łkaniem. Wpatzonego w umierającego brata.

- Jak umarł? - spytałam cicho, niemal szeptem.

- Miał zawał. Lekarze mówili, że przeszedł już słabszy zawał wcześniej, ale nie wiedziałem o tym.

- Drake dzwonił do mnie niedawno i powiedział, że rozmawiał z Tonym, ale nie wspominał, że jest chory.

- Tony zamknął się w swoim pokoju i nawet Rye nie wiedział, co się stało. Kiedy się zorientował, było już za późno. Zdążyłem tylko brata pożegnać. Ciągłe coś mówił, ale majaczył. Przez chwilę nie byłem pewien, czy mnie poznaje, ale wypowiedział twoje imię i kazał mi obiecać, że będę nad tobą czuwał i dbał o ciebie. Annie... wiem, że jego umysł ostatnio przechodził dziwne udręki, i domyślałam się, że byłaś świadkiem wielu takich zaburzeń, ale nie wiń Tony'ego. On szukał miłości i sposobu odkupienia swoich grzechów... a przecież każdy z nas czyni to na swój sposób.

- Troy, wiem, kim był dla mnie Tony. Wykrzyczał to, kiedy opuszczałam Farthy. Ciocia Fanny może potwierdzić.

- Rozumiem. - Głos Troya stał się cichszy. - Nie zamierzam go tłumaczyć, ale jego małżeństwo było skomplikowane i trudne.

- Tak. - Nie miałam ochoty mówić o tym teraz. - Chcę być na pogrzebie. Kiedy się

odbędzie?

- Pojutrze, o drugiej, na naszym rodzinnym cmentarzu. Twoja pokojówka mówiła mi, że czynisz ciągle postępy. Ogromnie się cieszę, Annie, ale nie chciałbym, żebyś sobie zaszkodziła, a taka podróż...

- Nic mi nie zaszkodzi - uciełam. - Poza tym bardzo... chcę znów zobaczyć się z tobą. Nie miałam jak ci podziękować za powiadomienie cioci Fanny i spowodowanie, że przyjechała po mnie z Lukiem. Bo to ty dzwoniłeś, prawda?

- Nie chciałem, żebyś wyjechała. Miałem nadzieję, że będziemy mieli okazję jeszcze się spotykać, ale kiedy zorientowałem się, co się dzieje, pojąłem, że nie ma innego wyjścia. Zrozumiałem, że musisz być z ludźmi, których kochasz, choć mogłem sobie wyobrazić, jak bolesny będzie dla ciebie powrót do domu. Pamiętam, jak Tony opowiadał mi, co czuł, kiedy dawno temu przyszedł do mojego domku, myśląc, że nie żyję i nigdy już mnie tam nie zobaczy

- Powrót był bolesny - przyznałam. - Żałowałam, że nie mam domku ukrytego za labiryntem, w którym mogłabym się ukryć przed udrękami tego świata.

- Tragedia zawsze znajdzie do ciebie drogę, jeśli tylko będzie chciała. I nie zmyli jej żaden labirynt. Wiem o tym aż za dobrze, Annie - powiedział ze smutkiem.

- Ja też wiem.

Miałam ochotę powiedzieć mu więcej, może nawet wspomnieć o liście znalezionym w miniaturowym domku ogrodnika. Troy musiał coś wyczuć, gdyż dodał szybko, kończąc naszą rozmowę:

- Zatem widzimy się pojutrze, Annie. Cieszę się, że cię zobaczę. Do widzenia.

Powoli odłożyłam słuchawkę na widelki, a moje myśli wróciły do Tony'ego. Pomimo jego obłędu i kłamstw przeżywałam tę śmierć. Troy miał rację - Tony Tatterton, człowiek niewyobrażalnie bogaty, był niewyobrażalnie samotny i zagubiony; jak wielu z nas szukał kogoś, kogo mógłby kochać i kto pokochałby jego.

I pewnie Rye Whiskey także miał rację, opowiadając o duchach w Farthy. Może to one zakończyły męki Tony'ego, wzywając go do siebie, aby stał się jednym z nich.

Ciotka Fanny nie była zachwycona, kiedy oznajmiłam jej, że zamierzam uczestniczyć w pogrzebie Tony'ego.

- Nikt nie wie, że on był twoim dziadkiem, Annie. Nie musisz podróżować taki kawał na jego pogrzeb.

- Wystarczy, że ja wiem, ciociu Fanny. Nie potrafię tak po prostu znienawidzić go i

zapomnieć. Próbował mi pomóc na swój sposób.

- Farthy jest zatrute, przeklęte. Wszyscy ci bogaci ludzie tak czy inaczej zniszczą siebie. Nie znaczy, że nie życzę ci dostatniego życia, ale chodzi mi o tych bałamutnych buców z wielkich miast, którzy myślą, że są lepsi od innych, i od tego głupieją. Mam nadzieję, że jednak się zastanowisz.

Utyskiwała przez cały dzień, ale przekonała się, że jestem nieugięta. Po rozmowie z Troyem od razu zadzwoniłam do Luke'a. Nieomal odjęło mi mowę, kiedy usłyszałam jego głos. Brzmiał tak smutno i samotnie, aż drżała mi ręka zaciśnięta na słuchawce. Opanowałam się i zaczęłam mówić.

- Luke, ciągle piszę do ciebie list. I stale skreślam to, co napisałam.

- Wiem, Annie. Ze mną jest podobnie. Ale strasznie się cieszę, że cię słyszę. Próbowałem zagłuszyć pracą myśli o tobie, lecz to nie takie łatwe. Cudownie jest słyszeć twój głos, Annie.

- Twój także. Niestety, nie mam wesołych wieści. - Opowiedziałam mu o telefonie Troya i o śmierci Tony'ego. - Twoja mama jest zła, że wybieram się na pogrzeb, i liczy, że jeszcze się rozmyślę, ale ja jestem zdecydowana. Teraz już chodzę z laską, więc będzie mi łatwiej podróżować.

- Przyjadę rano i razem wybierzemy się do Farthy.

- Och, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Kocham cię, Annie, i nic na to nie poradzę. Będę żył z tym uczuciem i cierpieł aż do śmierci.

- Ja też, Luke. - Przez moment milczeliśmy oboje. Gardło miałam ściśnięte. Westchnęłam ciężko i spojrzałam na obraz, który niedawno skończyłam. To przywróciło mi siły. - Wiesz, namalowałam ciebie, jak stoisz w altanie.

- Czy będę mógł powiesić ten obraz w swoim pokoju w dormitorium?

Marzyłam o tym, ale nie śmiałam sugerować tego głośno, żeby nie wyjść na egocentryczkę.

- Oczywiście.

- Wezmę go, jak przyjadę po ciebie. I nie martw się o nic. Załatwię wszystko, jeśli chodzi o podróż.

- Dziękuję, Luke.

- Annie, coraz trudniej mi ukrywać, co czuję do ciebie.

- Wiem. Ze mną jest dokładnie tak samo.

- Wobec tego do zobaczenia. - Musieliśmy zakończyć rozmowę, bo każde nasze słowo

było jak ostry, ciężki miecz boleśnie przesywający nam serca.

Po południu zadzwonił Drake. Był zdziwiony, że już wiem o śmierci Tony'ego, a jeszcze bardziej zaskoczyła go wiadomość, że wybieram się na pogrzeb. Nie zapytał, skąd wiem, więc nie wspomniałam o Troyu. Stwierdził tylko z niezadowoleniem, chłodnym, biznesowym tonem:

- Nie rozumiem, czemu, podjąwszy taką decyzję, nie zadzwoniłaś do mnie. Miałbym czas, żeby wszystko dla ciebie załatwić. Ale jeszcze nie jest za późno. Zaraz się do tego zabiorę.

- Dzięki, Drake, nie trzeba. Luke wybiera się ze mną i mi pomoże.

- No jasne, jak mogłem o nim zapomnieć!

- Drake, proszę. Uszanuj pamięć Tony'ego i spróbuj zachować spokój - powiedziałam błagalnym tonem.

- Masz rację. Muszę zachować się godnie. Na pogrzebie zjawi się cała śmietanka biznesowego świata, możesz być pewna.

- Nie chodziło mi o...

- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile jest z tym roboty. Dlatego nie mam czasu zawracać sobie głowy Lukiem. Całe szczęście, że trafiłem do firmy już jakiś czas temu. Teraz praktycznie traktują mnie jak syna Tony'ego i przejąłem wiele jego spraw. Zamierzałem zaskoczyć cię wieściami, kiedy spotkalibyśmy się na pogrzebie, ale właściwie mogę powiedzieć ci już teraz. Otóż Tony, zanim odszedł, zdążył przekazać mi znaczący pakiet akcji firmy. - Urwał, po czym dodał kwaśnym tonem, nie słysząc moich entuzjastycznych gratulacji: - Myślałem, że się ucieszysz.

- Wiem, że o tym marzyłeś, Drake. Wierzę, że jesteś szczęśliwy.

Był rozczarowany tą rzeczową, powściągliwą reakcją.

- Oczywiście. No cóż, widzimy się na pogrzebie.

- Tak, Drake. - Wydawał mi się coraz bardziej obcy.

Luke przyjechał po mnie wcześniej rano. Byłam już ubrana i gotowa. Kiedy wszedł do mojego pokoju, stałam bez laski. Przez moment patrzyliśmy na siebie, aż w końcu przeniósł spojrzenie na sztalugę i obraz, który dla niego namalowałam.

- Słuchaj, on jest naprawdę dobry!

- Miałam nadzieję, że ci się spodoba.

- Spodoba? Jesteś prawdziwą artystką, Annie. Ludzie będą płacili tysiące za twoje dzieła, jestem tego pewien.

Znów popatrzyliśmy na siebie. Weszło nam już w zwyczaj, że kiedy jedno z nas

wypowiedziało zdanie, zapadała długa cisza i nasze oczy dopowiadały resztę. Teraz moje mówiły mu, jak bardzo go kocham, potrzebuję i jak ogromny mam żal do losu, że tak nas doświadcza. Oczy Luke'a mówiły to samo.

Liczyłam, że ciotka Fanny jednak dołączy do nas, ale wyszedł z niej ten sam upór Casteelów, który posiadał Drake i w dużym stopniu Luke. Przełamała nasze dręczące milczenie, pojawiając się nagle w drzwiach sypialni. Stała w progu w swojej charakterystycznej, wyzywającej pozie, z rękami na biodrach i zadartą głową.

- Widzę, Luke, że przyleciałeś tu jak na skrzydełkach, żeby ją tam zabrać. Nie powinienes przykładać do tego ręki.

- Bez niego też bym pojechała, ciociu Fanny.

- Twoja matka uciekła stamtąd, od tego człowieka - stwierdziła z naciskiem ciotka.

- Wiem. - Spojrzałam na zdjęcie mamy stojące na toalecie. Była to jedna z moich ulubionych fotografii, na której spoglądała tęsknie ku Wzgórzom Strachu. Musiała wspominać jakiś przyjemny moment, bo jej chabrowe oczy jaśniały. - Heaven zawsze potrafiła zobaczyć tęczę po deszczu. I myślę, ciociu Fanny, że gdyby żyła, wybrałaby się na pogrzeb Tony'ego - zakończyłam, mierząc ją twardym spojrzeniem, podobnie jak kiedyś mama. Ciotka Fanny zrozumiała, że nic nie wskóra.

- Dobra, jak sobie chcecie - powiedziała.

Rozdział dwudziesty czwarty

MÓJ KSIĄŻĘ - NA ZAWSZE

Kiedy jechaliśmy na lotnisko, mimo woli wyobrażałam sobie, że ten samolot ma nas zabrać w podróż poślubną. A gdybyśmy tak rzucili wyzwanie losowi, rzucili wyzwanie wszystkim i uciekli, żeby się pobrać? To byłaby najbardziej romantyczna i cudowna podróż! Załoga samolotu i pasażerowie przyglądaliby się życzliwie, jak czulimy się do siebie, i myśleliby, że miłość młodych czyni świat lepszym, piękniejszym i pełnym nadziei.

Z udręką myślałam, że Luke i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. Jak tragiczne i zmienne potrafi być życie! Czy nie wystarczy dramat moich rodziców i koszmar Tony'ego? Czy chociaż my nie możemy być szczęśliwi?

W czasie jazdy na lotnisko w Wirginii i w trakcie lotu biłam się z myślami, czy powinnam powiedzieć Luke'owi o liście, który znalazłam w domku z pozytywką.

Luke troszczył się o mnie w podróży, ale zachowywał się sztywno i formalnie, wyraźnie utrzymując dystans.

Wiedziałam, że w ten sposób pragnie oddzielić murem swoje uczucia ode mnie, lecz była to męka dla nas obojga. Niezobowiązujące rozmowy szybko się wyczerpały i za każdym razem, kiedy spotykały się nasze spojrzenia, serca były tak mocno, że twarze pokrywały się rumieńcem. Nie było co ukrywać, kipiało w nas pożądanie, którego nie dało się opanować. Łatwiej by było okiełznać oceaniczny przypyływ czy zgasić błyskawicę rozświetlającą nocne niebo.

To, co zdarzyło się kiedyś mamie i Troyowi, musiało przypominać nasze szaleńcze zauroczenie. Dlatego uznałam, że Luke ma prawo wiedzieć, przez co oni kiedyś przeszli. I zrozumieć, czemu moja mama tak się obawiała naszej bliskości.

Opowiedziałam mu o swoim odkryciu. Kiedy cytowałam niektóre słowa z listu, łzy zalśniły w kącikach szafirowych oczu Luke'a.

- Rozumiem potrzebę samotności Troya i pragnienie odcięcia się od świata, azylu za labiryntem - powiedział. - Sam czuję podobnie.

- Nie, Luke - zaprotestowałam żywo. - Nie możesz zanegować swojego życia. Musisz pójść za marzeniami i zostać lekarzem. I powinieneś znaleźć sobie kogoś, kogo pokochasz czystą miłością, nieskażoną poczuciem winy.

- A ty?

- Ja też tak zrobię.

- Nie umiesz kłamać, Annie. Te niebieskie oczy cię zdradzają.

- Dobrze, przynajmniej będę próbowała - broniłam się.

Luke uśmiechnął z czystą arogancją Casteelów, takim samym uśmiechem jak Drake.

- Luke'u Toby Casteel, nie jesteś wszystkowiedzący!

Tymi słowami sprowadziłam go na ziemię. Posmutniał nagle i teraz przypominał małego chłopca.

- Wiem, co czuję w sercu, wiem, co czujesz ty i co to znaczy - powiedział.

- Mimo wszystko spróbuję i tobie też radzę - powtórzyłam bez przekonania i odwróciłam głowę, żeby nie widział moich łez. Przez resztę lotu milczeliśmy. Luke drzemał, a ja wyglądałam przez okno na domki maleńkie jak zabawki i nitki autostrad, żałując, że nie żyjemy w świecie zabawek Tattertonów, gdzie każda fantazja może przybrać realny kształt.

Na lotnisku w Bostonie wynajęliśmy samochód i ruszyliśmy do Farthy. Mimo woli przypominałam sobie podekscytowanie Tony'ego, kiedy wiozł mnie tam po pobycie w szpitalu w Bostonie. Był uszczęśliwiony i chciał mi pomagać. Skąd miałam wiedzieć, co mnie wkrótce spotka z jego strony? Może gdyby mama zechciała opowiedzieć mi więcej o swojej przeszłości, uniknęłabym tych koszmarów...

Kiedy przyjechaliśmy do Farthy, żałobnicy ustawili się już przed wejściem. Oprócz Milesa, Curtisa i Rye'a Whiskeya było tam wielu biznesowych partnerów i przyjaciół Tony'ego oraz pracowników fabryki odzianych w pogrzebową czerń. Ludzie zbijali się w mniejsze grupy, wymieniając uściski rąk i rozmawiając przyciszonymi głosami.

Jesienny dzień był pochmurny, lecz ciepły. Idealny dzień na pogrzeb, pomyślałam. Wszystko wydawało się bardziej szare niż zwykle i Farthinggale Manor robiło jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie, gdyż słoneczny blask nie tuszował zaniedbania i zniszczeń. Przypomniałam sobie, z jaką dumą Tony opowiadał mi o swojej posiadłości, o rodzinnym domu rozbudowywanym i upiększonym przez kolejne, dumne z sukcesów pokolenia Tattertonów. Co za ironia, że doczekał się dziedzica, który z zapałem pragnął podążać jego śladem, choć nie łączyło ich pokrewieństwo. Drake był synem Luke'a Casteela - człowieka, od którego Tony odkupił własną córkę. A potem, w każdym sensie tego słowa, kupił sobie też Drake'a na spadkobiercę.

Trzeba przyznać, że Drake rzetelnie wywiązywał się z obowiązków. Stał przy karawanie w eleganckim czarnym smokingu. Twarz miał mroczną i poważną. Wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy. Ściszone głosem wydawał polecenia ludziom, których wynajął do obsługi żałobnej uroczystości. Jeden z nich dyrygował ruchem samochodów, inni rozdawali karty ze stosownymi modlitwami i słowami pieśni.

Luke dołączył do sznura aut. Czekając, aż kondukt ruszy, przyglądałam się domowi, którego widok jeszcze niedawno budził we mnie podekscytowanie i radość. Teraz zostały tylko niemiłe wspomnienia. Widziałam ciemne okna mojego pokoju. Zasłony były zaciągnięte i szyby odbijały szarość chmur.

Służba zjawiała się pierwsza, żeby mnie powitać. Curtis był zdruzgotany; blade usta mu drżały. Miles poruszał się jak w transie i miał nieobecne spojrzenie. Rye wydał mi się teraz wiekowy; strata pana, któremu służył od wielu lat, gwałtownie go postarzyła.

Wkrótce podszedł Drake. Zignorował Luke'a i zbliżył się do mojej strony samochodu.

- Jak się masz, Annie?

- Dziękuję, dobrze. - Postanowiłam twardo, że będę silna i dumna jak mama.

- Wkrótce się zaczniesz. - Pochylił się bliżej ku mnie.

- Wiesz, kto tu jest? Ktoś, kto żyje, choć miał być umarły?

- Wiem.

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Naprawdę?

- Gdybyś wysłuchał mnie uważnie, zamiast oskarżać mnie o niewdzięczność, a Luke'a mieszać z błotem, powiedziałabym ci, że spotkałam go w Farthy i że to on zadzwonił do cioci Fanny, aby mnie stamtąd zabrała.

- Ale... dlaczego to zrobił?

- Bo zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Widział, czego ty nie chciałaś widzieć - powiedziałam, nie kryjąc gniewu i urazy

Drake zerknął na Luke'a, a potem znów zwrócił się do mnie - już innym, nie tak pewnym siebie tonem.

- Cóż... robiłem to, co uważałem za dobre dla ciebie, Annie. Wybacz mi - rzekł ze skruchą.

- Zamknijmy ten temat. Nie po to tu przyjechaliliśmy. Skupmy się na ceremonii - poprosiłam.

Jeden z pracowników pogrzebowych z daleka dał mu znak i Drake wrócił do karawanu. Zaczęłam rozglądać się za Troyem, ale nigdzie nie było go widać. Gdzie się podział?

Otrzymałam odpowiedź, kiedy rząd aut ruszył spod domu i powoli popęzła drogą na cmentarz. Troy już tam był i zdążył pożegnać się z bratem bez świadków. Podszedł do naszego samochodu, jak tylko zajechaliśmy na miejsce. Jego ciemne, melancholijne oczy pojaśniały na mój widok.

Teraz, kiedy miał na sobie czarny garnitur i krawat, wyraźniej zaznaczało się jego

podobieństwo do brata. Różnili się głównie spojrzeniem - wzrok Tony'ego był raczej żywy i władczy, czasem płonący niezdrową gorączką, a wzrok Troya - spokojny i zdystansowany.

- Witaj, Annie. Jak minęła podróż?

- Wszystko w porządku. Troy, poznaj Luke'a.

- Miło mi.

Uścisnęli sobie ręce. Poczułam ulgę, bo wyraźnie przypadli sobie do gustu. Kiedy otworzyłam drzwi, obaj rzucili się do pomocy, ale Luke był przy mnie pierwszy Troy się cofnął.

- Wystarczy ci już tylko laska - powiedział, widząc, jak Luke mi ją podaje. - To świetnie. Oto ile może działać czuła opieka bliskich.

Przeszliśmy przez tłum i stanęliśmy nad samym grobem. Po drodze widziałam, jak Troy śledzi dłoń Luke'a zaciskającą się na mojej. Przyglądał się nam z osobliwą uwagą, spod zmrużonych powiek, z poważną miną. W pewnym momencie skinął do siebie krótko głową, a potem odwrócił się i zasłuchał w słowa pastora.

Następnie Drake wygłosił krótkie wspomnienie o zmarłym, przedstawiając Tony'ego jako pionierskiego przedsiębiorcę, który dzięki swej sile charakteru i wyobraźni zdobył nowe rynki oraz stworzył osobny rodzaj przemysłu. Byłam pod wrażeniem i pomyślałam, że Tony miał rację, twierdząc, iż Drake jest świetnym materiałem na menedżera.

Pastor poprosił zebranych o zaśpiewanie hymnu, którego tekst wcześniej rozdano na kartkach. Śpiewałam, patrząc to na grób rodziców, to na grób Tony'ego. Pomyślałam, że śmierć pozbawia znaczenia wszystkie nasze życiowe zmagania, sprowadzając je do prostego mianownika. Tu pogrzebane zostały wszystkie mroczne sprawy rodu: szaleństwo Jillian, chore pragnienia Tony'ego, desperacka ucieczka mojej babki Leigh oraz wielka i stracona miłość mojej mamy... wszystko to nareszcie spoczywa w spokoju. I tylko ci, którzy pozostali wśród żywych, muszą walczyć dalej.

Przez moment Troy i ja patrzyliśmy na siebie i pomyślałam, iż teraz już wie, że rozumiem, dlaczego pognał konia do oceanu. Przeniósł spojrzenie na Luke'a, a potem znów na mnie. Jak tylko hymn się skończył i kapłan wypowiedział ostatnie słowa, Troy zwrócił się do nas.

- Czy macie ochotę wstąpić do mnie, żeby coś zjeść przed podróżą? - zapytał.

- Chętnie - odpowiedział Luke. Ja tylko kiwnęłam głową. Poszukałam wzrokiem Drake'a, ale był zbyt zajęty, żeby mnie zauważyć. Brylował wśród ludzi biznesu, ściskając dłonie i dyskutując o cenach akcji i prognozach giełdowych. Nawet nie zauważył, jak odchodzimy.

Doznawałam bardzo dziwnego uczucia, kiedy jechaliśmy do domku ogrodnika drogą biegnącą na tyłach cmentarza. Zupełnie jakbyśmy wszyscy nagle zostali zminiaturyzowani i za chwilę mieli wejść do maleńkiego domku, stać się mieszkańcami świata zabawek - świata magii i dziecięcej wiary, w którym przez tyle lat żyłam z Lukiem. Troy, twórca świata zabawek Tattertonów, był naszym czarodziejem. Dotykał nas swoją magiczną różdżką, której moc sprawiała, że zwykły świat, brzydki i smutny, zniknął.

Luke był zafascynowany zabawkami Troya, a zwłaszcza średniowiecznym miastem. Gospodarz przygotował nam kanapki i napoje, a potem rozmawiali z Lukiem o uczelni, Bostonie i różnych projektach Troya. Siedziałam i słuchałam, zachwycona, że obaj tak świetnie się dogadują.

Wreszcie Troy odsunął się z krzesłem od stołu i popatrzył na mnie z łagodnym uśmiechem.

- Opowiedzcie mi o swoich planach - zachęcił.

- Plany? Luke wraca na uczelnię. Zamierza studiować medycynę. Ja zapewne wyjadę do Europy, tę podróż wcześniej planowali dla mnie rodzice. Chcę zwiedzać muzea, poznawać dzieła wielkich mistrzów malarstwa, a potem rozpocząć studia artystyczne. Każde z nas zamierza podążać własną drogą i pragnie zrobić wszystko, żeby nadać sens własnemu życiu.

- Rozumiem. - Troy posmutniał, na jego twarzy znów malował się ból. - Muszę wyznać, że ściągnąłem was tutaj z bardzo ważnego powodu. Od długiego czasu rozmyślałem o tych sprawach, trwając w strasznej rozterce. Najbardziej kusiło mnie, żeby na zawsze pogrzebać przeszłość wraz z Jillian, Heaven, Loganem i teraz z Tonym, a potem dożyć swoich dni w... w postaci ducha, odciętego od realnego świata, zanurzonego w krainie swoich fantazji i zabawek. Jakże spokojny i bezpieczny jest ten wyimaginowany świat. Mam wrażenie, że wy dwoje już to wiecie, gdyż utkaliście z fantazji azyl dla waszych prawdziwych uczuć.

Byłam zdumiona, że ktoś, kto rozmawiał ze mną dłużej tylko raz, tak dobrze mnie rozumie i tak szybko rozpracował moje ukryte zmartwienia.

- Mogę sobie z łatwością wyobrazić własne życie, spędzone samotnie, zaludnione wyłącznie postaciami, które sam powołałem do życia i wymyśliłem ich losy - mówił Troy. - Zdaję sobie sprawę, że to rodzaj obłędu, może inny niż Tony'ego, ale również będący formą ucieczki od rzeczywistości. Kiedy jednak zobaczyłem was razem, pojąłem, że nie zdołam ukryć się za labiryntem i zapomnieć. Nie mam innego wyjścia, choć straszne, emocjonalne rany zostaną rozdrapane na nowo i znów będę musiał się zmierzyć z rzeczywistością. Nie mogę pozwolić, żeby to, co spotkało mnie i Heaven, spotkało również ciebie i Luke'a.

- Troy, nie musisz nic mówić - odpowiedziałam spokojnie, zerkając na Luke'a. - My już

wiemy.

- Wiecie?

- Po powrocie z Farthy przyjrzałam się dokładnie domkowi z pozytywką, który przysłałeś mamie wkrótce po moich urodzinach. Bo to ty go przysłałeś, prawda? - Kiwnął głową. - Zaintrygowały mnie tylne drzwi w kuchni... Zajrzałam za nie i znalazłam list, który napisałeś do mojej mamy w dniu śmierci Jillian, kiedy postanowiłeś wyjechać.

Spodziewałam się zaskoczenia, może nawet zakłopotania - a Troy tylko kiwnął głową.

- Więc zatrzymała go? Jakie to do niej podobne, zwłaszcza ukrycie listu w domku, za schodami. Och, Heaven... moja najukochańsza Heaven. - Odwrócił się do mnie. - Zatem dowiedziałaś się, że twoja mama i ja byliśmy kochankami, sekretnymi kochankami.

Wstał, podszedł do okna i zapatrzył się w dal. Trwało to bardzo długo, aż zaczęłam się obawiać, że nie powie nic więcej. Luke sięgnął po moją dłoń i czekaliśmy cierpliwie. Wtem wszystkie zegary jak na komendę zaczęły wybijać godzinę, a mały zegar z pozytywką, o kształcie niebieskiego domku, otworzył frontowe drzwi. Wyłoniła się z nich maleńka rodzinka i szybko schowała z powrotem przy dźwiękach słodkiej, niezziemskiej melodii, którą tak dobrze znałam.

- Troy...

- Wszystko dobrze, Annie - zapewnił i wrócił na miejsce. - Pewne fakty, które ci teraz wyjawię, z czasem przekazałaby ci mama. Przed laty, kiedy dorastała na Wzgórzach Strachu, poznała twojego ojca i zakochała się w nim ze wzajemnością. Przysięgli sobie miłość i gdyby Heaven pozostała w górach, zapewne wyszłaby za Logana i wiodła spokojne, szczęśliwe życie w Winnerrow. Jednak los postanowił inaczej... Kiedy Luke Casteel zniszczył swoją rodzinę, sprzedając po kolei dzieci, twoja mama trafiła do niesłychanie egoistycznej Kitty Dennison oraz jej męża Cala. I znów miała ciężkie życie, gdyż Kitty była o nią zazdrosna, a Cal... w końcu wykorzystał biedną, zagubioną dziewczynę. Nietrudno zrozumieć, jak coś takiego mogło się stać. Twoja mama była młodziutka i rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by ją kochał. Cal, mężczyzna dużo starszy, był dla niej symbolem dobrego taty i doskonale to wykorzystał.

Logan nie mógł się z tym pogodzić i nawet po śmierci Kitty, kiedy twoja mama zamieszkała w Farthy, a on studiował w Bostonie, nie chciał jej więcej widzieć. Czuli się wtedy bardzo samotni. Ja sam w tamtym okresie przeżywałem ciężkie chwile, dręczony obsesją bliskiej śmierci. Byłem zgorzkniały i unikałem świata. Twoja mama i ja spotkaliśmy się przypadkiem; na jakiś czas Heaven wypełniła moje życie szczęściem i nadzieją. Rozmawialiśmy o małżeństwie i snuliśmy cudowne plany na przyszłość... A potem Heaven

wyjechała, żeby odszukać swoją rozproszoną rodzinę. W czasie jej nieobecności Jillian ujawniła mi prawdę. Dowiedziałem się, że Tony był ojcem Heaven, a zatem ona jest moją bratanicą. Świadom, że nasze małżeństwo stało się niemożliwe, napisałem do niej ten list i opuściłem Farthy, żeby zatracić się w podróżach i zapomnieć.

Kiedy wróciłem, nadal jej nie było. Wówczas, jak już wiesz, dosiadłem Abdullę Bara i pogałem go w ocean. Wszyscy, nawet Tony, byli przekonani, że już nie żyję. I w sumie tak było, gdyż umarłem dla świata; wegetowałem, snując się niczym zjawa i czekając na nieunikniony koniec mojej nędznej egzystencji. Jednak śmierć nie przychodziła i skończyłem trzydziestkę, choć ciągle śniłem, że jej nie dożyję. Dlatego jeszcze raz, pełen nadziei wróciłem do Farthy i do życia; marzył mi się nawet jakiś układ z Heaven. Ona jednak zdążyła pogodzić się z Loganem i wyszła za niego. W sekrecie mieszkałem w tym domku i z ukrycia, ze ściśniętym sercem, śledziłem ich weselne przyjęcie w Farthinggale Manor.

Potem parę razy tajnym przejściem zakradałem się w nocy do domu, czając się w mroku jak jeden z duchów Rye'a - tylko po to, żeby obserwować ją z ukrycia. Twoja mama wyczuła moją obecność i pewnego dnia przyszła do domku ogrodnika. Próbowałem ukryć się przed nią, ale ścigała mnie, aż wreszcie dopadła... i przekonała się, że naprawdę żyję.

Oplakiwaliśmy straconą miłość, ale... - Uniósł wzrok i poszukał spojrzeniem moich oczu. - Nie mogliśmy się z tym pogodzić, choć rozstaliśmy się z postanowieniem, że już więcej nie będziemy się widywać. Heaven wróciła w nocy. Niech Bóg mi wybaczy, ale modliłem się, żeby tak się stało. Zostawiłem nawet otwarte drzwi.

Przyszła i spędziliśmy naszą ostatnią miłosną noc - tę bezcenną noc, dzisiaj bowiem, kiedy patrzę na ciebie, Annie, nie mam wątpliwości, że twoje narodziny miały bezpośredni związek z tamtymi chwilami kradzionego szczęścia.

Od początku, od kiedy zaczął opowiadać, łzy ciekły mi po twarzy, ale kiedy wypowiedział ostatnie zdanie, serce mi stanęło, a Luke ścisnął mi dłoń, jak gdyby nagle ktoś wyrwał go z głębokiego snu.

- Wierz mi, Annie - ciągnął Troy - byłem w rozterce, czy mam ci o tym powiedzieć, gdyż bałem się, że pomyślisz źle o mamie. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że Heaven chciałaby, abym wyznał ci prawdę, abyś ty i Luke nie stracili siebie nawzajem, tak jak spotkało to nas. Jeśli rzeczywiście na rodzice Tattertonów ciąży klątwa, musi wynikać z naszych obaw przed szczerością. Nie chcę, żeby ta klątwa obciążyla i was.

Annie, rozsuń czarne zasłony nad Farthy i wpuść tam światło życia. Zrozum i wybac ludziom, którzy dali się omamić przez okrutny los; ludziom, których jedyny błąd polegał na rozpaczliwym poszukiwaniu miłości, na dążeniu do niej za wszelką cenę.

Pochylił głowę, wyczerpany spowiedzią swojego życia. Przez długą chwilę ani ja, ani Luke nie powiedzieliśmy słowa. Wreszcie wzięłam mojego ojca za rękę. Byłam pewna, że wszystko, co nam powiedział, płynęło prosto z jego serca i narodziło się z uczucia.

Już nie musiałam nikogo nienawidzić, nikogo winić. Dawno temu zbieg okoliczności i ludzkich działań sprawił, że dwie rodziny, różniące się od siebie jak dzień z nocą, skrzyżowały swoje ścieżki i swoje losy. Niszczący zamęt, który z tego wyniknął, pogrążył oba domy, wystawiając je na wieczne burze żądz, miłości i nienawiści, doprowadzając niektórych do obłędu i wstrząsając fundamentami bytu obu rodzin.

Luke i ja zostaliśmy samotni pośród tego zamętu.

I oto mój prawdziwy ojciec uznał, że czas skończyć ze strasznym fatum. Pokazał drogę wyjścia z labiryntu.

- Nie żyjemy nienawiści i nie musimy nikomu wybaczać - powiedziałam.

Troy uśmiechnął się przez łzy.

- Tyle masz w sobie z Heaven, Annie. Wierzę, że siła ducha, którą odziedziczyłaś po niej, zdoła zwalczyć melancholię, którą zapewne ja cię obdarzyłem. Długo żyłem z poczuciem wstydu i winy, żalując tamtej miłosnej nocy z Heaven, ale kiedy zobaczyłem, jaka jesteś piękna, i pojąłem, jak szczęśliwa mogłabyś być, gdyby uwolnić cię od kłamstw i tajemnic, postanowiłem ofiarować ci najlepszy, najpiękniejszy dar, na jaki mnie stać. Prawdę.

- O tak, nie ma piękniejszego daru! Dzięki... tato.

- Wstałam, żeby go uściskać. Objęliśmy się czule i trwaliśmy tak przez długą chwilę. Na koniec Troy pocałował mnie w policzek.

- A teraz idźcie i żyćcie wolni od tych wszystkich cieni.

Serdecznie uścisnął rękę Luke'a.

- Kochaj Annie i dbaj o nią tak, jak twój ojciec kochał Heaven i dbał o nią.

- Obiecuję.

- Żegnajcie.

- Ale przecież będziemy się odwiedzać, prawda? - zapytałam płaczliwie.

- Oczywiście, będę czekał. Zawsze mnie tu zastaniesz. Już przestałem uciekać.

Odprowadził nas do samochodu i tam jeszcze raz uściskaliśmy się na pożegnanie. Kiedy Luke ruszył, obejrzałam się na ojca. Melancholijna część mojej duszy martwiła się, że już nigdy go nie zobaczę, i kazała mi myśleć o chwili, kiedy przyjadę do tego domku i zobaczę w nim tylko niedokończone zabawki. Jednakże druga część, na szczęście silniejsza i o wiele bardziej optymistyczna, wymiotła z mojej głowy ponure wizje i zastąpiła je obrazem pogodnie starzejącego się Troya, cieszącego się z naszych odwiedzin i prezentującego swoje

cudowne zabawki zachwyconym wnukom.

Luke ścisnął mi dłoń.

- Zatrzymaj się jeszcze przy cmentarzu, dobrze? - poprosiłam.

Wysiedliśmy i podeszliśmy do grobów. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, trzymając się za ręce.

W dali majaczył ogromny, kamienny szary dom, wyniosły i majestatyczny jak zawsze. Promienie słońca znalazły szczelinę w chmurach i zaczęły ją poszerzać, aż złota fala blasku zalała całą okolicę.

W pamięci brzmiały mi słowa z naszej pięknej bajki: „A może staje się tym, czym chcesz, żeby się stało...Jeśli zechcesz, żeby było z cukru i syropu klonowego, będzie takie”.

„A ja chcę, żeby było wspaniałym zamkiem, z lordami, służbą i smutnym księciem snującym się po krużgankach, czekającym na swoją księżniczkę”.

- Bądź moją księżniczką, Annie - powiedział Luke, jak gdyby słyszał moje myśli.

- I będziemy żyli długo i szczęśliwie?

- Tak, długo i szczęśliwie.

Objął mnie i wróciliśmy do samochodu.

Uśmiechnęłam się do siebie, pewna, że niedaleko stąd, w małym domku ogrodnika Troy słucha perlistych dźwięków nokturnu Chopina.